

NOWY BESTSELLER WIELKIEGO MISTRZA PRZYGODY

Cykl  
ISAAC BELL

AMBER

# CLIVE CUSSLER

JUSTIN SCOTT

GANGSTER

**Clive Cussler**

**Justin Scott**

# **Gangster**

Przekład: Jacek Złotnicki, Maciej Pintara

Tytuł oryginału: The Gangster



# **BOHATEROWIE**

## **ROK 1895**

ANTONIO BRANCO - sycylijski emigrant, robotnik niewykwalifikowany

PADRONE - pośrednik pracy, szef Antonia Branca

ISAAC BELL, DOUG, ANDY, LARRY, JACK, RON - studenci pierwszego roku z Yale

MARY CLARK - uczennica pensji panny Porter

EDDIE „KANSAS CITY” EDWARDS - detektyw agencji Van Dorn

## **ROK 1906**

### **Biała Ręka**

MARIA VELLA - dwunastoletnia córka Giuseppego Velli

GIUSEPPE VELLA - nowojorski przedsiębiorca budowlany

DAVID LACAVA - bankier z Małej Italii, właściciel Banco LaCava

SANTE RUSSO - pracownik Giuseppego Velli, brygadzysta i pirotechnik

### **Czarna Ręka**

ANTONIO BRANCO - bogaty hurtownik artykułów spożywczych, dostawca  
zaopatrzenia na budowę wodociągu Catskill

CHARLIE SALATA - szef włoskiego gangu ulicznego, spec od wymuszeń

VITO RIZZO - członek gangu Salaty

Ernesto Leone – fałszerz

Roberto Ferri - przemytnik

SYCYLIJSKI PAN MŁODY

FRANCESCA KENNEDY - płatna morderczyni

### **Irlandzcy gangsterzy**

ED HUNT, TOMMY McBEAN - kuzyni, „wychowankowie” gangu Gophersów,  
założyciele gangu West Side Wallopers

## **Prywatni detektywi z agencji Van Dorn**

JOSEPH VAN DORN - założyciel i główny śledczy, zwany też „szefem” lub „starym”

ISAAC BELL - najlepszy detektyw Van Dorna, pomysłodawca i dowódca oddziału specjalnego do zwalczania Czarnej Ręki

WALLY KISLEY, MACK FULTON - w kolejności: ekspert od materiałów wybuchowych i specjalista od włamań do sejfów, zawsze pracują razem, znani jako Weber i Fields

HARRY WARREN - dawniej Salvatore Guaragna, dowódca oddziału specjalnego do zwalczania nowojorskich gangów ulicznych

ARCHIBALD ANGELL ABBOTT IV - przedstawiciel arystokracji nowojorskiej, absolwent Princeton, były aktor i bokser, najlepszy przyjaciel Bella

ALOYSIUS „WISH” CLARKE - człowiek nadużywający alkoholu

EDDIE „KANSAS CITY” EDWARDS - specjalista od spraw związanych z koleją

BRONSON - detektyw z filii agencji w San Francisco

GRADY FORRER - szef działu analitycznego, filia agencji w Nowym Jorku

SCUDDER SMITH - były dziennikarz śledczy, ekspert od przestępstw gospodarczych

EDDIE TOBIN - detektyw praktykant

RICHE CIRILLO - małoletni detektyw praktykant

HELEN MILLS - stażystka agencji Van Dorn, protegowana Isaaca Bella, studentka Bryn Mawr College, córka generała brygady Gary’ego Tannenbauma Millsa

## **Przyjaciele i znajomi Isaaca Bella**

MARION MORGAN - narzeczona

ENRICO CARUSO - światowej sławy śpiewak operowy, tenor

LUISA TETRAZZINI - wschodząca gwiazda operowa, sopranistka koloraturowa, zwana Florenckim Słowikiem

## **Tammany Hall**

BOSS FRYER - „Niezawodny Jim” Fryer, wpływowy nowojorski działacz polityczny

BRANDON FINN - zaufany człowiek Bossa Fryera

ROSE BLOOM - ukochana Brandona Finna

JAMES MARTIN - radny miejski, członek „rady łapówkarzy”

„KID KELLY” GHIOTTONE - były bokser zawodowy wagi koguciej, właściciel saloonu, przedstawiciel Tammany Hall na Małą Italię

### **Przedstawiciele plutokracji**

JOHN BUTLER CULP - gruba ryba z Wall Street, arystokrata z Hudson Valley, spadkobierca fortuny zbudowanej na parowcach i kolei żelaznej, założyciel Stowarzyszenia Dżentelmenów Wiśniowy Gaj

DAPHNE CULP - żona J.B. Culpa

BREWSTER CLAYPOOL - prawnik J.B. Culpa

WARREN D. NICHOLS - bankier, filantrop, członek Stowarzyszenia Dżentelmenów Wiśniowy Gaj

LEE, BARRY - zawodowi bokserzy, ochroniarze i sparingpartnerzy J.B. Culpa

### **Policjanci**

KAPITAN MIKE COLIGNEY - komendant Komisariatu Okręgowego Policji Nowojorskiej w dzielnicy Tenderloin

PORUCZNIK JOE PETROSINO - twórca wydziału włoskiego policji nowojorskiej

CHRIS LYNCH - agent Secret Service zajmujący się fałszerzami banknotów

ROB ROSENWALD - detektyw z biura prokuratora okręgowego w Nowym Jorku

KOMENDANT BINGHAM - nowy urzędnik Policji Nowego Jorku który wstrząsnął departamentem

SZERYF HRABSTWA ORANGE

### **Burdel Wiśniowy Gaj**

NICK SAYERS – właściciel

JENNY - pensjonariuszka

### **Biały Dom**

THEODORE ROOSEVELT - „Teddy”, „TR”, prezydent Stanów Zjednoczonych, bohater wojny amerykańsko-hiszpańskiej, były gubernator stanu Nowy Jork, były komendant policji miasta Nowy Jork

SZEF SECRET SERVICE z korpusu ochrony prezydenta

## **Wodociąg Catskill**

DAVE DAVIDSON - inspektor osiedli robotniczych z ramienia Stowarzyszenia  
Asekuracyjnego Przedsiębiorców Budowlanych

PRZEDSIĘBIORCY BUDOWLANI

IRLANDZKI BRYGADZISTA

# PROLOG

## Morderstwo i sztubackie wybryki

New Haven 1895

Tkwiący po pierś w rowie włoski robotnik z łopata podniósł wzrok. Na krawędzi wykopu, tuż przed swoim nosem, ujrzał gromadkę nóg w szytych na miarę butach i popelinowych spodniach. Bogaci amerykańscy studenci brali garście ziemi ze sterty i przesiewali piaszczystą czerwoną glebę przez palce.

Irlandzki brygadzysta, siedzący w cieniu pod parasolem, pogroził mu pięścią.

– Do roboty, makaroniarski nierobie!

Studenci nawet tego nie zauważyli. Wypuszczeni z murów uczelni na niezaplanowaną lekcję w terenie, badali świeżo wykopaną ziemię w poszukiwaniu okruchów triasowych skał, naniesionych przez lodowce z górzystych terenów, które wznosiły się nad doliną New Haven. Cieszyli się, że mogą być na dworze w ten pierwszy ciepły dzień wiosny, a Włosi kopiący doły w ziemi byli dla nich równie pospolitym widokiem, jak rumiani irlandzcy brygadziści w melonikach.

Ale nie uszło to uwagi włoskiego *padrone*, któremu imigranci płacili wysoką prowizję od każdej dniówki. Nadzorca Włochów, ekstrawagancko wystrojony i wyperfumowany neapolitańczyk, natychmiast zwiertzył okazję dodatkowego zarobku. Skinął na kopacza, który przerwał pracę, by pogapić się na lepszych od siebie. Był nim młody Sycylijczyk, nazwiskiem Antonio Branco.

Chłopak bez najmniejszego wysiłku wyskoczył z rowu na trawę. W cuchnących potem roboczych ciuchach wyglądał niemal tak samo, jak inni łopaciarze harujący w wykopie. Ot, kolejny wieśniak w brudnej czapce, może trochę lepiej zbudowany niż większość z nich, wyższy i szerszy w barach. A jednak było w nim coś, co wyróżniało go spośród pozostałych. Zbytnią pewnością siebie, zawyrokował *padrone*.

– Stawiasz mnie w złym świetle w oczach brygadzysty.

– Co cię obchodzi ten irlandzki gamoń?

– Potrącam ci połowę wypłaty. Wracaj do pracy.

Twarz Branca stężała, ale była to jedyna reakcja. Po chwili wskoczył do rowu i chwycił za łopatę, co upewniło *padrone*, że prawidłowo ocenił tego

człowieka. We Włoszech karabinierzy nie patyczkowali się z kryminalistami. Antonio Branco musiał być przestępcą zbiegłym do Ameryki i dlatego nie zaprotestował, kiedy został okradziony z połowy zarobku.

\* \* \*

Pięciu studentów pierwszego roku wymknęło się z Vanderbilt Hall. Zamknęli za sobą drzwi, tłumiąc rzępolenie pianin i bandzo oraz dzikie wrzaski i hałasy, które składały się na normalne odgłosy tętniącego życiem akademika. Teraz otoczyli wysokiego, chudego jak szczapa kolegę, aby wysłuchać jego planu złożenia wizyty dziewczętom z pensji panny Porter w Farmington, sześćdziesiąt pięć kilometrów stąd. Jeszcze dzisiejszej nocy.

Wiedzieli o nim niewiele. Pochodził z Bostonu, z rodziny bankierów, absolwentów Harvardu. To, że wybrał Yale, wskazywało na buntowniczy rys charakteru. Nie stronił od uśmiechu, a jego wzrok emanował spokojem, bo pomyślał chyba o wszystkim - o mapie, o chodzącym z dokładnością do pół minuty dziennie konduktorskim zegarku marki Waltham oraz o specjalnym, kolejarskim rozkładzie jazdy, zawierającym relacje wszystkich pociągów na linii, zarówno pasażerskich, jak i towarowych.

- A jeśli dziewczyny nie zechcą nas widzieć? - spytał zatwardziały niewierny Tomasz o imieniu Jack.

- Nie oprą się dżentelmenom z Yale, którzy przyjechali pociągiem specjalnym - stwierdził Andy.

- Kradzionym pociągiem specjalnym - uściślił Ron.

- Pożyczonym - poprawił go Larry. - Przecież nie mamy zamiaru zatrzymać go na zawsze. Poza tym to nie cały pociąg, tylko lokomotywa.

Doug zadał pytanie, które nurtowało całą piątkę.

- Isaac, jesteś pewien, że poradzisz sobie z prowadzeniem parowozu?

- Jest tylko jeden sposób, by się o tym przekonać!

Isaac Bell schował mapę, zegarek i rozkład jazdy do dużej naramiennej torby, w której miał jeszcze dwie pary grubych rękawic, przenośną karbidówkę oraz opasły egzemplarz *Katechizmu lokomotywy Grimshawa*. Ruszył żwawo spod drzwi, a Doug, Ron, Andy, Jack i Larry podążyli za nim.



\* \* \*

Mała Italia w New Haven mieściła się w okolicy stacji kolejowej. Gwizdy parowozów i dzwony lokomotyw przetokowych odgrywały nocną serenadę, a dym węglowy łagodził spowijający całą okolicę smród z fabryki gumy, kiedy *padrone* opuszczał swoją ulubioną restaurację.

Objadł się do syta, w głowie szumiało mu od wina. Zatrzymał się na chwilę, by podłubać w zębach złotą wykałaczką, a potem pomaszerował Wooster Street prosto do domu. Przechodniom pozdrawiającym go pełnym szacunku: *Buona sera, padrone*, odpowiadał wyniosłymi kiwnięciami głowy. W pobliżu kamienicy, w której mieszkał, natknął się na Antonia Branca. Sycylijczyk stał w cieniu pod wypaloną latarnią i ostrzył ołówek składanym, kieszonkowym nożem.

*Padrone* zarechotał.

– Na co wieśniakowi ołówek, skoro nie umie czytać?

– Uczę się.

– *Stupidaggine!*

Branco strzelił oczami na boki. Zbliżał się do nich gliniarz. Musiał przeczekać, aż ich minie, wyciągnął więc z kieszeni amerykańską gazetę i głośno przeczytał nagłówek:

– Wypadek w kanale. Brygadzysta nie żyje.

– Przeczytaj to, co jest drobnym drukiem - polecił drwiąco *padrone*.

Branco zaczął ostentacyjnie wodzić ołówkiem za tekstem. Udawał, że długie słowa sprawiają mu trudności, i pomijał krótkie.

– Brygadzysta Jake... Stratton... śmiertelnie ranny po zawaleniu kanału Bridgeport. Osierocił żonę Katherine i dwójkę dzieci, Paula i Abigail. Zginęło także czterech Włochów.

Gliniarz skręcił za róg. Wieczorny tłum zdążył się przerzedzić. Już tylko kilka osób zmierzało pospiesznie do domów, myśląc wyłącznie o swoich sprawach. Antonio Branco wbił ołówek w policzek *padrone*.

Zaatakowany poderwał ręce do twarzy, odsłaniając klatkę piersiową.

Branco zadał szybki cios. Krótkiemu ostrzu kieszonkowego noża sporo brakowało do dozwolonych prawem dziesięciu centymetrów, za to składana

rękojeść była od niego tylko odrobinę grubsza. Kiedy stal weszła między żebra, Branco zmienił chwyt i docisnął nóż środkiem dłoni. Cienka, płaska rękojeść wtoczyła ostrze w głąb rany, a ostry jak brzytwa szpic niczym sztylet przebił serce *padrone*.

Branco zabrał zabitemu portfel, sygnety i złotą wykałaczkę, po czym pobiegł w kierunku torów.

\* \* \*

Parowóz 106 postękiwał i posapywał niczym śpiący mastif. Był to American Standard 4-4-0 wyposażony w cztery koła toczne z przodu i cztery wysokie koła napędne, sięgające Bellowi do ramienia. Patrząc spod nasypu, przy którym przycupnęła grupka studentów, wydawał się ogromny na tle łuny światła miasta, jaśniejącej na zadymionym niebie.

Bell obserwował tę lokomotywę od tygodnia. Co wieczór przetaczano ją pod zasobnik węglowy i hydrant, aby uzupełnić tender. Potem robotnicy z depo opróżniali popielnik z żużla, przyduszali żar popiołem, żeby rano można było szybko podnieść parę, i odstawiali ją na najdalszą bocznice na północnym krańcu stacji. Dzisiejszej nocy, jak zwykle zresztą, stoszóstka zwrócona była we właściwą stronę, na północ w kierunku szlaku Canal Line, prowadzącego prosto do Farmington.

Doug, na polecenie Bella, miał pobiec przed lokomotywę i przestawić zwrotnicę łączącą bocznice z torem głównym. Silny, trzeźwo myślący i szybki futbolista był najlepszym kandydatem do tego zadania.

– Natychmiast po naszym przejeździe przestaw zwrotnicę do pierwotnego położenia.

– Po co?

– Kiedy już zauważą zniknięcie lokomotywy, nie będą wiedzieli, w którą stronę pojechaliśmy.

– Zaplanowałeś wszystko jak prawdziwy przestępca, Isaac.

– Lepsze to niż dać się złapać. Kiedy skończysz, pędź, ile sił w nogach, aby nas dogonić... Andy, ty zapalisz światła... Do roboty, panowie. Migiem!

Bell ruszył przodem, sadząc długimi krokami przez szyny i podkłady obsypane tłuczniem. Pozostali potruchtali za nim, chowając głowy w ramionach. Policja kolejowa słynęła z brutalności, choć było raczej mało prawdopodobne,

aby funkcjonariusze posunęli się do użycia siły wobec synów amerykańskich magnatów. Gdyby jednak schwytano ich podczas tego wybryku, skończyłoby się to dla nich „zawieszeniem w prawach studenta”, co w praktyce oznaczało wyrzucenie z uczelni i odesłanie do rodziców.

Doug wyrwał do przodu, przed lokomotywę, i stanął w rozkroku z rękami na dźwigni zwrotnicy. Andy, zatrudniony w teatrzykach wodewilowych swojego ojca jako spec od oświetlenia, wspiął się na zgarniacz i zapalił karbidową lampę czołową, która rzuciła mętną poświatę na tory. Następnie zeskoczył na ziemię, pobiegł wzdłuż parowozu i zapalił czerwoną latarnię końcową z tyłu tendra.

Isaac Bell wspiął się po drabince do budki maszynisty. Wyciągnął z torby rękawice, drugą parę podał Ronowi i wskazał mu drzwiczki paleniska.

– Otwórz je i podrzuć trochę węgla.

Buchnęło gorącem.

– Rozrzucaj równomiernie, żeby nie tłumić ognia.

W pomarańczowej poświacie bijącej z paleniska Bell porównał przyrządy sterownicze z tymi zapamiętanymi z ilustracji. Potem policzył głowy. Wszyscy wcisnęli się już do budki maszynisty z wyjątkiem Douga, stojącego przy zwrotnicy.

Bell pchnął dźwignię stawidła do przodu, zwolnił hamulce pneumatyczne i otworzył przepustnicę, wpuszczając parę do cylindrów. Stalowy kolos drgnął i ożył mu w rękach. Przypomniawszy sobie w ostatniej chwili, aby lekko przymknąć przepustnicę, dzięki czemu ruszyli bez poślizgu.

Koledzy głośno wyrażali swój podziw i poklepywali go po plecach. Parowóz toczył się po torze.

\* \* \*

– Stać!

Wielki jak góra gliniarz kolejowy z lampą karbidową doczepioną do paska ścisnął w dłoni prawie metrową pałkę. Ze zdumiewającą prędkością dopadł Antonia Branca i przyparł go do ściany krytego wagonu towarowego, do którego ten zamierzał się właśnie wsunąć. Zaskoczony Branco zmrużył jedno oko, a drugie zacisnął całkiem, oślepiony światłem lampy.

- Cholerni makaroniarze! - ryknął osilek. - Ile łap muszę wam jeszcze połamać, żeby to do was dotarło? Nie ma jazdy na gapę. Won z mojej stacji, a tu masz coś na pamiętkę.

To mówiąc, opuścił pałkę z wielką siłą na ramię Antonia, ewidentnie chcąc strzaskać mu kość.

Branco zdołał uchylić się z linii ciosu, ratując rękę kosztem eksplozji potwornego bólu w lewym kolanie. Zgięty wpół wyciągnął z kieszeni nóż, rozłożył go z szybkością znamionującą wielką wprawę, poderwał się i chlasnął gliniarza przez twarz, rozcinając mu skórę od podbródka aż po linię włosów.

Ranny krzyknął głośno, krew zalała mu oczy. Upuścił pałkę i zakrył dłońmi twarz. Branco, kulejąc, zniknął w mroku. Kolano płonęło, jakby zanurzył je w roztopionym ołowiu. Z wysiłkiem pokuśtykał w stronę opustoszałego północnego krańca stacji, z dala od świateł i gliniarzy, którzy zaraz tu przybiegną zwabieni wrzaskiem kolegi. Ujrzał sunącą wolno lokomotywę. Nie była to żadna przetokówka, ale normalny, duży parowóz z czerwoną latarnią na końcu tendra. Toczył się w kierunku głównego toru. Brancowi było wszystko jedno, dokąd - do Hartford, Springfield czy do Bostonu - byle dalej od New Haven. Walcząc z mdłościami spowodowanymi bólem, zmusił się do nieporadnego biegu, dogonił parowóz i wciągnął się na zaczep z tyłu tendra. Koła załomotały na rozjeździe, lokomotywa zaczęła nabierać prędkości.

W Ameryce, o czym zdołał się już przekonać Branco, dzięki pociągom granice uległy zatarciu. Kraj był ogromny, trzydzieści razy większy niż Włochy, ale wobec tysięcy kilometrów krzyżujących się linii kolejowych odległości przestawały mieć znaczenie. Podróżując koleją, można było zniknąć bez śladu w slumsach Małej Italii albo w dzielnicach nędzy, obecnych we wszystkich większych miastach. Stróże prawa byli bezradni. W odróżnieniu od włoskich karabinierów, będących policją państwową, amerykańscy gliniarze zajmowali się tylko tym, co działo się w ich rewirze.

Nagle dał się słyszeć syk hamulców. Zazgrzytały koła i parowóz się zatrzymał.

W ciemności rozległy się czyjeś szybkie kroki. Branco zeskoczył na podkłady, wsunął się pod tender i wyciągnął nóż. Ktoś przebiegł obok i wspiał się do budki parowozu, stukając podszewami o metalowe pręty drabinki. Zasyczały zwalniane hamulce, lokomotywa drgnęła i potoczyła się dalej.

Antonio Branco zdążył wcisnąć się we wnękę w podwoziu tendra i z każdą chwilą coraz bardziej oddalał się od New Haven.

\* \* \*

– Więcej węgla, Ron! Doug, podawaj Ronowi węgiel z tendra. Larry, Jack, pomóżcie mu.

– Nie ma więcej łopat, Isaac.

– A rączek Bozia nie dała?

Kluczem do powodzenia przedsięwzięcia była prędkość. Z rozkładu jazdy przestudiowanego przez Bella wynikało, że ruch pociągów zamiera po 22.30. W rozkładzie zamieszczono jednak ostrzeżenie o pociągach technicznych i transportach tłuczni, które mogły pojawić się na szlaku. Dlatego im szybciej pokonają jednotorową trasę, tym lepiej. Jadąc z prędkością dziewięćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę, powinni znaleźć się w Farmington za czterdzieści minut. Bell popatrzył na zegarek. Stracili całe pięć minut na zabranie Douga. Prędkościomierz wskazywał sześćdziesiąt pięć kilometrów na godzinę.

– Więcej węgla!

Chłopcy podawali węgiel. Ron wrzucał go do paleniska. Wydawało się, że trwa to całą wieczność, ale powoli, stopniowo, ciśnienie pary wzrastało, a wskazówka prędkościomierza sunęła coraz dalej, aż wreszcie zaczęła oscylować wokół dziewięćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę. Lokomotywa nie ciągnęła wagonów, więc po osiągnięciu optymalnego tempa jazdy Bell przesunął stawidło do pozycji utrzymywania prędkości podróźnej, dając chwilę wytchnienia zmordowanym i usmolonym palaczom.

– Co tam jest przed nami?

Andy wysunął głowę przez boczne okienko i patrzył wzdłuż toru. Bell wychylił się wraz z nim i dostrzegł w oddali słabe światełko. Zerknął na zegarek, a potem na mapę.

– Stacja Mount Carmel.

Trzyście kilometrów od New Haven. Pozostało jeszcze pięćdziesiąt dwa. Ku zadowoleniu Bella, w oknach budynku stacyjnego było ciemno. Najwyraźniej dyżurny ruchu, który mógłby rozesłać telegraficzne ostrzeżenie o „szalonej” lokomotywie, spał smacznie w swoim łóżku.

Andy dopraszał się o zgodę na sygnalizację gwizdkiem, ale Bell mu zabronił. Wszak planowali skrycie niczym duchy przemknąć przez stan Connecticut, więc potępieńcze wycie nie leżało w ich interesie.

Szczyście sprzyjało im nadal, kiedy stoszóstka w wielkim pędzie mijała przystanki Cheshire, Plantsville, i Southington - wszystkie trzy pogrążone w mroku i głębokim śnie. Teraz jednak zbliżali się do Plainville. Nazwę tę wydrukowano w rozkładzie wytłuszczoną czcionką, co oznaczało dużą stację węzłową. Faktycznie, po pokonaniu zakrętu w kierunku miasta oczom Bella ukazał się rześcicie oświetlony peron i budynek dworcowy.

Zobaczył kolejarzy na peronie i pomyślał z obawą, że na torach mogą pracować robotnicy. Sięgnął do dźwigni hamulca, ale w tej samej chwili dostrzegł na semaforze wyjazdowym białe światło. Zgodnie z *Katechizmem lokomotywy* był to sygnał oznaczający wolną drogę.

– Zagwizdź sobie, Andy.

Andy pociągnął za linkę, zwisającą z dachu budki. Para wytrysnęła z gwizdka z ogłuszającym świstem. Ludzie na peronie odskoczyli od toru i z osłupieniem patrzyli na rozpędzoną stoszóstkę, która przewaliła się przez stację Plainville z prędkością prawie stu kilometrów na godzinę.

Bell podniósł głos, aby wszyscy usłyszeli go poprzez huk maszyny.

– Wszystko się wydało.

Odpowiedział mu jęk zawodu.

– Co teraz zrobimy, Isaac?

– Odstawimy parowóz na bocznice w Farmington i pójdziemy do panny Porter pieszo, na skróty - odpowiedział, pokazując im drogę na mapie. Potem wręczył im bilety na poranny pociąg z Plainville do New Haven. - Musimy zdążyć na zajęcia.

– Światła przed nami! - zawołał Andy, wyrzawszy przez okno. Bell zamknął przepustnicę. Kiedy lokomotywa zaczęła wytracać prędkość, włączył hamulce i łagodnie zatrzymał ją na torze.

– Doug, tam masz zwrotnicę. Tylko migiem, bo już wiemy, że się zbliżamy. Andy, pogaś światła.

Andy zgasił lampę czołową, a Doug dopadł do dźwigni zwrotnicy i przestawił ją, układając im drogę na tory postojowe stacji, widocznej na tle

światła Farmington. Zapadła cisza, tylko w uszach dzwoniło im od łoskotu tłoków.

– Czekajcie - szepnął Bell, słysząc chrzęst tłuczni pod czyimiś stopami. Po chwili w świetle gwiazd dostrzegł jakiś ruch.

– Ktoś idzie! - powiedzieli chórem Ron i Larry.

– Czekajcie - powtórzył Bell, wsłuchując się w kroki. - Biegnie w przeciwną stronę. - Kątem oka zauważył sylwetkę człowieka, oddalającego się od lokomotywy. - To tylko jakiś włóczęga.

– Gliny!

Ktoś biegł w ich kierunku, ale w ciemności widzieli tylko podskakującą latarnię.

W plamie światła mignął Bellowi samotny gliniarz kolejowy w koszuli nocnej do połowy wpuszczonej w spodnie. Próbował w biegu naciągnąć na ramiona szelki.

– Stać! Nie ruszać się!

W tej samej plamie światła, w której Bell wcześniej widział gliniarza, zamajaczyła jakaś postać. Podskakująca lampa zawróciła i pognęła za nią.

– Ściga tego włóczęgę.

– Wiejemy stąd, panowie, póki jest okazja.

Studenci dali nura w mrok. Bell obejrzał się za siebie. Włóczęga biegł jakoś dziwnie, przy każdym kroku wykrzywając w bok prawą stopę. Przez głowę Bella przemknął obraz kłusaka o nieprawidłowym chodzie.

Z budynku stacji wypadł drugi strażnik. Zadał w gwizdek i ruszył za studentami. Bell patrzył na to z ciężkim sercem. Zdał sobie sprawę, że wpakował kolegów w paskudną sytuację. Popędził za nimi najszybciej jak potrafił, wbiegł między nich a strażnika, a kiedy ten go zauważył, skręcił w przeciwnym kierunku. Sztuczka się udała. Gliniarz pogalopował za nim, a pozostali chłopcy uciekli w stronę światła miasta.

Bell zmierzał ku magazynom i składom węgla, stopniowo zwiększając dystans. Wpadłszy między zabudowania, pod ich osłoną zmienił kierunek i skrył się w pobliskiej kępie drzew. Przyczał się i czekał. Tak wczesną wiosną gałęzie jeszcze nie pokryły się liśćmi i przepuszczały światło gwiazd, w którym lśniły jego nagie dłonie. Położył torbę na ziemi, postawił kołnierz i ukrył ręce w kieszeniach.

Usłyszał czyjeś kroki i zdyszany oddech. Kulawy włóczęga wsunął się między drzewa. Na widok Bella sięgnął do kieszeni i wyciągnął nóż. Stalowe ostrze mignęło w gwiazdnej poświacie. Uciekać, przemknęło Bellowi przez myśl, ale wolał nie odwracać się plecami do człowieka z nożem. Zamiast tego zasłonił się ciężką torbą i zacisnął pięść.

Oddaleni od siebie o jakieś trzy metry bez słowa mierzyli się wzrokiem. Twarz włóczęgi ginęła w cieniu pod daszkiem czapki, tylko oczy jarzyły się jak u zaszczutego zwierza. Ręce, nogi, całe ciało naprężył do skoku. Bell poczuł, że jego mięśnie napinają się jak postronki.

W oddali rozległy się gwizdki strażników. Gliniarze zwarli szeregi i pobiegli szukać w niewłaściwym kierunku. Włóczęga dyszał ciężko, strzelając wzrokiem to na niego, to w stronę odległych gwizdków.

Bell opuścił torbę i rozluźnił pięść. Przeczucie go nie zmyliło. Włóczęga schował nóż do kieszeni i oparł się o pień.

– Idę pierwszy - szepnął Bell.

Wysunął się ostrożnie spomiędzy drzew.

Kiedy skrył się za załomem muru otaczającego stację i popatrzył za siebie na tory, zauważył szybko przemieszczający się cień. Włóczęga uciekał w przeciwnym kierunku.

\* \* \*

Nie potwierdziły się wątpliwości niewiernego Tomasza.

Kiedy tylko kamyki rzucone przez kolegów Bella zagrzechotały o szyby bursy przy Main Street, okna otworzyły się szeroko i pojawiły się w nich rozświetlone dziewczęta. Kto tam? Skąd się wzięliście, chłopcy? Jak udało się wam tu dotrzeć w środku nocy?

Wcześniej, podczas wędrówki przez pola, młodzieńcy zdecydowali, że mając na względzie najbliższą przyszłość, lepiej nie przyznawać się do kradzieży pociągu. Postanowili trzymać się wersji o wynajęciu pociągu specjalnego, co zresztą wywarło na podopiecznych panny Porter piorunujące wrażenie.

– Tylko po to, by się z nami zobaczyć?

– To warte każdych pieniędzy! - zakrzyknęli chórem Larry i Doug.



Nagle zza rogu wyszła ładna blondyneczka w powłóczystej białej koszuli nocnej.

– Lepiej zmykajcie, chłopcy. Wychowawczynie zadzwoniła po Millera.

– A ten Miller to kto?

– Miejscowy konstabl.

Młodzieńcy z Yale jak jeden mąż dali drapaka, oprócz Isaaca Bella, który stanął w smudze światła, zrywając kapelusz z głowy.

– Dobry wieczór, Mary Clark. Bardzo jestem rad widzieć cię ponownie.

– Isaac!

Miesiąc wcześniej spotkali się na herbacie, oczywiście w towarzystwie przyzwoitki.

– Co ty tutaj robisz?

– Podziwiam twoją urodę. Jesteś jeszcze piękniejsza, niż zapamiętałem.

– Miller zaraz tu będzie. Uciekaj, wariacie!

Isaac Bell skłonił się nisko i zniknął w mroku.

– Powiem Millerowi, że byliście z Harvardu! - zawołała za nim niezapomniana panna Mary Clark.

\* \* \*

Dwa dni później wmaszerował do biura zawiadowcy stacji New Haven i oznajmił:

– Nazywam się Isaac Bell. Jestem studentem pierwszego roku uniwersytetu Yale. Na kampusie chodzą słuchy, że śledczy rozpytują o lokomotywę numer 106.

– Co ma pan do powiedzenia w tej sprawie?

– To ja ją pożyczyłem.

– Siadaj i nie ruszaj się! Poczekaś sobie na policję.

Zawiadowca chwycił za telefon i zameldował o oświadczeniu Bella.

Godzinę później pojawił się przedwcześnie posiwiwały detektyw w garniturze w prążki. Przywiódł ze sobą wielkoluda z głową szczelnie owiniętą bandażem, z wyjątkiem jednego oka. To oko spoczęło na Bellu.

– Przecież to nie makaroniarz - wybelkotał olbrzym przez bandażę. - Mówiłem, że tamten był makaroniarzem.

– Twierdzi, że ukradł stoszóstkę.

– Nieważne. Niechby nawet ukradł cały cholerny pociąg, to i tak nie będzie parszywym Italiańcem o kaprawych ślepiach. To nie on mnie pociął.

Siwowłosy detektyw wyprowadził poszkodowanego. Wrócił po dwudziestu minutach. Usiadł naprzeciwko Bella i przedstawił się jako detektyw Eddie Edwards. Następnie wyciągnął notes i pokrywał jego kartki starannym równym pismem, słuchając opowieści Bella. Kazał mu ją powtórzyć trzykrotnie, a na koniec spytał:

– Może przypadkiem widział pan makaroniarza, który pokaleczył twarz tego stacyjnego osiłka?

– Na pewno nie w New Haven, ale w Farmington faktycznie widziałem kogoś pasującego do opisu. - Bell opowiedział mu o kulawym włóczędze. - Mógł przyjechać z nami, ukryty pod podwoziem tendra.

– Przekażę to policji kolejowej, tyle że on zdążył już pewnie dotrzeć do Bostonu. - Edwards zapisał coś jeszcze i zamknął notes.

– Męczy mnie to, że być może pomogłem bandycie w ucieczce - powiedział Bell.

– Zapewniam pana, że ten, kto pokancerował tego wielkoluda, poradziłby sobie i bez pańskiej pomocy. A teraz proszę ze mną, młody człowieku. Odprowadzę pana na uczelnię.

– Puszczaj mnie pan wolno?

– Jakimś cudem pański nieprzemyślany postępek nie doprowadził do niczyjej śmierci, obrażeń ani zniszczenia mienia. W związku z tym w szeroko pojętym interesie Kolei New Haven nie leży wysuwanie oskarżeń pod adresem syna bostońskiego bankiera, od którego kiedyś, być może, będą chciały pożyczyć pieniądze.

– Skąd pan wie, że mój ojciec jest bankierem?

– Zadepeszowałem do kolegi z Bostonu.

Szli Chapel Street i Bell odpowiadał na pytania detektywa, dotyczące mijanych obiektów. Na wysokości parku Green Edwards zagadnął go:

– Proszę mi powiedzieć, tak między nami, ilu współników potrzebował pan do zrealizowania tej eskapady?

– Ani jednego. Zrobiłem to sam.

Eddie Edwards popatrzył badawczo na młodego studenta.

Bell odwzajemnił mu się takim samym spojrzeniem. Edwards ogromnie go intrygował. Detektyw ubierał się elegancko w odróżnieniu od biednego kolejowego gliniarza z pociętą twarzą. Miał naturę kameleona, swobodnym stylem bycia maskował bystre spojrzenie i jeszcze bystrzejszy umysł. Był znacznie młodszy, niż można byłoby sądzić po gęstej, siwej czuprynie. Bell zastanawiał się, gdzie nosi broń. Zgadywał, że w kaburze pod pachą, choć niczego nie było widać.

– Nieliche wyzwanie jak dla jednej osoby - zadumał się Edwards. - Przyznam, że jestem pełen podziwu dla człowieka, który zażarcie broni swoich przyjaciół.

– Tak naprawdę, nawet gdyby uczestniczyli w tym moi przyjaciele, to i tak był to wyłącznie mój pomysł - oznajmił Bell, pokazując detektywowi mapy, konduktorski zegarek i rozkład jazdy. - Zna pan *Katechizm lokomotywy Grimshawa*?

– Dobra odpowiedź, młodzieńcze. Poparta mocnymi dowodami. A na koniec zmiana tematu za pomocą pytania. Ma pan zadatki na łebskiego oszusta.

– Może raczej łebskiego detektywa?

Edwards powstrzymał uśmiech cisnący mu się na usta i twardo powiedział:

– Detektywi nie kradną, lecz służą ludziom pomocą.

– Panie Edwards, odnoszę wrażenie, że nie jest pan pracownikiem kolei.

– Kolej prosi nas o pomoc w sprawach wymagających większej finezji.

– To gdzie pan pracuje?

Edwards wypchnął pierś do przodu i wyprostował się, przez co stał się trochę wyższy.

– W Agencji Detektywistycznej Van Dorn.

**Księga pierwsza**  
**RÓŻOWA HERBATKA KAPITANA**  
**COLIGNEYA**

**Jedenaście lat później**  
**1906**

# 1.

## **Mała Sycylia, Nowy Jork, Elizabeth Street, między Prince a Houston, rewir Czarnej Ręki**

Czarna Ręka uwięziła dwunastoletnią Marię Vellę w gołębniku na dachu czynszówki przy Elizabeth Street. Bandyci wyjęli jej knebel, żeby się nie udusiła. Śmiali się, że nawet taki bogaty przedsiębiorca budowlany jak jej ojciec nie zapłaci okupu za martwą córkę. Zagrozili, że zbiją ją, jeśli zacznie krzyczeć. Bolesne pociągnięcie za jeden z lśniących warkoczy napełniło jej oczy łzami.

Spróbowała uciszyć rozkołatanę serce, koncentrując się na spokoju ptaków. Gołębie gruchały do siebie cicho, nieświadome zgiełku panującego w dzielnicy nędzy, obojętne na tysiące okrzyków, popiskiwanie katarynki i hurgot maszyn do szycia. Patrząc przez ażurową ścianę z drewnianych listewek, zorientowała się, że gołębnik stoi przy wysokiej balustradzie, obramowującej dach budynku. Czy po tamtej stronie barierki znajdzie się ktoś, kto mógłby przyjść jej z pomocą? Odmawiała szeptem zdrowaśki, by dodać sobie odwagi.

*„...Santa Maria, Madre di Dio,  
prega per noi peccatori,  
adesso e nellora della nostra morte...”*

Przepłoszyła z drogi ptaka i weszła na skrzynkę lęgową, potem na kolejną, aż ujrzała obwieszoną sznurkami z praniem kamienicę po przeciwnej stronie ulicy. Wspięła się jeszcze wyżej, przyciskając głowę do sufitu. Stąd wreszcie zobaczyła szeroki chodnik cztery piętra niżej. Tłoczyli się na nim emigranci. Handlarze, ulicznicy, kobiety robiące zakupy - nikt spośród nich nie mógł jej pomóc. Klepiący biedę przybysze z Sycylii jak ognia bali się policji, podobnie jak ona swoich prześladowców.

Wpatrywała się w podnoszący na duchu widok ludzi wiodących swoje zwykłe, codzienne życie. Jakaś kobieta niosła kurczaka od rzeźnika, kilku robotników popijało wino i piwo, siedząc na werandzie przed saloonem Kips Bay. Turkocząc, przejechał konny wóz dostawczy sklepu spożywczego Branco, lśniący czerwoną i zieloną farbą, z nazwiskiem właściciela wypisanym na tle złotego liścia. Antonio Branco zlecił firmie jej ojca wykonanie podpiwniczenia

pod swoją hurtownią przy Prince Street. Pojazd przecisnął się między dziesiątkami ręcznych wózków i znikł w oddali.

Nagle ludzka ciżba rozstała się na boki. W pole widzenia wtoczył się irlandzki policjant w hełmie i granatowym mundurze z mosiężnymi guzikami. W dłoni ścisnął drewnianą pałkę. Nadzieje Marii na uwolnienie wzrosły. Z drugiej strony, jeśli teraz zacznie krzyczeć, czy ktokolwiek ją usłyszy, zanim do środka wpadną porywacze i spuszczą jej lanie? Opuściła ją cała odwaga. Policjant sobie poszedł, a utworzony przez niego pusty korytarz na nowo wypełnili emigranci.

Z saloonu Kips Bay wyszedł wysoki mężczyzna.

Był chudy jak szczapa, miał na sobie sfatygowaną roboczą kurtkę, a na głowie kaszkiet. Zerknął na drugą stronę ulicy i obrzucił wzrokiem kamienicę. Jego spojrzenie zatrzymało się na balustradzie. Przez chwilę odniosła wrażenie, że patrzy jej prosto w oczy. Niby skąd jednak miał wiedzieć, że trzymają ją tutaj w gołębniku? Zdjął z głowy kaszkiet, jakby dawał komuś sygnał. W tym momencie spoza krawędzi dachu wyszło słońce, a promień światła padł na grzywę jego złocistych włosów.

Mężczyzna przeszedł przez ulicę i zniknął jej z oczu.

\* \* \*

Sycylińczyk z byczym karkiem stał tuż za frontowymi drzwiami kamienicy, blokując wejście do korytarza. Pałka pofrunęła mu prosto w twarz. Uchylił się przed nią, ale nadział się na pięść. Trafiony w dołek bezgłośnie zgiął się wpół. Wtedy pałka - wąski, skórzany woreczek, wypełniany ołowianym śrutem - trzasnęła go w głowę tuż za uchem i powaliła na podłogę.

Cztery kondygnacje wyżej, u szczytu wąskich, ciemnych schodów inny Sycylińczyk, pilnujący drabiny prowadzącej na dach, wyszarpnął zza paska pistolet. W powietrzu śmignęło lśniące, stalowe ostrze. Mężczyzna zastygł z otwartymi ustami w niemym wyrazie bólu i zdumienia, gapiąc się na tkwiący w dłoni nóż. Zanim zdążył krzyknąć, uderzenie pałki pozbawiło go przytomności.

Skrzypnięcie drabiny ostrzegło porywacza na dachu. Natychmiast rzucił się do drzwi gołębnika. Właśnie je otwierał, kiedy nadleciała skórzana pałka i z mocą i prędkością mistrzowskiego rzutu miotacza huknęła go w tył głowy. Jednak mężczyzna, silny i odporny niczym odyniec, otrząsnął się tylko, dał nura

do gołębnika i chwycił dziewczynkę. Błysnął sztylet. Bandyta przyłożył cienki szpikulec do gardła małej i powiedział:

– Zabiję.

Wysoki, jasnowłosy mężczyzna stał bez ruchu z pustymi rękami. W głowie śmiertelnie przerażonej Marii kołatała tylko jedna myśl: jak mogła nie zauważyć jego bujnych wąsów, kiedy widziała go przed drzwiami saloonu. Były idealnie przystrzyżone, jakby chwilę wcześniej wyszedł od golibrody.

Mężczyzna wypowiedział głębokim barytonem jej imię. A potem dodał:

– Zamknij mocno oczy.

Zaufała mu i zacisnęła powieki. Znow usłyszała człowieka, który trzymał ją za gardło.

– Zabiję.

Poczuła, jak nóż kaleczy jej skórę. Huknął strzał. Gorąca ciecz ochlapała jej twarz. Porywacz upadł, a ją objęły silne ramiona i wyniosły z gołębnika.

– Byłaś bardzo dzielna, mała damo, trzymając zamknięte oczy. Teraz już możesz je otworzyć.

Czuła, że serce mężczyzny bije bardzo mocno, jakby przybiegł tu z daleka albo bał się tak samo jak ona.

– Teraz możesz je otworzyć - powtórzył. - Już wszystko w porządku.

Stali na odkrytym dachu. Wycierała twarz chusteczką, a gołębie szybowały nad nimi po niebie, które nigdy, przenigdy nie miało być tak niebieskie, jak jego oczy.

– Kim pan jest?

– Isaac Bell. Agencja Detektywistyczna Van Dorn.

## 2.

– To największe dokonanie w dziejach techniki. Wyobrażasz sobie, Branco, ile to będzie kosztować?

– Czytałem w gazecie, że sto milionów dolców, panie Davidson.

Davidson, inspektor ze Stowarzyszenia Asekuracyjnego Przedsiębiorców Budowlanych kontrolujący tymczasowe osiedla robotnicze, roześmiał się w głos.

– Nowojorski Zarząd Wodny zamierza wydać sto siedemdziesiąt pięć milionów dolarów. To o dwadzieścia milionów więcej niż planowany koszt Kanału Panamskiego.

Chłodny wiatr i bezchmurne niebo zapowiadały wczesną zimę w górach Catskill, ale na razie poranne słońce przygrzewało mocno, dlatego obaj przybyli z miasta mężczyźni stali z rozpiętymi marynarkami obok siebie, na rusztowaniu ponad pierwszym stopniem gigantycznej tamy, wznoszącej się wysoko nad strumieniem. Wokół kręcili się robotnicy, ale hałas parowych koparek i dźwigów dawał gwarancję, że nikt nie zdoła podsłuchać ich negocjacji.

Inspektor zatknął kciuki za kamizelkę.

– Czysta, zdrowa woda dla siedmiu milionów ludzi. - Wypiął dumnie pierś i brzuch, zwracając się z promiennym uśmiechem w kierunku odległego Nowego Jorku, jakby własnymi rękami wykopał stuścisiedziestokilometrowy kanał wodociągu Catskill. - Woda z Catskill popłynie z kranów na piątym piętrze wyłącznie pod wpływem grawitacji.

– Potężne przedsięwzięcie - zawyrokował Branco.

– Musimy skończyć budowę, zanim zabraknie wody. Do miasta wciąż przybywają nowi emigranci. Niedługo wypiją jezioro Croton do dna.

Nad widocznym za nimi zagłębieniem terenu unosiły się wirujące kłęby pyłu. Całymi kilometrami ciągnęły się zburzone farmy i kościoły, stodoły, domy i drzewa powyrywane z korzeniami, które po przegrodzeniu doliny tamą i zalaniu miały utworzyć największy na świecie zbiornik retencyjny Ashokan. Poniżej, niemal dwuipółmetrowym otwartym kanałem, toczył swe wody strumień Esopus, któremu pozwolono płynąć swobodnie do czasu ukończenia tamy. Przed nimi zaś widać było trasę wodociągu Catskill, stuścisiedziestokilometrowego kanału o średnicy większej od tunelu kolejowego, który zagłębi się w wykopie, przejdzie pod korytami rzek i przebije się przez cielska gór.

– Dwa razy dłuższy od wielkich akweduktów imperium rzymskiego.

Antonio Branco już w dzieciństwie nauczył się biegle posługiwać językiem angielskim, ale potrafił go celowo kaleczyć, kiedy mogło to być dla niego korzystne.



– Wielka dziura w ziemi - powiedział z komicznym włoskim akcentem, wiedząc, że właśnie tego spodziewa się jego amerykański rozmówca po głupim emigrancie, którego zamierzał oskubać z pieniędzy.

Już i tak zapłacił wysoką łapówkę za samą możliwość przyjazdu w to miejsce i rozmowę z inspektorem. Kiedy z należytych uszanowaniem wręczał mu uzgodnioną kwotę, wyobraził sobie, jak cienkie ostrze przebija tkaninę jego kamizelki półtora centymetra powyżej dewizki zegarka. Wsuwa się i wysuwa. Ciało spada dwadzieścia metrów w dół, porywa je bystry prąd strumienia i gruchocze tak, że w prowincjonalnym zakładzie pogrzebowym nikt nie zauważa niewielkiej rany. Przyczyna zgonu - atak serca.

Ale to jeszcze nie dziś. Stawka jest zbyt wysoka, nie wolno zmarnować okazji. Rzymskie akwedukty zostały zbudowane przez niewolników. Nowojorczycy używają do tego parowych koparek, dynamitu, sprężonego powietrza oraz tysięcy włoskich robotników. Tysiące gąb do nakarmienia.

– Zrozum, Branco, spóźniłeś się ze swoją ofertą. Kontrakty na zaopatrzenie sklepów firmowych zostały już zawarte.

– Słyszałem, że w ostatniej chwili wystąpiły jakieś trudności.

– Trudności? To mało powiedziane. Przeklęty dureń dał sobie poderznąć gardło w burdelu.

Branco uczynił znak krzyża.

– Dlatego właśnie oferuję swoje usługi. Nakarmię Włochów tym, co przywykli jadać na co dzień.

– Gdybyś nawet zawarł ten kontrakt, co z transportem dostaw? Do Nowego Jorku jest spory kawał drogi.

– Dostawy pójdą rzeką Hudson. Parowcem „Albany Night Line” do portu w Kingston. Stamtąd koleją Ulster & Delaware do osiedla robotniczego Brown Station.

– Hm... Zasadniczo ma to ręce i nogi. A może by tak użyć frachtowca, kursującego bezpośrednio z Nowego Jorku do nabrzeża kolei Ulster & Delaware??

– Może być frachtowiec - zgodził się Branco bez przekonania.

– Tak właśnie chciał zrobić ten facet, którego zamordowali. Wpadł na pomysł, że statek mógłby po drodze zatrzymywać się przy Storm King, gdzie rozładowałby część makaronu dla ekip pracujących przy budowie zbiornika

wyrównawczego. Cała masa Italiańców kopie tam przepust pod rzeką. Jeszcze więcej pracuje na drugim brzegu przy syfonie. Słyszą ich wieczorami, jak grają na mandolinach i akordeonach.

– Mógłby stawać też przy Breakneck Mountain - dodał Branco. - To dobry pomysł.

– Znam pewnego gościa, który ma frachtowiec - rzucił od niechcienia Davidson.

Antonio Branco poczuł, że serce zabiło mu szybszym rytmem. Negocjacje dotyczące zaopatrzenia największej budowy w Ameryce właśnie się rozpoczęły.

\* \* \*

Brukowiec wleciał przez okno, zasypując łóżko Marii Velli odłamkami szkła z rozbitej szyby. Matka wpadła z krzykiem do jej pokoju. Tuż za nią pojawił się ojciec, wyciągnął córkę spod kołdry i próbował uspokoić żonę. Maria popatrzyła mu w oczy, a potem, dygocząc ze strachu, bez słowa wskazała na leżący na dywanie kamień. Był owinięty papierem i obwiązany sznurkiem. Giuseppe Vella odwiązał sznurek i wygładził kartkę. Znajdował się na niej niezdarny rysunek trupiej czaszki przebitej sztyletem oraz zarys czarnej dłoni.

Zaczął czytać głosem drżącym ze złości i strachu. Te świny miały czelność zwrócić się do jego nieszczęsnego dziecka.

*Aniołku, powiedz ojcu, że okup trzeba zapłacić. Jak obiecaliśmy, jesteś w domu cała i zdrowa. Ojcu powiedz, żeby był człowiekiem honoru.*

Reszta groźby była skierowana bezpośrednio do niego.

*Strzeż się, ojcie Aniołka. My żyjemy i mamy do załatwienia coś. Pod Mostem Brooklyńskim, przy South Street. Dziesięć tysięcy. I jeszcze tysiąc za narobienie nam kłopotu. Trzymaj język za zębami. Twój Aniołek jest bezpieczny. Jeśli nie zapłacisz, zniszczymy wszystko, co zbudujesz.*

– Nadal żądają okupu - powiedział do żony.

– Zapłać - załkała kobieta. - Inaczej to się nigdy nie skończy.

– Nie!

Matka Marii wpadła w histerię. Giuseppe Vella popatrzył bezradnie na córkę.

– Zwróć się do *signore* Bella - powiedziała dziewczynka.

– Do pana Bella! - krzyknął. Czuł się bezsilny i dlatego wpadł w złość. Chciał poprosić Agencję Detektywistyczną Van Dorn o ochronę, ale zatrudnianie ludzi spoza układu wiązało się ze sporym ryzykiem. - Jesteś Amerykanką, więc mów jak Amerykanka. Pan Bell, nie *signore* Bell.

Dziewczynka zadrżała, słysząc ton jego głosu. Przypomniał sobie, jak jego ojciec tyranizował cały dom, i zwiesił głowę. Przecież był nowoczesnym człowiekiem, Amerykaninem, dziecko nie powinno się go bać.

– Przepraszam, Maria. Nic się nie martw. Pójdę do pana Bella.

### 3.

Hotel Knickerbocker, mieszczący się w piętnastopiętrowym budynku utrzymanym w stylu Beaux Arts na rogu Czterdziestej Drugiej i Broadwayu, cieszył się niezmiennym powodzeniem od dnia, w którym jego właściciel, John Jacob Astor IV, dokonał otwarcia. Stałym mieszkańcem hotelu był wielki Caruso, który miał stąd tylko trzy przecznice do gmachu Metropolitan Opera, podobnie jak słynna sopranistka Luisa Tetrazzini, zwana Florenckim Słowikiem. Na jej cześć szef kuchni hotelowej restauracji nazwał wymyśloną przez siebie potrawkę Polio Tetrazzini.

Na długo, zanim to nastąpiło, wiele miesięcy przed oficjalnym otwarciem, Joseph Van Dorn przeniósł nowojorski oddział swojej agencji detektywistycznej do wspaniałego apartamentu na piętrze, u szczytu wielkich schodów. Wynegocjował obniżkę czynszu poprzez zatrudnienie swoich śledczych jako detektywów hotelowych. Van Dorn był zwolennikiem teorii, sprawdzonej wcześniej w centrali firmy w chicagowskim hotelu Palmer House oraz w jej waszyngtońskim oddziale, mieszczącym się w nowym hotelu Willard, zgodnie z którą opłaciło się zainwestować w luksusową oprawę, bo dzięki niej klientela zyskiwała przekonanie, że wysokie honoraria są gwarancją jakości pracy agencji. Prywatne wejście przez podwórko kuchenne i tylną klatkę schodową

pozwalalo na omińcie lobby najpopularniejszego hotelu w mieście tym klientom, którzy woleli zachować anonimowość, a także informatorom i śledczym działającym w przebraniu.

Do tego właśnie wejścia Isaac Bell skierował Giuseppego Vellę.

Wysoki detektyw serdecznie powitał włoskiego przedsiębiorcę budowlanego w recepcji biura. Zapytał o Marię i jej matkę oraz ponownie odmówił przyjęcia dodatkowej gratyfikacji poza ustalonym honorarium dla agencji, mówiąc dobrodusznie, a zarazem stanowczo:

– Już pan uregulował rachunek w terminie, jak przystało na solidnego klienta.

Następnie wprowadził Włocha do stanowiącego serce agencji pokoju operacyjnego, przypominającego nowoczesne rozwiązania z Wall Street, z lichtarzowymi aparatami telefonicznymi, tubami głosowymi, klekocącymi maszynami do pisania, profesjonalnym fonografem oraz urządzeniem do stenotypii. Automatyczny telegraf poprzez prywatną linię łączył miejscowy oddział z centralą w Chicago i filiami na całym kontynencie oraz z Waszyngtonem, gdzie szef spędzał większość czasu na dobijaniu się o intratne zlecenia rządowe.

Bell zajął miejsce za pustym biurkiem, wskazał Velli krzesło i przestudiował list od szantażystów z Czarnej Ręki. Nieporadna językowo groźba ilustrowana odręcznymi rysunkami napisana została na wysokiej jakości papierze biurowym.

– To było przywiązane sznurkiem do kamienia, wrzuconego przez okno - wyjaśnił Vella.

– Czy ma pan ten sznurek?

Vella wyciągnął kłęb szpagatu z kieszeni.

– Zajmę się tym natychmiast i porozmawiam z panem Van Dornem - powiedział Bell.

– Obawiam się o swoją rodzinę.

– Po pańskim telefonie posłałem ludzi na Trzynastą ulicę do pilnowania pańskiego domu.

Bell obiecał, że po południu zadzwoni do Velli na prowadzoną przez niego budowę fundamentów kościoła Zwiastowania przy Sto Dwudziestej Ósmej ulicy w Harlemie.

– Aha, jeszcze jedno. Jeżeli zauważy pan, że ktoś pana śledzi, to będzie nasz detektyw... o ten. - Tu wskazał mężczyznę po drugiej stronie pomieszczenia. - Archie Abbott będzie pańskim aniołem stróżem.

Elegancko ubrany, rudowłosy detektyw Abbott zrobił na Velli wrażenie gogusia z Piątej Alei, dopóki przedsiębiorca nie zauważył, jak tenże gogus chowa dwa pistolety do kabur pod obiema pachami, wkłada do kieszeni zapasowe magazynki i ładuje nabój myśliwski do laseczki ze złotą główką.

\* \* \*

Isaac Bell zabrał list od Czarnej Ręki do prywatnego gabinetu Josepha Van Dorna. Był to narożny pokój z secesyjnym palisandrowym biurkiem, wygodnymi skórzanymi fotelami, widokiem na oba wejścia do hotelu oraz judaszem, pozwalającym obserwować gości czekających w recepcji.

Van Dorn, łysiejący Irlandczyk po czterdziestce o potężnej męskiej piersi, jeszcze potężniejszym brzuchu i gęstych, rudych bokobrodach, roztaczał wokół siebie nieco szorstki, ale dobrotliwy wdzięk zamożnego biznesmena, który wcześniej dorobił się fortuny. Był bardzo ambitny i wykazywał rzadką, zdaniem Bella, umiejętność cieszenia się ze swych sukcesów. Miał też dar szybkiego zawierania przyjaźni, co bywało wielce korzystne dla jego agencji. Pod miłą powierzchownością skrywał bystry umysł oraz wybitną pamięć do twarzy i nawyków przestępców, których istnienie traktował jako osobistą zniewagę.

– Cieszę się z każdego klienta - powiedział Van Dorn - ale dlaczego ten Vella nie zwrócił się ze swoim problemem do oddziału włoskiego Joego Petrosino?

Detektyw Joe Petrosino z nowojorskiej policji, doświadczony śledczy z dwudziestoletnim stażem oraz budzącą zazdrość całego departamentu liczbą aresztowań i wyroków skazujących, otrzymał niedawno pozwolenie od komendanta Bingham na utworzenie specjalnego oddziału z włoskojęzycznych pracowników dochodzeniówki w celu zwalczania zorganizowanej przestępczości w dzielnicach zamieszkałych przez Sycylijczyków, neapolitańczyków i Kalabryjczyków.

– Może Vella wie, że w całym Departamencie Policji Nowego Jorku pracuje zaledwie piętnastu Włochów.

– To robota w sam raz dla Petrosina - Van Dorn pokiwał głową, wskazując stertę wycinków prasowych, przygotowanych dla niego przez dział analityczny na prośbę Bella. - Czarna Ręka jest jak zaraza, która zaczyna wymykać się spod kontroli. Wysadzanie w powietrze straganów z owocami i podpalanie ręcznych wózków po to, by sterroryzować biednych emigrantów, to najmniejsze zmartwienie. Teraz zabierają się do włoskich bankierów i przedsiębiorców. Nie wiadomo ilu bogatych rodziców po cichu wpłaciło okup za swoje dzieci, ale musiało być ich wielu, bo interes kwitnie.

Bell podał Van Dornowi list od Czarnej Ręki.

W trakcie czytania na policzki Van Dorna wypełził rumieniec złości.

– Oni naprawdę zwracają się do tej dziewczynki. Jakim trzeba być bydlakiem, żeby straszyć dziecko?

– Proszę zwrócić uwagę na papier.

– Najwyższa jakość. Wygląda na czerpany.

– Czy to czegoś panu nie przypomina?

– Taki sam jak ten z pierwszym żądaniem okupu.

– Coś jeszcze?

– Pierwszorzędny papier listowy. - Van Dorn obejrzał kartkę pod światło. - Ciekawe, skąd go mają. Sprawdzałeś ten znak wodny?

– Zleciłem to analitykom.

– Teraz grożą zniszczeniem jego firmy.

– Na budowie łatwo spowodować wypadek.

– To może być też podstęp, a prawdziwym celem pozostaje jego córka.

– Jeśli tak, to nadzieją się na sekcję do zwalczania przestępczości zorganizowanej Harry'ego Warrena - powiedział Bell. - Jego ludzie obstawiają Trzynastą ulicę.

Van Dorn wyszczerzył zęby w kiepskiej imitacji uśmiechu.

– Dobrze. Problem w tym, że nie mogę na dłuższą metę zgodzić się na odciąganie chłopców Harry'ego od zadań związanych z gangami. Gophersi i Wallopersi plenią się jak chwasty, a i Włosi z dnia na dzień poczynają sobie coraz śmielej.

– Rozwiązaniem byłoby utworzenie oddziału zajmującego się wyłącznie Czarną Ręką - zaproponował Bell. - Specjaliści od gangów ulicznych mogliby wtedy skoncentrować się na swojej robocie.

– Zastanowię się nad tym - odparł Van Dorn.

– Moglibyśmy skuteczniej uderzyć w Czarną Rękę.

– Powiedziałem, że się zastanowię.

\* \* \*

Po wyjściu ze stacji kolejki podziemnej przy Sto Dwudziestej Piątej ulicy Isaac Bell maszerował różnym krokiem na północ przez rozbudowującą się w szybkim tempie okolicę. Wzniesione niedawno sanatoria, bloki mieszkalne, kamienice czynszowe, szkoły, teatry i domy parafialne wyparły wiejskie obejścia i chałupy dawnego Harlemu. Kiedy znalazł się o przecznicę od Sto Dwudziestej Ósmej ulicy, koło nierównego kopca kamieni i skał wydobytych przez firmę Giuseppego Velli w trakcie kopania fundamentów pod kościół Zwiastowania, ziemia zadrżała mu pod stopami.

Zagrzmiała potężna eksplozja. Chodnik wyrzucił się, zakółysała się klasztorna wieża. Przerażone zakonnice wybiegły z budynku, a wybrukowana klinkierową cegłą Convent Avenue zafalowała jak powierzchnia oceanu.

Całkiem niedawno, bo zaledwie zeszłej wiosny, Bell przeżył wielkie trzęsienie ziemi w San Francisco. Obudził się w środku nocy i ujrzał, jak cały salon mieszkania jego narzeczonej wraz z fortepianem wali się na ulicę. Teraz, na Manhattanie, było to jego drugie trzęsienie ziemi w odstępie kilku miesięcy. Trzydzieści metrów ulicy na jego oczach przestało istnieć. Nagle cegły wystrzeliły na wysokość dachów domów, wyrzucone gigantycznym strumieniem wody.

To nie było trzęsienie ziemi, lecz powódź.

W jednej chwili Convent Avenue zamieniła się w rwącą rzekę.

Napierająca woda mogła pochodzić tylko z jednego źródła. System zbiorników retencyjnych Croton mieszczący się na północy w Westchester zasilał zbiornik w nowojorskim Central Parku poprzez podziemne magistrale wodne. Eksplozja podczas robót ziemnych na budowie prowadzonej przez Giuseppego Vellę, w wyniku zastosowania znacznie zawyżonej ilości dynamitu, czy to na skutek błędnych obliczeń, czy też sabotażu, spowodowała przerwanie

tych kanałów. W jednej chwili zagrażający miastu „niedostatek wody”, przewidywany przez zwolenników budowy wodociągu Catskill, wydał się nedorzecznością.

Ściana wody przetoczyła się przez Convent Avenue i pomknęła dalej, wdzierając się do okien na parterze i spychając ludzi i konie w przecznice. Żywiół pędził z zawrotną prędkością, większą od pociągu pospiesznego. W jednej sekundzie Bell wyciągał woźnicę z wozu porwanego lodowatym strumieniem, a w następnej już płynął wraz z niepowstrzymanym nurtem, który wtłoczył go za róg Sto Dwudziestej Siódmej ulicy. Wy dostał się na powierzchnię i płynął na grzbiecie spienionej fali, porywającej drewniane chaty na całej długości ulicy, aż do Amsterdam Avenue.

Tam woda spływała w dół, zgodnie z nachyleniem gruntu ku południowi. Bell wyrwał się z jej strumienia, czepiając się słupa latarni, do którego przywarł całym ciałem. Strażacy z pobliskiej remizy brodzili w kipieli, wyciągając z niej ludzi.

– Gdzie są zasuwy wodne?! - krzyknął.

– Na rogu Amsterdam i Sto Trzydziestej Piątej.

Bell ruszył biegiem w górę Amsterdam Avenue.

Kilkaset metrów na północ od miejsca wypływu wody stał solidny neoromański zamek z cegły i kamienia. Na gzymsie nad żelaznymi wrotami widniał napis: WODOCIĄGI. Tak okazała budowla musiała być głównym punktem dystrybucji wody ze zbiorników w Westchester. Pchnął wrota i wszedł do środka. Całe tony wody wypychane były w górę z głębokich zbiorników odbiorczych i płynęły żeliwnymi rurami średnicy stu dwudziestu centymetrów do magistrali rozerwanej wybuchem siedem przecznic dalej. Na rurach widać było wielkie koła zaworów zasurowych, służących do kontrolowania przepływu.

Bell dostrzegł człowieka siłującego się z zasuwami. Pospiesznie zszedł na dół po stalowej drabinie. Ledwie żywy ze zmęczenia mechanik w średnim wieku usiłował desperacko zamknąć wszystkie cztery zawory naraz. Dyszał ciężko i wyglądał tak, jakby zaraz miał dostać zawału.

– Nie wiem, co się dzieje z moim pomocnikiem. Nigdy się nie spóźniał, nie opuścił ani jednego dnia pracy.

– Jak mogę pomóc?



– Nie daję rady samemu poruszyć tych pokręteł. To robota dla dwóch ludzi.

Jeśli eksplozja nie była dziełem przypadku, pomyślał Bell, lecz skoordynowanym atakiem Czarnej Ręki, mającym na celu zrzuć odpowiedzialności za zalanie całej dzielnicy na Giuseppego Vellę, pomocnik mechanika zapewne leży ciężko pobity w jakimś zaułku.

– Zacięło się na amen.

Isaac Bell naparł z całej siły na pokrętko zaworu. Mechanik ciągnął z drugiej strony. Koło ruszyło się, początkowo centymetr po centymetrze, aż wreszcie zaczęło się obracać z metalicznym zgrzytem.

– Przekłęci Włosi. Ostrzegałem ich niejednym razem, żeby nie przesadzali z dynamitem. Wiedziałem, że kiedyś wydarzy się coś takiego.

\* \* \*

Natychmiast po zamknięciu ostatniej zasuwki Bell wrócił pędem na budowę Velli.

Na ulicach leżały trupy utopionych psów i kur. Martwy koń był wciąż uwiązany w rozbitej stajni. Tramwaje stanęły w miejscu, unieruchomione przez zwarcie. Zalane zostały piwnice domów i sklepów. Rozmyte zbocze pagórka osunęło się na browar. Mieszkańcy zrujnowanych chat grzebali w błocie w poszukiwaniu resztek dobytku.

Wzburzeni ludzie gromadzili się koło placu budowy.

Bell przecisnął się przez ciżbę i znalazł Giuseppego Vellę zabarykadowanego w drewnianym baraku kierownictwa budowy.

– Russo uciekł.

– Kto to taki?

– Sante Russo. Brygadzysta i pirotechnik. Bał się, że ludzie go oskarżą.

Bell wymienił szybkie spojrzenie z Archiem Abbottem, który miał za zadanie ochranianie Velli. Detektyw stał koło wejścia i pilnował drzwi, ale był sam, a rozdrażnienie tłumu rosło z minuty na minutę.

– Tylko że to nie była jego wina.

– Skąd pan wie?

– Russo wpadł tu jak bomba sekundę po eksplozji. Powiedział, że znalazł dodatkowy ładunek dynamitu. Rozbroił detonator i pobiegł do mnie, a wtedy nastąpił wybuch. Czarna Ręka na powrót podłączyła przewody.

Przez tłum przepychali się policjanci.

– Kiedy gliniarze opanują sytuację, osobiście odprowadzę pana do domu.

Policjanci zapukali do drzwi. Bell wpuścił ich do środka.

Przyszli po Vellę. Towarzyszył im rozzłoszczony urzędnik z miejskiego referatu materiałów łatwopalnych. Odebrał Velli pozwolenie na używanie materiałów wybuchowych na placu budowy i zaklinał się, że miasto obłoży go grzywną idącą w tysiące dolarów.

– To jeszcze nie wszystko, bezmyślny makaroniarzu. Stracisz też kaucję wpłaconą na poczet ewentualnych zniszczeń. Coś ty narobił! Sto Dwudziestą Piątą ulicę niemal zmyło z powierzchni ziemi, a wszystkie piwnice stąd aż do Sto Dziesiątej zostały zalane!

Po wydaniu kilku szybkich poleceń Archiemu Isaac Bell zabrał Vellę do miasta. Kiedy znaleźli się na Trzynastej ulicy, upewnił się, że detektywi Harry'ego Warrena mają na oku dom przedsiębiorcy. Potem wrócił do swojego pokoju w Yale Club, przebrał się w suche ubranie i naoliwił pistolety. Powyciągał też mokre rzeczy z kieszeni. Rozprostowując dwudolarowy banknot, który po wyschnięciu powinien wyglądać jak nowy, skojarzył sobie, co przypominał mu doskonały papier listowy, na którym Czarna Ręka napisała żądanie okupu.

– Panie Bell! - usłyszał zza drzwi głos portiera. - Ma pan wiadomość z firmy.

Rozciął kopertę i odczytał zwięzłe polecenie, skreślone ręką szefa: - *Zgłoś się.*

\* \* \*

Bell dotarł na miejsce w chwili, gdy kapitan Coligney z nowojorskiej policji właśnie wychodził z gabinetu Van Dorna. Panowie uścisnęli sobie dłonie, a Coligney powiedział:

– Uważaj na siebie w Waszyngtonie, Joe. Dobrze było znów cię zobaczyć.

– Jesteś zawsze mile widziany - odparł Van Dorn. - Odprowadzę cię do wyjścia.

Wrócił po minucie i powiedział:

– Coligney to równy gość. Jedyne kapitan, którego Bingham nie przeniósł po objęciu stanowiska komendanta. Może pamiętał poparcie, jakiego udzielił mu Roosevelt, kiedy był jeszcze szefem nowojorskiej policji.

Van Dorn wsadził dokumenty do teki i rzucił ją przez ramię.

– Mamy powódź, Isaac. Wywołaną przez eksplozję zbyt silnego ładunku dynamitu na budowie prowadzonej przez naszego klienta Giuseppego Vellę, który zatrudnił Agencję Detektywistyczną Van Dorn do ochrony własnej osoby. Sądziś, że możemy to uznać jedynie za okropny zbieg okoliczności?

– Sabotaż - rzucił Bell.

– Jesteś pewien?

– Gdyby pomocnik mechanika miejskich wodociągów pojawił się na swoim stanowisku pracy przy zasuwach wodnych, wyciek zostałby zatrzymany niemal natychmiast. Archie Abbott znalazł nieszczęśnika w szpitalu, pobitego do nieprzytomności. A więc mamy już dwa okropne zbiegi okoliczności.

– Jak w takim razie zdołamy przekonać klientów, że Agencja Detektywistyczna Van Dorn potrafi ochronić ich przed Czarną Ręką?

– W ten sam sposób, w jaki Eddie Edwards przegonił gangi z dworców kolejowych. Trzeba utworzyć oddział specjalny i dać im popalić.

– Już o tym rozmawialiśmy. Raz, że mamy za mało ludzi, a dwa - to się nam raczej nie opłaci.

– Na pewno się nie opłaci - przytaknął skwapliwie Bell. W rzeczywistości, pomijając kwestie ambicjonalne, Joseph Van Dorn zawsze przedkładał ochronę niewinnych ludzi nad korzyści materialne. Teraz Bell musiał mu tylko o tym przypomnieć. - Czarna Ręka terroryzuje swoich rodaków. Ci nieszczęśnicy nie potrafią mówić, a tym bardziej czytać po angielsku. Do kogo mają się zwrócić o pomoc? Do irlandzkich gliniarzy, którzy każdego z nich nazywają Pasquale?

– Sukinsyny - warknął Van Dorn. - Już zapomnieli, że jeszcze niedawno jankescy gliniarze na każdego z nas, Irlandczyków, mówili Paddy... Tylko że Vella, podobnie jak wielu innych włoskich biznesmenów, posługuje się niemal nieskazitelną angielszczyzną, a i z czytaniem radzi sobie całkiem dobrze.

– I to są właśnie ci Włosi, których musimy przekonać, aby na zawsze nie powiązali Agencji Detektywistycznej Van Dorn z Wielką Powodzią w Harlemie z 1906 roku.

– Nie jestem w nastroju do żartów, Isaac.

– Ja też nie. Vella jest porządnym człowiekiem. Zasługuje na lepszy los, podobnie jak jego rodacy.

– Porozmawiamy o tym w przyszłym tygodniu - powiedział Van Dorn, otwierając drzwi. - Aha, jeszcze jedno. Co byś powiedział na stanowisko szefa nowojorskiego biura agencji? Lampack się starzeje.

– Nie ma mowy.

– Dlaczego?

– Jestem detektywem, nie nadaję się na szefa.

– Nadajesz się jak cholera. Przecież dowodziłeś niejednym oddziałem specjalnym.

– To co innego, prowadziliśmy akcje w terenie. Szczerze mówiąc, szefie, jeśli nie da mi pan lotnej brygady do zwalczania Czarnej Ręki, to wolałbym zostać głównym śledczym.

– Głównym śledczym jestem ja - odparł Van Dorn. - I zamierzam nim pozostać aż do czasu, gdy znajdę na to stanowisko wybitnego fachowca z odpowiednim doświadczeniem. Dowiedziałeś się czegoś na temat tego papieru?

– Mój informator z Park Row ma powęszyć w drukarniach i sklepach piśmienniczych.

## 4.

Przed otwarciem porannej poczty David LaCava zapełnił okno wystawowe plikami dziesięciodolarowych banknotów i stosami złotych monet. Banco LaCava był lokalnym bankiem, oferującym liczne usługi. Klienci powierzali mu swoje pieniądze, które on przysyłał telegraficznie ich krewnym w Ameryce, a nawet rodzinom pozostałym na Sycylii, przechowywali w skrytkach bankowych testamenty i paszporty, a kiedy kupowali od LaCavy polisy ubezpieczeniowe i bilety na statki, to mieli pewność, że odszkodowanie zostanie wypłacone, a bilety nie okażą się sfalszowane. Zgodnie z porzekadłem ze starego kraju, LaCava był „uczciwy jak loteria”. Mimo to zwykli szarzy ludzie, którzy prosto ze swojej wioski znaleźli się na Elizabeth Street albo uciekli ze slumsów, w porównaniu z którymi czynszówki przy tej ulicy wyglądały jak pałace, musieli

mieć w oknie wystawowym naoczny dowód, że kiedy będą potrzebowali gotówki, Banco LaCava na pewno im ją wypłaci.

Drżącymi palcami otworzył kopertę. Tak jak się obawiał, były to kolejne żądania od Czarnej Ręki. Pod „nagłówkiem”, jeśli za taki można uznać rysunki przedstawiające czarną dłoń i czaszkę przebitą sztyletem, jego prześladowcy nabazgrali łamaną angielszczyzną nową groźbę:

*Straciliśmy czepliwość. Mamy dość pisaniny. Poprosiliśmy człowieka honoru o dziesięć tysięcy. Obmówił.*

Gorzki uśmiech wykrzywił mu twarz. „Czepliwość” zamiast „cierpliwość”. „Obmówił” zamiast „odmówił”. Niepiśmienne bandziory. LaCava, podobnie jak jego klienci, przyjechał tu znikąd, z pustymi rękami. Jediną drogą do osiągnięcia sukcesu było przystosowanie się do życia w Ameryce, a to przede wszystkim oznaczało opanowanie języka angielskiego, zarówno w mowie, jak i w piśmie.

*Powiedzieliśmy, bądź człowiekiem honoru. Powiedzieliśmy, spotkajmy się pod mostem. Nie przyszedł. Teraz dajemy ostatnią szansę. Dziesięć tysięcy dolarów. Wiemy, że masz w banku. We wtorek w nocy. Później powiemy gdzie.*

U dołu kartki dodali rysunek laski dynamitu z płonącym lontem. Jak z komiksu.

LaCava otworzył szufladę biurka, ustawionego przodem do drzwi wejściowych do banku i dotknął rewolweru kaliber .38. Zimna stal chłodziła mu dłoń. Na niewiele się przyda w starciu z dynamitem. Wsunął broń i list do kieszeni płaszcza i poszedł na Trzynastą ulicę. Zastał Giuseppego Velle siedzącego przy kuchennym stole w samej koszuli. Przedsiębiorca źle znosił przymusową bezczynność, spowodowaną zakazem kontynuowania budowy. Kiedy LaCava pokazał mu list, nagle ożywił się, reagując gwałtownym oburzeniem.

– Chyba mam pomysł, jak sobie poradzić z tymi szumowinami - powiedział. Narzucił płaszcz, poprawił krawat i przyglądał dłońią włosy. - Chodźmy zobaczyć się z Brankiem.

– Też myślałem, żeby się z nim spotkać - przytaknął LaCava. - Tak się złożyło, że Branco akurat wpłacał pieniądze, kiedy dostałem pierwszy list od szantażystów. Chciałem nawet poprosić go o radę, ale ledwie go znam.

– Ja z nim pogadam. Znam go całkiem nieźle, w końcu robiłem mu podpiwniczenie.

Hurtownia ogólnospożywcza Branco prosperowała znakomicie. Niekończący się sznur błyszczących farbą pustych wozów czekał w kolejce na miejsce przy rampie. Po załadowaniu towarem wozy odjeżdżały i wkrótce powracały po kolejną dostawę. Armia pracowników śmigła w tę i z powrotem, wynosząc z magazynu pudła makaronu, puszki z oliwą, solą, grochem, fasolą i pastą sardelową, skrzynki wina i świeżych ryb oraz paczki mydła. Podobnie jak Vella, LaCava i inni promineneci, Antonio Branco odniósł w Ameryce sukces, i to największy spośród nich wszystkich. Udało mu się zawrzeć kontrakt na aprowizację tysięcy Włochów pracujących przy budowie wodociągu Catskill.

– Witajcie, przyjaciele! - zawołał Branco od drzwi. Tak jak Vella, Branco starał się używać wyłącznie angielskiego, nawet w rozmowach z rodakami. Mówił jednak z zauważalnym akcentem, dużo silniejszym niż Vella, zdarzało mu się też przestawiać szyk angielskich zdań.

– Masz chwilę czasu? - spytał Vella. - Jeśli tak, to może poszedłbyś z nami naprzeciwko na kawę?

– Właściwie jestem już wolny. Napijemy się kawy u mnie na zapleczu - odparł Branco i skinął na jednego z pracowników. - Przypilnuj wszystkiego. Ten pierwszy wóz jedzie do specjalnego klienta. Tylko najlepszy towar... No to chodźcie.

Zaprowadził Vellę i LaCavę biura w głębi hurtowni. W pomieszczeniu roznosił się zapach kawy. Na gazowej fajerce szumiał czajnik. Długi stół, przy którym pracownicy spożywali posiłki, nakryty był ceratą w biało-czerwoną kratę. Na ścianie wisiała mapa amerykańskich linii kolejowych.

– Usiądźcie, proszę. Zaparzę kawę.

Mimo dręczących go problemów Vella uśmiechnął się.

– Sądziłem, że bogacze mają ludzi do robienia kawy.

Branco rzucił mu znad młynka porozumiewawcze spojrzenie.

– Żaden z moich ludzi nie robi tak dobrej kawy jak ja. Poza tym wcale nie jestem bogaty.

LaCava uniósł brwi z niedowierzaniem, a Vella potraktował tę skromną odpowiedź pobłażliwym uśmiechem biznesmena, który zna się na rzeczy.

– Mówią, że przykładasz rękę do wielu przedsięwzięć.

– Staram się nie ograniczać do jednej branży.

Vella obserwował go, jak krząta się po prowizorycznej kuchni, podgrzewa wrzątkiem filiżanki i mieli ziarna kawy na pył. Antonio Branco był największym włoskim hurtownikiem artykułów spożywczych w Nowym Jorku, zanim jeszcze załapał się na budowę wodociągu. Teraz miał tysiące nowych klientów, zmuszonych do robienia zakupów w sklepach na tymczasowych osiedlach robotniczych i w obozach pracy. Pełnił też rolę *padrone*, pośrednicząc w zatrudnianiu robotników i kamieniarzy prosto z Włoch.

Teoretycznie prawo zakazywało działalności *padrones*, byli oni też zawzięcie zwalczani przez związki zawodowe. W praktyce zaś wykonawcy i podwykonawcy robót ze Stowarzyszenia Przedsiębiorców Budowlanych potrzebowali ludzi do kopania rowów i kanałów, do budowy dróg i drażenia tuneli w ściśle określonym miejscu i czasie. Branco działał więc na dwa fronty. Przez podstawionych *padrones* dostarczał nowo przybyłych emigrantów na niektóre odcinki wodociągu, sam natomiast, przypochebiając się związkowi zawodowemu zrzeszającemu robotników kujących skały kilofami i kopiących ziemię łopatami, pośredniczył w zatrudnianiu ich członków na pozostałych odcinkach.

– Mógłbyś nauczyć parzenia kawy swoją żonę - powiedział Vella.

– Nie mam żony.

– Przecież wiem. Za to moja żona ma siostrę, młodszą o dziesięć lat, która już potrafi wyśmienicie gotować, a w dodatku jest piękną dziewczyną, prawda Davidzie?

– O tak, jest bardzo piękna - przytaknął LaCava. - Jej uroda zapiera dech w piersiach.

– Skończyła szkołę klasztorną w starym kraju.

– Wymarzona żona dla każdego mężczyzny - stwierdził z podziwem Branco. - Ale dla mnie za wcześnie jeszcze na ożenek. Muszę doprowadzić do końca kilka spraw, zanim zdecyduję się na założenie rodziny.

Dodał śmietanki do parujących filiżanek i postawił je przed gośćmi.

– Okej, dość tego owijania w bawełnę. Słyszałem, że masz w mieście jakieś kłopoty.

– Odebrano mi licencję. Miasto podało mnie do sądu. Ale nie przychodzę do ciebie w tej sprawie. Teraz Czarna Ręka próbuje zastraszyć LaCavę. Davidzie, pokaż mu list.

Branco przeczytał tekst.

– Świnie!

– To już czwarty list z pogrózkami. Obawiam się, że...

– Ja też - przerwał mu Branco. - Oni potrafią być niebezpieczni.

– Co ty byś zrobił?

– Gdyby chodziło o mnie? - Hurtownik napił się kawy, zastanawiając się przez chwilę. - Zapłaciłbym.

– Ty byś zapłacił? - zdumiał się LaCava.

Vella nie krył zaskoczenia. Był pewien, że dzięki szerokim kontaktom w mieście Branco był nietykalny.

– A co innego mógłbym zrobić? W zeszłym roku dokonano zamachu bombowego na niewielki sklep, który zaopatrywałem. Widzieliście, jak wygląda sklep po wybuchu łaski dynamitu?

– Mamy się poddać? Nie podoba mi się to - powiedział Vella.

– Nie dziwię się.

– Nie mamy żadnej gwarancji, że nie wrócą po więcej.

– Co na to poradzisz?

– Wiem, jak ich powstrzymać - wypalił Vella.

Branco rzucił powątpiewające spojrzenie na LaCavę, ale ten tylko rzucił:

– Posłuchaj go. Ma dobry pomysł.

– Ależ słucham. Co zamierzasz zrobić, Giuseppe?

– Założę Białą Rękę do walki z Czarną Ręką.

– To jakaś gra słów? - spytał Branco, przechodząc na włoski. - Nic nie rozumiem.

Vella pozostał przy angielskim.



– Utworzymy stowarzyszenie. Coś w rodzaju samoobrony. Pamiętasz dawne bractwa pogrzebowe? Połączymy siły. Zbierzemy podobnie myślących biznesmenów, którzy mogą paść ofiarą wymuszenia w następnej kolejności.

Branco nadal mówił po włosku.

– I co, rozdacie im noże i pistolety?

– Oczywiście, że nie. Nie jesteśmy żołnierzami ani policjantami. Złożymy się i wynajmiemy ochronę.

– A kto was ochroni przed ochroniarzami? - spytał cicho Branco. - Ochroniarze z łatwością mogą zwrócić się przeciwko swoim podopiecznym. Kto jak kto, ale oni wiedzą najlepiej, że przemoc jest najlepszym argumentem.

– Wynajmiemy zawodowców. Prywatnych detektywów. To ludzie na wskroś uczciwi.

Antonio Branco popatrzył Velli prosto w twarz.

– Czy to prawda, że detektywi uwolnili twoją córkę z rąk porywaczy?

– Tak. Detektywi z agencji Van Dorn.

– Ci sami, którzy ochraniaли twoją budowę w Harlemie?

– Za długo zwlekałem, zanim poprosiłem ich o pomoc. Nie zdążyli się przygotować do starcia z Czarną Ręką. Przyłączysz się do nas, Antonio?

Branco napił się kawy i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w filiżankę, a potem znów spojrzał na Vellę.

– Prościej byłoby zapłacić.

– Jesteśmy Amerykanami - stwierdził z uporem Vella. - Mamy prawo w spokoju prowadzić swoje interesy.

– Nie przyłączę się. Przykro mi.

– W takim razie - Vella podniósł się z miejsca - dziękuję za kawę i za to, że mnie wysłuchałeś. Liczę na to, że zmienisz zdanie.

Popatrzył na LaCavę. Bankier zawahał się, po czym wstał z ociąganiem.

Właśnie skręcali za róg w Elizabeth Street, kiedy Branco dogonił ich i objął ramionami.

– Okej. Pomogę wam. - Wcisnął w dłoń Velli zwitek banknotów. - Oto moja dola, tysiąc dolarów. Niech inni się dorzucą i możecie ruszać z tą swoją Białą Ręką.

– Dziękuję, przyjacielu. Bardzo dziękuję. Co skłoniło cię do zmiany decyzji?

– Jeśli masz rację, a ja się mylę i wasza *Mano Blanca* pokona *Mano Nera*, to na tym tylko skorzystam. Jeżeli was nie poprę, odniosę korzyść, nie pomagając wam. A to byłoby niehonorowe.

Giuseppe Vella uśmiechnął się z ulgą. Nawet LaCava wyglądał na zadowolonego. Teraz ich inicjatywa nabrała rumieńców. Mając w drużynie kogoś takiego jak Branco, w dodatku z tak okazałym wkładem pieniężnym, powinni łatwo przekonać pozostałych.

– Mam nadzieję, że się nam uda. A jeśli się mylę, a ty masz rację, to przynajmniej zniszczą nas obu.

– Co za okrutny żart - powiedział Branco. Jego twarz przybrała tak ponury wyraz, że Vella pożałował swoich słów.

O dziwo, chwilę później Branco rozjaśnił się w radosnym uśmiechu, jakby raz na zawsze opuściły go wszelkie smutki.

– Mogą nam zabrać wszystko, oprócz honoru. - Wzruszył ramionami i nie przestając się uśmiechać, dodał: - W tym kraju jesteśmy niewidzialni. Jesteśmy biedakami. Nie mamy niczego, poza honorem.

– Włosi nie będą biedakami bez końca - zaproponował Vella. - Ja już nie jestem biedny. David nie jest biedny, i ty też nie.

– Ale wczoraj na zebraniu central związkowych, podczas dyskusji nad ewentualnym poparciem strajku kopaczy, przedstawiciel związku elektryków wykrzyczał, że włoscy robotnicy niewykwalifikowani to najgorsze szumowiny na świecie.

– Też tam byłem - powiedział Vella. - Pewien zecer odkrzyknął mu, że jego przodkowie też zaczęli tutaj jako robotnicy niewykwalifikowani, a jeśli ten elektryk nimi gardzi, to zaraz będzie miał z nim do czynienia.

Branco uśmiechnął się.

– Tak czy inaczej, jesteśmy niewidzialni. Chociaż z drugiej strony - tu jego twarz rozjaśniła się w jeszcze szerszym uśmiechu - na niewidzialnych nikt nie zwraca uwagi aż do czasu, kiedy już jest za późno.

– Na co za późno?

– Na to, żeby ich powstrzymać.

## 5.

Detektyw Harry Warren z agencji Van Dorn w wyświechtanej kurtce i kaszkiecie nie odróżniał się od robotników popijających w saloonie Kips Bay. Postawił nogę na mosiężnej podpórce okalającej bar, zamówił piwo i mruknął do stojącego obok niego dryblasza:

– Jak zdołałeś namówić szefa do powołania oddziału do zwalczania Czarnej Ręki?

– To nie ja - odparł Isaac Bell, nie odrywając wzroku od lustra za barem, w którym odbijało się okno z widoczną za nim fasadą Banco LaCava po drugiej stronie ulicy. Jego robotniczy strój uzupełniała przewieszona przez ramię duża, skórzana torba elektryka. Zamiast narzędzi miał w niej dodatkowe kajdanki dla zamachowców, którzy się poddadzą, oraz strzelbę z obciętą lufą dla tych, którzy nie zechcą tego zrobić.

– Wyřęczyła mnie grupa włoskich przedsiębiorców. Przyszli do agencji z workiem pieniędzy i zařądali ochrony, a Van Dorn stwierdził, że nie ma co z tym dłużej zwlekać.

– Czy oni przypadkiem nie należą do stowarzyszenia Biała Ręka? - spytał Warren.

Nikt nie znał nowojorskiego półświatka lepiej od Harry'ego Warrena. Przypuszczalnie dowiadywał się o każdym nowym gangu w dziesięć minut po jego powstaniu. A to oznaczało, z czego Bell aż nazbyt dobrze zdawał sobie sprawę, że wie o tym także Czarna Ręka.

– Założycielem jest Giuseppe Vella. Dostawał listy z pogróżkami od Czarnej Ręki. Dołączył do niego LaCava i kilku dobrze prosperujących przyjaciół. Bankowcy, właściciele nieruchomości, przedsiębiorcy budowlani, a także importer wina i hurtownik artykułów spożywczych.

– Branco?

– Antonio.

– Co o nim sądzisz?

– Akurat jego tam nie było, ale Vella powiedział mi, że to on pierwszy dołożył się do wspólnej kasy, co przekonało pozostałych. Szef zgodził się przydzielić maksymalnie dziesięciu ludzi, wliczając w to praktykantów.

– Ilu z nich mówi po włosku?

– Tylko ty, Harry.

Ekspert agencji Van Dorn od nowojorskich gangów ulicznych wcześniej nazywał się Salvatore Guaragna, ale poszedł za przykładem gangsterów włoskiego pochodzenia, takich jak choćby Paul Kelly, szef gangu Five Points, którzy przybierali irlandzkie nazwiska.

– Mam kandydata na praktykanta, Włocha. Mieszkał na barce z sianem, gdzie znalazł go ojciec małego Eddiego Tobina. Sierota. Tobinowie go przygarnęli. Nazywa się Richie Cirillo. Chłopak jest kuty na cztery nogi.

– Przyda się - powiedział Bell.

– Co z resztą ekipy?

– Weber i Fields są na wozie z węglem, stojącym kawałek dalej od frontu. - Detektywi Wally Kisley i Mack Fulton, obaj w średnim wieku, tworzyli parę największych zgrywusów w agencji. Nazywano ich Weber i Fields od pary popularnych wodewilowych komików. Kisley był specem od materiałów wybuchowych, a Fulton chodzącą encyklopedią o kasiarzach i stosowanych przez nich metodach działania.

– Bombowy kamuflaż. - Harry Warren zarechotał. - Trudno powiedzieć, czy pilnują banku, czy raczej szykują się do jego obrabowania. Kto jeszcze?

– Z Kansas City przyjeżdża Eddie Edwards.

– Łebski gość. Tylko nie bardzo wiem, co spec od kolei zdziała na Elizabeth Street.

– Archie Abbott sprzedaje używaną odzież z wózka obok banku.

– Nie żartuj! - Archibald Angell Abbott IV był jedynym detektywem w agencji, należącym do śmietanki towarzyskiej Nowego Jorku. Warren podszedł z obojętną miną do lady z darmowymi przekąskami, rzucił okiem na ukos przez okno, po czym wrócił do stolika z parówką owiniętą kromką chleba. - Nie potrafię go rozpoznać.

– I o to chodzi. Dostałem jeszcze Wisha Clarke'a i...

– Wisha możesz sobie odpuścić - wszedł mu w słowo Harry. - Van Dorn jest o krok od zwolnienia go z posady.

– Wiem. Zobaczymy, jak sobie poradzi. - Aloysius Clarke, najbardziej bojowy detektyw w agencji, niegdysiejszy partner i mentor Bella, który wprowadzał go w tajniki zawodu, nadużywał alkoholu i coraz bardziej pogrążał się w szponach nałogu.

– Kto następny?

– Twój Eddie Tobin.

Harry kiwnął głową z ponurą miną. Kolejny praktykant. Szef się przesadnie nie wysilił.

– I jeszcze Helen Mills.

– Studentka?

Helen była słuchaczką Bryn Mawr College. Bell zaproponował jej wakacyjną pracę z perspektywą zatrudnienia na pełnym etacie praktykantki po uzyskaniu dyplomu.

– Ta dziewczyna to dynamit.

– Czy to prawda, co o niej mówią? Podobno rok temu w Waszyngtonie przywaliła Archiemu z piąchy.

– Sam się o to prosił.

Harry znów podszedł do lady z darmowymi przekąskami, żeby jeszcze raz popatrzeć na ulicę. Bell dzielił uwagę między interesantów wchodzących do banku a zakapiorów siedzących w saloonie, wśród których mogli znajdować się zamachowcy, szykujący się do akcji. Tym razem Harry wrócił z jajkiem na twardo.

– Niech zgadnę - rzucił żartobliwym tonem. - Czy Helen to ta gruba dama, sprzedająca karczochy?

– Posłałem ją na Park Row, żeby dowiedziała się, gdzie Czarna Ręka zaopatruje się w materiały piśmiennicze... Harry, dlaczego spytałeś mnie, co sądzę o Brancu?

– Na moje oko on jest jakiś dziwny. Hurtownicy zwykle wywierają nacisk na właścicieli małych sklepów, zmuszając ich do kupowania tylko od nich, a potem sprzedają im kiepski towar po zawyżonych cenach.

– W jaki sposób ich zmuszają?

– Stosują różnorakie metody, od wpędzania w długi po wysadzanie sklepów w powietrze. Natomiast nigdy nie słyszałem, żeby robił to Branco.

– Uczciwy jak loteria? - spytał Bell z bladym uśmiechem.

– Bez przesady - odparł Harry. - Tego nie da się powiedzieć o żadnym nowojorskim przedsiębiorcy. Poza tym Branco udziela się jako *padrone*. Dostarcza kamieniarzy i pracowników fizycznych na budowę wodociągu Catskill.

– To proceder pełen przemocy.

– Raczej nie dla grzecznych chłopców - zgodził się Harry. - Z drugiej strony, facet zdołał wkraść się w łaski związków zawodowych. Szczwany lis.

– Nie on pierwszy - zauważył Bell. - D'Allesandro, lider związku pracowników budowy tuneli, też zaczynał jako *padrone*.

– A teraz Branco, z racji przynależności do Białej Ręki, jest klientem agencji Van Dorn.

– Dopóki nie zrobi fałszywego kroku - zastrzegł Bell, nie spuszczać z oczu wejścia do Banco LaCava.

\* \* \*

– Są niesamowici - powiedział David LaCava do Antonia Branca, z którym popijał wino w Ghiottones Cafe, knajpie po drugiej stronie ulicy naprzeciwko jego hurtowni. Lokal był jedną z placówek wpływowej organizacji politycznej Tammany Hall we włoskiej dzielnicy. Ghiottone, zwany „Kid Kelly”, był w młodości znanym bokserem wagi koguciej, a teraz zajmował się napędzaniem wyborców, za co Tammany odpłacała się miejscami pracy w magistracie przy sprzątanii ulic oraz zapewniała nietykalność ze strony policji. Z tego względu właściciel przybytku rządził całą okolicą.

LaCava opowiedział Brancowi, jak to poprzebierani detektywi ze specjalnego oddziału Isaaca Bella ochraniają jego bank przed Czarną Ręką.

– Nawet byś ich nie zauważył.

– To znaczy, że stowarzyszenie Biała Ręka dokonało słusznego wyboru - stwierdził Branco.

– Jestem pewien, że zatrudniłszy najlepszych.

– Pytanie, jak długo będą trzymać straż?

LaCava potoczył wzrokiem po sali, pochylił się i wyszeptał:

– Ochrona to tylko jeden z elementów planu. Cały czas gromadzą informacje. Kiedy ruszą do akcji, Czarna Ręka nie zorientuje się nawet, kto ich dopadł. - Jeszcze bardziej zniżył głos. - Rozmawiałem z jednym detektywem z nowojorskiej policji...

– Z Petrosinem?

– Skąd wiesz?

– No bo z kim innym? - Branco wzruszył ramionami.

– Racja - przyznał LaCava, skarcony zawołanym przypomnieniem, że nie jest jedynym biznesmenem, mającym znajomości wśród wpływowych ludzi. - No więc Petrosino powiedział, że w podobny sposób vandornowcy rozbili gangi kolejowe.

– A co porucznik Petrosino sądzi o wynajęciu vandornowców przez Białą Rękę?

LaCava zawahał się.

– Powiedział, że nas rozumie. Zdaje sobie sprawę, że sam ma za dużo na głowie. Szczerze mówiąc, odniosłem wrażenie, że wolałby, abyśmy poszli z tym na policję. Skoro jednak już zatrudniliśmy prywatnych detektywów, to jego zdaniem vandornowcy są najlepsi w swoim fachu.

– Cenny nabytek - rzekł Branco. - Dobrze, że są z nami.

\* \* \*

Następnego ranka, zanim jeszcze LaCava zapełnił swoje okno wystawowe i otworzył drzwi dla interesantów, Isaac Bell rozstawił na Elizabeth Street wszystkich podlegających mu detektywów z wyjątkiem dwóch osób. Wish Clarke wciąż jeszcze nie dotarł z pobliskiej Filadelfii, a Helen Mills, z polecenia Bella, udała się do miasta, aby rozejrzeć się wśród drukarzy i sprzedawców materiałów biurowych.

Helen była szczupłą, wysoką brunetką, wyglądającą na więcej niż jej osiemnaście lat. Dlatego też każdy drukarz, zecer czy dostawca papieru, do którego się zwróciła, choćby nie wiem jak zawałony robotą i goniony terminami, znalazł czas, aby obejrzeć posiadane przez nią próbki i zaoferować swoją pomoc. Kilku z nich, którzy ze względu na różnicę wieku mogli z powodzeniem być jej ojcami, stwierdziło wręcz, że akurat mają wolną chwilę i zapraszają ją na lunch. Za każdym razem odmawiała, wymyśliwszy regułę

Agencji Detektywistycznej Van Dorn, która rzekomo tego zabraniała, i ruszała dalej, w przerwach zapisując uwagi w notesie podarowanym jej przez Isaaca. Zamierzała jak najszybciej zdobyć wszelkie możliwe informacje na temat papieru, bo chciała, aby Bell pozwolił dołączyć jej do reszty ekipy bezpośrednio uczestniczącej w akcji.

Aż tu nagle, po tym jak sprzedawca tuszu zostawił ją w biurze samą z przyszczatym gońcem, a sam poszedł na zaplecze odebrać telefon, chłopak powiedział:

– Forsa.

– Co proszę?

Goniec był młodszy od niej i ledwie sięgał jej do ramienia.

– Można na tym papierze drukować dwudolarowe banknoty, niemal nie do odróżnienia od prawdziwych. Trzeba tylko mieć matryce i tusz.

– Widziałeś wcześniej ten papier?

– Nie ten sam, ale podobny, kiedy ci goście przyszli po tusz. Szef wyrzucił ich za drzwi.

– Kogo?

– Kolesi podrabiających zielone.

– Zielone? O czym ty mówisz?

– O fałszowaniu szmalu.

– Fałszowaniu czego?

Goniec popatrzył na nią, jakby była niespełna rozumu.

\* \* \*

Richie Cirillo przysięgał, że skończył szesnaście lat, ale wyglądał na dwanaście. Isaac Bell próbował ustalić jego prawdziwy wiek.

– Dlaczego przestałeś chodzić do szkoły?

– Dali mnie do klasy wyrównawczej.

– Co to jest klasa wyrównawcza?

– Dla głupków.

– Nauczyciele kierują dzieci emigrantów do klas dla opóźnionych - pospieszył z wyjaśnieniem Harry Warren. - Matki pracują w domu, gdzie



wykańczają części garderoby. Dzieciaki muszą pomagać. Do północy przyszywają guziki i zaprasowują szwy, a na szóstą do szkoły. Nie są opóźnione, tylko śpiące.

– Słyszałem, że jesteś sierotą.

– Matka zachorowała na dyfteryt. Ojciec wrócił do Włoch. Ale ja naprawdę mam szesnaście lat, panie Bell.

– Za kogo się przebrałeś?

W dzielnicach biznesowych młodociani praktykanci agencji Van Dorn najczęściej udawali gazeciarzy. Ale na Elizabeth Street próżno by szukać chłopców sprzedających „Suna”, „Timesa”, „Heralda” czy „Americana”. Okoliczni mieszkańcy, jeśli umieli czytać, to wyłącznie po włosku. Dlatego zamiast gazet Richie przerzucił sobie przez chude ramię worek z ubraniami.

– Za gońca. Roznoszę ubrania do wykończenia krawcowym w kamienicach, a potem zabieram je z powrotem do fabryki.

– Okej. Jesteś przyjęty.

– O rety! Dziękuję, panie Bell.

– Miej oczy szeroko otwarte. Jednym patrz na bank, a drugim na któregoś z naszych, żebyś wiedział, dokąd uciekać, kiedy wpadniesz w kłopoty.>`

## 6.

– Wybacz mi ojcze, bo zgrzeszyłam.

Francesca Kennedy była ciemnowłosą niebieskooką piękną, pochodzącą z mieszanej irlandzko-włoskiej rodziny. Jej blada twarz jaśniała niemal słonecznym blaskiem przez kratkę konfesjonału, za którą siedział ksiądz. Klęczała w porządnym płaszczu z futrzanym kołnierzem oraz w skromnej chustce na głowie.

– Czym zgrzeszyłaś, moje dziecko?

– Zadźgałam człowieka.

– Czy ktoś cię widział?

– Nie, ojcze.

– Na pewno?

– Na sto procent. W łóżku byliśmy tylko on i ja.

– Dobra robota!

Przez kratkę przesunął się zwinięty certyfikat srebra. Francesca Kennedy rozwinęła go i przyjrzała mu się z bliska.

– Nie jest podrobiony - zapewnił ją ksiądz.

\* \* \*

– Mamy dopaść dowódcę vandornowców? - spytał szeptem Charlie Salata. Jego gang zajmował się wysyłaniem listów z pogrozkami Czarnej Ręki, porwaniami i ochroną. Nie był u spowiedzi, odkąd jako chłopiec opuścił Palermo, ale klęcząc w kościele, czuł się zmuszony mówić szeptem. - Złotogłowego. O niego ci chodzi, prawda? Pokażemy vandornowcom, kto rządzi na Elizabeth Street.

Cisza. Zaryzykował spojrzenie przez kratkę. W budce konfesjonału było ciemno. Jedyne, co zdołał dostrzec przez otwory w drewnianej kratce, to oczy Nożownika, puste niczym bezgwiezdna noc. W trwającej nadal ciszy rozlegało się regularne klik-klik-klik-klik-klik. Czy miał ze strachu omamy słuchowe, czy rzeczywiście człowiek po drugiej stronie kratki raz za razem rozkładał i składał nóż?

Salata ponowił próbę.

– A może wolisz, żebyśmy udupili tych dwóch staruchów udających węglarzy? Spłoszymy konie, rozpędzony wóz wjedzie w ludzi na ulicy, a cała wina spadnie na vandornowców. - I znów Salata czekał na reakcję. Normalnie nie zwracałby szefowi głowy pytaniem, w jaki sposób jego ludzie mają zaatakować vandornowców pilnujących Banco LaCava, ale tym razem uznał, że sytuacja jest dość delikatna. Sztuczka polegała na tym, by odciągnąć uwagę vandornowców, tym samym umożliwiając zamach bombowy na Banco LaCava i ucieczkę z pieniędzmi, a zarazem tak nastraszyć stowarzyszenie Białej Ręki, żeby przestało istnieć.

– No to może tego rudzielca, żeby wiedzieli, że nie da się nas oszukać?

– Załatwcie dzieciaka.

– Irlandczyka?

– Nie Irlandczyka. Włocha.

– Ale on jest...

– No kim?

– Nieważne. - Salata wycofał się natychmiast. Sztylet to nie pistolet. Nie wymachuje się nim, nie straszy. Jeśli już się go wyciąga, to po to, żeby zabić. A żeby mieć pewność, że się zabije, trzeba wyciągnąć go bez ostrzeżenia. Wąskie ostrze może zmieścić się w otworze kratki i utkwić w jego oku.

– Załatwcie Richiego Cirillo.

To, że szef zna nazwisko praktykanta agencji Van Dorn, świadczyło niezbicie, że ludzie Charliego Salaty nie byli jego jedynymi oczami i uszami na ulicy.

– Chłopak jest Włochem. To będzie dobry przykład dla mieszkańców dzielnicy. Muszą dostać lekcję, żeby już nigdy nie prosić o pomoc policji, a tym bardziej vandornowców.

– Jak wielką krzywdę mamy mu wyrządzić?

– Taką, żeby ludzie zapamiętali sobie na długo.

Salata zerwał się z klęcznika i pospiesznie opuścił kościół. Dziesięć minut później, zgodnie z harmonogramem, jego miejsce zajął fałszerz Ernesto Leone.

– Matryce są Okej - zameldował Leone. - Tusz lepszy niż poprzednio, ale wciąż taki sobie. Największy problem mamy z papierem. Jak zawsze.

– Próbowalesz już puszczać je w obieg?

– Są kiepskie. Nie nadają się.

– Powiedz Sałacie, żeby posłał kogoś do Pensylwanii. Niech spróbuje wydać je w wiejskich sklepach.

– To nie przejdzie.

– Jest jeszcze Ferri. Niech pošle człowieka w głąb stanu.

– Nie są dość dobre. Nie uda się.

– Kosztują coraz więcej, a nie przynoszą żadnego zysku.

– W razie wpadki Salata i Ferri zwałą całą winę na mnie - jęknął Leone.

– Moja cierpliwość się kończy, Ernesto Leone.

Leone wyskoczył z kościoła jak z procy.

Jako następny spowiadał się przemytnik Roberto Ferri.

– Moi ludzie dostali cynk o transporcie heroiny. Stoją za tym Irlandczycy.

– Duży przerzut?

- Podobno bardzo duży. Z Meksyku.
- Którzy Irlandczycy?
- Wallopersi z West Side. Hunt i McBean.
- Spisałeś się, Roberto! - Hunt i McBean byli dobrze zapowiadającymi się „wychowankami” gangu Gophersów.
- Słyszałem, że jest popyt na kokainę na budowie wodociągu. Zażywają ją czarnuchy. Ale nie ma zbytu na heroinę. Jeśli znasz kogoś z tej budowy, może udałoby się przehandlować heroinę za kokainę.
- Ty tylko przejmij ten transport. Kwestie rynkowe pozostaw mnie.
- Znasz kogoś, komu można ją opchnąć?
- Do widzenia, Ferri.

\* \* \*

Wychodząc z kościoła, Ferri tradycyjnie zapalił świeczkę.

Siedzący w konfesjonale na miejscu księdza Antonio Branco czekał, ćwicząc składanie i rozkładanie noża. W ciasnym wnętrzu zeszywniało mu kolano. Po wyjściu Ferriego pokuśtykał do puszek na jałmużnę i wrzucił do niej za „wynajęcie konfesjonala” pięćdziesiąt dolarów dla księży, których nakłonił do współpracy. Kamienne schody prowadziły do katakumb. Zanim zszedł na sam dół, zdrętwienie ustąpiło.

Po obu stronach nisko sklepionego korytarza pod kościołem znajdowały się krypty grobowe. Otworzył kluczem kryptę na samym końcu. Zamknął za sobą ciężkie drzwi, precyzyjnie się między trumnami i otworzył ukryte drzwi na tyłach pomieszczenia. Minął przejście w grubej murowanej ścianie fundamentów i zagłębił się w wilgotnym tunelu, biegnącym pod przykościelnym cmentarzem. Po pokonaniu kolejnych drzwi znalazł się w zatęchłych podziemiach kamienicy. Otwierając i zamykając kolejne drzwi i przechodząc z piwnicy do piwnicy, minął trzy budynki. Ostatnie drzwi były ukryte w tylnej ścianie pomieszczenia sejfowego, pełnego gotówki i broni. Zamknąwszy je, wyszedł z sejfu do czystej i suchej piwnicy, minął pokój z pustą, zakratowaną klitką, przypominającą celę aresztu policyjnego, tyle że z dźwiękoszczelnymi ścianami i sufitem, a na koniec otworzył dębowe drzwi i wszedł po schodach prosto do kuchni na zapleczu swojej hurtowni.

\* \* \*

– Gdzie Złotogłowy?

– Nie widzę go.

Stanowisko detektywa koło saloonu Kips Bay było puste.

– A gdzie się podziali węglarze?

Wóz z węglem zniknął, podobnie jak ręczny wózek rudego sprzedawcy używanych ubrań.

– A to kto? - Jakiś pijak leżał pod werandą saloonu Kips Bay.

Charlie Salata przeszedł przez ulicę i kopnął go w brzuch. Pijak beknął głośno i zwymiotował, omal nie ochlapując mu butów. Salata odskoczył jak oparzony, po czym po raz dwudziesty popatrzył wzdłuż ulicy w jedną i w drugą stronę. Gdzie, u diabła, pochowali się vandornowcy? Elizabeth Street pomiędzy ulicami Houston i Prince to najgęściej zaludniony rejon w całym mieście. W okolicznych kamienicach mieszkało pięć tysięcy ludzi i wyglądało na to, że dziś większość z nich wyległa na chodniki.

– Nie ma vandornowców? To bierzmy się do roboty.

Ale Salata wciąż się wahał. Coś mu mówiło, że to pułapka.

\* \* \*

– Fałszowanie pieniędzy - zameldowała Bellowi Helen Mills.

Wysoki detektyw wczesał sobie we włosy czarną pastę do butów wewnątrz konnego furgonu, stojącego przy Washington Square, dziewięć przecznic od Elizabeth Street. W zeszłym roku Helen pomogła mu i Archiemu przy sprawie snajpera. Bell darzył przyjaźnią zarówno ją, jak i jej ojca. Dorastając wśród żołnierzy, przywykła do hierarchii i określonych standardów postępowania, dlatego postanowiła w pracy tytułować go oficjalnie „panem Bellem”.

– Chodzi ci o fałszerzy drukujących lewe banknoty?

Jej oczy jaśniały radosnym podnieceniem. Bell nie chciał go tłumić wyjaśnianiem, dlaczego jest to mało prawdopodobne.

– Dobra robota, Helen. Skoro fałszerze są jednocześnie szantażystami, to jest to dość niezwykła sprawa.

– Niezwykła?

– Pewne rodzaje przestępstw rzadko chodzą ze sobą w parze. Falszerze pieniędzy zwykle nie posuwają się do gróźb i stosowania przemocy.

– Nigdy się to nie zdarza?

– Nie twierdzę, że nigdy, dlatego chcę, żebyś zbadła ten bardzo ciekawy trop. Ściganiem fałszerzy zajmuje się Secret Service. Bardzo niechętnie dzielą się swą wiedzą z prywatnymi detektywami, ale dla ciebie może zrobić wyjątek. Skontaktuj się z agentem Chrisem Lynchem. To ich człowiek w Nowym Jorku. Pokaż mu ten papier i opowiedz wszystko, czego się dowiedziałaś w Printer's Row.

Ku zaskoczeniu Bella Helen zeszywniała.

– Może mam robić maślane oczy do tego Lyncha? - spytała z oburzeniem.

– Rób, co uważasz za stosowne. Zorientuj się, na czym stoisz, i działaj odpowiednio do sytuacji.

– Muszę coś panu zdradzić, panie Bell. Otóż drukarze uznali, że skoro jestem detektywem, to będę łatwą zdobyczą. Dwaj zaprosili mnie na lunch, a pewien stary pierdziel próbował namówić mnie na weekendowy wyjazd do Atlantic City.

– Nie spotkałem się z tym problemem - odparł Isaac Bell. - Ale mam dla ciebie radę. Zamiast robić maślane oczy do Lyncha, spróbuj niby mimochodem wspomnieć o swoim ojcu. Być może Secret Service będzie bardziej skłonna do rozmowy z córką generała brygady.

– Isaa... panie Bell, wiem, że jestem tylko na stażu, ale miałam nadzieję, że włączy mnie pan do ekipy zajmującej się ochroną Banco LaCava.

– Jeśli dzięki tej próbce papieru dorwiemy szantażystę Czarnej Ręki, osobiście awansuję cię na pełnoprawną praktykantkę.

– Przed ukończeniem studiów?

Bell zawahał się, widząc oczami wyobraźni, jak chmurne oblicze generała G. Tannenbauma Millsa staje się purpurowe.

– Podejrzewam, że twój ojciec nie byłby zachwycony, gdybyś porzuciła uczelnię przed zrobieniem dyplomu.

\* \* \*

Mijała godzina, odkąd Charlie Salata kazał swoim chłopcom rozglądać się za vandornowcami na Elizabeth Street.

– Muszą tu być - powtarzał pod nosem, obserwując z niepokojem ulicę, chodniki, wozy, ręczne wózki, okna, dachy i schody pożarowe. - Nie widzę ich, ale wiem, że są blisko. Całkiem jakbym wyczuwał ich węchem... Co robi ten chłopak?

– Rozkleja plakaty.

Gangsterzy obserwowali z uwagą chłopca rozlepiającego anonse na ścianach, wozach, a także na szybach okien wystawowych, jeśli akurat właściciel nie patrzył. Plakaty reklamowały przedstawienie *Aidy* w pobliskiej Operze Mincarelli, której widownię stanowili głównie emigranci. Rozlepiacz przeszedł przez Houston Street i wkrótce zniknął im z oczu.

Wzrok Salaty przyciągnął wychodzący z kamienicy niezwykle wysoki Żyd, odziany od stóp do głów w chałat, spodnie, buty i kapelusz tak samo czarne jak jego broda. Gangster przyglądał mu się podejrzliwie. Żyd ominął małą kataryniarza zbierającą drobniaki z chodnika i zniknął pospiesznie w wejściu do następnej kamienicy. Zapewne jeden z wielu żydowskich pośredników, zatrudniających włoskie kobiety do chałupniczego szycia.

– A może by tak zwyczajnie wysadzić ten bank? - spytał podwładny Salaty.

– A może byś tak zamknął jadaczkę?

Odpalenie ładunku, który miał powybić okna Banco LaCava, to najprostsza część planu. Było to jasne dla wszystkich, z wyjątkiem *cafone*, który zaledwie dwie godziny temu zszedł ze statku po podróży przez Atlantyck. Przedarcie się przez gruzy do skarbcza i zabranie pieniędzy wymagało jednak nieco czasu. Mieli kilka minut do chwili pojawienia się policji i strażaków, ale ten czas skracał się praktycznie do zera, jeśli w pobliżu znajdowałby się pilnujący banku vandornowcy. A dodatkowo było jeszcze coś, czego nie sposób pominąć - wyraźny rozkaz szefa, żeby dla przykładu zabić najmłodszego praktykanta agencji Van Dorn.

– Tam jest! To Richie Cirillo.

Chłopak właśnie mijał Banco LaCava, taszcząc wór z ubraniami niewiele mniejszy od niego samego. Salata ścisnął *cafone* za ramię:

– Dorwij tego śmierdzącego gnojka.

Richie Cirillo dostrzegł człowieka skradającego się za nim na ugiętych nogach przez gęsty tłum. Pochwycił jego spojrzenie. Pałający złem wzrok zabójcy wwiercił mu się w mózg.

Chłopak wpadł w panikę. Upuścił worek i pognął pędem przez ulicę, do saloonu Kips Bay, zapominając o tym, że Bella już tam nie ma. Strach zawężił mu pole widzenia. Poprzez ruchomą ciżbę ludzi, wózków i powozów widział tylko zbawcze drzwi do saloonu. Musiał tylko dobiec do werandy, przeskoczyć leżącego przed nią pijaka i dostać się do środka.

Widząc przerażenie w jego oczach, ludzie rozstępowali się na boki i schodzili mu z drogi. Mijał ich, nie zwalniając kroku - nawet gdyby chcieli, i tak nie mogli mu pomóc. Nagle pośliznął się na wypolerowanym bruku i padł jak długi na ziemię. Zanim się pozbierał, prześladowca skrócił dzielący ich dystans o połowę. W jego zaciśniętej dłoni zaślniło ostrze sztyletu.

Isaac Bell w czarnym chałacie wypadł z kamienicy i ruszył w ślad za bandytą ścigającym praktykanta. Ulica roiała się od ludzi, użycie broni palnej nie wchodziło w grę ze względu na możliwe ofiary wśród postronnych. Drogę zablokowała mu pusta furmanka. Przeskakując nad nią, ujrzał jak Archie Abbott, z podobnie poczernionymi włosami, rzuca lejce i zrywa się z kozła konnego wozu załadowanego starzyzną, a Harry Warren przesadza poręcz schodów pożarowych na piętrze, zsuwa się po sklepowej markizie i rusza biegiem w momencie dotknięcia stopami chodnika.

Zabójca dogonił chłopaka dwa metry przed frontem saloonu Kips Bay.

Strach wyostrzył zmysły Richiego. Przez sekundę widział i słyszał wszystko naraz - budzącego się u jego stóp pijaka, cień mężczyzny za swoimi plecami i syk rozcinanego sztyletem powietrza. Rzucił się w bok. Ostrze wycelowane w jego kark przebiło mu ucho. Ostry ból zatrzymał go w pół kroku, a zabójca zamierzył się do kolejnego pchnięcia.

Richie usłyszał za sobą zduszony jęk.

Sztylet upadł na chodnik z donośnym brzękiem. Zgięty wpół bandyta chwycił się za krocze. Znad chodnika wystrzeliła czyjaś pięść i, niczym kafar sunący z dołu do góry, wyrznęła niedoszłego zabójcę prosto w twarz. Do uszu Richiego doszedł trzask pękającej kości. Krew ochlapała pijaka, który zamknawszy oczy, mościł się na powrót pod werandą.

Bandyta wyciągnął rękę po nóż, ale Bell przydepnął mu dłoń, a Abbott zatrzaskał kajdanki na jego nadgarstkach.



\* \* \*

Isaac Bell chwycił Richiego za ramię i przyłożył chusteczkę do jego ucha.

– Wszystko w porządku, chłopcze?

– Chyba tak. Tylko dzięki temu facetowi.

Bell ukląkł obok pijaka.

– Skąd się tu wziąłeś, Wish?

– Z Filadelfii - odparł Aloysius Ciarkę. - Przepraszam, że przysnąłem.

– Diabelnie dobry kamuflaż.

– Lata praktyki.

Donośna eksplozja zasypała ich szkłem z rozbitych szyb.

## 7.

– *Mano Nera! Mano Nera!*

Złote monety, dziesięciodolarowe banknoty i kawałki szkła wystrzeliły z okna wystawowego Banco LaCava i posypały się na Elizabeth Street. Dym i kurz buchały ze zburzonego frontu kamienicy, w której mieścił się bank.

– *Mano Nera! Mano Nera!*

Chwilę później setki osób wyległo na schody przeciwpożarowe, krzycząc: „*Mano Nera! Mano Nera!*”, a tysiące innych wybiegło ze swoich domów. Kiedy ludzka lawa w szaleńczym pośpiechu zapełniła chodniki i wylała się na ulicę, z obłoków dymu wyłonił się David LaCava z pistoletem w jednej dłoni i koszem na śmieci w drugiej i zaczął zbierać pieniądze. Ze szramy na policzku ciekła mu krew, plamiąc czerwienią przód jego koszuli.

– Wy dwaj, pomóżcie mu - rzucił Bell do Wally’ego Kisleya i Macka Fultona, a sam wraz z Archiem i Harrym Warrenem wbiegł do wnętrza budynku w poszukiwaniu rannych i przysypanych. Podłoga w holu była zasypana gruzem i drewnem ze ścian. Poprzez wirujące chmury pyłu Bell dostrzegł otwór, który bomba wybiła w ścianie między bankiem a przylegającym do niego mieszkaniem właściciela. Wyłonili się stamtąd dwaj mężczyźni, dźwigający worki z pieniędzmi z sejfu LaCavy.

Ciosami pięści i pałek Bell i Abbott powalili obu rabusiów na ziemię. Z otworu wyskoczył trzeci, wymachując pistoletem. Harry Warren strzelił pierwszy, po czym wciągnął worki z powrotem do mieszkania, podczas gdy Isaac i Archie wynosili panią LaCavę i dwójkę jej dzieci ze zrujnowanego salonu.

Na miejsce zdarzenia przybiegli mundurowi i tajniacy z komisariatu przy Mulberry Street. Przez tłumy przedarły się zaprzężone w białe konie wozy strażackie.

– Co wy tutaj robicie? - spytał policjant, przejmując jednego z bandytów od Harry ego Warrena. Pozostałym udało się zbiec.

– Pilnujemy banku.

– Trochę wam nie wyszło.

– Nie da się ukryć.

Do Bella podbiegł Wally Kisley z workiem szmaciarza przewieszonym przez ramię.

– Gdzie Richie? - spytał Bell.

– Lekarz szyje mu ucho. Nie oglądaj się, bo szef jest tutaj.

– Przecież miał być w Waszyngtonie.

– Był - odparł Harry. - Wygląda na maksymalnie wkurzonego. Jakby miał ochotę ukreścić komuś łeb.

– Chyba nawet wiem komu - mruknął Bell.

Miał rację. Joseph Van Dorn właśnie torował sobie drogę do saloonu Kips Bay. Bell dogonił go, kiedy ten klękał obok Wisha Clarke'a, który znów zapadł w sen. Van Dorn chwycił go potężną dłonią za ramię i potrząsnął nim z całej siły.

– Obudź się, Aloysius!

Wish Clarke otworzył oczy, otarł usta wierzchem dłoni i uśmiechnął się.

– Cześć, szefie.

– Zwalniam cię.

– Uratował życie Richiemu Cirillowi - wtrącił się Bell.

– Słyszałem o tym. Jest zalany w trupa. Traf chciał, że obudził się we właściwym momencie. Przez niego wszyscy mogliście zginąć. Aloysius, jesteś najlepszym detektywem, jakiego znam. Powitam cię z otwartymi rękami, kiedy

na dobre wyrwiesz się ze szponów nałogu. Wcześniej nie pokazuj mi się na oczy.

Van Dorn wstał, wykręcił się na pięcie i ruszył przed siebie szybkim krokiem. Nagle zawrócił, pochylił się nad Wishem i niezdarnie poklepał go po ramieniu.

– Bój się Boga, Wish. Znam cię prawie tak długo, jak Macka i Wally’ego. Mam nadzieję, że do nas wrócisz.

– Dzięki, Joe.

Van Dorn oddalił się sztywnym krokiem.

Isaac Bell pomógł przyjacielowi stanąć na równe nogi.

– Przykro mi, że dałem plamę.

– Nie dałeś żadnej plamy. Gdyby nie ty, chłopak byłby martwy. Żałuję tylko, że szef nie chce spojrzeć na to od tej strony.

Wish spojrział na niego z głębokim smutkiem w oczach i pomacał się po kieszeniach w poszukiwaniu piersiówki.

– Niepotrzebnie, synu. On ma rację.

\* \* \*

– Co robiłeś w banku? - ryknął policjant na gangstera, którego vandornowcy oddali w jego ręce.

– Kupowałem bilet na statek.

– Dokąd?

– Do Italii.

– Kłamiesz, Pasquale. Takie typki jak ty nie wracają do Włoch, bo tam od razu trafiają do ciupy. Co robiłeś w banku?

– Było wielkie bum. Głowa mnie boli.

– Gdzie pracujesz?

– Nigdzie.

– Z jakiej jesteś bandy? Od Salaty?

– Nie znam żadnego Salaty.

– Gdzie mieszkasz?

– Zapomniałem.

– Myślisz, że możesz sobie ze mną pogrywać, mądralo?! - wrzasnął gliniarz.  
- Przekażę cię porucznikowi Petrosinowi. Kiedy jego ludzie zaborą się za ciebie, będziesz śpiewał jak skowronek!

– To nic nie da - mruknął Harry do Isaaca Bella. - Sycylijczycy nie pękają.

Po drugiej stronie ulicy zabójca, któremu Wish Clarke złamał nos, przekonywał policjantów, że właśnie wbiegał sobie do Kips Bay na piwko, kiedy napadł na niego jakiś pijak.

– To było przed tym czy po tym, jak upuściłeś sztylet?

– Nie jest mój.

– Pasquale, mam świadków, którzy widzieli, jak pchnąłeś nim dzieciaka.

– W sądzie nikt nie będzie tego pamiętał.

Gliniarz zerknął na Harry'ego Warrena.

– Gdyby świadkami byli wyłącznie twoi krajanie, być może okazałoby się, że masz rację. Zastraszyliście tych biedaków tak, że zapominają imienia własnej matki. Ale moimi świadkami są vandornowcy. Oni mają takie powiedzenie. Nigdy nie zapominają. Nigdy... Więc może zaczniemy od początku. Jak masz na imię?

– Pasquale.

– Jak masz na imię?

– Pasquale.

– To jest Vito Rizzo - wtrącił się Harry Warren. - Jeden z chłopaków Salaty. Dobrze mówię, Vito?

– Żądam adwokata.

Warren zwrócił się do Bella.

– Jutro wyjdzie za kaucją.

– Ciężą na nim poważne zarzuty.

– I tak go wyciągną. Mają układ z Tammany Hall.

\* \* \*

Policjanci i strażacy przywrócili porządek i najbliższa okolica zaczęła się uspokajać. Kiedy usunęli z ulicy tłumy gapiów, długa kolejka klientów z książeczkami czekowymi w dłoniach ustawiła się przed podziurawionymi wybuchem drzwiami Banco LaCava.

Bell pokazał odznakę agencji Van Dorn stojącym na warcie gliniarzom, a Harry Warren wsunął każdemu w kieszeń po dwa dolary. Zastali LaCavę przy pakowaniu do sejfu pieniędzy, które pozbiierał z ulicy, oraz tych odzyskanych przez ekipę Bella.

– Jestem skończony. Ludzie rzucili się wypłacać swoje pieniądze.

– Dlaczego? Przecież wszystko pan odzyskał.

– Nie wierzą, że będą bezpieczne w moim banku. Wiedzą, że Czarna Ręka wróci. Powinienem był im zapłacić, tak jak radził mój przyjaciel Branco.

Kiedy wyszli, specjalizujący się w zwalczaniu gangów detektyw powiedział:

– Jego „przyjaciel” Branco może być nadawcą listu z pogrózkami. Najpierw go wysłał, a potem pojawił się przypadkowo jako przyjaciel lub kolega biznesmen, radząc mu, żeby zapłacił.

\* \* \*

Z restauracji znajdującej się po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko hurtowni spożywczej Branco, Isaac Bell obserwował jej właściciela. Oparty swobodnie o wysoki stół, półsiedząc czy może półstojąc, wyglądał na pewnego siebie, dobrze sytuowanego biznesmena. Dopasowany, granatowy garnitur z pierwszorzędного materiału pasował raczej na spotkanie zarządu niż do tętniącej życiem hurtowni, podobnie jak idealnie wypolerowane, szyte na obstalunek buty.

Znacznie wyższy od większości pracowników i kierowców, doglądał załadunku furgonów. Obrazu jego energicznej postaci dopełniały przenikliwe oczy, starannie przystrzyżony wąsik i gęste, kręcone, czarne jak węgiel włosy. Wyraz twarzy zmieniał mu się nieustannie, od krzepiącego uśmiechu dla gorliwców, przez gniewny grymas dla opieszających, po błogą aprobatę na widok pełnego wozu. Gdy z pękniętej skrzynki wypadła pomarańcza, błyskawicznym ruchem ręki schwytał ją w locie.

Bell przeszedł na drugą stronę ulicy. Branco śledził go czujnym i zaciekawionym spojrzeniem, jakby spodziewał się instynktownie, że wysoki mężczyzna, lawirujący zręcznie pomiędzy pojazdami, ma sprawę właśnie do niego. Wstał i przeciąwszy chodnik, wyszedł mu naprzeciw. Bell zauważył, że lekko utykał, wykrzywiając w bok prawą stopę. W najmniejszym stopniu nie

umniejszało to wrażenia, że przypominał napiętą sprężynę z najbardziej wytrzymałego metalu.

– Isaac Bell, Agencja Detektywistyczna Van Dorn. - Bell wyciągnął do Branca rękę. - Jak przypuszczam, to pan poradził Davidowi LaCavie, żeby zapłacił okup Czarnej Ręce.

Branco spojrział gdzieś w dal smutnym wzrokiem.

– Poradziłem to LaCavie i Velli. Jak widać, powinni byli mnie posłuchać.

– Skoro pan tak uważał, to dlaczego wstąpił pan do stowarzyszenia Białej Ręki?

– Odniosłem się z rezerwą do tego pomysłu. Uznałem jednak za słuszne, żeby im pomóc. Nawet jeśli nie było to zbyt rozsądne.

– Z rezerwą? A może pan się bał?

Twarz Branca steżała w pogardliwym grymasie, a oczy załśniły niczym stal. W tym momencie Bell doznał dojmującego uczucia, że musieli się już kiedyś spotkać. Zanim jednak zdołał zlokalizować to zdarzenie w pamięci, Branco uśmiechnął się, a w miejsce gniewnego błysku w jego spojrzeniu pojawiły się iskierki rozbawienia.

– Czasem po prostu wypada dostosować się do sytuacji.

– Czy urodził się pan w Ameryce, panie Branco?

– Nie. Skąd to pytanie?

– Władam pan językiem niczym rodowity Amerykanin.

Branco rozpromienił się w uśmiechu.

– No, niezupełnie. Nie zdołałem pozbyć się obcego akcentu.

– Jest ledwie zauważalny - stwierdził Bell - natomiast posługuje się pan nienaganną składnią. Kiedy pan przybył do Stanów?

– Za pierwszym razem przyjechałem w wieku ośmiu lat jako przymusowy muzyk i snułem się tu i tam przez jakiś czas... Dziwi się pan? Przymusowy muzyk to młodociany uliczny grajek, który oddaje cały zarobek swojemu *padrone*.

– Przymus sugeruje okrutne traktowanie.

Branco wzruszył ramionami.

– Uczyłem się angielskiego, uczyłem się czytać.

– W wieku ośmiu lat? Czyli praktycznie jest pan tubylcem.

– Wróciłem do Włoch po śmierci mojego *padrone*. Najtańszy bilet na statek kosztował wtedy siedem dolarów. Nawet dzieciaka stać było na powrót do domu.

– Słyszałem, że teraz to pan jest *padrone*.

– Ale nie wykorzystuję dzieci - rzucił szorstko Branco. - Pomagam innym *padrone* w załatwianiu pracy dla dorosłych mężczyzn.

– Przy budowie wodociągu?

– Mam zaszczyt współpracować ze Związkiem Kopaczy przy realizacji tej jakże istotnej inwestycji. Domyślam się, że przyszedł pan w związku z prowadzonym śledztwem, czy są wobec tego jeszcze jakieś pytania? Bo nie ukrywam, że chciałbym wrócić już do swoich obowiązków.

– Jeszcze jedno. Czy wasze stowarzyszenie Białej Ręki zostanie rozwiązane?

– Chce pan wiedzieć, czy będziemy dalej płacić agencji Van Dorn?

Teraz w oczach Bella pojawił się błysk irytacji.

– Agencja Van Dorn uczyni wszystko, by gang, który napadł na Banco LaCava, znalazł się za kratkami. Gratis. Chcę wiedzieć dokładnie to, o co pytałem: czy wasze stowarzyszenie wzajemnej ochrony zostanie rozwiązane?

– Skoro nie chodzi panu o pieniądze, to o co?

– Stowarzyszenie może być źródłem informacji. I doda sił tym, którzy czują się zagrożeni.

– Mam nadzieję, że nie zostanie rozwiązane - powiedział Branco. - Dobrzy ludzie powinni trzymać się razem. Gdyby to jednak nastąpiło, z jakiego powodu miałby pan nadal ścigać Czarną Rękę? Z zemsty za zranienie tego chłopaka? A może po to, by zatrzeć złe wrażenie?

Co prawda Isaac Bell poprzysiągł sobie schwytać sprawców napadu, aby pomścić atak na swojego praktykanta i odbudować zaufanie do agencji, ale to nie powinno obchodzić Branca, dlatego w odpowiedzi odwołał się do wyższych celów.

– Jest tylko jeden powód: to są bandyci, karmiący się krzywdą niewinnych.

– Wiem z doświadczenia, że Amerykanie nie za bardzo przejmują się losem niewinnych włoskich emigrantów.

– A moje doświadczenie mówi mi, że im prędzej zaczniemy się tym przejmować, tym prędzej staną się oni Amerykanami.

- Jak długo zamierza pan ścigać sprawców?
- Do skutku. Do widzenia, panie Branco. Dziękuję za pański cenny czas.
- Ja też mam jeszcze jedno pytanie - zatrzymał go Branco. - Czy agencja Van Dorn to firma o zasięgu krajowym?
- Mamy filie na całym kontynencie.
- Czy walczyacie z „ogólnokrajowymi” przestępcami?
- Ścigamy sprawców, nie zważając na granice stanów, jeśli to miał pan na myśli.
- Niezupełnie. Czy istnieją organizacje przestępcze działające na obszarze całego kraju?
- Musiałyby mieć odpowiednią, nowoczesną strukturę organizacyjną.
- Jak koleje? - spytał Branco.
- Chociażby. Albo telegraf, Standard Oil czy U.S. Steel. Ponieważ jednak większość przestępców ma problem ze zorganizowaniem sobie czystej koszuli na rano - dodał Bell z uśmiechem - wymagałoby to od nich generalnej zmiany filozofii działania.

Po wyjściu detektywa Antonio Branco rozkoszował się chwilą osobistej satysfakcji. Wbrew komplementom Bella odnoszącym się do znajomości angielskiego, które miały uspić jego czujność, wciąż formułował zdania po włosku. Panie Bell, jeśli w ogóle uda się panu schwytać sprawców, to kim się oni okażą? Prostymi rolnikami. *Contadini*. A tych we Włoszech nigdy nie zabraknie.

Większość przestępców ma problem ze zorganizowaniem sobie czystej koszuli?

Panie Bell, razem ze swoją Agencją Detektywistyczną Van Dorn będziesz się pan miał z pyszna, kiedy organizacje przestępcze obejmą swoim zasięgiem cały ten kraj.

Niespodziewanie Bell wrócił i podszedł zamaszystym krokiem do Branca. Jego oczy promieniały blaskiem.

- Panie Branco.
- Zapomniał pan czegoś, panie Bell?
- Czy pamięta pan nasze poprzednie spotkanie?



– Wątpię, by kiedykolwiek do niego doszło. Nie obracamy się w tych samych kręgach.

– Jedenaście lat temu. Byłem wówczas studentem.

– Jedenaście lat temu ja byłem robotnikiem.

– W New Haven, w stanie Connecticut.

– Gdziekolwiek, jeśli była tam praca.

– Ja studiowałem w New Haven.

– Wspominałem już, że nie obracaliśmy się w tych samych kręgach.

– A jednak. Uciekaliśmy obaj przed gliniarzami kolei New Haven Railroad.

Branco uśmiechnął się, zaintrygowany.

– Na pewno nie w New Haven. Nie uciekałem przed policją kolejową w tym mieście.

– Trochę dalej na północ, na stacji w Farmington.

Antonio Branco wbił wzrok w Isaaca Bella. Podszedł do niego i przyjrzał mu się z bliska, a potem cofnął się i zmierzył go spojrzeniem od stóp do głów.

– *Incredibile!* - wykrztusił w końcu. - *Incredibile!*

– Pamięta pan?

– To doprawdy niesamowite. Tak, teraz sobie przypominam. W ciemności nie widziałem dokładnie pańskiej twarzy, ale sylwetka się zgadza.

– Podobnie jak pańska - powiedział Bell. - I jeszcze to utykanie. Nadal nosi pan przy sobie nóż?

– Jaki nóż?

– Ten, który wyciągnął pan na mój widok.

Branco uśmiechnął się.

– Nie przypominam sobie, abym groził nożem studentowi.

– Ale tak było - stwierdził Bell. - A wcześniej użył go pan przeciwko pewnemu kolejowemu gliniarzowi w New Haven.

– Nie.

– Tuż przed przejazdką moim pociągiem do Farmington.

– Nie, panie Bell. Nie wyciągnąłem noża na żadnego gliniarza. Przyznaję, że przejechałem się na gapę pańskim pociągiem... Nie wiedziałem, że to był pański pociąg. Sądziłem, że należy do kolei.

Bell nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

– Pożyczyłem go. Sztubacki wybryk.

– Tak też sobie pomyślałem - powiedział Branco.

– Tej samej nocy zaatakowano kolejowego gliniarza. Może coś pan widział?

Branco zawahał się, a po chwili wzruszył ramionami.

– To było dawno temu.

– A więc jednak widział pan to.

– Jakiś włóczęga chlasnął go i zwiął. Tym samym pomógł mi w ucieczce, ale to nie ja użyłem noża. Co się stało z tym gliniarzem?

– Przeżył - odparł Bell.

– Zatem wszystko dobre, co się dobrze kończy.

– Został straszliwie okaleczony.

– Dobrze mu tak. Bardzo mnie to cieszy.

– Przepraszam, co pan powiedział?

– Ja też zostałem okaleczony. Ten gliniarz niemal złamał mi nogę. Sam pan widział, że nadal kuleję. Przed każdą burzą odczuwam silne bóle. Coś takiego nie powinno przytrafiać się młodym ludziom, jak pan czy ja.

– Kim był nożownik?

– Ten włóczęga? Nigdy go wcześniej nie widziałem.

– Gliniarz mówił, że był Włochem.

– W tamtych czasach niejeden włóczęga był Włochem. Podobnie jak dziś. Nie znałem go, ale jestem jego dłużnikiem. Dzięki niemu wymknąłem się gliniarzom kolejowym. Pan także winien jest mu wdzięczność.

– Tak pan uważa?

– Dzięki niemu nie został pan przyłapany podczas „pożyczania” pociągu, a tak właśnie by się stało, gdyby nie pociął tego gliniarza. Obaj wiele mu zawdzięczamy. Ocalił nas dla lepszej sprawy.

– Jakiej lepszej sprawy?

– Robotnik został biznesmenem, a złodziej pociągów detektywem.

Isaac Bell wybuchnął śmiechem.

– To właśnie jest Ameryka.

Wysoki detektyw i bogaty hurtownik wymienili uścisk dłoni.

Branco wrócił do swoich zajęć, a Bell pojechał tramwajem do biura.

Harry Warren już na niego czekał.

– Czarna Ręka?

– Jeszcze go nie rozgryzłem. Wiem jedno - jeśli Antonio Branco czegoś zapragnie, to potrafi się o to postarać. Człowiek niepospolity, a zarazem pełen złości, choć się maskuje. Przeważnie. - Bell zastanawiał się przez chwilę nad opowieścią Branca o włóczędze i kolejowym gliniarzu, po czym dodał: - A także pierwszorzędny kłamca.

\* \* \*

Tylnym wejściem wszedł Wally Kisley, wciąż przebrany za szmaciarza, z brudnymi rękami i twarzą.

– Mam coś dla was.

Wyciągnął z worka czerwoną tubę, która wyglądała jak laska dynamitu. Stojący obok niego detektywi odsunęli się. Kisley rzucił im ją, a oni jak jeden mąż padli na ziemię. Tuba z głuchym odgłosem odbiła się od podłogi.

– Usunąłem z niej nitro - zarechotał Kisley.

– Gdzie to znalazłeś? - spytał Bell.

– Pod sejfem LaCavy.

– Po co wysadzać sejf? Przecież za dnia i tak jest otwarty.

– Chyba pochodzi z ładunku, którym wysadzili ścianę. To niewybuch. Podmuch cisnął laską przez ścianę i potoczyła się pod sejf.

– Co z tego?

– Przeczytaj nazwę.

– Stevens.

– Dynamit od Stevensa jest nie do kupienia w Nowym Jorku. Produkują go w New Jersey w filii Dupont Eastern Dynamite Company, a stamtąd trafia do sklepów w małych miasteczkach. Laski są krótsze niż te stosowane w kopalniach albo podczas robót ziemnych. Używają ich farmerzy do wysadzania karp.

– Skąd ten dynamit trafił do Czarnej Ręki?

– Przypuszczam, że z jakiegoś sklepu żelaznego albo z hurtowni pasz w New Jersey lub Pensylwanii. Chodzi o to, że nie mogli go kupić ani ukraść w Nowym Jorku.

Zgodnie z twierdzeniem Giuseppego Velli, brygadzysta Russo wykrył zwielokrotniony ładunek wybuchowy zbyt późno, by zapobiec zniszczeniu magistrali wodociągowej. Bell zastanawiał się, czy Russo w chwili ogromnego napięcia mógł zapamiętać, jakiego rodzaju dynamitu użyto do wzmocnienia ładunku.

Vella nie miał telefonu, odkąd miasto cofnęło mu licencję na prowadzenie robót budowlanych. Bell pojechał więc do jego domu przy Trzynastej ulicy. Sądząc po pełnym rezerwy powitaniu przez gospodarza detektyw domyślił się, że przedsiębiorca zapłacił Czarnej Ręce okup za Marię. Tak czy inaczej pokazał Velli opróżnioną z zawartości laskę dynamitu od Stevensa.

– Widział pan kiedyś dynamit tej marki?

– Na prowincji.

– Nie w Nowym Jorku?

– Na pewno nie miałem go na żadnej swojej budowie.

– Czy brygadzysta Russo mówił coś o dynamicie użytym w ładunku dodatkowym?

– Był bardzo zdenerwowany, wykrzykiwał tylko: „Wielkie bum, wielkie bum!”

– Może podczas rozbierania detonatora zauważył markę dynamitu?

– Kto wie? - Vella wzruszył ramionami.

Zapewne tylko Russo, pomyślał Bell.

– A może to sam Russo podłożył dodatkowy ładunek na rozkaz Czarnej Ręki?

– Kto wie? Wszystko możliwe. - Vella wzruszył ramionami.

– Czyli mogło tak być?

– Raczej nie. Sante Russo to porządny człowiek.

– Gdzie mogę go znaleźć?

Vella zawahał się.

– Ścigam przestępców, którzy zrujnowali pańską firmę - powiedział Bell. - Bandytów, którzy porwali panu dziecko. Russo może mi pomóc ich schwytać.

– Niby jak?

– To ważna informacja, czy tego samego dynamitu użyto do sabotażu na pańskiej budowie.

Vella pokiwał głową.

– W porządku, rozumiem. Dostałem od Russa depeszę, w której prosił mnie o przesłanie wypłaty za ostatni tydzień pracy.

– Dokąd wysłał pan te pieniądze?

– A skąd pan wie, że mu zapłaciłem?

– Pan jest uczciwym człowiekiem, panie Vella. Nigdy się jeszcze nie zdarzyło, żeby nie zapłacił pan swojemu pracownikowi tego, co mu się należało, choćby nawet uciekł i nie mógł zgłosić się po pieniądze.

– Poprosił, żebym przesłał mu je przekazem telegraficznym do Saint Louis.

Oddział specjalny Isaaca Bella rozpoczął poszukiwania brygadzysty Russa.

## 8.

Brewster Claypool, szczupły, wytworny południowiec, będący dla wielu ucieleśnieniem błyskotliwego i modnego Oscara Wilde'a, snuł się leniwie po wyjściu z Metropolitan Opera. W białym krawacie i fraku, niczym samotny przybysz z krainy elegancji, szedł powoli Broadwayem, zerkając z zaciekawieniem w głąb ciemnych przecznic, jako zagorzały wielbiciel nowojorskiej dzielnicy uciech Tenderloin. Jasno oświetlony Broadway obramowany był luksusowymi hotelami i restauracjami, ale tuż obok rozciągało się królestwo grzechu i występku. Jeśli chodzi o niecne rozrywki, oferta Tenderloin obejmowała jaskinie hazardu, sale taneczne, saloony i burdele, a wszystko to w przystępnych cenach, dostosowanych do każdej kieszeni. Progresiści nazywali tę dzielnicę Cyrkiem Szatana, Brewster Claypool zaś nazywał ją Niebem.

Skierował swoje kroki do burdelu Wiśniowy Gaj, urządzonego z przepychem elitarnego przybytku, zwanego Ritzem Tenderloin, i nacisnął elektryczny dzwonek do drzwi. Stupięćdziesięciokilogramowy odźwierny wpuścił go do solidnego, ceglanego budynku, kłaniając mu się z szacunkiem.

– Na górę, panie Claypool?

– Chyba najpierw wpadnę do klubu.

Kilku prominentnych ważniaków z Wall Street utworzyło sobie wewnątrz burdelu prywatny klub. Członkostwo w Stowarzyszeniu Dżentelmenów Wiśniowy Gaj wymagało spełnienia dwóch kryteriów: kandydat musiał być obrzydliwie bogaty i pozbawiony pruderii. Obowiązywały następujące zasady: to, co się działo i o czym mówiono w pokoju klubowym, nie mogło wyjść poza cztery ściany; nie wpuszczano kobiet, które miały na sobie więcej niż dwie części garderoby, przy czym żadna z tych części garderoby nie mogła mieć powierzchni większej od obiadowego talerza. W razie wątpliwości posługiwano się trzymaną na podorędziu miarką.

Claypool zastał swych klubowych braci rozpartych w ogromnych skórzanych fotelach, popijających szampana i drinki przyrządzone na bazie whiskey. John Butler Culp, energiczny myśliwy polujący na grubego zwierza, a zarazem wytrawny żeglarz regatowy, którego postura łączyła w sobie cechy akademickiego boksera i futbolisty, właśnie złożył prezydentowi Rooseveltowi.

– Ten nieokrzesany, arogancki typ, który został prezydentem tylko dlatego, że radykałowie zamordowali McKinleya, wyrządzi naszemu krajowi nieodwracalne szkody.

Culp był grubą rybą z Wall Street. Zdarzało mu się czasem współpracować z największymi, takimi jak J.P. Morgan, Judge Congdon, Frick, Schwab i J.D. Rockefeller, choć najczęściej bywał ich zajadłym rywalem. Stosując podstępne strategie finansowe i sprawne zarządzanie, przejmował coraz to nowe spółki kolejowe, kopalnie i huty, dzięki czemu z człowieka dobrze sytuowanego stał się bogaczem, a następnie zaczął przekuwać to bogactwo we władzę. Miał posłuch pośród sędziów Sądu Najwyższego, w jego kieszeni siedzieli senatorowie Stanów Zjednoczonych, cieszył się też zaufaniem prezydentów, z wyjątkiem aktualnego. Dlatego też o tej późnej porze, w towarzystwie zaprzyjaźnionych klubowiczów z Wiśniowego Gaju, dał upust swej niechęci, wypowiadając słowa krytyki stanowczym głosem, w którym pobrzmiwało nieskrywane, słuszne oburzenie.

– Prezydent McKinley bronił świętych praw własności. A ten socjalistyczny agitator odbiera nam to, co należy do nas!

– Teddy zarzeka się, że nie zamierza kandydować ponownie - przerwał mu pewien bankier.

– Łże jak pies! Amerykę czeka zguba, gdyby ten pupilek progresistów dotrwał do końca kadencji. Jeśli utrzyma się dostatecznie długo, by zostać ponownie wybranym w 1908, dla ludzi majątnych zabraknie miejsca w tym kraju.

Wygłaszając ostatnie zdanie, Culp zerknął na Brewstera Claypoola. Nikt z obecnych nie zauważył krótkiego błysku ciemnych oczu spod krzaczastych brwi.

Claypool skinął niedbale na ślicznotkę o kruczoczarnych włosach, której przydzwiek w najmniejszym stopniu nie naruszał tutejszego *dress codeu*. Dziewczyna podeszła do niego szybkim krokiem z kryształową szklanką Old Fashion oraz butelką Bushmillsa.

– Tylko kropelkę, kochanie. Zaraz będę zniknął.

– Nie zajrzy pan na górę?

– Niestety, nie dziś. Jestem zbyt rozkojarzony, by się dobrze bawić.

Zabrał swojego drinka do niewielkiej biblioteki obok głównego salonu, usiadł w fotelu i modlił się, by Culp do niego dołączył.

Claypool był „człowiekiem Culpa” i usłyszał wystarczająco dużo, by wiedzieć, że właśnie otrzymał polecenie wykonania rozkazu. Prawdę mówiąc, spodziewał się tego od chwili wygrania wyborów przez Roosevelta w 1904 roku. Culp się bał. A tak naprawdę, był śmiertelnie przerażony, przez co stał się wyjątkowo niebezpieczny.

Bez przerwy czuł na karku oddech prezydenta. Nie dość, że Roosevelt wprowadził postępowe reformy wymierzone w monopole, trusty naftowe i kolejowe oraz spekulacje giełdowe, czyli w to wszystko, co stanowiło podstawę fortuny Culpa, to jeszcze za jego sprawą w Przesmyku Panamskim ruszyła budowa kanału żeglugowego, łączącego Atlantyk z Oceanem Spokojnym. Na domiar złego poprzysiął swoim zwyczajem - publicznie i z wielką pompą - karać biznesmenów, którzy dopuścili się czerpania nielegalnych zysków przy okazji tej inwestycji.

Pośród nich znalazł się oczywiście Culp, który sfinansował lokalne powstanie i przejął tereny pod budowę od pokojowo nastawionych mieszkańców, sklecił układ o Strefie Kanału Panamskiego, odbierając miejscowym jakąkolwiek kontrolę, ukradł ciężkie pieniądze inwestorom oraz wmanewrował Kongres w milionowe opłaty za prawa użytkowania kanału, które zainkasował on sam i jego przyjaciele.

Prawnicy i lobbyści Claypoola pracowali całymi dniami i nocami nad rozbrojeniem bomby zegarowej związanej z kanałem. Gdyby jednak prezydent dowiedział się, że Culp stał także za niesławnym przejęciem Ramapo - przekrętem prywatnej firmy wodociągowej, w którego wyniku nieomal storpedowany został projekt wodociągu Catskill ówczesnego gubernatora Roosevelta - dołożyłby wszelkich starań, aby wtrącić go do więzienia.

Dlatego Claypool nie był zaskoczony dążeniem J.B. Culp do usunięcia prezydenta Stanów Zjednoczonych z urzędu. Niestety, nie można było zastosować impeachmentu. Theodore Roosevelt mógł drażnić i irytować, ale nawet ci wyborcy, którzy go nie kochali, byli nim przynajmniej zafascynowani, a dwie trzecie Senatu nie miało zamiaru ich drażnić, utracając prezydenta, którego wybrali bezdyskusyjną większością głosów.

Wszystko to sprowadzało się do jednego - J.B. Culp chciał śmierci prezydenta. Brewster Claypool, będąc jego zakulisowym agentem do specjalnych poruczeń, miał za zadanie znaleźć kogoś, kto podejmie się zabójstwa na zlecenie, ale musiał zrobić to tak, aby odgrodzić siebie i swego mocodawcę od wszelkich powiązań ze zbrodnią.

Chyba że zdoła odwieść Culp od morderczych zamiarów.

Claypool powoli sącył whiskey, aż w szklance pokazało się dno. Już niemal stracił wszelką nadzieję, gdy w końcu Culp wtoczył się do biblioteki i pochylił się nad jego fotelem. Często wykorzystywał swą zwalistą posturę do onieśmiania rozmówców.

– Na co czekasz?

– Na możliwość odwołania się do twojego rozsądku. Czy mógłbyś usiąść?

– Już podjąłem decyzję. Ten człowiek musi umrzeć.

Claypool wstał z fotela.

– Weź pod uwagę, że to nie jest byle kto. Chodzi o prezydenta Stanów Zjednoczonych.

– Mam to gdzieś. Równie dobrze mógłby być angielskim królem albo cholernym papieżem. A nawet samym Wszechmogącym. Zniszczy nas, jeśli się go nie pozbędziemy.

– Nie ma innego wyjścia?

– Theodore Roosevelt zniszczy nas, jeśli się go nie pozbędziemy - powtórzył Culp.



## 9.

– Uwaga, panie Bell! - W słuchawce telefonu w pokoju detektywów rozbrzmiał zaaferowany głos dyżurnego recepcjonisty agencji Van Dorn. - Idzie do pana śpiewaczka operowa! Musiałem unieruchomić elektryczny zamek, inaczej wyważyłaby drzwi.

Sopranistka koloraturowa Luisa Tetrzzini, zwana Florenckim Słowikiem, wpadła jak bomba do pomieszczenia i rzuciła się Bellowi na szyję. Choć parowe ogrzewanie w hotelu Knickerbocker działało bardzo skutecznie, okutana była w zimowy płaszcz, a gardło miała owinięte niezwykle długim, ciągnącym się za nią czerwonym szalem. Jej oczy płonęły ogniem.

– Isaac! - zakrzyknęła głosem, który bez trudu docierał do ostatnich rzędów pięćsetosobowej widowni. - Gdzie Joseph?

Stali goście Knickerbockera, tacy jak ona czy Caruso, kilku impresariów teatralnych oraz vandornowcy, tworzyli coś na kształt dobrosąsiedzkiej wspólnoty, podobnie jak mieszkańcy małej miejscowości. Wpadali do siebie wzajemnie w odwiedziny, snuli się razem po korytarzach i zwracali się do siebie po imieniu.

Licząca sobie trzydzieści pięć lat śpiewaczka była ciemnowłosą piękną o rubensowskich kształtach. Miała ekspresyjną twarz, żelazną wolę i skłonność do dramatyzowania. Jej amerykański debiut odbył się w zeszłym roku w San Francisco, tuż przed trzęsieniem ziemi. Sam Caruso wychwalał jej głos i umiejętności aktorskie. „Nie jest jeszcze gwiazdą pierwszej wielkości - mówił Bellowi, opisując jej występ w San Francisco - ale wkrótce będzie. Zapamiętaj moje słowa. Już niedługo rzuci cały świat na kolana”.

– Joseph jest w Waszyngtonie - odpowiedział Bell.

– Tak bardzo go potrzebuję. Patrz, co oni wyprawiają - wyrzuciła z siebie, podając mu kopertę. - Otwórz i czytaj.

Bell rozpoznał rodzaj papieru. Rozłożył kartkę i ujrzał to, czego się spodziewał - znajome rysunki czaszki przebitej sztyletem i czarnej dłoni. *Mano Nera* sięgała coraz wyżej. Zaczynała od biedaków, potem wzięła się za bogatych, teraz przyszła kolej na sławnych.

*Bella Tetrzzini!*

*Gdyby nie to, że jesteśmy w wielkiej potrzebie, nigdy nie niepokoiłobyśmy tak wspaniałej artystki. Ale nie mamy wyboru. Musimy dostać cztery tysiące dolarów, abys mogła odnieść wielki sukces, śpiewając w Hammerstein. Prosimy, Bella Tetrzzini, przygotuj pieniądze i czekaj na instrukcje. Musimy je mieć przed czwartkiem.*

*Z uszanowaniem*

*Twoi przyjaciele w potrzebie*

- Nie bój się - powiedział Bell. - Będziemy...
- Nie boję się! Jestem wściekła!
- Kiedy to dostałaś?
- Dwadzieścia minut temu. Z popołudniową pocztą.
- Czy to pierwszy taki list?
- Były jeszcze dwa, w zeszłym tygodniu. Myślałam, że to jakiś żart.
- Masz te listy?
- Spaliłam je. Isaac, potrzebuję ochrony. Jadę znów do San Francisco. Będę śpiewać dla ofiar trzęsienia ziemi.
- Kiedy wyjeżdżasz?
- Jutro. Chyba nie powinnam jechać sama ze służącą. Chciałabym dostać ochronę od agencji Van Dorn.

Bell myślał szybko. Jego oddział specjalny do ścigania Czarnej Ręki był gotowy do działania, tylko że nie miał klientów. Stowarzyszenie Białej Ręki wycofało się z kontraktu. Poszukiwania pirotechnika Russa przeniosły się na zachód od Saint Louis. Filia agencji w Denver rozglądała się za nim w obozach górniczych. Równie dobrze Russo mógł uciec do San Francisco, gdzie było spore skupisko Włochów.

Przesunął w palcach list. Bez wątpienia papier był ten sam.

- Helen? - zawołał. - Widział ktoś Helen Mills? A, tutaj jesteś. To dla Secret Service. Daj to agentowi Lynchowi. Pozwól na chwilę, Helen... Poczekał, Luiso, zaraz wracam. - Odciągnął stażystkę od biurka poza zasięg głosu. - Co to za wypukłość?

– Gdzie?

– Tutaj.

W jej rodzinnej posiadłości Dupont Circle Bell widywał Helen w modnych, jednokolorowych szmizjerkach. Teraz miała na sobie tradycyjny biurowy kostium, złożony z żakietu i spódnicy z falbaną.

– Ta wypukłość to ja.

– Nie ta. Pod plisami masz schowany kieszonkowy pistolet. Oddaj mi go. - Otworzył dłoń w oczekiwaniu. - Wiesz przecież, że praktykantom agencji Van Dorn nie wolno nosić broni.

– Należy do mojego ojca.

– Zwrócę mu go następnym razem, kiedy będę w Waszyngtonie.

Sprawdziła, czy nie ma naboju w komorze, i podała Bellowi pistolet kolbą do przodu.

– Zapamiętaj sobie. Stażystom nie wolno mieć nawet pilnika do paznokci.

– A jeśli mi się paznokieć złamie?

– To spiłujesz sobie o ścianę.

– Panie Bell?

– Co?

– Mam panu uwierzyć, że będąc praktykantem, nie nosił pan ukrytego pistoletu?

– Ale nikt mnie z nim nie przyłapał. Idź już. Pokaż Lynchowi... Aha, jeszcze jedno.

– Tak?

– Spróbuj się dowiedzieć, na czym tak naprawdę zależy Lynchowi.

– Chce mnie zabrać na Coney Island.

Bell wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Chodzi o to, czego chciałby od nas. Co agencja Van Dorn mogłaby dla niego zrobić. Mam dziwne przeczucia w związku z tymi fałszerstwami.

Wrócił do śpiewaczki.

– Będę ci osobiście towarzyszył podczas podróży pociągiem do San Francisco. Kiedy dotrzemy na miejsce, nasze lokalne biuro zapewni ci ochronę. Jego szef, detektyw Bronson, to doskonały fachowiec, a przy okazji wielki

miłośnik opery. Słyszałem, że rozchorował się z żalu po twoim wyjeździe z San Francisco.

– *Mille o tante grazie*, Isaac. Nie boję się, ale kto wie, co może się wydarzyć... A właśnie, czy ty aby nie masz narzeczonej w San Francisco?

– Tak się składa, że mam.

Po jej wyjściu Bell zadzwonił do Enrica Carusa.

– Czy mogę wpaść na dwa słowa?

Dziesięć minut później Caruso powitał go w swoim apartamencie. Ostatnio spotkali się w hotelowym barze, gdzie stali goście zawsze mogli w spokoju wypić popołudniowego drinka. Słynny tenor był tylko kilka lat starszy od detektywa. Zaprzyjaźnili się, odkąd wyszło na jaw, że obaj przetrwali trzęsienie ziemi bez żadnego uszczerbku na zdrowiu.

Caruso miał na sobie wełniany szlafrok, a szyję, w odróżnieniu od Luisy Tetrzzini, owinał aż trzema szalikami. W jego salonie stał wielki fortepian Mason & Hamlin oraz świszcząca machina złożona z kilku zbiorników i dysz, która emitowała kłęby pary w celu nawilżenia powietrza.

– *La Voce!* - wyjaśnił, wskazując na gardło. - Nie krępuj się, zdejmij marynarkę.

Bell zrobił to z ulgą. W porównaniu z apartamentem Caruso panamska dżungla była miejscem suchym i chłodnym.

Śpiewak zdusił niedopałek i zapalił kolejnego papierosa.

– Nie widziałem cię na premierze *Pagliacci!* - powiedział z wyrzutem.

– Byłem zajęty wylatywaniem w powietrze.

– Praca życie skraca...

– Tetrzzini dostała list od Czarnej Ręki.

– Wiem, sam poradziłem jej pójść z tym do ciebie.

– A ty? Też dostałeś list?

– Nie - odparł śpiewak. - Czemu pytasz?

– Jeśli to ten sam gang, który zaczął od porwania Marii Velli i dokonał zamachów bombowych na firmy, to może być kolejny krok w celu wybadania, jak zyskowne okażą się wymuszenia. Luisa nie jest nawet w połowie tak sławna jak ty. A jeśli przeprowadzili na niej eksperyment, zanim zabiorą się do naprawę grubych ryb?

Caruso promieniał. Jego duża, pogodna twarz o wysokim czole jaśniała niczym elektryczna lampa.

– Nagle okazało się, że jestem rybą.

– Grubą rybą.

– Ma się rozumieć.

– Im grubsza ryba, tym obfitszy połów - powiedział Bell. - Od Luisy chcą cztery tysiące. Ile mogą zażądać od ciebie? Czterdzieści?

– Co najmniej.

– Będę cię informował na bieżąco. Na czas mojego wyjazdu do San Francisco zostawiam cię pod opieką Archiego.

– San Francisco? - Caruso uśmiechnął się. - Czy ty aby nie masz narzeczonej w San Francisco?

– Tak się składa, że mam - przyznał Bell, a Caruso zaczął śpiewać piosenkę, która z pewnością nie należała do operowego repertuaru:

W serce twe zakrada się uczucie,  
Co smutek zmienia w radość ogromną,  
Bo wiesz, że nie zapomniała cię dziewczyna,  
Której i ty nie potrafisz zapomnieć.

– Jak się poczuje piękna Marion na wieść o twojej podróży transkontynentalnym pociągami w towarzystwie ognistej sopranistki?

Bell odpowiedział tym samym żartobliwym tonem, że cnoty artystki skutecznie strzeże jej przepotężna służąca, Rosa Ferrara. Całkiem poważnie zaś pomyślał o tym, że jeśli groźby pod adresem Luisy Tetrzzini miały być sprawdzianem siły Czarnej Ręki, to w razie odmowy zapłacenia okupu bandyci staną na głowie, aby uczynić z niej przykład dla opornych. Nagle dotarło do niego z mrozącą krew w żyłach jasnością, że moment wysłania listu z żądaniem nie był przypadkowy. Oni wiedzieli o jej podróży do San Francisco.

Im dalej od Nowego Jorku zaatakują, tym większy strach padnie na przyszłe ofiary.

Prowadząc Luizę Tetrzzini i jej pokojówkę do ekspresu 20th Century Limited, którym mieli pokonać pierwszy etap podróży w poprzek kontynentu,

Isaac Bell przyglądał się z uwagą emigranckim brygadam robotników. Na stacji Grand Central panował wielki rozgardiasz, spowodowany zmianami torów i peronów oraz hałaśliwą pracą parowych koparek, ponieważ rozbiórka starego budynku dworcowego przebiegała jednocześnie z budową nowego terminalu. Wally Kisley w krzykliwej kraciastej marynarce komiwojażera pilnował wejścia na peron, udając, że czyta gazetę. Mack Fulton ciągnął wózek załadowany bagażami. Archie Abbott popatrywał surowym wzrokiem służbisty, parując w szaro-granatowym mundurze konduktora kolei New York Central.

Na dworcu LaSalle w Chicago, dokąd dojechali punktualnie, dwadzieścia godzin później, czekali pracownicy głównego biura agencji, którzy mieli ochraniać ich podczas przesiadki. Bez żadnych kłopotów czy incydentów udało im się dotrzeć na Union Station, gdzie wsiedli do pociągu Overland Limited, choć Bell nie był zachwycony nagłówkami gazet, które trąbiły wielkimi literami o transkontynentalnej podróży śpiewaczki. Na wieczorną kolację szef kuchni Overland Limited zaserwował kolejową wersję indyka a la Tetrzzini, a w Omaha zwolennicy jej talentu tłoczyli się na peronie i wdarli się siłą do pociągu z okrzykami: „*Brava, Diva! Brava, Diva!*”

Tetrzzini przyjmowała wyrazy uwielbienia w wagonie klubowym, okutana w szaliki i wyjątkowo milcząca. Rosa Ferrara teatralnym gestem dotknęła swojego gardła i wyszeptwała:

– *La Voce! Signora* oszczędza głos.

Isaac Bell, z dłonią w kieszeni zaciśniętą na uchwycie kolta, z uwagą obserwował twarze wielbicieli. Każdy spośród tłumu, mężczyzna czy nawet kobieta, z łatwością mogli w zamieszaniu zadać pchnięcie sztyletem. Patrzył im w oczy, szukając chłodnego lub ognistego błysku aż do czasu, gdy konduktorzy wyrzucili całe towarzystwo z pociągu.

Aż do Ogden, dokąd dotarli dwa dni później, nie wydarzyło się nic niepokojącego. Na Bella czekał telegram z biura agencji w Denver z informacją, że tamtejsi detektywi spóźnili się o kilka godzin i nie zdołali zatrzymać Russa. Przypuszczali, że zmierza do San Francisco, ale jakiś Włoch odpowiadający jego rysopisowi podobno kupił bilet w przeciwnym kierunku, do Kansas City.

Innymi słowy, pomyślał Bell, Russo mógł być teraz wszędzie. Choćby i tu, w Ogden. W tutejszym węźle krzyżowało się dziewięć linii kolejowych, co mogło przyciągnąć uciekiniera. Leciwy, emerytowany szeryf, będący jedynym przedstawicielem agencji Van Dorn w tym mieście, wyszedł na pociąg. Bell

upoważnił go do opłacenia miejscowych kolejowych gliniarzy, aby wypatrywali pojawienia się Russa.

Overland ruszył w dalszą drogę na zachód, skrótem Lucin, prowadzącym częściowo po kratownicowym drewnianym moście nad Wielkim Jeziorem Słonym i dalej przez Nevadę. W Reno na tył składu doczepiono potężne lokomotywy pchające, które pomogły przeprawić się przez strome pasmo gór Sierra Nevada. Na odcinku sześćdziesięciu pięciu kilometrów pociąg musiał pokonać różnicę poziomów wynoszącą ponad dwa tysiące metrów. Potem wjechał w długi, mroczny tunel Summit i nagle zatrzymał się.

Tuż przed tym, gdy rozległy się okrzyki pasażerów, zaskoczonych gwałtownym hamowaniem, Isaac Bell, Luisa Tetrzzini i Rosa Ferraro zachwycali się niezwykłym widokiem piętrzących się wysoko gór oraz jezior leżących w dolinie. Teraz nastąpiła ogólna konsternacja, która po chwili przerodziła się w totalny chaos, bo z przodu pociągu rozpętała się strzelanina. Nad trzaskiem pistoletów i łoskotem karabinów górowało ogłuszające dudnienie dubeltówki kaliber .12, z której ostrzeliwał się kurier.

Bell wypadł z prywatnego przedziału Tetrzzini.

– Zaryglujcie za mną drzwi!

## 10.

– Z drogi!

Isaac Bell pędził w kierunku odgłosów wystrzałów, rozbrzmiewających echem w tunelu.

W korytarzu było ciemno od dymu.

Wyciągnąwszy pistolet z kabury pod pachą, krzyczał na pasażerów stojących w wąskim przejściu. Przemknął przez wagon z przedziałami i wpadł do klubowego, który znajdował się tuż za wagonem kurierskim. Przecisnął się przez łącznik i załomotał do wzmocnionych drzwi.

– Jake! Tu Isaac Bell. Jesteś cały?

Wcześniej, zwyczajem pracowników agencji Van Dorn, przedstawił się kurierowi, który strzegł przesyłek poleconych, obligacji na okaziciela, gotówki i

złota. Dodatkowy uzbrojony sprzymierzeniec był zawsze mile widziany, a w razie potrzeby mógł liczyć na wzajemną pomoc.

– Zabezpieczam tyły. Nie ma tu żadnego bandyty.

– Tutaj też nie - odparł Jake, otworzywszy drzwi. W dłoni trzymał dwulufowego obrzyna, a jego twarz wyrażała zakłopotanie. - Ognisko na torach, barykada z kamieni i strzelanina jak na froncie, ale nie widać ani jednego...

Bell obrócił się na pięcie i popędził z powrotem do przedziału śpiewaczki. Przedzierał się przez wąskie korytarze, roztrzając ludzi stojących mu na drodze, i modlił się, oby nie było już za późno.

Zastał drzwi nadal zaryglowane. Za nimi rozległ się brzęk tłuczonego szkła i okrzyk strachu.

Bell zaparł się o ścianę korytarza, zebrał wszystkie siły i nacisnął ramieniem na drzwi. Ustąpiły z trzaskiem. Wysoki detektyw wpadł do przedziału z pistoletem w prawej dłoni, zacisnąwszy lewą w pięść. Ujrzał Luisę i Rosę na kanapie, tak jak je zostawił. Siedziały, wciskając plecy w poduszki, z wyrazem przerażenia na twarzach.

W kłębach dostającego się do środka dymu zmaterializował się mężczyzna. Z wykrzywioną w grymasie twarzą i sztyletem w zębach można by go było wziąć za pirata z operetki Gilberta i Sullivana, gdyby nie włoski wojskowy rewolwer typu Bodeo, którym usuwał resztki szkła, sterczące z ramy okna. Intruz spostrzegł detektywa i błyskawicznym ruchem skierował na niego ośmiokątną lufę. Bell huknął go pięścią w czoło i mężczyzna poleciał do tyłu. Wykuty w masywie górskim tunel był wąski i kostropaty. Napastnik uderzył o wystający gład i zsunął się między ścianę tunelu a burtę wagonu. Padając, zdołał jednak nacisnąć spust. Kula kaliber .41 zawadziła o szyję Bella. Minęła grdykę, ale wyorała piekącą bruzdę w skórze, a impet ciężkiego pocisku omal nie powalił go na podłogę.

Luisa krzyknęła przeraźliwie.

Chwiejąc się na nogach, Bell wysunął dłoń z pistoletem przez rozbite okno i poprzez gęstniejący dym zerknął w dół na torowisko pod wagonem. Mężczyzna usiłował wstać. Nie wypuścił z ręki pistoletu, a w zacisniętych zębach nadal trzymał sztylet. Bell wyskoczył przez okno, wylądował obok niego i uderzył go rękojeścią pistoletu. Spodziewając się, że jest to jeden z gangsterów Czarnej Ręki, nie chciał go zabijać. Zamierzał zmusić go do mówienia.



Bandyta ruszył chwiejnym krokiem wzdłuż pociągu. Bell rzucił się na niego, ale ten nadal próbował zbiec. Detektyw zacisnął dłoń na jego kostce i z rozmachem uderzył pistoletem w kolano. Uciekinier potknął się i upadł. Bell chwycił go za ramię, ale palący ból szyi utrudniał mu koncentrację. Mężczyzna wyrwał mu się z rąk i wczółgał pod pociąg. Bell przeturlał się przez szynę i ujrzał zbiega na tle ogniska płonącego przed lokomotywą. Przytrzymał go za stopę. Zaczęli się szamotać w ciasnej przestrzeni pod wagonem, kalecząc pięści o drzazgi z podkładów i ostre krawędzie tłucznia. Co chwilę któryś z nich uderzał głową lub plecami o wystające elementy podwozia.

Rozległ się gwizd parowozu. Trzy krótkie sygnały dotarły do nich, wzmocnione echem skalnego sklepienia i ścian. Bell zorientował się, że maszynista zamierza wycofać pociąg z tunelu, aby podróżni nie podusili się dymem z lokomotywy. Bandyta też połapał się, w czym rzecz. Rzucił okiem na najbliższe koło, znajdujące się trzy metry od miejsca, w którym walczyli. Kiedy ogłuszający świst zaanonsował zwolnienie hamulców pneumatycznych, chwycił rękę Bella, ułożył ją w poprzek szyny i całym swym ciężarem docisnął do podłoża.

Pociąg ruszył. Zazgrzytało żelazo o stal i Bell poczuł drżenie szyn i podkładów. Resztką sił próbował uwolnić rękę. Obrzeże koła - żelazna kryza utrzymująca pociąg na torach - zbliżało się niczym ostrze krajalnicy wędlin u rzeźnika. Wolną ręką zaczął okładać przeciwnika po nerkach. Ten ani drgnął, bo gruby płaszcz amortyzował uderzenia. Bell zgiął nogę w kolanie i wyciągnął nóż zza cholewy buta. Kiedy wzniosł rękę do zadania ciosu, jakiś element poruszającego się podwozia uderzył go w dłoń i nóż zaczął wyslizgiwać mu się spomiędzy palców. Zacisnął je mocno na rękojeści i wbił ostrze w nerkę bandyty.

Mężczyzna rzucił się konwulsyjnie. Bell wyszarpnął spod niego rękę leżącą na szynie i zaległ płasko pośrodku toru. Przetoczył się nad nim wagon pasażerski, potem drugi, a dalej klubowy, kurierski i tender. Kiedy wreszcie, w kłębach pary i dymu, przejechała lokomotywa, Bell usiadł i ocenił sytuację. Obie ręce miał sprawne. Straszliwie rwała go szyja i oddychał ciężko, łapczywie wypełniając płuca zadymionym i rzadkim górskim powietrzem. Człowiek, który zatrzymał pociąg, by dokonać zamachu na Luisę Tetrzzini, szczyrzył zęby i gapił się na niego niewidzącym wzrokiem. O dziwo, wydawał się wyższy niż poprzednio, zanim Bell zorientował się, że jego głowa znajduje się po przeciwnej stronie szyny, odcięta równo od tułowia. Obok niej leżał sztylet.

Bell przeszukał płaszcz zabitego, znalazł pochwę i włożył broń do kieszeni. Potem wyciągnął swój nóż i zataczając się, wyszedł z tunelu.

\* \* \*

Marion Morgan, młoda smukła blondynka o pięknej, subtelnie zarysowanej twarzy i rzeczowym spojrzeniu, czekała na należącej do kolei przystani promowej. Isaac Bell zbiegł po trapie przed resztą pasażerów i chwycił ją w ramiona.

– Tak się cieszę, że cię widzę.

Pocałowali się, nie zwracając uwagi na mijających ich ludzi. Po chwili Marion odsunęła się od niego.

– Skąd ten wielki opatrunek na szyi?

– Zaciąłem się przy goleniu.

– Zdaje się, że nadal krwawisz.

– To tylko draśnięcie.

– Jesteś blady jak ściana.

– To z wrażenia. I z radości.

– Powinieneś pójść z tym do szpitala.

– Powinienem iść spać. Masz jakieś plany na popołudnie?

– A co z tą śpiewaczką operową?

– Na moje polecenie chłopcy Bronsona czekali na nas w Oakland. Teraz oni będą jej pilnować.

– No to chodź ze mną.

– Dokąd?

Kiedy ostatni raz widział się z Marion, mieszkała w namiocie, podobnie jak większość mieszkańców miasta, zrujnowanego przez trzęsienie ziemi i pożary. Z tego, co zdołał zobaczyć z pokładu promu przemierzającego zatokę, niewiele domów odbudowano w dzielnicach strawionych przez ogień.

– Wynajęłam śliczny mały domek od swojego nowego szefa.

– Masz nowego szefa?

– Właśnie dostałam świetną pracę w gazecie. Wszystko ci opowiem, ale później. Po tym, jak zmienimy ci opatrunek.

\* \* \*

Wkrótce po zaręczynach Isaac Bell doszedł do przekonania, że może całkowicie polegać na Marion pod względem przenikliwości umysłu i umiejętności oceny sytuacji. Doświadczenie w interesach oraz prawo ukończone z wyróżnieniem w Stanford sprawiły, że była jedyną osobą, nie licząc jego kolegów po fachu, z którą mógł porozmawiać o prowadzonym dochodzeniu.

– Zabójca nie tylko wiedział, w którym wagonie podróżuje Tetrzzini, ale w ciemnym, zadymionym tunelu zdołał znaleźć okno jej przedziału. Musiał być bardzo dobrze poinformowany. Znow odniosłem wrażenie, że ta tak zwana Czarna Ręka jest znacznie lepiej zorganizowana niż zgraja niepiśmiennych emigrantów, którzy właśnie zeszli ze statku.

– Bez wątpienia dotyczy to ich przywódcy - zawyrokowała Marion. - Czy policjanci kolejowi rozpoznali zabójcę?

– Nie. A dlaczego mieliby go rozpoznać?

– Przeprowadził zamach prawie pięć tysięcy kilometrów od Nowego Jorku, w dodatku sam albo z pomocą współników zatarasował tor przed waszym pociągiem. Jedno i drugie pozwala przypuszczać, że był Kalifornijczykiem wypełniającym rozkazy z Nowego Jorku. Musiał też znać się na kolei, dlatego pomyślałam, że mogli go już kiedyś aresztować za jazdę na gapę.

Przebrała się w jedwabny szlafrok, który pasował do jej oczu o barwie zieleni mórz koralowych. Bell wodził za nią namiętnym wzrokiem, kiedy kręciła się po swoim maleńkim domku. Napełniła wysokie kieliszki szampanem Billecart-Salmon Brut Rose i wróciła do łóżka.

– Co o tym sądzisz? - spytała.

– Chyba musimy się z tym przespać.

Nagle rozległo się głośne pukanie do drzwi.

– Kto tam?! - zawołała Marion.

– Bronson - zadudniło z drugiej strony. - Jesteś tam, Isaac?

– O co chodzi?

– Russo jest w Ogden. Wsunę telegram pod drzwiami.

Marion smutnym głosem powiedziała:

– Po zmianie opatrunku popłynę z tobą promem i odprowadzę cię na pociąg.

## 11.

Brewster Claypool zmierzał do kwatery głównej Tammany Hall, mieszczącej się nad teatrzykiem wodewilowym Tony'ego Pastora w okazałym, trzypiętrowym budynku we włoskim stylu przy Czternastej ulicy, kiedy usłyszał chór żeńskich głosów, śpiewających najnowszy przebój Victora Herberta *I Want What I Want When I Want It*.

Wszedł do teatru.

Trwała właśnie kostiumowa próba skeczu z krzywonogim komikiem w żółtej peruce i krótkiej spódniczce. Claypool posłał całusy dziewczętom, one odwzajemniły mu się tym samym, a komik pozdrowił go gestem dłoni. Potem Claypool ruszył po schodach na górę ze zmęczonym uśmiechem, jakby dźwigał na barkach cały świat.

Tytuł piosenki, odnoszący się do natychmiastowego spełniania wszelkich zachcianek, z ponurą precyzją opisywał to, co robił dla J.B. Culpa.

Boss Fryer - blady, brzuchaty „Niezawodny Jim” Fryer - przywitał się z nim wylewnie. Zapewne zaczęłyby od pytania o rodzinę, gdyby Claypool takową posiadał, a wobec jej braku zapytał o wspólnych przyjaciół z Wall Street. Claypool opowiedział o ich ciężkiej pracy i dokonaniach, po czym sam spytał o rodzinę Niezawodnego Jima, której wiodło się doskonale.

Jim Fryer kierował polityczną machiną Tammany Hall, a ta rządziła Nowym Jorkiem. Jako bezwzględny strażnik partyjnego porządku dziobania - poczynając od liderów okręgów przez naczelników dzielnicowych, a kończąc na właścicielach saloonów i zarządcach budynków - organizował przytłaczającą większość w wyborach, konieczną do pokonania Reformatorów, oraz przewodził konfederacji składającej się z policji, duchowieństwa, właścicieli tramwajów miejskich i przedsiębiorców budowlanych.

Stuknęli się szklankami wody sodowej z cytryną jak dwaj szanujący się wzajemnie starzy wyjadacze - ludzie naprawdę rządzący miastami nie mogli sobie pozwolić na luksus raczenia się alkoholem, w odróżnieniu od tych, których dzięki nim wybierano na najwyższe stanowiska - i zaczęli dzielić się nowinami, za które inni byli gotowi zapłacić fortunę. W końcu Fryer, do którego w poczekalni ustawiła się kolejka policjantów, przedsiębiorców, księży i

franczyzobiorców, zwrócił się do Claypoola z pytaniem, możliwie delikatnie dając mu do zrozumienia, że nie ma czasu.

– Czemu zawdzięczam pańską przemiłą wizytę?

– Potrzebuję kogoś, kto pomoże mi załatwić pewną nietypową sprawę.

Na dźwięk słowa „nietypowa” Fryer ledwie dostrzegalnie zmrużył oczy.

– Polecam panu Brandona Finna. Proszę mu powiedzieć, że to ja pana przysłałem.

– Sprawa może okazać się zbyt nietypowa, nawet dla Finna - powiedział ostrożnie Claypool.

Boss Fryer wstał.

– Brandon będzie wiedział, do kogo pana skierować - odparł. Stało się jasne, że Boss umywa ręce od roboty, którą lepiej zostawić pacholkom i sługusom.

\* \* \*

– Zwiewaj, Pasquale, zwiewaj!

Znów go gonili, a on uciekał, by ocalić życie, zachodząc w głowę, z jakiego powodu wymizerowani i głodni włóczędzy, smagani zimnymi powiewami wiatru z Wasatch Mountains, tracą siły na dręczenie nieszczęśnika tak samo biednego jak oni.

Chciał się odwrócić i powiedzieć: „Wystarcza mi odrobina jedzenia. Tylko zostawcie mnie w spokoju”.

– Zwiewaj, makaroniarzu!

Biegnący na czele pościgu bezrobotny górnik miał w ręce trzonek od kilofa. Jeśli go złapią, zatłuką go na śmierć. Jakiś straszny wewnętrzny głos szeptał mu, że może krócej by się męczył. Mimo to biegł dalej, modląc się, żeby się nie potknąć i nie przewrócić na twardą ziemię w ucieczce od obozowiska włóczędów oraz lasów i bagien, w których kryli się przed policją.

Skręcił w kierunku odległego potoku. Liczył na to, że koryto jest na wpół wyschnięte i zdoła się przez nie przeprawić. Ale strumień okazał się głęboki i wartko toczył swoje wody. Znalazł się w pułapce. Odwrócił się przodem do prześladowców, bezradny wobec czekającego go losu. Na domiar złego z mroku wyłonił się ogromny automobil z jarzącymi się światłami drogowymi i dodatkowym szperaczem. Teraz wyglądało to jak wyścig. Kto dopadnie go

pierwszy? Górnik z trzonkiem od kilofa, druga zgraja z pozbieranymi w biegu kamieniami czy auto, które plunęło niebieskawymi spalinami, kiedy kierowca przyspieszył, próbując go przejechać? Russo, któremu zdarzało się marzyć o tym, że kiedyś stać go będzie na kupno samochodu, rozpoznał automobil typu Thomas Flyer z silnikiem o mocy pięćdziesięciu koni. Do karoserii przytroczono kilka zapasowych opon, by przygotować auto do jazdy w trudnym terenie. Czyżby zamierzali dokonać linezu i użyć liny holowniczej do powieszenia go na drzewie?

Już miał się odwrócić i skoczyć do strumienia, kiedy kierowca krzyknął:

– Sante Russo!

Russo zamarł z rozdziawionymi ustami. Skąd on zna jego nazwisko?

Auto zahamowało obok niego, wzbijając chmurę pyłu.

– Wskakuj do środka! Migiem!

Kierowca chwycił go za rękę i wciągnął na siedzenie obok siebie. Kamień przeleciał ze świstem między nimi, o włos mijając ich głowy.

Na czoło gromady wysunął się wielki drab z kolejnym kamieniem w dłoni. Zwinął się, jak zawodowy bejsbolista na pozycji miotacza, powoli napinając mięśnie ramienia, i zamachnął się do rzutu.

Kierowca wyciągnął pistolet spod płaszcza. Huknął strzał. Miotacz upadł na plecy.

– Panie, kim pan jest? - spytał Russo.

– Bell, agencja Van Dorn. Trzymaj się!

Isaac Bell wcisnął sprzęgło, poruszył dźwignią zmiany biegów i wdepnął w gaz. Zaterkotały przenoszące napęd łańcuchy, a tylne koła wgryzły się w piasek, próbując złapać przyczepność. Flyer wyrwał do przodu. Bell zygzakował, omijając krzewy, głązy i ziejące rozpadliny. Grupa, do której strzelił, cofnęła się, ale główna wataha, zagrzewana przez faceta z trzonkiem od kilofa, stanęła im na drodze.

– Zastrzelę pierwszego, który rzuci następny kamień - powiedział Bell podniesionym głosem.

– Jest nas ze dwudziestu! - odkrzyknął górnik przywódca. - Zabijesz wszystkich?

– Tylu, ilu będzie trzeba. Zabawa skończona. Idźcie precz!

Przez chwilę Bell miał nadzieję, że zdołał ich zastraszyć. Tymczasem obie grupy podeszły bliżej. Pofrunęły kamienie. Jeden z nich otarł się o jego kapelusz, drugi odbił się od maski silnika. Trzeci uderzył w centralnie zamontowany szperacz, który eksplodował, siejąc odłamkami szkła. Bell strzelał centymetry nad ich głowami, naciskając spust raz za razem, najszybciej jak potrafił.

Kilku uciekło, ale pozostali ruszyli prosto na nich. Bell zauważył podejrzany ruch i wypalił w tym kierunku. Zardzewiały pistolet pofrunął w powietrze. Posłał jeszcze dwie kule, które świsnęły im tuż koło uszu, po czym kurek szczęknął metalicznie, opadając na pustą komorę. Bell nie miał już czasu na wymianę magazynka, krzyknął więc do Russa, żeby się mocno trzymał, i wrzucił trzeci bieg.

Półtoratonowy flyer pędził z łoskotem na tłum napastników. Wszyscy rozpierzchli się, z wyjątkiem jednego, który rzucił się na samochód i zdołał złapać za kierownicę. Isaac Bell pozbył się go uderzeniem rękojeści pistoletu.

Wcisnąwszy pedał gazu, pędził po wertepach przez ponad pół kilometra, po czym skręcił w gruntową drogę prowadzącą do Ogden. Russo rozluźnił się z ulgą. Kiedy jednak w oddali zamajaczyło miasto, spytał:

– Czego pan ode mnie chce?

– Pomocy w śledztwie - odparł Bell i nie odezwał się więcej ani słowem, dopóki nie zatrzymał wozu przy Dwudziestej Piątej ulicy przed wejściem do hotelu, w którym na parterze znajdował się sklep z gotowymi ubraniami. Właściwie to nie miał zielonego pojęcia, czy Russo uciekł z Nowego Jorku dlatego, że do eksplozji i zniszczenia magistrali wodociągowej doszło w wyniku wypadku, czy raczej był to sabotaż dokonany przez Czarną Rękę, czy może sam Russo podłożył zwielokrotniony ładunek na rozkaz bandytów.

Zaprowadził go do hotelu.

– Nie wynajmujemy pokoi makaroniarzom - powiedział recepcjonista.

Bell położył na ladzie złotą dziesięciodolarówkę, a obok niej pistolet. Broń mocno załatywała spalonym prochem.

– Ten oto dżentelmen nie jest żadnym makaroniarzem. To pan Sante Russo, współpracownik Agencji Detektywistycznej Van Dorn. Pan Russo zajmie pokój z łazienką. Proszę też posłać na górę kierownika sklepu odzieżowego z garniturem, pończochami, kalesonami oraz koszulą i krawatem.

– Zaraz wezwę detektywa hotelowego.

W oczach Bella zagościł lodowaty chłód. Zniknął gdzieś fiołkowy odcień, towarzyszący czasem uśmiechowi lub przyjemnym myślom, a pozostały błękit pociemniał i nasrożył się niczym śnieżna zadymka w górach.

– Nie rób tego, jeśli nie chcesz go mieć na sumieniu.

Recepcjonista schował do kieszeni sztukę złota wartą tyle, co większość jego tygodniówki, po czym przesunął w ich stronę książkę meldunkową. Bell dokonał wpisu.

*PAN SANTE RUSSO,*

*AGENCJA DETEKTYWISTYCZNA VAN DORN,*

*HOTEL KNICKERBOCKER, NOWY JORK*

– Proszę powiedzieć kierownikowi sklepu, żeby nie zapomniał o pasku. I parze butów. I chusteczce do nosa.

Kiedy Russo brał prysznic, Bell rozparł się w fotelu. Miał za sobą długi dzień i noc, odkąd rozstał się z Marion w San Francisco. Bolała go rana na szyi, a także kolana, kostki, łokcie, ramiona i ręce po walce pod pociągiem. Obudziło go pukanie do drzwi. Kierownik sklepu przyprowadził krawca i pomocnika sprzedawcy. Szybko wyszykowali pirotechnika od stóp do głów.

Russo nie mógł oderwać oczu od swego odbicia w lustrze.

– Nie wiem, jak panu dziękować, *signore* Bell. Nigdy tak nie wyglądałem.

– Najlepiej mi podziękujesz, kiedy przyjrzy się temu.

Bell rzucił mu czerwoną tubę. Russo złapał ją w locie, rzucił na nią okiem i usiadł na łóżku.

– Skąd pan to ma?

– Ty mi powiedz.

– Na pewno nie z kościoła. To niemożliwe. Tam nic nie zostało.

– Co masz na myśli?

– Wielkie bum. Większe niż kiedykolwiek.

– Twierdzisz, że ta pojedyncza laska nie mogła zostać odrzucona w całości podmuchem eksplozji?

– To niemożliwe.



To nasunęło Bellowi kolejne pytanie.

– A te laski, które rozbroiłeś, czy były podobne do tej?

– Takie same. Skąd pan to ma?

– Jak to takie same? Przed chwilą mówiłeś, że to niemożliwe.

– Nie te same, tylko takie same. Ta sama... *marca. Marca!* - Wskazał nazwę Stevens wydrukowaną na tubie. - Skąd pan to ma?

– Ten sam rodzaj?

– Co?

– Znak firmowy?

Russo wzruszył ramionami.

– Marka?

– *Si. Marca.* Skąd pan to ma?

– *Mano Nera* - powiedział Isaac Bell.

– Takie same. Tak. *Si. Mano Nera* podłożyła dodatkowy ładunek. Tak jak mówiłem.

\* \* \*

W drodze na stację kolejową w Ogden Isaac Bell wstąpił do miejscowego biura agencji Van Dorn. Czekał tam na niego telegram, przesłany prywatną linią, w którym Helen Mills triumfalnie donosiła:

PRAWIE ZALICZONE

LYNCH ARESZTOWAŁ FAŁSZERZA W PENSYLVANII

TAKI SAM PAPIER

Bell zatelegrafował do Macka Fultona i Wally'ego Kisleya:

SPRAWDZIĆ KTO KUPIŁ PAPIER I TUSZ

W PRINTER'S ROW

NIECH HELEN TRZYMA SIĘ Z DALA

OD AGENTA LYNCHA

Potem pobiegł pędem na stację.

Podróż do Nowego Jorku trwała trzy dni i tyleż miał czasu na rozważania, jak to możliwe, że sprawa Czarnej Ręki nie tylko zataczała coraz szersze kręgi, ale też wykazywała dziwne powiązania. Rozpoznanie dynamitu przez Santego Russa oraz przywiązanie Czarnej Ręki do tego samego papieru listowego stanowiło wystarczający dowód, że cztery odrębne zbrodnie - porwanie małej Marii Vella, podłożenie dodatkowego ładunku wybuchowego, które doprowadziło do upadku firmę jej ojca, zamach bombowy na Banco LaCava i próba zamordowania Luisy Tetrzini - zostały popełnione przez ten sam gang. A teraz jeszcze fałszerstwo? Czyżby gang wszechstronnych przestępców, zastanawiał się Bell.

Problem w tym, że wszechstronni przestępcy nie istnieli. Wszyscy kryminaliści mieli skłonność do powtarzania się. Podobnie jak większość ludzi, trzymali się tego, na czym znali się najlepiej, i uważali, że skoro coś już raz im się udało, to powinno udać się ponownie. Brutale zajmowali się zastraszaniem, oszuści posługiwali się podstępem, kasiarze pruli sejfy, złodzieje kradli, porywacze żądali okupu, rabusie bankowi napadali na banki.

Podczas przesiadki w Chicago okazało się, że w pociągu 20th Century Limited czeka na niego telegram od Harry'ego Warrena. Harry także nie wierzył w istnienie wszechstronnych przestępców i dał temu wyraz w telegramie.

## FAŁSZERZ Z PENSYLVANII TO BANDZIOR OD SALATY DZIWNE WYJDĘ NA POCIĄG

– Ernesto! - krzyknął Charlie Salata. - Dokąd tak uciekasz?

Ernesto Leone poczuł serce w gardle. Sałacie towarzyszyli dwaj goryle, którzy blokowali jakąkolwiek możliwość ucieczki.

– Nie uciekam, tylko idę do domu. Przecież wiesz, że wynajmuję tu pokój.

– Więc zaproś mnie do środka.

We czwórkę weszli po schodach na górę. Fałszerz otworzył drzwi. Goryle zostali w korytarzu. Leone zapalił charkotliwą, gazową lampę. Barczysty Salata wypełniał sobą cały pokój. Podczas poprzedniej wizyty ukradł trochę drogiego

papieru. Tym razem Leone miał wrażenie, że Salata wysysa całe powietrze z pomieszczenia.

– Słuchaj, Charlie. Powiedziałem szefowi, że pieniądze nie są jeszcze gotowe. Nie chciał słuchać.

– Nie zasłaniaj się szefem.

– Nie zasłaniam się nim. Mówię tylko, że... Daj spokój, Charlie, przecież znamy się od dziecka. Ty poszedłeś w swoją stronę, ja w swoją, ale przecież nie jesteśmy wrogami.

Salata wsunął na palce straszliwy mosiężny kastet. Obok metalowych pierścieni sterczało krótkie ostrze. Leone nie mógł oderwać wzroku od okrutnego narzędzia. Co zamierza zrobić mu Salata? Zmasakruje go czy zadźga?

Salata bardzo powoli uniósł pięść i przycisnął kastet do policzka Leone. Kątem oka fałszerz widział ostrze.

– Mój człowiek został aresztowany. Potrzebuję tysiąc dolarów na kaucję.

– Załatwię pieniądze - powiedział głośno, a w duchu zadał sobie pytanie: ciekawe skąd?

– Co jeszcze?

– O co ci chodzi?

– Co jeszcze zamierzasz zrobić, żeby poprawić swój wizerunek?

– Zrobię, co będę mógł. Czego ty chcesz? Dostałem lepszy papier. Chcesz trochę nowego towaru?

– Pierwszy i ostatni raz puszczałem w obieg fałszywe pieniądze.

– To co ma być?

– Ja i Ferri mamy coś na oku.

– Ferri? - zdziwił się Leone. Roberto Ferri był przemytnikiem. - Od kiedy kombinujesz z Ferrim?

– Odkąd szef mi kazał... Jeśli się przyłączysz, dam ci spokój.

– A co ja mogę zrobić w nie swojej branży?

– Mój człowiek zaliczył wpadkę. Chcę, żeby ciebie spotkało to samo.

– Ale za co? Przecież jestem fałszerzem.

– Taki z ciebie fałszerz, jak z koziej dupy trąba. Ale faktycznie masz status *prominente*. Chłopcy wiedzą, że nie jesteś *cafone*. Jeśli coś pójdzie nie tak, weźmiesz całą winę na siebie.

– Gliny tego nie kupią. Wiedzą, że jestem tylko fałszerzem.

Salata obrócił dłoń. Kastet odsunął się od policzka Leonego, za to ostrze ustawiło się równoległe do jego oka.

– Nie chodzi o gliniarzy.

– A o kogo? Może o vandornowców?

Salata roześmiał się.

– Chciałbyś, żeby chodziło o vandornowców.

\* \* \*

Harry Warren czekał na Bella na peronie dworca Grand Central z wiadomością o kolejnym zatrzymanym przez Secret Service.

– Agent Lynch ma rekordowy tydzień. Secret Service przyłapała na północy stanu gościa, puszczającego w obieg takie same fałszywe banknoty.

– Też od Salaty?

– Nie. To człowiek Ferriego.

– Kim jest Ferri?

– Dowodzi bandą przemytników.

Bell zmierzał do wyjścia z pogrążonego w chaosie dworca, omijając ekipy pracujących robotników i wielkie dziury w podłodze głównej hali.

– Dlaczego szmugler bierze się za upłynnianie fałszywych pieniędzy?

– Kolejny dziwny przypadek - stwierdził Warren. - To samo powiedziałem, kiedy dorwali chłopaka od Salaty w Pensylwanii.

– Taki sam papier?

– Takie same fałszywki, taki sam papier.

– Jakie są szanse na to, że Salata przerzucił się na fałszowanie pieniędzy?

– Takie jak to, że niedźwiedź grizzly będzie wydawał kościelną kolację dla biednych. W każdym razie agent Lynch powiedział Helen, że towar był kiepski. Z powodu papieru. Nic dziwnego, że ich złapali. Za to matryce pierwsza klasa. Lynch uważa, że wykonał je niejaki Ernesto Leone. Nauczył się tej sztuki we Włoszech, a tutaj zdążył wykształcić gromadkę czeladników.

– Helen sporo wyciągnęła od Lyncha.

– Dała Lynchowi dokładny rysopis Leon’ego, robiącego zakupy w Printer’s Row, więc chyba poczuł się zobowiązany.

– Czy Lynch zdradził Helen, do czego przyznali się aresztowani?

– Aż tak bardzo nie zdołała zawrócić mu w głowie. Kiedy tylko o to spytała, natychmiast ją spławił.

– Na dobre?

– Obawiam się, że tak. Raczej nie dowiemy się niczego więcej od Secret Service.

Długonogi Bell maszerował szybkim krokiem do biura. Harry Warren ledwie za nim nadążał.

– Słyszałeś kiedykolwiek, żeby ten Ferri kombinował coś wspólnie z Salatą?  
- spytał Bell.

– Nie.

– Ja też nigdy nie słyszałem o wszechstronnej grupie przestępczej. Regułą jest raczej współpraca w ramach tej samej specjalności, ale ci ludzie łączą wymuszenia, zamachy bombowe, fałszowanie pieniędzy, przemyt i porwania dla okupu. Brutalne zbrodnie i przestępstwa wymagające sprytu. Czy to jakieś porozumienie pomiędzy gangami, kartel kryminalistów? A może pojedynczy geniusz zbrodni zmusza różnych gangsterów do wykonywania swoich poleceń?

– Choleśnie trudno jest utrzymać w ryzach bandę oszustów - zauważył Warren - nie mówiąc o grupie przestępców różnych specjalnościach.

– Czy stoi za nimi kartel czy pojedynczy geniusz, rosną w siłę, stają się coraz bardziej bezwzględni i coraz lepiej zorganizowani w porównaniu z detalistami, którzy przybrali miano Czarnej Ręki, żeby na ludzi padł blady strach. Zastanawiam się, do czego wezmą się następnym razem.

– Do czegokolwiek, co im się opłaci - rzucił Harry Warren.

– Pytanie, na czym się wreszcie zatrzymają - powiedział Bell.

## 12.

*Niniejszym zaprasza się na Różową Herbatkę  
Z kapitanem Michaelem Coligneyem  
19. Komisariat Okręgowy Policji  
Zachodnia Trzydziesta ulica  
Godzina 3 po południu  
Punktualnie*

Funkcjonariusz nowojorskiej policji w granatowym płaszczu z błyszczącymi mosiężnymi guzikami i w wysokim kasku maszerował przez Tenderloin, kręcąc młynka policyjną pałką. Po drodze pukał do drzwi każdego mijanego burdelu i wręczał drukowane zaproszenia dla właścicieli.

Nick Sayers, dumny gospodarz burdelu Wiśniowy Gaj, pojawił się w komisariacie dużo wcześniej, zanim przyszli jego konkurenci. Wkrótce i oni zaczęli się schodzić. Wyglądali na zaniepokojonych. Sayers czekał z nikłym uśmiechem na twarzy. Różowe Herbatki kapitana Coligneya rutynowo kończyły się wydaniem nakazu dla prowadzących „pensjonaty”, aby w ciągu dwudziestu czterech godzin zamknęły swoje „domy rozpusty”. Jednak w przeciwieństwie do biznesowych rywali, Nick Sayers chował asa w rękawie. Miał na sprzedaż informację, którą kupi nawet Nieprzekupny Mike.

Oczywiście, ktoś musiał dać cynk gazetom, więc dziennikarze prowadzący rubryki policyjne tłoczyli się w gabinecie Coligneya, i tak już wypełnionym zaproszonymi gośćmi, odzianymi w wieczorowe stroje.

– Czy to odniesie jakikolwiek skutek? - dopytywał się reporter dziennika „New York Sun”. - Przecież wystarczy, że nowi właściciele zmienią nazwy i interes zacznie kręcić się jak dawniej.

Barczysty, przystojny Coligney wyglądał olśniewająco w galowym mundurze i był dobrze przygotowany do starcia z dziennikarzami.

– Zamknięcie pensjonatów jest o wiele lepsze i mniej uciążliwe niż ściąganie tych nieszczęsnych kobiet do komisariatu, trzymanie ich całą noc w areszcie i stawianie przed sądem, który i tak puści je wolno.

Poskromiwszy prasę, zwrócił się do gości.

– Panie i panowie - powiedział, kłaniając się z galanterią kilku co bardziej zamożnym „mamuśkom” - częstujcie się herbatą, kanapkami i ciastkami. Ale zanim zaczniemy, chciałbym wszystkim uświadomić, że ciąży na was nakaz zamknięcia waszych domów rozpusty w terminie dwudziestu czterech godzin. Jutro od trzeciej po południu nie życzę sobie widzieć ani jednych otwartych drzwi czy palącego się światła.

Po wypiciu herbaty, nalewanej szczerze prosto z termosów, oraz zjedzeniu kanapek i ciasta całe towarzystwo opuściło gabinet z wyjątkiem właściciela Wiśniowego Gaju.

– Nick - zwrócił się do niego kapitan Coligney. - Czy nie powinieneś już pójść do siebie i zacząć pakować manatki?

– Tak pan uważa, kapitanie?

Dziwna pewność siebie w głosie Sayersa zaalarmowała Coligneya.

– Coś ci się nie podoba, Nick? Zechcesz mi powiedzieć co?

– Wolałbym, żeby mój pensjonat działał dalej.

– A ja wolałbym jeździć na wakacje do Newport, ale jakoś nie wyszło mi to w kartach.

– A w moich kartach wyszło - odparł Nick. - I zamierzam dobrze je rozegrać.

– Masz asa w rękawie? - spytał Coligney z groźnym błyskiem w oku. Upierścieniony i wyperfumowany Nick był kiedyś drobnym alfonsiakiem z żyłką do interesów, któremu udało się przekształcić skromny wianuszek ulicznic w luksusowego Ritza z Tenderloin, o czym kapitan dobrze wiedział.

Ale Nick nie stracił rezonu.

– Mam karete asów.

– Uważaj, chłopcze, żebyś nie nadział się na pokera - ostrzegł Coligney, zaciskając pięść.

– Kapitanie Coligney, oferuję panu bezcenną informację w zamian za możliwość dalszego prowadzenia pensjonatu.

– Bezcenną?

– Chodzi o sprawy najwyższej wagi.

Coligney pokazał na zegar wiszący na ścianie.

– Masz trzydzieści sekund.

– W moim pensjonacie powstał tajny klub, zrzeszający facetów z Wall Street. Tak tajny, że nawet pan nie wie o jego istnieniu.

– Czym się zajmują?

– Piją, gadają, łajdaczą się.

– A więc z grubsza robią to samo co inni twoi klienci, pomijając gadanie.

– I właśnie o to gadanie tu chodzi.

Coligney zauważył, że Nick zachowuje śmiertelną powagę. Właściciel burdelu naprawdę wierzył, że policja uczyni wyjątek dla jego przybytku.

– Dobra, wypluj to z siebie. Masz kolejne trzydzieści sekund.

– Ten ich tajny klub... to brzmi jak jakiś żart, ale wcale nie jest śmieszne. Ci dżentelmeni trzęsą całą Wall Street.

– Czy klub ma jakąś nazwę?

– Stowarzyszenie Dżentelmenów Wiśniowy Gaj.

– Oryginalnie.

– Mówiłem już, że to żart. W pewnym sensie.

– Zaraz minie twoje trzydzieści sekund.

– Podśledzałem ich - oznajmił Nick.

– Jak?

– Przez kanał wentylacyjny. Na górze słysząc, o czym rozmawiają w bibliotece.

– Ten kanał wentylacyjny to czysty przypadek? - spytał Coligney. - Czy może celowo go zbudowałeś, żeby móc podśledzić?

– To drugie - przyznał Nick, szczerząc zęby w uśmiechu.

– Po co?

– Chodzi o prognozy giełdowe. Ci faceci wiedzą o wszystkim, zanim jeszcze cokolwiek się wydarzy. Dwa razy udało mi się zarobić grubszą forszę. Raz na U.S. Steel i raz na Pennsylvania Rail...

Coligney zerwał się gwałtownie z miejsca, zwinąwszy obie dłonie w pięści.

– Chcesz mnie przekupić, dając mi cynk do kursów akcji?!

– Ależ skąd, kapitanie! Tłumaczę tylko, jak doszło do tego, że to usłyszałem.

– Co usłyszałeś?



Nick wziął głęboki wdech i wyznał:

– Zamierzają zabić prezydenta Roosevelta!

Kapitan policji zakołysał się na obcasach. Nick z zadowoleniem stwierdził, że wreszcie udało mu się przyciągnąć jego uwagę. Coligney opadł ciężko na krzesło i oparł się łokciami o biurko.

– Co dokładnie usłyszałeś?

Nick szczegółowo zrelacjonował rozmowę.

– Podaj ich nazwiska.

– Nie znam ich nazwisk.

– Przecież to twoi stali goście.

– Mogę powiedzieć, kto był wtedy obecny, ale nie wiem, kto z kim rozmawiał w bibliotece.

Nick wyjaśnił, że słyszał treść rozmowy, ale nie był w stanie rozróżnić głosów, zniekształconych przez kanał wentylacyjny.

– Powinieneś rozpoznać go po sposobie mówienia.

– Mówił jak nadęty dupek, kapitanie. Zresztą czego się spodziewać po ważniakach z Wall Street. Oni wszyscy są nadętymi dupkami.

Coligney zasypał Sayersa gradem pytań. Ponieważ Nick twardo trzymał się swojej wersji, policjant doszedł do wniosku, że naprawdę nie wie, który z „klubowiczów” groził prezydentowi. Zapisał sobie ich nazwiska. Siedmiu najbogatszych ludzi z Wall Street.

– Okej, umawiamy się tak. Dziś zamykasz lokal, tak jak cała reszta. Zmieniasz nazwę. Otwierasz w weekend.

– W ten sposób nikt się o tym nie dowie. Będzie wyglądało tak, jakby wkroczył ktoś z Tammany Hall i podał mi pomocną dłoń. - Nick pokiwał głową.

– Ale jeśli się okaże, że to jakieś banialuki, skończysz na sprzedawaniu dziwek kowalom z New Jersey. A teraz wynoś się stąd.

Pięć minut później Mike Coligney też opuścił komisariat, ubrany w szary płaszcz i kapelusz z rondem nasuniętym na oczy.

– Zaraz wracam - powiedział sierżantowi, pełniącemu służbę oficera dyżurnego przy wejściu. - Idę przewietrzyć myśli.

– O’Leary’s czy Normandie? - spytał sierżant.

– O’Leary’s.

Ale nie zatrzymał się w saloonie O'Leary's i pomaszerował dalej Broadwayem. Nie wdepnął także do baru Normandie, lecz poszedł skrótem do Szóstej Alei, wciąż rozmyślając o tym, czego się dowiedział. Dookoła kipiał Cyrk Szatana, a on mijał kamienice z cegły i domy z pruskiego muru, ulicznych rzezimieszków i pomniejszych bandziorów, tancbudy i saloony. Znów wyszedł na śródmiejską ulicę i w cieniu wiaduktu kolejki El zastanawiał się nad możliwościami i rozważał ewentualne komplikacje.

Kapitan Coligney miał dojmujące przeczucie, że spisek jest prawdziwy. I chociaż chodziło o sprawę najwyższej wagi, nie miał zielonego pojęcia, kogo mógłby obdarzyć zaufaniem i poprosić o pomoc w zneutralizowaniu zagrożenia. W szeregach nowojorskiej policji zapanował chaos. Niedawno mianowany komendant miejski, o ironio, przyjaciel prezydenta Roosevelta, wprowadzając nowe porządki, postawił podległą sobie służbę na głowie. Co gorsza, Bingham miał bzika na punkcie przekazywania wszelkich informacji z zachowaniem „drogi służbowej”. W tym przypadku droga służbowa wiodła przez politycznie ustosunkowanego inspektora, któremu Coligney nie powierzyłby śledztwa w sprawie kradzieży cukierków ze sklepu ze słodyczami.

Poza tym, kto wie, jak długo komendant Bingham utrzyma się na stanowisku albo do jak wielkiego bałaganu doprowadzi w przyszłości? W chwili obecnej Coligney był jedynym szefem komisariatu okręgowego, którego Bingham nie zdjął ze stanowiska, choć nałożył na niego karę finansową w wysokości ośmiu dniówek za złamanie obowiązujących procedur. A jeśli w samym środku śledztwa dotyczącego doniesienia Nicka Sayersa zostanie nagle zesłany na jakiś senny posterunek w Bronksie? Co więcej, kapitan był świadom ponurego faktu, że komendant, do niedawna pedantyczny wojskowy, nie miał żadnych predyspozycji do prowadzenia śledztwa w sprawie planowanego zamachu na prezydenta ani do podjęcia szybkich działań, od których mogło zależeć życie głowy państwa.

Coligney wszedł do saloonu przy Dwudziestej Czwartej ulicy i zadzwonił do kogoś z telefonu na zapleczu. Następnie wrócił na Broadway i, upewniwszy się, że nikt go nie rozpoznał, zbiegł po schodach na stację przy Dwudziestej Trzeciej i pojechał kolejką podziemną na Czterdziestą Drugą ulicę, po czym wśliznął się ukradkiem do znajdującego się na poziomie stacji dolnego hallu hotelu Knickerbocker.

Obok hallu znajdował się mały ciemny, podziemny bar. Przy narożnym stoliku, siedząc tyłem do ściany, czekał na niego stary przyjaciel Joseph Van Dorn wraz ze swym najlepszym detektywem, Isaakiem Bellem.

## 13.

– Postawmy sprawę jasno - powiedział Van Dorn po tym, jak Coligney wyłuszczył swoje rozterki. - Kapitan nowojorskiej policji chce zaangażować moją agencję detektywistyczną do zbadania pogłoski, zgodnie z którą nieznany z nazwiska członek tajnego klubu potentatów finansowych groził zamordowaniem prezydenta Stanów Zjednoczonych.

– To może być fałszywy alarm.

– Może tak, może nie, ale wtedy byłaby to prawdziwa bomba.

– Nie mam pieniędzy, żeby wam zapłacić. Musielibyście zgodzić się na handel wymienny.

– Pomijając życie prezydenta i dobro narodu - rzekł oschle Van Dorn - moja agencja nie sprzeniewierzy się zasadom detektywistycznego biznesu i pomoże wysokiej rangi gliniarzowi. Zwłaszcza takiemu, którego kariera rozkwitła za sprawą tegoż samego prezydenta wówczas, gdy Roosevelt był jeszcze komendantem policji.

Van Dorn zwrócił się do Isaaca Bella.

– Co o tym sądzisz?

Bell słuchał uważnie, poruszony inteligencją i jasnością wyводу Coligneya oraz tym, jak sprytnie zdołał obejść komplikacje stwarzane przez Binghamą.

– Jesteś pewien, że twój informator nie rozpoznał po głosie człowieka wypowiadającego te groźby? - spytał Coligneya.

– Maglowałem go osobiście przez dłuższy czas. Przypuszczam, że pogłos w przewodzie wentylacyjnym uniemożliwił mu rozróżnienie głosów.

– Czy dał ci listę członków tego klubu?

Coligney poklepał się po kieszeni.

– Mam nazwiska siedmiu, którzy byli obecni tamtej nocy.

Bell dałby się pokroić, żeby zobaczyć te nazwiska, ale wiedział, że Coligney nie przekaże im tej listy, dopóki nie zawrą z nim wiążącej umowy.

– Mój nos skłonny jest zgodzić się z nosem kapitana Coligneya - powiedział, zwracając się do Van Dorna. - Właściciel burdelu najprawdopodobniej mówi prawdę, przynajmniej w swoim mniemaniu. Musiałby być niespełna rozumu, by wymyślić taką ściemę, wiedząc, że policja nie daruje mu kłamstwa.

– On nie jest wariatem - zapewnił Coligney. - To większy cwaniak. Nie przypadkiem dorobił się sporej kasy w tej podejrzanej branży.

Isaac Bell i Joseph Van Dorn wymienili spojrzenia.

– Innymi słowy - zaczął Bell - niewykluczone, że wyssał z palca całą tę historię, aby zyskać na czasie, bo liczy na to, że cię przeniosą, jak innych komendantów okręgów, i dadzą kogoś łatwiejszego w obejściu na twoje miejsce w Tenderloin.

– Możliwe, że wstawił mi kit - przyznał Coligney.

Bell popatrzył wymownie na Van Dorna. Szef pokręcił głową, a potem zwrócił się do Coligneya:

– Tak się składa, że poznałem prezydenta, przelotnie, kiedy załatwiałem sprawy w Departamencie Sprawiedliwości. Czasem bywa arogancki, ale ma serce po właściwej stronie. Niestety, jak wynika z pisanej krwią statystyki, zawód prezydenta Stanów Zjednoczonych to ryzykowna robota. Dlatego, dopóki nie dostanę do ręki dowodów, że jest inaczej, muszę zakładać, że zagrożenie jest realne. Isaac zajmie się tą sprawą.

– O nic więcej nie proszę - powiedział Coligney. - Życzę ci szczęścia, Isaac.

Dał Bellowi listę nazwisk i uściśnął mu dłoń. Podziękował Van Dornowi i opuścił bar niespiesznym krokiem. Widać było, że zrobiło mu się lżej na sercu.

Isaac Bell wiedział, że będzie potrzebował szczęścia, i to sporo. Nagle znalazł się w sytuacji, w której prowadził dwa dochodzenia naraz. Czarna Ręka z dnia na dzień poczyniała sobie coraz śmieiej. A jeśli chodzi o tę nową sprawę, mimo że opierała się na zeznaniach niezbyt wiarygodnego właściciela burdelu, to trudno było zapomnieć, że Theodore Roosevelt objął urząd niecałe pięć lat temu po śmierci prezydenta McKinleya, zastrzelonego przez zamachowca.

\* \* \*

Nick Sayers podejrzliwie obracał w palcach bilet wizytowy Isaaca Bella.

– Co sprowadza prywatnego detektywa do Wiśniowego Gaju o tak wczesnej porze? Czyżby chęć miłego zakończenia wyczerpującej nocy?

– Popelniono przestępstwo - powiedział Bell, przyglądając się znacząco ekstrawaganckiemu wystrojowi biblioteki.

– Przestępstwo?

– Ktoś ukradł suknię madame Recamier.

– Co?

Bell wskazał gestem ogromną kopię olejnego obrazu Jacquesa-Louisa Davida, która zdominowała pomieszczenie. Utalentowany artysta szczegółowo odtworzył postać damy leżącej w niedbałej pozie na szezlongu z tą różnicą, że z jej ubioru, okrywającego ją na oryginale dzieła, pozostawił tylko czarną przepaskę na głowie.

Spostrzeżenie Bella wywołało pełen podziwu uśmiech na twarzy właściciela burdelu.

– Muszę przyznać, panie Bell, że pan pierwszy to zauważył.

– Domyślam się, że pańscy stali goście nie przychodzą tu, żeby oglądać ubrane kobiety.

– W czym mogę szanownemu panu pomóc?

– Proszę o chwilę rozmowy na osobności - odrzekł Bell. - Chcę przez to powiedzieć, że nie w tym pomieszczeniu.

– Co to ma znaczyć?

– Mamy wspólnego znajomego w organach ścigania.

Trzy minuty później pochylali się nad listą nazwisk w prywatnym gabinecie Sayersa na piętrze.

– Proszę mi dokładnie powiedzieć, co pan słyszał? - zwrócił się do Sayersa Bell.

– Początkowo nie zwracałem specjalnej uwagi. Gadali o prezydencie, ostro na niego najeżdżali. Ale to już słyszałem nieraz. Nienawidzili go.

– Co pan usłyszał?

– Nadstawiłem ucha, kiedy jeden z nich powiedział: „Jeśli utrzyma się dostatecznie długo, by zostać ponownie wybranym w 1908, dla ludzi majątnych zabraknie miejsca w tym kraju”.

– Dobrze - mruknął Bell. - Co dalej?

– Przez chwilę milczeli. Potem jeden z nich wyszedł do małego saloniku obok biblioteki.

– Skąd pan to wie?

– Dźwięk stamtąd jest głośniejszy. Zawsze się orientuję, kiedy się tam przenoszą. Właśnie tam rozmawiają czasem o najciekawszych sprawach. Dzięki temu poznałem kilka sekretów.

– Czy to stamtąd dowiedział się pan o akcjach U.S. Steel? - zgadywał Bell, mierząc wzrokiem świadka.

– Oczywiście - przyznał niespeszony Sayers, jakby podsłuchiwanie tajemnic giełdowych było tak samo uprawnionym zajęciem, jak leczenie czy spowiadanie. - Dlatego tych właśnie rozmów słucham szczególnie uważnie.

– Co pan usłyszał?

– Z początku kilka banałów, w stylu „Na co czekasz?” albo „Czy mógłbyś usiąść?” A potem nagle padło: „Już podjąłem decyzję. Ten człowiek musi umrzeć”. Wtedy ktoś powiedział: „Weź pod uwagę, że to nie jest byle kto. Chodzi o prezydenta Stanów Zjednoczonych”. Wtedy ten drugi podniósł głos: „Mam to gdzieś. Równie dobrze mógłby być angielskim królem albo cholernym papieżem. A nawet samym Wszechmogącym. Zniszczy nas, jeśli się go nie pozbędziemy”. Ten pierwszy spytał: „Nie ma innego wyjścia?” Na to ten drugi, głośno i wyraźnie: „Theodore Roosevelt zniszczy nas, jeśli się go nie pozbędziemy”.

\* \* \*

Isaac Bell pokazał listę Grady'emu Forrerowi, szefowi analityków agencji. Jego dział mieścił się w pokojach na końcu korytarza, gdzie niewielka armia młodych mózgowców wycinała artykuły z gazet i czasopism, wertowała książki i przysłuchiwała się bacznie rozmowom telefonicznym.

Forrer rzucił okiem na listę, a potem powiedział na głos:

– Arnold, Baldwin, Claypool, Culp, Manly, Nichols i Pendergast. Same rekiny finansjery.

– Co najmniej dwaj z nich spiskują w celu zabicia prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Forrer, ogromne chłopisko, uniósł sceptycznie krzaczastą brew, większą od wąsów.

– Stać ich na wynajęcie najdroższych speców od mokrej roboty.

– Tacy potentaci osobiście nie wynajmują płatnych morderców - zauważył Bell. - Chłopcy, czy uda wam się znaleźć nazwiska ich zaufanych współpracowników?

– To będzie wymagało trochę czasu. Ci, którzy pociągają za sznurki i prostują drogi, nie lubią rzucać się w oczy. Zwłaszcza gdy chodzi o kontakty z podziemiem przestępczym w poszukiwaniu zabójcy na zlecenie.

– Mam pełne ręce roboty - powiedział Bell. - Przyjmę każdą pomoc, jakiej możecie mi udzielić.

– A jak ci idzie z tym „kartelem kryminalistów”?

– Mój oddział specjalny pracuje nad tym bez wytchnienia. Próbujemy powiązać ze sobą sprawców porwań, wymuszeń, zamachów bombowych i fałszerstw.

– Nic dziwnego, że masz pełne ręce roboty.

Nagle twarz Forrera rozjaśniła się w zachwycie. Do jego gabinetu wpadła niczym fryga długonoga, ciemnowłosa Helen Mills.

– Wreszcie pana znalazłam, panie Bell. Dzień dobry, panie Forrer. Panie Bell, panowie Kisley i Fulton kazali mi panu przekazać, że znaleźliśmy Ernesta Leonego.

– Gdzie on jest?

– W dzielnicy portowej. Róg Czterdziestej ulicy i Jedenastej Alei.

Bell natychmiast ruszył do drzwi.

– Co fałszerz może robić w dzielnicy portowej?

– Pan Kisley wyraził nadzieję, że pan będzie wiedział.

## 14.

Isaac Bell wypadł z hotelu Knickerbocker, złapał tramwaj jadący w poprzek Manhattanu, wysiadł z niego, kiedy ten utknął w korku przy Dziesiątej Alei, i szybkim krokiem pomaszerował w kierunku Jedenastej. Wypatrzywszy sklep ze sprzętem rybackim, ukrył garnitur pod sztormiakiem i wyjął derringera z kapelusza, który wymienił na płócienną czapkę z daszkiem i hak sztauerski. Po

trzech minutach od wejścia do sklepu pędził Jedenastą Aleją w kierunku Czterdziestej ulicy.

Na rogu czekali na niego Kisley i Fulton.

– Dostaliśmy cynk, że wczoraj Leone zamelinował się w tym domu. Zauważyliśmy go, jak zszedł na śniadanie do pobliskiego baru, a potem zaraz wrócił na górę. Od tej pory go nie widzieliśmy.

– Wyglądał jak kłębek nerwów - dodał Mack. - Mógł nas zauważyć, wracając ze śniadania.

– Co on tu robi?

– Może czeka na jakiś towar przemycany na statku. Na przykład matryce wykonane we Włoszech. Przy nabrzeżu numer 75 stoi frachtowiec z Neapolu.

– Wychodzi!

Bell ujrzał szczupłego, smagłego mężczyznę, który wysunął głowę z bramy budynku i rozglądał się lękliwie jak zając wietrzący zagrożenie.

– Zgarnę go. Trzymajcie się za mną.

Odwrócił się plecami i obserwował w szybie odbicie fałszerza. Leone wahał się. Wyglądał tak, jakby chciał się cofnąć do środka. Wyszarpnął z kieszonki zegarek, sprawdził godzinę i schował go z powrotem. Znów się rozejrzał, schował głowę w ramiona i szybkim krokiem ruszył w stronę rzeki.

Po chodnikach kręciło się sporo dokerów, marynarzy i prostytutek. Bell nie musiał kłopotać się, że śledzony mężczyzna go zauważy. Przeszedł za nim na drugą stronę Czterdziestej ulicy, do miejsca, w którym kończyła się przy basenie portowym, tuż nad stacją towarową kolei Pennsylvania Railroad. Fałszerz zszedł w dół ze stromego brzegu w kierunku Trzydziestej Dziewiątej ulicy, a potem nagle wyrwał nad samą wodę.

Bell ujrzał barkę, która wpłynęła między główki równoległych nabrzeży i skierowała się do miejsca, w którym stał Leone. Była to szybka, parowa lichtuga, wykorzystywana do zaopatrywania statków. Z pirsu przeładunkowego zeskoczyli dwaj mężczyźni i pobiegli za Leonem. Obaj mieli ciemną karnację, przez co odcinali się od reszty jasnowłosych i niebieskookich robotników portowych. Leone wspiał się nieporadnie na drewnianą platformę nad samą wodą. Obaj mężczyźni wbiegli za nim i pomogli mu zejść na pokład lichtugi.

Wally Kisley i Mack Fulton zrównali się z Bellem.

– Ci dwaj to goryle Charliego Salaty.



Gangsterzy wskoczyli na pokład w ślad za fałszerzem. Lichtuga wycofała się rufą naprzód spomiędzy kei, zrobiła ciasny zwrot i zniknęła w dymie zasnuwającym rzekę.

– No i dokąd on się teraz wybiera? - spytał Kisley.

– Jeśli ma rozum, to jak najdalej stąd, zanim dopadną go Irlandczycy - odpowiedział Fulton.

Bell wskazał nabrzeże kolejowe.

– Idźcie do dyspozytora i z jego telefonu skontaktujcie się ze strażą portową. Przodownik O’Riordan powinien być na nabrzeżu A. Potem zadzwońcie do biura. Niech namierzą Eddiego Edwardsa, współpracuje teraz z koleją New York Central. I powiedzcie Harry'emu Warrenowi, żeby miał oko na meliny Salaty, na wypadek gdyby nasi zbiegowie zmierzali na Elizabeth Street.

\* \* \*

Statek z żywcem wynurzył się z kłębow węgłowego dymu, zasnuwającego rzekę Hudson. Holowniki dopchnęły go do nabrzeża przeładunkowego kolei Pennsylvania Railroad. Porykiwanie zaniepokojonych wołów towarzyszyło załodze podczas cumowania statku.

Ed Hunt i Tommy McBean, dwaj kuzyni rządzący gangiem West Side Wallopers z dzielnicy portowej, który trudnił się okradaniem statków i pociągów, siedzieli wewnątrz dostawczego furgonu i czekali na rozładunek wołów. Właśnie próbowali swoich sił w przemyśle narkotyków na dużą skalę. Kumpel z gangu, który musiał zniknąć z obawy przed policją i wypłynął aż w Teksasie, wpadł na pomysł przemytu meksykańskiej heroiny w wydrążonych wolicach rogach. Kuzyni zapłacili z góry. Teraz musieli tylko poczekać na woły, aby pozabierać im rogi.

Skracali sobie czas, podrabiając list od Czarnej Ręki do włoskiego sklepikarza, którego stać było na zapłacenie tysiąca dolarów, jeśli go dobrze nastraszyć. Obaj byli nowojorczykami czysto irlandzkiego pochodzenia, ale kto powiedział, że trzeba być Włochem, żeby wysłać komuś list od Czarnej Ręki. Położyli kartkę papieru na pokrywie beczki i pracowali mozolnie przy świetle wpadającym przez klapę w dachu furgonu. McBean narysował czaszki, noże, pistolety i czarną dłoń, a Hunt nagryzmolił groźby. Teraz przekomarzali się wesoło, naśladowując wodewilowy włoski akcent:

– Ty płacić pienionzee?

– Co tak duzio?

\* \* \*

Isaac Bell machnął swoją odznaką agencji Van Dorn i wcisnął pięć dolarów próbującemu go zatrzymać detektywowi z Pennsylvania Railroad, po czym pobiegł dalej, na koniec pirsu dla barek kolejowych, wrzynającego się na kilkadziesiąt metrów w wody rzeki. Tu wspiął się na dźwig bramowy, który podnosił i opuszczał ruchomą rampę z torami, dostosowując ją do poziomu pokładów barek. Z wysokości sześciu metrów przeszukiwał wzrokiem zadymioną rzekę, ale nie mógł nigdzie dostrzec lichtugi, którą odpłynął Leone z gorylami Salaty.

Zaczął schodzić z dźwigu, gdy nagle zorientował się, że szukał nie tam, gdzie powinien. Lichtuga znajdowała się całkiem blisko, niemal u jego stóp, przy burcie statku przewożącego bydło, przycumowanego z boku do pirsu kolejowego. Widocznie po odbiciu od nabrzeża zawróciła na środku rzeki i podeszła do sąsiedniego. W chwili, kiedy ją zauważył, kilkunastu ludzi przeskakiwało przez burtę statku na lichtugę. Ostatnim z nich był Ernesto Leone. Lichtuga odpłynęła, a Bell patrzył bezradnie, jak fałszerz po raz kolejny w krótkim odstępie czasu wymyka mu się z rąk.

No, niezupełnie, powiedział sobie w duchu. W oddali ujrzał motorówkę policji portowej, prującą wody rzeki z prędkością dwunastu węzłów. Całą naprzód, przodownik O'Riordan! Włosi zauważyli wodnych gliniarzy. Zawrócili lichtugę w miejscu i przybili do nabrzeża. Kiedy policyjna motorówka mijała wejście do basenu portowego, ostatni z gangsterów zeskakiwał na brzeg.

\* \* \*

Wóznica furgonu Hunta i McBeana zastukał w dach trzonkiem bata.

McBean oderwał się od listu Czarnej Ręki i popatrzył na zewnątrz przez otwór w ścianie wozu.

– Idą krowy.

Hunt wyglądał przez sąsiedni otwór. Nagle mina mu zrzędła.

– Gdzie się podziały ich rogi? - spytał McBeana.

Większość wołów zaganianych do zagrody nie miała rogów. Niektórym został tylko jeden.

– Ktoś ukradł nasze rogi.

Irlandczycy wyskoczyli z furgonu z twarzami nabiegłymi krwią. Zacisnęli pięści i pobiegli do zagrody. Hunt przeskoczył ogrodzenie i zapaśniczym chwytem złapał za łeb najbliższego jednorożnego opasa. Zwierzę usiłowało go strząsnąć. Z drugiej strony doskoczył McBean. Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Róg został równo odpiłowany, a w jego podstawie znajdował się gwintowany otwór.

– Odkręcili je, sukinsyny.

Podbiegł do nich woźnica.

– Tamci goście mówią, że przed chwilą zgraja Italiańców zeszła na ląd z lichtugi.

– I co z tego?

– Jeden z nich upuścił worek. Był pełen krowich rogów.

– Dokąd poszli?

– Przebiegli przez Trzydziestą Szóstą ulicę.

\* \* \*

Ucieczka Charliego Salaty i jego ekipy została zablokowana przez długi i powolny pociąg towarowy kolei New York Central, wlokący się Jedenastą Aleją w tempie ustanowionego przez miasto kolejowego gliniarza, który eskortował go, jadąc na koniu. Salata wychodził z siebie ze zdenerwowania. Wszystko, co mogło się nie udać, faktycznie się nie udało. Nie wiadomo, skąd wzięła się policja portowa, jeden z jego ludzi został poturbowany przez krowę, szlag trafił lichtugę. Dobrze, że przynajmniej mieli prochy, także te z worka, który ten nieudacznik Leone upuścił na oczach połowy robotników portowych. Teraz jednak tkwili na terytorium Wallopersów, z dala od Małej Italii.

Nagle rozległ się odgłos szybkich kroków od strony Trzydziestej Szóstej ulicy. Nadciągali Wallopersi.

## 15.

Isaac Bell trzymał się tuż za Włochami, odkąd spostrzegł ich opuszczających pokład lichtugi. Kiedy drogę ucieczki zatarasował im pociąg, odległość zmniejszyła się do dwudziestu metrów, dlatego przywarł plecami do drzwi w płytkiej bramie.

Dziwięciu mężczyzn niosło worki. Leone upuścił swój, kiedy zeskakiwał na brzeg. Z worka wysypało się na ziemię coś, co wyglądało jak krowie rogi, które szybko pozbierali jego towarzysze. Fałszerz przedstawiał sobą żaloszny widok. Co chwilę oglądał się ze strachem przez ramię, wpadał na innych gangsterów i generalnie plątał im się pod nogami. Pozostali wyglądali na twardech zawodników, rwących się do bitki.

Bell rozpoznał ich przywódcę, Charliego Salate, który nie zdołał zwęszyć obecności zamaskowanych detektywów na Elizabeth Street i poszczuł nożownika na praktykanta Richiego Cirilla. Obok niego biegł właśnie ów nożownik, Vito Rizzo, z nosem rozkwaszonym przez Wisha Clarkea na schodkach prowadzących do saloonu Kips Bay.

Cokolwiek ukradli czy przemycali Włosi, musiało to przyciągnąć uwagę okolicznych Irlandczyków z West Side Wallopers, odłamu gangu Gophersów, bardziej krwiożerczego od pierwowzoru. Bell rozpoznał ich po pstrokatych ciuchach. Dostrzegłszy oznaczone bliznami twarze przywódców grupy, zorientował się, że Tammany Hall znów wyciągnęła z więzienia Eda Hunta i Tommy'ego McBeana.

Z saloonów i domów z tanimi pokojami do wynajęcia wybiegało coraz więcej Wallopersów, którzy dołączali do pościgu. Banda zatrzymała się kilka bram przed tą, w której ukrył się Bell. Jeden z gangsterów zagwizdał przeciągle na palcach.

Na ten sygnał podbiegło do nich kilka misternie ufryzowanych kobiet w wymyślnych kapeluszach. Kształtne jak słynna aktorka Lillian Russell, stały z kamiennym wzrokiem niczym posągi, a faceci gmerali im w stanikach i tiurniurach w poszukiwaniu schowanych tam rewolwerów, za których posiadanie mogli zostać aresztowani przez policję.

Wszyscy Włosi także wyciągnęli broń, z wyjątkiem fałszerza Leonego.

Bell odniósł wrażenie, że pierwsze wystrzały padły jednocześnie z obu stron. Tak czy inaczej, tuż po nich rozpętała się gwałtowna kanonada i wysoki detektyw znalazł się w samym środku konfliktu zbrojnego. Kule odłupywały drzazgi z ościeżnic, tłukły szyby i rykoszetowały od bruku.

Na wypadek gdyby nacierający Wallopersi albo kontratakujący gangsterzy Salaty zamierzali schronić się w jego bramie, Bell wyciągnął pistolet. Miał powody przypuszczać, że dysponując samopowtarzalnym pistoletem, jest od nich lepiej uzbrojony, ale ich było co najmniej dwudziestu. Naciskali spusty z najwyższą możliwą częstotliwością i siali ołowiem jak dwa prujące do siebie nawzajem karabiny maszynowe Maxim. Rzut oka wzdłuż ulicy pozwolił mu stwierdzić, że Irlandczycy nie oszczędzają amunicji, bo ich kobiety podrzucały im portmonetki pełne zapasowych nabojów.

Wysoki detektyw zerknął teraz na Włochów, którzy wyciągali z worków pudełka z amunicją i przeładowywali z prędkością świadcząca o zaprawieniu w podobnych strzelaninach. Bell skulił się w swojej bramie, która nagle wydała mu się bardzo płytka.

Korzystając z chwili ciszy, wyjrzał jeszcze raz ze swojej kryjówki. Zerknąwszy w kierunku Włochów, zauważył, że nadarza się niespodziewana okazja do schwytania Ernesta Leonego. Przerażony fałszerz próbował odczołgać się w bezpieczne miejsce, szorując brzuchem po brukowcach i osłaniając rękami głowę. Facet ewidentnie nie pasuje do sytuacji, pomyślał Bell. Z drugiej strony, był jedynym człowiekiem, który mógł wyjaśnić przyczynę dziwnego sojuszu sprawców wymuszeń, zamachowców podkładających bomby, porywaczy, przemytników i fałszerzy.

Bell wysunął się z osłony. Kule rozszarpały mu rękaw, a jedna przeszła tuż koło jego ramienia. Oderwał się od ściany budynku i pokonawszy niemal dwadzieścia metrów sześcioma długimi susami, dotarł do Leonego. Chwycił fałszerza za kark i wciągnął do najbliższej bramy.

– Jesteś aresztowany.

– Nie mam broni! - wykrzyknął Ernesto Leone.

Szaleniec, który wyciągnął go z opresji, teraz przystawił mu lufę do głowy i wodził dłonią po ubraniu w poszukiwaniu pistoletu.

– Nie noszę broni. Ja tylko fałszuję pieniądze.

Leone od dawna obawiał się, że jest pod obserwacją. Wydawało mu się, że ktoś za nim chodzi. Przypuszczał, że to agenci Secret Service, więc w razie zatrzymania wolał nie pogarszać swojej sytuacji posiadaniem broni.

– Gadaj, co wiesz.

– Co? - Leone ledwie słyszał pytanie przez ogłuszające odgłosy strzelaniny.

– Uratowałem ci życie.

– Wiem - potwierdził Leone, spuszczać głowę.

– Kto jest twoim szefem?

– Nie wiem.

W bramę wpadł Charlie Salata z rewolwerem w dłoni.

Isaac Bell strzelił pierwszy. Upadając, Salata pociągnął za spust. Kula trafiła fałszerza w gardło. Z rozerwanej tętnicy bryzgnęła fontanna krwi. Bell przykucnął nad nim, wyciągnął mu koszulę ze spodni i oderwawszy pas materiału, owinał nim szyję rannego, próbując zatamować krwawienie. Bezskutecznie.

Ponad rewolwerową pukaniną nagle rozbrzmiał głośny huk. Bell rozpoznał odgłos wystrzałów z samopowtarzalnej strzelby Browning Auto-5 kaliber .12. Skąd u gangsterów taka broń, przemknęło mu przez myśl. Okrzyki przerażenia i szybkie kroki ludzi rozbiegających się na wszystkie strony pozwalały przypuszczać, że do starcia przyłączył się nowy uczestnik i zrobił to z przytupem.

Leone konał mu na rękach.

– Isaac!

Pociąg towarowy blokujący Jedenastą Aleję wreszcie przejechał. Włosi uciekali na wschód, a Irlandczycy wraz ze swymi damami w przeciwnym kierunku. Na ulicy zaroilo się od gliniarzy kolei New York Central Railroad, którzy ścigali ich ogniem ze śrutówek. Prowadził ich siwowłosy Eddie Edwards, specjalista agencji Van Dorn od kolei.

– Usłyszałem strzelaninę i domyśliłem się, że możesz być w opałach.

– Gdzie się podział Salata? - Nigdzie nie było widać gangstera, który zastrzelił fałszerza.

– Pewnie jest w połowie drogi do Małej Italii.

– Postrzeliłem go - powiedział Bell. - Biegiem! Musimy go dorwać!

\* \* \*

Elizabeth Street była zatłoczona jak podczas jakiegoś święta. W bezchmurny i chłodny wieczór tysiące ludzi wyległo z dusznych kamienic na dwór, by cieszyć się ostatkami jesieni przed nadejściem mroźnej zimy. Wysoka scena teatrzyku kukielkowego blokowała niemal całą szerokość ulicy. Ludzie gromadzili się pod girlandami kolorowych świateł i schodzili z chodników na jezdnię. Ruch kołowy praktycznie zamarł. Kramarze nie nadążali z obsługiwaniem tłoczących się klientów.

Między nimi przechadzał się Antonio Branco, odziany w granatowy garnitur, czerwony szalik i melonik. Jakieś zamieszanie przyciągnęło jego wzrok: Charlie Salata z ręką na temblaku kroczył dumnie za gorylem, torującym mu drogę przez tłum. Jeśli oczekiwał nagrody za podwędzenie prochów Wallopersom, to przy najbliższej spowiedzi miał się dowiedzieć, że szef obarcza go całkowitą odpowiedzialnością za śmierć fałszerza.

Wymieniając ukłony z licznymi znajomymi, Branco przepychał się w kierunku teatrzyku lalkowego. Marionetki niemal naturalnych rozmiarów człowieka, z jasno pomalowanymi twarzami i w barwnych kostiumach, były dobrze widoczne nawet z daleka, ale trzeba było podejść bliżej, żeby usłyszeć narratora. Z drugiej strony chyba wszyscy widzowie znali od dziecka te historie. Nagle wpadł na Giuseppego Vellę, który wykrzyknął:

– Co za cudowna noc!

– Wygląda na to, że wybrnąłeś ze swoich kłopotów.

Rozbawiony Vella wzruszył ramionami.

– Tu „koszty sądowe”, tam „dobrowolny datek” i jakoś udało mi się odzyskać licencję.

Branco skinął głową w kierunku marionetek, ubranych w rycerskie stroje.

– Co to za sztuka?

– *Un'awentura di Orlando Furioso.*

– Roland? - roześmiał się Branco. - To tak jak ty i ja, przyjacielu. Stawiliśmy opór podczas odwrotu.

Nagle Vella stracił humor.

– Popatrz na tych goryli, poniewierających wszystkich dookoła.

Rizzo dołączył do Salaty. Miał opatrunek na uchu, a po spotkaniu z vandornowcami pozostała mu pamiątka w postaci złamanego nosa i podbitych oczu. Obaj przeciskali się przez tłum, roztrącając ludzi na boki.

– Zachowują się tak, jakby ulica należała do nich - utyskiwał Vella.

– Cóż, w pewnym sensie mają rację - odparł Branco.

– Ale nie powinno tak być.

– To nie będzie trwać wiecznie. *Buona sera*, przyjacielu. Muszę się z kimś przywitać.

\* \* \*

Isaac Bell liczył na swój wzrost, rozglądając się w ulicznym tłoku za Charliem Salatą. Wciąż miał na sobie czapkę i sztormiak, a w ręku hak sztauerski, które kupił na Jedenastej Alei, aby wtopić się w otoczenie. Harry Warren obserwował schody pożarowe, wypatrując zasadzki Czarnej Ręki. Nie spuszczał też z oka samego Bella. Nigdy dotąd nie widział go tak rozgniewanego, a ponieważ znał go dobrze, wiedział, że wysoki detektyw obwinia samego siebie o śmierć fałszerza Leone. Przed nimi wyrósł zaimprovizowany teatr marionetek, blokujący ulicę. Rycerze w kolorowych strojach z mieczami i tarczami walczyli ze sobą, sterowani za pomocą prętów i sznurków z zasłoniętego pomostu nad sceną.

– O co oni się biją? - spytał Bell.

– O honor, sprawiedliwość, wiarę i kobiety.

– Tak samo jak prywatni detektywi.

– Mają ładniejszą wdzianka - powiedział Warren.

– Pewnie radzą sobie lepiej niż my teraz - odrzekł Bell i nagle coś przyszło mu do głowy. Wpatrując się w lalki, dodał: - Zdaje się, że Ernesto Leone nie skłamał.

– W jakiej sprawie?

– On naprawdę nie wiedział, kto jest jego szefem.

– Może nie miał szefa.

– Oczywiście, że miał. Dlatego Salata go zastrzelił.

– Sycylijczycy nie wydają swoich.



– Mam wrażenie, że Leone miał ochotę to zrobić. Powiedziałby mi, gdyby wiedział.

– Być może.

– Leone nie był mordercą. Fałszerz to tylko oszust. Był mi wdzięczny za uratowanie życia, ale po prostu nie wiedział. Jeśli się nie mylę co do tego ich szefa, który kieruje wszystkim z ukrycia, to jest on jak lalkarz, pociągający za odpowiednie sznurki.

– Jak na to wpadłeś?

– Popatrz na te lalki.

– A co? Coś z nimi nie tak? - spytał podejrzliwie Warren.

– Marionetki nie widzą, kto pociąga za sznurki... Harry! Są tam!

Charlie Salata z ręką na temblaku oraz Rizzo z opatrunkiem na uchu. Dzielilo ich od nich najwyżej dziesięć metrów. W tej samej chwili oni zauważyli Bella i wyciągnęli rewolwery spod płaszczy.

Między nimi a bandytami stały dziesiątki mężczyzn, kobiet i dzieci. Panował taki tłok, że tylko ci, którzy stali obok gangsterów, zauważyli wyciągniętą broń. Gdyby detektywi sięgnęli po pistolety, skończyłoby się to masakrą.

Charlie Salata o tym wiedział. Pomachał im drwiąco na pożegnanie, po czym wraz z Rizzem zniknął za sceną. Bell ruszył za nimi, ale Harry Warren złapał go za ramię.

– Odpuść. Oni zaczną strzelać. Nie obchodzą ich przypadkowe ofiary.

Bell zatrzymał się. Warren miał rację.

– Okej. W takim razie to koniec na dziś.

– Znam tę okolicę - powiedział Harry Warren vel Salvatore Guaragna i zniknął w tłumie.

Bell udawał, że ogląda lalki okładające się mieczami, ale cały czas omiatał wzrokiem twarze, licząc na to, że rozpozna któregoś z ludzi Salaty. Nagle usłyszał za plecami:

– Dobry wieczór, panie detektywie.

\* \* \*

Bell odwrócił się i stanął twarzą w twarz z Antoniem Brankiem.

– Co pan robi w Małej Italii w rynsztunku dokera? - spytał hurtownik z ironicznym uśmiechem, błędzącym po jego ruchliwej twarzy.

– Ścigam gangstera z Czarnej Ręki, nazywa się Charlie Salata.

– Właśnie się pan z nim minął - powiedział Branco. - Potężny mężczyzna z ręką na temblaku, roztrącający ludzi, jakby ulica należała do niego.

– Wiem, jak wygląda.

– Wszedł za scenę.

– Widziałem - odrzekł Bell. - Za duży tłok. Mogliby zginąć niewinni ludzie.

– A pan znów z tymi niewinnymi Włochami - prychnął Branco. - Chyba naprawdę pan w to wierzy.

– W co?

– W to, że z każdego *cafone* i *contadino* zrobi pan Amerykanina.

– Co to znaczy *cafone* i *contadino*?

– Prostack i bosonogi chłop.

– Tak to działało w przeszłości, więc może udać się jeszcze raz. A tak na marginesie, co pan zamierza dla nich zrobić?

– Znajduję im pracę i daję im jeść.

– To tylko początek - zauważył Bell. - Jest pan człowiekiem zamożnym, *prominente*. Co zamierza pan zrobić z żerującymi na nich przestępcami?

– Nie jestem policjantem ani detektywem.

– Dlaczego nie wykorzystasz pan stowarzyszenia Biała Ręka?

– Nie za bardzo nam wyszło z tym stowarzyszeniem, prawda?

– Trzeba by zadziałać na większą skalę - odparł Bell. - Zainwestować więcej pieniędzy i wysiłku, wykorzystać swoje umiejętności. Jest pan biznesmenem, wie pan, jak wiele zależy od dobrej organizacji. Mógłby pan nadać stowarzyszeniu zasięg ogólnokrajowy.

– Ogólnokrajowy?

– Czemu nie? W każdym większym mieście jest włoska kolonia.

– Interesujący pomysł - powiedział Antonio Branco. - Dobranoc, panie Bell.

– Pamięta pan nóż, którym groził mi pan w Farmington?

– Pamiętam nóż, który wyciągnąłem, aby się bronić.

– A właśnie, to był chyba nóż sprężynowy. Miał ostrze wysuwane czy składane?

Branco roześmiał się.

– Co pana tak rozbawiło?

– Pańskie maniery pozwalają przypuszczać, że pochodzi pan z wyższych sfer. Mam rację?

– Powiedzmy, że tak - odrzekł Bell.

– Roześmiałem się, bo panu się wydaje, że zagraniczny robotnik, emigrant, odważyłby się paradować z nielegalną bronią. Wasz rząd nazywał nas cudzoziemcami, zresztą nadal to robi. Za posiadanie sprężynowego noża można dostać lanie od policji i trafić do więzienia. To był zwykły scyzoryk.

– Nie widziałem, żeby ktoś tak szybko rozłożył scyzoryk.

– Tylko się panu wydawało, że to było szybko - stwierdził Branco. - Był pan młody i wystraszony. Podobnie jak ja.

## 16.

Głos, który rozległ się w ciemności, wyrwał Tommy'ego McBeana ze snu.

– Co?

– Słuchaj.

– Kim ty, do cholery, jesteś?! - McBean sięgnął pod poduszkę po rewolwer. Nie było go tam. Wszystko przez to, że kompletnie pijany poszedł do łóżka w jakimś obcym hotelu z nieznaną kobietą. Teraz ona zniknęła, a wraz z nią jego broń. To ci dopiero. Dał się wykołować jak ostatni frajer.

Wściekłość uderzyła mu do głowy. Gotów zabić gołymi rękami, gdyby tylko mógł dostrzec tego człowieka, usiadł gwałtownie na łóżku i wrzasnął:

– Czego chcesz?!

– Mamy krowie rogi.

– Co ty powiesz? - parsknął Tommy. - Macie moje prochy? Ciekawe, komu, do diabła, zamierzacie je sprzedać?

– Mamy kupca. Płaci dużą forszę.

Facet gadał jak Italianiec. Jeszcze jeden przeklęty makaroniarz. Z dnia na dzień jest ich coraz więcej.

- Kto to jest?
- Dziany gość.
- Niech cię szlag trafi, kto to jest?!
- Ty.
- Ja? Co ty wygadujesz?
- Nie ukradliśmy twojej heroiny.
- Jak to, przecież sam to przed chwilą powiedziałeś.
- Nie ukradliśmy. My ją porwaliśmy.

McBean opuścił stopy na podłogę. Poczł na czole zimną stal. Zlekceważył to i zaczął się podnosić. Nagle poczuł ukłucie między żebrami. Głos dobiegający z ciemności powiedział:

- Mam tylko dziesięć centymetrów do twojego serca.

McBean opadł z powrotem na łóżko.

- Chcesz okupu? Przejęliście nasze prochy dla okupu?
- Ty masz siatkę handlarzy i ty ją będziesz sprzedawał.
- Wypowiedzieliście nam wojnę.

Italianiec zaskoczył go, mówiąc:

- Wy ją wygracie.
- A żebyś wiedział.

– Nie tak, jak myślisz. Wy macie Fordham College. Wy macie Uniwersytet Bostoński. A my? Klasę wyrównawczą dla głupich Italiańców.

- Co ty trujesz?

– Mamy więcej głodujących ludzi niż wy. Irlandczycy zdążyli się już dorobić. Włosi dopiero zaczynają. Za dziesięć lat wszyscy będziecie kończyć studia. A my za dziesięć lat przejmujemy port.

- Nigdy nie będziecie rządzić w porcie.

Nieznajomy roześmiał się.

- Możemy się założyć, ale najpierw zapłacisz okup.
- A jeśli nie zapłacę?
- Wrzucimy prochy do rzeki.

- O rany... Dobra. Ile chcecie?
- Połowę ceny.
- Muszę pogadać z kuzynem.
- Ed Hunt nie chciał robić z nami interesów.
- Ed nie chciał? To ja też nie chcę.
- Hunt nie żyje.
- Ed nie żyje?
- To jak, umowa stoi?

Tommy McBean nie potrafił sobie wyobrazić, że Ed Hunt nie żyje. To było tak, jakby wstrzymać bieg rzeki. Teraz sam będzie dowodził Wallopersami.

- Co mu się stało?
- Zdaje się, że miał atak serca.

\* \* \*

Antonio Branco wracał piechotą z dzielnicy portowej do Małej Italii.

Przez te dziesięć czy więcej lat, bo tyle potrwa przejmowanie nowojorskiego portu, popłynie morze krwi. Irlandczycy nie puszczą płazem kradzieży narkotyków i śmierci Hunta. Zapanuje chaos. Rozpęta się pandemonium.

Po drodze, zgodnie ze swym zwyczajem, wstąpił do Ghiottones Cafe przy Prince Street. Mimo późnej pory saloon pracował pełną parą. Sam Ghiottone osobiście przyniósł mu wino.

– Witaj, *padrone* Branco. Jak twoje zdrowie? Czy mogę przysiąc się na słowo?

Branco wskazał mu gestem krzesło.

Ghiottone usiadł i zakrywszy usta owłosioną dłonią, mruknął:

- Dotarły do mnie ciekawe wieści.
- O co chodzi?
- Szukają płatnego mordercy - odpowiedział Ghiottone.

\* \* \*

Widać nie wszyscy dali się nabrać na przykrywkę „hurtownika”. A już na pewno nie właściciel saloonu, pracujący dla Tammany Hall. Najlepszy dowód, że chaos może zagrozić każdej idei.

– Dlaczego mi o tym mówisz?

Ghiottone uśmiechnął się dobrotliwie.

– *Padrone* zatrudnia pracowników. Ludzi od kilofa i łopaty. Kamieniarzy. Natomiast pan zatrudnia *padrones*. Kto wie, kogo jeszcze?

– Wciąż nie wiem, dlaczego mi to wszystko opowiadasz.

Ciekawe, czy Ghiottone wiedział, że stąpa po cienkiej linii, ryzykując życie?

– Czy zna pan słowo „teoretyczny”? - spytał Ghiottone.

– Co niby ma być *teoretico* twoim zdaniem?

Ghiottone rozłożył szeroko ramiona, sygnalizując, że nie miał niczego złego na myśli.

– Czy możemy porozmawiać *teoretico*?

Branco uprzejmie skinął głową. Być może właściciel saloonu wiedział, że ryzykuje życie. Być może wcale nie chciał rozpętać tego, czego nie udałooby się już zatrzymać.

– Proponują ogromne honorarium. Pięćdziesiąt tysięcy.

– Pięćdziesiąt tysięcy? - Branco nie wierzył własnym uszom. - Za tyle można wymordować cały pułk.

– Chodzi o jednego człowieka.

– O kogo?

– Tego mi nie powiedziano. Oczywiście, to ktoś bardzo ważny.

– I zapewne dobrze strzeżony. Kto płaci?

– Kto to wie?

– Kto płaci? - powtórzył Branco z naciskiem.

– Czy to istotne? - spytał Ghiottone. - Dowiedziałem się o tym od człowieka, któremu ufam.

– Jak się nazywa?

– Dobrze pan wie, że nie mogę tego zdradzić. Nie interesowało mnie, kto mu zlecił tę robotę. On też na pewno nie dopytywał się, skąd przyszło zlecenie. Lepiej nie wiedzieć za dużo. Tak jest bezpieczniej.

„Kid Kelly” Ghiottone chyba miał klapki na oczach. Najwyraźniej nie docierało do niego, że i tak jest już powiązany - jak brankard na końcu pędzącego pociągu - z grubą rybą, którą stać było na wyłożenie pięćdziesięciu tysięcy dolarów za śmierć jednego człowieka. Branco wyobraził sobie, jak przeskakuje z dachu brankardu na poprzedzający go wagon towarowy, a potem na następny i biegnie po chybottliwych dachach kolejnych wagonów, aby w końcu dotrzeć do lokomotywy.

\* \* \*

– A więc przyszli z tym do ciebie... - Branco zamyślił się. - Dlaczego w ogóle zwrócili się z tą sprawą do Włocha?

Ponieważ Ghiottone wzruszył tylko ramionami, Branco sam odpowiedział sobie na to pytanie. Spiskowcy chcieli zrzucić z siebie odpowiedzialność najlepiej na kogoś, kto nie ma żadnych związków z potentatem, będącym faktycznym zleceniodawcą zabójstwa. A nie ma lepszego kozła ofiarnego niż szalony włoski emigrant albo anarchista.

– Co pan na to? - spytał Ghiottone.

Branco milczał przez dłuższą chwilę, nie dotknąwszy nawet swojego kieliszka. W końcu powiedział:

– Zastanowię się.

– Nie mogę czekać. Będę musiał pójść z tym do kogoś innego.

Antonio Branco przeszył właściciela saloonu spojrzeniem zimnym jak stal.

– Do nikogo nie pójdziesz. Zaczekasz, aż się zastanowię nad wyborem odpowiedniego człowieka.

– Pięćdziesiąt kawałków to fortuna - upierał się Ghiottone. - Jedna trzecia albo połowa dla pośrednika to wciąż bardzo wiele.

Branco zerwał się gwałtownie na równe nogi.

– Czy stało się coś złego? - spytał Ghiottone.

– To nie jest odpowiednie miejsce do rozmowy o takich interesach. Oczekaj dziesięć minut, a potem wejdź do hurtowni bocznym wejściem. Tylko upewnij się, czy nikt cię nie widzi.

Branco odegrał przedstawienie z dziękowaniem mu za wino, powiedział wszystkim dobranoc i opuścił zatłoczony lokal.

\* \* \*

„Kid Kelly” Ghiottone odczekał pięć minut, a potem przeciął Prince Street i wszedł w alejkę. Rozejrzał się, czy nikt go nie obserwuje, i zapukał do bocznego wejścia do hurtowni.

Antonio Branco poprowadził go przez magazyny pachnące kawą, oliwą, dobrą wędliną i czosnkiem do schodów, którymi zeszli do czystej i suchej piwnicy. Otwierając drzwi, powiedział:

– Tutaj nikt nas nie podsłucha.

Weszli do pomieszczenia, w którym stała klatka z metalowych prętów, podobna do celi na posterunku policji przy Mulberry Street, skąd Ghiottone wciąż wykupował głupców w zamian za dozgonne posłuszeństwo.

– Co to jest? Prywatny areszt?

– To na wypadek, gdy ktoś nie chce zwrócić kosztów załatwienia mu pracy w Ameryce. Siedzi sobie wtedy pod kluczem, aż ktoś za niego zapłaci.

– Okup?

– Można to tak nazwać. Choć raczej jest to uczciwa opłata za przejazd.

– Ale musi tu siedzieć jak w więzieniu.

– Rzadko do tego dochodzi. Zwykle na widok tych krat delikwenci stają na głowie, żeby spłacić swoje długi.

Właściciel saloonu omiół wzrokiem grube ściany i dźwiękoszczelny sufit.

– Jeśli jednak muszę kogoś zamknąć, to mam pewność, że nikt go nie usłyszy.

Nagle rzucił się na Ghiotton'ego i z ogromną siłą wykręcił mu rękę. Knajpiarz odruchowo napiął mięśnie, ale sekundę później było już po wszystkim. Został wtrącony do celi z takim impetem, że zatrzymał się na przeciwległej ścianie. Branco zatrzasnął za nim drzwi, przekręcił w zamku klucz i schował go do kieszeni.

– Kto zlecił ci znalezienie płatnego zabójcy?

Ghiottone posłał mu pogardliwe spojrzenie i z powagą powiedział:

– Już ci mówiłem, Antonio Branco, że nigdy go nie zdradzę. Tak samo jak nie zdradziłbym ciebie.

Branco wpatrywał się w niego w milczeniu.



Ghiottone zacisnął dłonie na kracie.

– To jest pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Odpal piątaka jakiemuś gorylowi, to i tak więcej, niż kiedykolwiek widział na oczy, a resztę zatrzymaj dla siebie.

Antonio Branco wybuchnął śmiechem.

– Dlaczego się śmiejesz? - zdziwił się Ghiottone.

– Nigdy tego nie zrozumiesz - odparł Branco.

Pięćdziesiąt tysięcy było prawdziwą fortuną, ale to nic w porównaniu ze sposobnością, jaką nieświadomie podsunął mu Ghiottone. To była szansa na wyrwanie się z „pandemonium” i nawiązanie stałej współpracy z potentatem, na ucieczkę od chaosu i dołączenie do jednego z czołowych rekinów amerykańskiej finansjery.

– Zapytam jeszcze raz: kto z tym do ciebie przyszedł?

Ghiottone skrzyżował ręce na piersiach.

– Ten człowiek mi ufa.

Branco wyszedł z pomieszczenia. Po chwili wrócił, niosąc koszyk z chlebem i kielbasą.

– Co to jest?

– Jedzenie. Nie będzie mnie przez parę dni. Nie chcę, żebyś umarł z głodu.

Wsunął chleb i wędlinę między kraty.

– Co za miły gest z twojej strony - zadrwił Ghiottone. Skubnął nieco chleba i odgryzł kawałek kielbasy. - Za słona.

– Dobra kielbasa musi być słona.

– Zaczekaj!

Branco już zamykał za sobą drzwi.

– Do zobaczenia za kilka dni.

– Zaczekaj!

– O co chodzi?

– Muszę mieć wodę.

– Dostaniesz. Za kilka dni.

**Księga druga**  
**KONEKSJE**

## 17.

Isaac Bell wszedł do pokoju operacyjnego w nowojorskim biurze agencji dręczony natrętnym uczuciem, że błędnie zinterpretował treść rozmowy podsłuchanej w Wiśniowym Gaju. Słowa były zrozumiałe. Nie miał wątpliwości, że właściciel burdelu słyszał większość z nich, jeśli nie wszystkie, przyciskając ucho do przewodu wentylacyjnego.

„Na co czekasz?”

„Na możliwość odwołania się do twojego rozsądku. Czy mógłbyś usiąść?”

„Już podjąłem decyzję. Ten człowiek musi umrzeć”.

Jednak Bell był przekonany, że nie pojął ich znaczenia. Choć znał te zdania na pamięć, ponownie odczytał je ze swych notatek.

„Czy mógłbyś usiąść?”

„Już podjąłem decyzję. Ten człowiek musi umrzeć”.

Zaczął chodzić tam i z powrotem wzdłuż półek z aktami. Zatrzymał się koło lakierowanej drewnianej skrzynki, kryjącej grafon - maszynę do rejestrowania i odtwarzania dźwięku, będącą ulepszoną wersją fonografu.

Zadzwoił telefon. Bell sięgnął przez ramię dyżurnego detektywa i ściągnął aparat z biurka, po czym przystawił słuchawkę do ucha.

– Tu Isaac, panie Van Dorn. Jak panu idzie w Waszyngtonie?

– Wszystko zależy od tego, jak tobie idzie w Nowym Jorku.

Bell powiedział szefowi o kradzieży heroiny i strzelaninie w dzielnicy portowej.

– Salata uciekł, Leone nie żyje. Wiadomo tylko tyle, że to oznacza koniec fałszowania pieniędzy przez Czarną Rękę.

– Czekam na twój sygnał, żeby ostrzec prezydenta.

– Wciąż nie mam niepodważalnych dowodów.

Van Dorn rozłączył się. Bell znów podjął swoją przechadzkę. Nagle stanął, wpatrując się w kalendarz, otrzymany w ramach promocji od sprzedawcy firmy Commercial Graphophone. Rok 1906 zmierzał ku końcowi, ale jego wzrok padł na hasło reklamowe, które głosiło: „Powiedz to do Grafonu.”

Bell nakręcił sprężynę napędową i głośno odczytał zanotowane zdania na mikową membranę.

„Na co czekasz?”

„Na możliwość odwołania się do twojego rozsądku. Czy mógłbyś usiąść?”

„Już podjąłem decyzję. Ten człowiek musi umrzeć”.

Przeniósł walek z nagraniem do urządzenia odtwarzającego dla stenografa, które zamiast tuby dźwiękowej było wyposażone w słuchawki, i założył je na głowę. Jego głos czytający zdania brzmiał nieznajomo, jakby ktoś obcy mówił w sąsiednim pokoju. Albo jak dwaj nieznajomi, rozmawiający na dole w bibliotece.

„Na co czekasz?”

„Na możliwość odwołania się do twojego rozsądku. Czy mógłbyś usiąść?”

„Już podjąłem decyzję. Ten człowiek musi umrzeć”.

Isaac Bell usłyszał to, co wcześniej mu umknęło.

Poszedł do analityków.

Grady Forrer od razu zaczął się tłumaczyć.

– Przepraszam, Isaac. Z tymi nausznikami idzie nam bardzo powoli. Potentaci wykorzystują różnych ludzi do odrębnych zadań. W grę wchodzi co najmniej dwadzieścia osób.

– Zostawcie to. Ograniczyłem liczbę możliwości do siedmiu - powiedział Bell, kładąc z rozmachem na biurku Forrera listę nazwisk. - Człowiek, który ma wynająć zabójcę w celu zamordowania prezydenta, to jeden spośród obecnych w bibliotece.

– Niemożliwe. Ci ludzie zasiadają w radzie nadzorczej giełdy, kontrolują koleje, kopalnie, banki i zakłady przemysłowe. Oni są bliscy bogom.

– Jeden z nich jest zaledwie boskim chłopcem na posyłki.

\* \* \*

– To nie rozmowa ani dyskusja. Nie są równorzędnymi partnerami. Pierwszy z rozmówców jest przełożonym, a drugi podwładnym. To nieistotne, czy mówi szeptem, czy krzyczy. Na co czekasz? To mówi szef. Człowiek od rozwiązywania problemów nie jest potentatem, choć należy do ich klubu. Głupio mi, że dopiero teraz na to wpadłem.

– W porządku. - Forrer kiwnął głową. - Rozumiem. Też mi głupio. Jak zdołamy oddzielić sługi od bogów?

– Zaczniemy od miejsca zamieszkania - powiedział Bell.

W rejestrze prominentnych osobistości udało się znaleźć adresy czterech z nich: Arnolda, Claypoola, Culpa i Nicholasa. Porównanie numerów z książki telefonicznej z danymi adresowymi firm pozwoliło znaleźć nowojorskie adresy trzech pozostałych. W gazetowych rubrykach towarzyskich znajdowały się nazwy i adresy wiejskich posiadłości sześciu delikwentów. Ta sama szóstka posiadała letnie rezydencje w Newport. W obu przypadkach jedynym wyjątkiem był Brewster Claypool.

– Pochodzi z Południa - powiedział Bell. - Studiował prawo w Wirginii. Być może ma też tam gdzieś plantację.

Kilku Claypoolów mieszkało w Wirginii, wliczając w to braci Brewstera, ale on sam nie był właścicielem żadnej plantacji.

– Nie ma nawet domu w Nowym Jorku. Mieszka w hotelu Waldorf.

– Być może ceni sobie prostotę - podsunął Forrer.

– Raczej kawalerskie życie - sprostował Bell. On sam, będąc w Nowym Jorku, zatrzymywał się w Yale Club, a Marion nazywała jego pokój klasztorną celą.

– A może mieszka w hotelu, bo nie jest tak bogaty, jak pozostali?

Po sprawdzeniu wyszło na jaw, że Claypool miał powiązania z radami dyrektorów hut, telegrafów i tramwajów, ale niemal wyłącznie jako doradca. W gruncie rzeczy był prawnikiem z Wall Street, który zajmował się lobbingiem. Podobnie jak reżyser teatralny pozostawał za kulisami, z dala od świateł reflektorów, co było zgodne z definicją człowieka od rozwiązywania problemów najwyższej wagi.

Co ciekawe, analitycy nie znaleźli żadnego portretu Claypoola, żadnej grafiki pośród prominentnych osobistości, opisywanych w dodatkach niedzielnych, ani też żadnej aktualnej fotografii.

Bellowi, który zawsze unikał aparatów fotograficznych, dbając o zachowanie incognito w związku z prowadzonymi dochodzeniami, znane było doskonale niebezpieczeństwo przypadkowego sfotografowania.

– Dowiedźcie się, dokąd jeździ na wakacje. Jakiś zapalony fotoamator musiał mu kiedyś pstryknąć fotkę swoim kodakiem. A tak na marginesie, jeśli

Claypool jest naszym człowiekiem od rozwiązywania problemów, to ciekawe, komu je rozwiązuje?

\* \* \*

– Koneksje są jak starodawny eliksir - powiedział Brewster Claypool z lekkim, południowym akcentem, charakterystycznym dla mieszkańców Wirginii. - Usuwiają z drogi wszelkie przeszkody. Ale to przecież żadna nowość dla detektywa z agencji Van Dorn.

– Czy jako prawnik z Wall Street nie preferuje pan raczej omijania przeszkód?

Brewster Claypool się roześmiał. Był niewysokim, wątlm mężczyzną, odzianym w doskonale skrojony perłowski garnitur i stylowe angielskie buty. Na twarzy miał zblazowany uśmiezek, którym maskował wszystkowidzące oczy i umysł, pracujący równie sprawnie jak centrala kierowania ogniem na pancerniku.

– Celne rozróżnienie, detektywie.

Z gabinetu Claypoola na najwyższym piętrze budynku na rogu Cortlandt i Broadwayu Bell widział stalową konstrukcję drapacza chmur Singera w trakcie budowy. Nowy wysokościowiec zasłoni Claypoolowi widok na kościół Świętej Trójcy i port dużo wcześniej, nim stanie się najwyższym budynkiem na świecie. Tymczasem można było zaobserwować z bliska budowniczych, poruszających się niczym pająki po gładkiej stali.

– Czemu zawdzięczam pańską przemiłą tu obecność? - spytał Claypool. - Zaintrygował mnie pański list. W dodatku zaimponowało mi, a nawet połechtało moją próżność, zacytowanie przez pana mojej wypowiedzi, że na Wall Street upokarzające jest przyznanie się do niewiedzy na jakikolwiek temat. Ponadto czułem ciekawość połączoną z podziwem, odkąd dowiedziałem się o sukcesie agencji Van Dorn, która wyrwała dziecko z łap Czarnej Ręki. To zdumiewające, jak wasi detektywi zdołali znaleźć drogę do kryjówki bandytów.

– To nie zostało podane do wiadomości publicznej - stwierdził Bell.

– Nie robię interesów na podstawie tego, co zostało podane do wiadomości publicznej - odparł Claypool. - Mam pytanie. Czy zauważył pan nagłe zmniejszenie aktywności ze strony Czarnej Ręki? Prawie nic się nie dzieje, poza kilkoma napadami na drobnych handlarzy.

– Faktycznie, ostatnio jakby mniej o niej słyhać - przyznał Bell, zastanawiając się, dlaczego Claypool sam daje mu do zrozumienia, że jego kompetencje wykraczają poza meandry Wall Street. - Wszystko ucichło po tym, jak gang Salaty dostał nauczkę w starciu z Irlandczykami.

Jak na człowieka lubiącego się przechwalać, Claypool pozostał dziwnie nieczuły na pochlebstwo. Nagle prosto z mostu spytał:

– Co mogę dla pana zrobić, panie Bell?

– Agencja Van Dorn potrzebuje dobrze poinformowanego człowieka.

Claypool sprawiał wrażenie szczerze zaskoczonego ofertą współpracy.

– Zapewne prywatni detektywi dysponują większą wiedzą o gangsterach niż ja. Świat przestępczy pozostaje na marginesie moich zainteresowań.

– Nie chodzi o gangsterów.

– W takim razie o co?

Bell wyciągnął rękę w stronę okna i zatoczył krąg, poczynając od East River, a kończąc na Brooklynie, tuż przed cmentarzem przy kościele Świętej Trójcy.

– Wall Street? - Claypool puścił do niego oko i zażartował: - Niech się pan strzeże, detektywie. Prezydent Roosevelt może kazać zakuć pana w kajdany.

– Co pan chce przez to powiedzieć? - spytał Bell. Nie podejrzewał, aby układny Claypool mógł być aż tak twardym graczem. Skoro tak niefrasobliwie wymienił nazwisko Roosevelta, to raczej nie miał pojęcia o spisku wymierzonym w prezydenta. A to oznaczało, że jego poszukiwania człowieka do rozwiązywania problemów znalazły się w ślepym zaułku.

– Manipulowanie poufnymi informacjami przez potentatów z Wall Street to zdaniem Teddy'ego największa zbrodnia. Ale pan zapewne o tym wie.

– Nie trzeba być potentatem, aby manipulować poufnymi informacjami - odparł Bell. - Ale pan zapewne o tym wie.

– I to mówi prywatny detektyw, któremu się wydaje, że dysponuje poufnymi informacjami na mój temat - odparował wciąż lekko rozbawiony Claypool swoim południowym akcentem.

– Faktycznie, mam takie informacje - przyznał Bell. - Sporo się o panu dowiedzieliśmy.

– Czemu zawdzięczam to zainteresowanie?

– Jak już wspominałem, agencja poszukuje dobrze poinformowanego człowieka. Z naszych informacji wynika, że pan byłby idealnym kandydatem.

Claypool obrzucił wysokiego detektywa taksującym spojrzeniem.

– Współpraca z dobrze poinformowanymi ludźmi bywa dość kosztowna.

– Ale nie tak kosztowna, jak współpraca z samymi potentatami.

– Niepotrzebnie się pan powtarza, detektywie. Już wcześniej dał mi pan do zrozumienia, że według pana wiedzy nie jestem żadnym potentatem.

– Z tym, że należę do nielicznej grupy wtajemniczonych - powiedział Bell. - Przeważająca większość, w tym także osoby dobrze poinformowane, jest pewna, że jest pan takim samym magnatem, jak pańscy wspólnicy w interesach. Zalicza się pana do kategorii grubych ryb, na równi z Manfredem Arnoldem, Williamem Baldwinem, Johnem Butlerem Culpem, Goreem Manlym, Warrenem D. Nicholsem, czy nawet Jeremym Pendergastem.

Jeśli nawet Claypool rozpoznał ułożoną w porządku alfabetycznym listę członków Stowarzyszenia Dżentelmenów Wiśniowy Gaj, obecnych tamtej nocy, gdy rozmawiano o zamachu na życie prezydenta, to nie dał tego po sobie poznać. Powiedział tylko, przeciągając samogłoski:

– Pochlebia mi, że zalicza się mnie do tak szacownego grona. Jednak jak już pan zdołał wydedukować, jestem tylko ciężko pracującym prawnikiem. Trzymając ucho przy ziemi, rękę na pulsie i nie spuszczać z oka piłki będącej w grze, dbam o interesy klientów, których bogactwo tysiące razy przekracza to, co mógłbym sobie wymarzyć.

– Ze względu na towarzystwo, w jakim pan się obraca, agencja Van Dorn skłonna jest rozważyć odpowiednio wysokie wynagrodzenie za pańskie usługi - oznajmił Bell.

Odpowiedź Claypoola była trzeźwa i rzeczowa.

– Zatrzymajcie pieniądze. Potraktujmy to jako handel wymienny.

– Zgoda - odrzekł Bell, wyciągając rękę. Jeśli Claypool nie był zamieszany w zamach, agencja zyskiwała cenne źródło informacji wewnątrz najwyższych kręgów amerykańskiej finansjery, a jeśli siedział w tym po uszy, detektywi będą mieli poprzez niego dostęp do spiskowców.

Uścisnęli sobie dłonie, po czym Brewster Claypool zapytał:

– Co chciałby pan wiedzieć na temat Wall Street?

Isaac Bell popatrzył obojętnym wzrokiem przez okno.

– Kto spośród tych tam w dole tak bardzo nienawidzi prezydenta Stanów Zjednoczonych, że byłby gotów go zabić?



## 18.

Dziadek Johna Butlera Culpa zbudował posiadłość nad rzeką Hudson u stóp Storm King Mountain. Została ona znacznie rozbudowana przez ojca Culpa, a obecnie sam Culp prowadził prace nad jej powiększeniem i modernizacją. Nadano jej nazwę Ravens Eyrie, czyli Krucze Gniazdo, od statku noszącego imię „Raven” - pierwszego parowca należącego do dziadka, od którego zaczęła się eksploracja rzeki, budowa kolei, kopalń i finansowych imperiów. Brewster Claypool nazywał ją zartobliwie, pieszczotliwie i w całkowitej tajemnicy „domkiem dla ptaków”.

Claypool znalazł Culpa w sali gimnastycznej, gdzie ten sparował z Lee, jednym z wynajętych na stałe zawodowych bokserów. Pomieszczenie było prawdziwą świątynią kultury fizycznej, rozświetloną dziennym światłem, wpadającym przez przeszkloną ścianę. Promienie porannego słońca padały na mężczyzn pocących się w ringu. Inny bokser o imieniu Barry, chodzący w wadze ciężkiej, ćwiczył z pełnowymiarowymi, dziesięciokilogramowymi indyjskimi pałkami ponad siedemdziesięciocentymetrowej długości. Żaden z bokserów nie był emerytowanym sportowcem z dawno minioną karierą, jakich często zatrudniali bogacze w charakterze osobistych ochroniarzy. Obaj zawodnicy byli w swojej szczytowej formie. Mimo to Barry miał podbite oko.

Sparingpartnerom Culpa często przytrafiały się podbite oczy. Tym razem do kolejnego takiego przypadku doszło za sprawą Claypoola. Promienie słońca, odbite od złotej główki wieńczącej jego laseczkę, zdekcentrowały Lee, który zaliczył potężny cios w szczękę i poleciał na liny. To powinno go nauczyć, że w obecności Culpa nigdy nie wolno opuszczać gardy.

Culp odesłał obu bokserów do kuchni, gdzie mieli poprosić kucharza o porządne śniadanie w ramach rekompensaty za fioletowe lima. Potem przeskokzył przez liny, wylądował obok Claypoola z hukiem, od którego zatrzęsała się podłoga, i agresywnym tonem spytał:

– Jak ci poszło z Isaakiem Bellem?

Claypool zrelacjonował ze szczegółami przebieg rozmowy.

Culp chwycił indyjskie pałki, ale nawet wywijając pękatymi drągami z lakierowanego drewna wokół swojej głowy jak śmigłami samolotu braci Wright,

nie przestawał słuchać z uwagą. Przerwał dopiero wtedy, gdy Claypool powiedział:

– Na koniec detektyw Bell zapytał: kto nienawidzi Roosevelta tak bardzo, że chciałby go zabić?

– Co odpowiedziałeś?

– Wręczyłem mu spis członków zarządu Nowojorskiej Giełdy Papierów Wartościowych.

Culp odrzucił pałki, klepnął się po udach i ryknął śmiechem.

Upokorzenia wynikające z zależności „pan i sługa”, jakie znosił Claypool jako „człowiek Culp”, rekompensowała czysta przyjemność spiskowania z nim.

– Czego on szuka?

– Zarzuca sieci.

– Może nas z tym skojarzyć?

– Nie ma szans.

– Dlaczego?

– Jesteśmy ukryci za długim łańcuchem pośredników, którzy nie znają się nawzajem, nie mówiąc o nas.

– To skąd Bell zdobył tę listę nazwisk? Manfred, Bill, Gore, Warren i Jeremy Pendergast byli w klubie, kiedy o tym rozmawialiśmy.

– I tu, moim zdaniem, Isaac Bell popełnił błąd. Pokazując mi tę listę, dał nam cenną wskazówkę.

– Dokładnie! Dzięki temu wiemy, że przekazał mu ją ktoś z obecnych w tamtym pokoju.

– Na to by wyglądało.

– Chcę wiedzieć, kto i dlaczego. Kto zamierza wykorzystać to przeciwko mnie?

– Na pewno nikt spośród członków Wiśniowego Gaju - zapewnił go Claypool. - Żaden z nich nie słyszał wystarczająco dużo, żeby poskładać sobie wszystko w jedną całość.

– Dziewczyny? - spytał coraz bardziej wzburzony Culp.

– Ależ skąd. Chyba że wdałeś się w jakieś nietypowe łózkowe pogaduszki.

– Nie ma mowy. A więc może ty?

– Ja wyszedłem wcześniej - odparł Claypool. - Miałem za dużo na głowie.

– W takim razie kto?

– Też nie mogłem sobie tego uzmysłwić. Aż wreszcie w pociągu miałem trochę czasu, aby się zastanowić. Pamiętasz, że Wiśniowy Gaj został ponownie otwarty niemal natychmiast pod nową nazwą? W ten sam weekend, zaraz po Różowej Herbatce Coligneya.

– Oczywiście, pamiętam. Przecież byłem tam tej nocy. Ty zresztą też, aż do czasu, gdy zaciągnąłeś te bliźniaczki na górę. Tammany pokazała, co potrafi. Założę się, że teraz biorą od Nicka większą działkę niż poprzednio.

– Nic mi o tym nie wiadomo - stwierdził Claypool.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Tammany nie wywierała żadnego nacisku na kapitana Coligneya.

– Wobec tego jak... Ach tak, teraz rozumiem. To Nick.

– Nick Sayers musiał coś sprzedać Coligneyowi, w zamian za zezwolenie na ponowne otwarcie interesu.

– Ale skąd ten szczer się dowiedział?

– Tego nie wiem. Być może nie miało to żadnego związku z naszą sprawą. To mógł być czysty przypadek.

– Już moi chłopcy to z niego wyduszą.

– Odradzam.

– A komu może się poskarżyć właściciel burdelu?

– Jeśli Isaac Bell dowie się, że Nick oberwał, to tylko utwierdzi go w przekonaniu, że jest na właściwym tropie.

– Chłopcy mogą zrobić tak, że Bell nigdy nie znajdzie Nicka.

– Mogą przez to wyniknąć nieprzewidziane komplikacje. Lepiej zostawić wszystko tak, jak jest. Nie istnieją żadne powiązania z wykonawcą tej roboty. Nie ma powodu do rezygnacji. Możesz spokojnie kontynuować, o ile nadal się upierasz, żeby to zrobić.

– Owszem, upieram się.

– Tym bardziej niepotrzebne są nam żadne komplikacje.

– Jaki będzie następny ruch Bella?

– Nie zdziw się, jeżeli złoży ci wizytę.

– Dlaczego mnie? Przecież mówiłeś, że nikt nie zdoła mnie namierzyć.

– Bo nie zdoła. A to oznacza, że będzie musiał przesłuchać każdego, kto był wówczas obecny w klubie, nie wyłączając ciebie.

– Zwłaszcza mnie. Z tobą już rozmawiał. Nie trzeba Sherlocka Holmesa, żeby powiązać nas ze sobą.

– Chodzi o to, że nie można nas powiązać z tym, co z takim uporem chcesz zrealizować.

Culp zastanawiał się przez chwilę.

– Mam nadzieję, że złoży mi wizytę.

– Dlaczego?

– Bo gorzko tego pożałuje. To będzie ostatnia rzecz, jaką zrobi.

Brewster Claypool zamilkł. Culp wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę.

– Dobra. O co ci chodzi?

– Nie zamierzam przypisywać vandornowcom przymiotów, których nie posiadają, ale oni mają taką swoją dewizę i pozostają jej wierni.

– Czytałem o tym w „Gazecie Policyjnej”: Nigdy się nie poddajemy.

– Słowem kluczowym jest „nigdy”.

– Też mi coś. Chwytny slogan, dla przyciągnięcia klientów.

– Nawet dość melodramatyczny - powiedział Claypool. - Ale...

– Ale co?

– Problem w tym, że oni się tego trzymają.

– Ja też się trzymam różnych rzeczy.

– Oczywiście. I jest to jedna z twoich największych zalet.

Nagle Culp zafrasował się. Twarz pociemniała mu jak gradowa chmura, nabierając groźnego wyrazu.

– Zaraz! Jeśli nawet my pozostajemy w cieniu, to nasz człowiek napotka poważne trudności, kiedy oni ostrzegą Roosevelta, że ktoś dybie na jego życie.

Claypool uśmiechnął się.

– Co cię tak rozbawiło? Przecież Secret Service zaostrzy środki ostrożności.

– Nic mnie nie rozbawiło - odparł Brewster Claypool. - Uśmiecham się, bo właśnie wyobraziłem sobie reakcję Teddy’ego, kiedy mu powiedzą o zaostrzeniu środków ostrożności.

- A niby co on wtedy zrobi?
- Wciągnie brzuch, wypnie pierś i oznajmi, że się nie boi.
- Co z tego?
- To zabawne, ale będzie mówił prawdę. Teddy faktycznie się nie przestraszy i odmówi zaostrożenia środków ostrożności.

## 19.

Isaac Bell wrócił do Wiśniowego Gaju. Na szyldzie nad gankiem złociła się nowa nazwa „Zagajnik”. Zapytał Nicka Sayersa, które z dziewcząt pracowały w bibliotece w tę noc, kiedy podsłuchał spiskowców.

Okazało się, że tylko jedna, kruczowłosa ślicznotka o imieniu Jenny. Bell zabrał ją na górę, zamknął drzwi i wręczył jej sto dolarów, po czym oznajmił:

– Zapamiętaj, proszę. Bez względu na to, jaka będzie twoja odpowiedź, nikomu o niej nie powiem.

– Proszę się nie obawiać - odrzekła Jenny. - Ja zawsze mówię „tak”. Czego pan sobie życzy?

– W sobotnią noc, zanim po Różowej Herbatce zamknięto ten przybytek, dwaj panowie z klubu Wiśniowy Gaj wyszli z głównego pokoju klubowego do małej biblioteki.

Jenny wyglądała na zaniepokojoną.

– Skąd pan wie o istnieniu klubu? Przyjaźni się pan z nimi?

– Niezupełnie. Jednym z tych mężczyzn był Brewster Claypool. Pamiętasz, kto był tym drugim?

– Czy pan Sayers wie, że pan o to pyta?

– Chcesz go poprosić o pozwolenie?

Dziewczyna zmierzyła Bella wzrokiem od stóp do głów i powiedziała:

– Teraz wszystko rozumiem.

– Co rozumiesz?

– Zastanawiałam się, dlaczego ktoś taki jak pan przychodzi do domu schadzek.

– Potraktuję to jako komplement - uśmiechnął się Bell. - Dodam jeszcze, że jeśli kiedykolwiek odczuję potrzebę, żeby tu przyjść, to upewnię się, że ty tutaj będziesz. Pamiętasz, z kim pan Claypool wyszedł z tego pokoju?

– Wyszedł sam.

– Całkiem sam?

– Zaglądałam tam kilka razy. Siedział w fotelu i popijał whiskey, dopóki nie dołączył do niego pan Culp.

\* \* \*

W sekcji analityki Isaac Bell uzbroił się w rzetelną wiedzę o zwyczajach członków Stowarzyszenia Dżentelmenów Wiśniowy Gaj, aby nie spłoszyć swoich podejrzanych. Następnie dobierał się do każdego z osobna, wcielając się w dżentelmena, który podziela ich zainteresowania. Spotykając się z nim na gruncie towarzyskim, większość z nich nie pomyślała nawet, aby spytać go o charakter jego działalności biznesowej. Ci, którzy to zrobili, dowiadywali się, że Isaac Bell piastuje kierownicze stanowisko w ubezpieczeniach.

Pierwszego przydybał w klubie Grolier, skupiającym bibliofilów. Kolejnego dopadł w trakcie przejażdżki konnej w Central Parku, wypożyczywszy uprzednio policyjnego wierzchowca. Pozwalając, by niemal pewne zwycięstwo w nowojorskich regatach dziesięciometrowych jachtów wymknęło mu się z rąk, wraz z Archiem dał się zaprosić na popijawę w Seawanhaka Corinthian Yacht Club. Zjadł lunch w ekskluzywnym klubie Union League oraz umówił się na spotkanie w głównej siedzibie banku Chase National przy Cedar Street, podczas którego odmówiono mu kredytu na budowę sześćdziesięciometrowego parowego jachtu. Z całej siódemki tylko jeden okazał się nieosiągalny. W końcu Bell znalazł go tam, gdzie wszystko się zaczęło - w burdelu.

W toku zrecznie prowadzonych rozmów pozostali dżentelmeni potwierdzili, że znają Claypoola. Dwaj byli mu wdzięczni za pomoc w wydostaniu się z niezręcznych sytuacji. Bankier z Chase National rzucił mimochodem: „wszyscy wiedzą, że Brew Claypool jest człowiekiem Culpa”. Był jedynym, który wspomniał o tym powiązaniu. Spośród wszystkich podejrzanych Bell wytypował dwóch, którzy jego zdaniem mogliby wynająć płatnego mordercę w celu zlikwidowania prezydenta. Byli to J.B. Culp i Warren D. Nichols.

Culp nie ukrywał swej niechęci do Roosevelta. Uprzejmy Nichols miał zimne spojrzenie, co samo w sobie jest pożądaną cechą u bankiera, jednak Bell odniósł wrażenie, że za tym spojrzeniem kryje się serce myśliwego.

– Nadal niewiele mamy - zameldował Bell Van Dornowi. - Krezus nienawidzący prezydenta i bankier z obojętnym spojrzeniem.

Szef przyznał mu rację.

– Od początku dopuszczaliśmy możliwość, że podsłuchane groźby to tylko gniewne słowa. Może tak właśnie jest.

Dwie godziny później Bell zadepeszował do Van Dorna przez prywatną linię.

ANALITYCY ODKRYLI NICHOLS ZAMIERZA  
PRZEKAZAĆ STO TYSIĘCY AKRÓW ZALESIONYCH  
TERENÓW W GÓRACH ADIRONDACK  
Z PRZEZNACZENIEM NA REZERWAT PRZYRODY  
IMIENIA ROOSEVELTA

Van Dorn odpowiedział:

SKUPIĆ SIĘ NA CULPIE

Culp chronił swoje przedsiębiorstwa, kopalnie i tartaki przy pomocy armii łamistrajków i pomnażał zyski giełdowe dzięki najsprytniejszym kombinatorom z Wall Street. Jego waszyngtońscy lobbyści przekupili ustawodawców, aby przenieść lokalizację kanału łączącego oba oceany z Nikaragui na Przesmyk Panamski. Agenci pracujący dla niego we Francji i w Panamie pomagali mu w przejściu kontroli nad tym lukratywnym przedsięwzięciem.

Dla Culpa pracowało wielu specjalistów od rozwiązywania problemów, ale Bell miał mocne powody, by sądzić, że wszyscy oni zostali zatrudnieni przez Claypoola. Tyle że Claypool nie zamierzał osobiście zatrudniać płatnych morderców, zwłaszcza gdy chodziło o zabicie prezydenta. Posłuży się kimś, a ten przekaze zlecenie komuś innemu i zanim dotrze ono do wykonawcy,

utworzy się długi łańcuch pośredników, dzięki któremu nikt nie powiąże Claypoola ani Culpa z zamachem.

\* \* \*

– Wybacz mi ojczy, bo zgrzeszyłam - powiedziała Francesca Kennedy.

Twarz skryła za szalem, ale przygarbione plecy, palce gorączkowo przebierające po paciorkach różańca i drzenie głosu składały się na przekonujący obraz kobiety, desperacko pragnącej zbawienia swej grzesznej duszy. Gdyby życie lepiej się z nią obeszło, zrobiłaby pewnie wielką karierę aktorską na Broadwayu, pomyślał Branco.

– Jaki grzech popełniłaś, moje dziecko?

– Zwabiłam człowieka w śmiertelną pułapkę.

– Nie martw się - roześmiał się Branco. - Tommy McBean żyje i ma się doskonale.

– Czy wobec tego otrzymam swoją zapłatę?

Kobieta będąca wysoko wykwalifikowanym zabójcą stanowiła rzadki i cenny nabytek, dlatego zasługiwała na odpowiednie traktowanie. Kochała pieniądze, więc musiała je dostać.

Branco przesunął zwinięty studolarowy banknot przez kratkę konfesjonału.

– Oczywiście, że otrzymasz zapłatę. Zasłużyłaś. Potrzeba było sporo zachodu, żeby go obudzić.

– Wiesz co? - wyszeptała, przysuwając twarz do kratki. - Chyba wolę robić to z nimi, kiedy wiem, że to ja ich wykończę. Wystawianie ich sprawia mi dużo mniejszą uciechę.

– Nie zawsze można robić to, co się lubi najbardziej.

– Jeszcze jedno...

– Koniec spowiedzi - przerwał jej Branco, zanim się rozgadała. Nie widziała nigdy jego twarzy, za to Branco znał ją od czasu, gdy była jeszcze zwykłą ulicznicą. To wtedy po raz pierwszy zabiła człowieka - klienta, który potraktował ją brutalnie. Chłodna premedytacja, z jaką to zrobiła, wywarła na nim tak wielkie wrażenie, że kazał Charliemu Salacie uchronić ją przed glinami. Francesca miała nerwy ze stali i w jednej chwili potrafiła zmienić się nie do poznania. Kiedy wszedł jej w słowo, natychmiast skupiła się na interesach.



– Masz dla mnie następną robotę?

Branco przesunął kolejny banknot przez kratkę.

– Przyjdiesz do spowiedzi zgodnie z harmonogramem. Wkrótce wszystkiego się dowiesz.

– Z bezczynności robię się nerwowa.

– Zamiast się niecierpliwić, zacznij się przygotowywać. - Przepchnął jeszcze jeden banknot przez kratkę. - Kup sobie odpowiednie ubranie, w którym będziesz mogła się pokazać w hotelu Knickerbocker, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi. Musisz wyglądać tak, jakbyś należała do wyższych sfer.

– To nic trudnego.

– Dla ciebie na pewno. Jesteś niezwykłą kobietą.

\* \* \*

Branco wrócił do swojego sklepu tunelem pod cmentarzem i kamienicami.

Napełnił dzbanek czystą, zimną wodą, wziął szklankę i zabrał to wszystko do piwnicy, w której siedział pod kluczem Ghiottone.

## 20.

Zamknięty Ghiottone słyszał zbliżającą się powódź. Musiała pęknąć magistrala wodociągowa pod którąś z ulic, poprowadzona wieki temu przez Holendrów, rdzewiejąca przez lata do chwili, gdy coraz cieńsza warstwa przezartego metalu eksplodowała pod wpływem ciśnienia. Woda napływała ze wszystkich stron, wyciekała spod bruku i zalewała okoliczne piwnice. Czekąca go upiorna śmierć przez utonięcie, tutaj, w celi pod sklepem Branca. Ale przynajmniej w ostatnich chwilach przez końcem będzie mógł się wreszcie napić.

– Zbudź się, przyjacielu.

Ocknął się pośród tego samego smrodu, w którym wcześniej stracił przytomność - zatechły zapach kielbasy zmieszany z kwaśną wonią jego spoconego ciała i strachu. Nie było żadnej uszkodzonej rury ani powodzi. Ani kropli wody. To był tylko sen. Nadal jednak słyszał odgłos przelewającej się

wody. Otworzył oczy i rozejrzał się mętным wzrokiem. Ujrzał stojącego tuż przy kracie Branca. Napelniał szklankę wodą z dzbanka. Tak jak wcześniej.

– Czas, żebyś trochę się napił.

Ghiottone próbował poprosić o łaskę. Ale jego usta i gardło były bardziej suche niż pustynny piasek. Zesztywniały język całkiem odmówił mu posłuszeństwa i jedynym, co wydostało się z jego na wpół otwartych ust, był żalostny charkot, przypominający odgłosy wydawane przez pokładającego się w rynsztoku pijaka.

– Kto kazał ci wynająć zabójcę?

Ghiottone znowu spróbował się odezwać. Ale z gardła nie chciał się już dobyć żaden dźwięk. Usta wypełniał mu język. Branco odstawił dzbanek razem z pełną szklanką na ziemię. Ghiottone wpatrywał się z udręką w kroplę zwisającą z dzióbka dzbanka. Była ogromna. Tymczasem Branco podał mu do rąk ołówek i kartkę papieru.

– Zapisz mi imię i nazwisko.

Ghiottone nie pamiętał już, ile takich samych ołówków połamał w drzazgi, ile kartek podał z wściekłością. Teraz chwycił go pospiesznie i patrzył, jak główka ołówka sama przylega do kartki i porusza się, zapisując kolejne litery.

– On będzie wiedział tyle samo co ja.

– To już moje zmartwienie - odparł spokojnie Branco. - Zapisz mi jego imię i nazwisko. Wtedy będziesz mógł się napić.

Ghiottone zapisał na kartce dwa słowa: Adam Quiller.

Antonio Branco przeczytał nazwisko. Adam Quiller był niewysokim, grubawym Irlandczykiem w średnim wieku, który pojawiał się od czasu do czasu we włoskiej dzielnicy, roznosząc polecenia i dyspozycje od swojego radnego. Quiller wyświadczał właścicielowi saloonu różne usługi w zamian za pomoc w pozyskiwaniu głosów Włochów podczas wyborów.

– No jasne. Mogłem sam na to wpaść i oszczędzić nam obu tych nieprzyjemności. Ale chyba rozumiesz, że musiałem mieć pewność. A teraz, tak jak obiecałem - pij, przyjacielu.

Otworzył kratę i podał więźniowi szklankę.

„Kid Kelly” Ghiottone uniósł ją obiema rękami do ust, odrzuciwszy głowę do tyłu. Woda rozpryskiwała się na jego wargach i ciekła po policzkach. Nieznaczna ilość, która dostała się do ust, pomknęła natychmiast w dół

przełyku, rozsyłając euforyczne uczucie ulgi po całym jego ciele. Smak był zniewalający. Potrząsnął jeszcze naczyniem, by wydobyć z niego ostatnie krople.

Antonio Branco przyglądał się uważnie, jak łokcie mężczyzny unoszą się do góry, aż znalazły się na wysokości jego barków. Wraz z tym ruchem kamizelka przesunęła mu się wysoko powyżej pasa, odsłaniając koszulę opiętą ciasno na żebrach.

– Napij się jeszcze.

Wziął szklankę i znów nalał do pełna.

– Powiedz mi teraz - kontynuował, w dalszym ciągu trzymając wypełnione już naczynie - w jaki sposób zabójca miał się dowiedzieć, kto jest celem?

Ghiottone poddał się ostatecznie i nawet nie patrzył mu w oczy.

– Po otrzymaniu nazwiska zabójcy mam je przekazać...

– Adamowi Quillerowi.

Ghiottone przytaknął.

– A potem informacja o celu ma przejść ponownie przez cały łańcuch pośredników? - Branco zmarszczył brwi. - To byłoby niezwykle czasochłonne, mało wygodne i bardzo niebezpieczne. Obawiam się, że nie jesteś ze mną szczery.

– Mówię prawdę, *padronel!* Nie wiem, jak zamierzają przekazać tę informację, ale nie w ten sposób. Muszą mieć jakąś inną metodę.

– A zapłata? Pięćdziesiąt tysięcy? Jaką drogą mają trafić do wykonawcy?

– Przeze mnie. - Ghiottone podniósł się wreszcie na równe nogi. - Dostanę pieniądze, gdy zadanie zostanie wykonane, i mam przekazać je tobie.

– A więc jesteś niezwykle cennym człowiekiem - stwierdził Branco, oddając mu szklankę.

Ghiottone uniósł ją tak jak wcześniej, obiema rękami. Tym razem udało mu się donieść do ust prawie całą zawartość. Wziął kilka łyków, delektując się chłodem cieczy spływającej do żołądka, po czym przechylił się do tyłu, by osuszyć szklankę do ostatniej kropli.

\* \* \*

Branco upchnął zwłoki w beczce na cukier i zabił wieko gwoździami. Następnie poszedł do swojej stajni i obudził przysypiającego tam starego Sycylińczyka, po czym kazał mu załadować beczkę na wóz ze śmieciami i wyrzucić ją do rzeki. Uporawszy się z tym problemem, skupił się na poszukiwaniach Adama Quillera.

## 21.

Późnym popołudniem, gdy detektywi w pokoju operacyjnym agencji Van Dorn zaczynali przygotowywać się do nocnej zmiany, wertując dzienniki i wymieniając się informacjami, Isaac Bell siedział samotnie przy swoim biurku. Na przemian rozkładając i składając scyzoryk, przeglądał zapiski w leżącym na blacie notatniku i nasłuchiwał.

– W „Tribune” piszą, że z rzeki wyłowiono zwłoki „Kida Kelly'ego” Ghiotton'ego.

– Wygląda na to, że Wallopersi postanowili się odgryźć.

– Czemu mieliby zabijać akurat jego? Ghiottone nie trzymał z Salatą.

– Ale był Włochem. To im w zupełności wystarczy, by udowodnić dwie rzeczy: po pierwsze, że bardzo im się nie podoba kradzież ich prochów, i po drugie, że nie boją się wyciągnąć kogoś z samego środka Małej Italii. Gazeta podaje, że ciało było w bardzo złym stanie, jakby ktoś potraktował go toporem.

– To nie tak - zaproponował Bell.

– O, Isaac. Myślałem, że uciąłeś sobie drzemkę. Zechciałbyś rozwinąć swoją myśl?

– Ghiottone nie został pobity. A już na pewno nie przed śmiercią.

– Skąd wiesz?

– Wokół ciała na wodzie unosiły się klepki po beczce.

Wszyscy obecni w pomieszczeniu odłożyli na bok gazety i skupili uwagę na wysokim detektywie.

– Uważasz, że ciało było ukryte w beczce - stwierdził Mack Fulton.

– A beczkę staranował statek - dodał Wally Kisley.

– Konkretnie pięciomasztowy bark „James P. Richards” o stalowym kadłubie idący do Chile po saletrę. - potwierdził Bell. - Tak przynajmniej twierdzi policja portowa.

Przez całą rozmowę nie przestawał bawić się scyzorykiem. Mack Fulton postanowił zmienić temat.

– Mogę cię o coś spytać, Isaac?

– Jasne.

– Harujesz jak wół, próbując udowodnić swoją teorię o istnieniu kartelu kryminalistów, a teraz jeszcze szef naciska cię w związku z groźbami pod adresem prezydenta.

– Owszem, jestem ostatnio trochę zajęty - przyznał Bell. - Dlatego tak ważne jest dla mnie wasze bezcenne wsparcie. O co chciałeś zapytać?

– Skoro masz tyle pracy, to po co jeszcze wypytujesz przodownika O’Riordana o trupa jakiegoś Italiańca?

– A jak myślisz?

– Isaac sądzi, że Ghiottone należał do Czarnej Ręki - wtrącił uczynnie Kisley.

– Analitycy twierdzą co innego, a informacje mają od samego kapitana Coligneya, który swego czasu rządził posterunkiem przy Mulberry Street. Ghiottone współpracował z Tammany Hall i wygląda na to, że w ostatnich dniach ktoś naprawdę się wziął na tę organizację. Ostatniej soboty zamordowano Adama Quillera, zaufanego człowieka radnego Kinga. Przed śmiercią był torturowany, podobnie jak gość o nazwisku Lehane, zausznik radnego Henry ego.

– Reformatorzy z dnia na dzień stają się coraz bardziej zajadli - podsumował Walter Kisley.

Bell przyłączył się do śmiechu wywołanego tym komentarzem. Gdy wszyscy się uspokoili, kontynuował:

– Obu mężczyzn zasztylowano.

– Tego nie było w gazetach.

– Przeczytasz jutro. Eddie Edwards wrócił niedawno od koronera. Pismaki aż się zapienią, kiedy dowiedzą się, że wszystkie trzy zabójstwa łączy to samo narzędzie zbrodni.

– Może łączy ich też jakaś gruba ryba z Tammany Hall, zacierająca ślady po swoich brudnych interesach? - podsunął Kisley.

– Mało prawdopodobne. Ludzie z tych kręgów uciekają się raczej do przekupstwa świadków lub członków ławy przysięgłych. Zastanawia mnie coś innego. Zwróćcie uwagę na kolejność, w jakiej zabijano ofiary - każda następna zajmowała wyższy szczebel w hierarchii ważności. Ghiottone był na samym dnie, następnie Quiller, pomagier naczelnika dzielnicy, potem Lehane, totumfacki szefa okręgu wyborczego. Ciekawe, kto będzie następny?

– Przewodniczący całego okręgu?

– Raczej jego chłopiec na posyłki.

Do pomieszczenia weszła Helen Mills. Detektywi odruchowo poprawili krawaty, przyglądali włosy i strzepnęli okruchy z kamizelek. Dziewczyna podeszła prosto do Bella i podała mu niewielką kopertę.

– Co to jest?

– Claypool.

Bell rozciął kopertę scyzorykiem. Wypadła z niej fotografia, tak świeża, że czuć było jeszcze zapach utrwalacza. Była trochę niewyraźna, bo uchwyciła Claypoola obracającego głowę, ale nie sposób było go nie rozpoznać.

– Skąd to masz?

– Sama zrobiłam. Spotkałam się z przyjaciółkami ze szkoły. Udawałyśmy, że jesteśmy tu przejazdem, i robiłyśmy sobie zdjęcia. Złapałam go, gdy wychodził z biura na lunch.

Bell wsunął zdjęcie do notesu.

– Dobra robota, Helen. Zaprosz koleżanki na obiad w Rector s Lobster Palace. Powiedz Charliemu, że to na mój rachunek i że kazałem was posadzić przy najlepszym stoliku.

Helen wyszła, odprowadzana tęsknymi spojrzeniami detektywów.

– Quiller zginął cztery dni temu. - Fulton wrócił do tematu. - Wczoraj znaleziono zwłoki Sullivana, który pracował dla Lehanea.

– Mordercy powoli zbliżają się do samych radnych - zauważył Kisley.

Bell odłożył nóż i wziął do ręki wieczne pióro.

– Przeciwko któremu z radnych toczy się obecnie jakieś postępowanie?

– Lepiej spytaj, przeciwko któremu się nie toczy - odparł Kisley, unosząc do góry pierwszą stronę „Timesa” z nagłówkiem:

### „DWAJ RADNI ARESZTOWANI ZA ŁAPÓWKARSTWO”

– Spośród czterdziestu nieuczciwych członków rady w największych tarapatach jest w tej chwili James Martin. Radny Martin zawsze liczył na protekcję, ale teraz grozi mu dziesięć lat i raczej się nie wywinie. Podobno nie stać go nawet na kaucję.

– Radnego nie stać na kaucję? Przecież pchają się do tej złodziejskiej rady właśnie po to, żeby kosić grubą forszę.

– Martin jest całkiem splukany - wyjaśnił Scudder Smith, siedzący na tyłach sali z piersiówką w dłoni. - Przepuścił wszystko na jakąś panienkę i na pokera.

– To pewne, Scudder? - spytał Bell.

Scudder Smith był jednym z najlepszych nowojorskich reporterów, dopóki Joseph Van Dorn nie przekonał go do zmiany zajęcia.

– Jak w banku.

– A ty dokąd, Isaac? - spytał Kisley, widząc, że ten zbiera swoje rzeczy i z kapeluszem w ręku zmierza do drzwi.

– Idę do sądu. Chcę się przekonać, czy aby na pewno dziewczyna i szulerzy nie zostawili radnemu Martinowi ani centa na kaucję.

Stojąc już w drzwiach, odwrócił się nagle.

– Harry?

– Tak? - spytał Harry Warren.

– Czy mógłbyś się przejść do miasta i znaleźć jakąś okazję do uściśnięcia dłoni Antoniowi Brancowi?

Warren popatrzył zdziwiony na Fultona i Kisleya, którzy najwyraźniej zrozumieli z tego tyle samo co i on.

– Jasne, Isaac. Zechcesz mi wytłumaczyć, w jakim celu mam mu uściskać dłoń?

– Wyjaśnię ci, jak już to zrobisz - odparł Bell. - Tylko upewnij się, że nie ma na dłoni rękawiczki.

\* \* \*

Broniąc się przed wścibskimi spojrzeniami gazetowych portrecistów, radny James Martin zasłonił twarz dłonią, w której ścisnął na wpół wypalone cygaro. Przedstawiciel prokuratury okręgowej tłumaczył właśnie sędziemu, dlaczego oskarżony powinien zostać zatrzymany w areszcie sądowym przy Zachodniej Pięćdziesiątej Czwartej ulicy, jeśli nie wpłaci kaucji w wysokości piętnastu tysięcy dolarów. Detektyw prokuratury, który aresztował go na moście Queensboro chwilę po zainkasowaniu pieniędzy z zakładu kamieniarskiego w Long Island City, stał teraz przy wejściu na salę, uśmiechając się wrednie. Całe szczęście, że zatrzymanie nastąpiło w tym miejscu, pomyślał Martin. Podobnie jak większość nowojorskich radnych był przedsiębiorcą budowlanym, więc przynajmniej miał dobry powód, by odwiedzić zakład. Liczył na to, że sędzia da się przekonać tym usprawiedliwieniem, przynajmniej na tyle, by obniżyć wysokość kaucji do kwoty, którą zdołałby od kogoś pożyczyć.

– Dwanaście pięćsetdolarowych banknotów - kontynuował swoje wywody prokurator. - Po jednym na łapówkę dla każdego radnego, którego zamierzał namówić do zmiany głosu w kluczowej debacie nad projektem wywierającym wpływ na życie i zdrowie każdego mężczyzny, kobiety i dziecka mieszkających w Nowym Jorku.

Adwokat radnego poprosił sąd o wyznaczenie niższej kaucji. Martin czekał na ostateczny werdykt. Czy za godzinę spokojnie zje obiad w domu, czy też najbliższych kilka tygodni będzie musiał spędzić za kratkami?

Sędzia zasądził kaucję w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów. Prokurator zaprotestował, twierdząc, że jest to zdecydowanie zbyt niska kwota i oskarżony z pewnością wykorzysta okazję, by uciec przed wymiarem sprawiedliwości. W rzeczywistości było to jednak o wiele więcej, niż Martin był w stanie skombinować w krótkim czasie. Bez większych nadziei spróbował jeszcze ubłagać sędziego:

– Wysoki Sądzie, nie stać mnie na wpłacenie takiej kwoty.

– Zarzut dotyczy popełnienia ciężkiego przestępstwa. W przypadku uznania pana za winnego, grozi panu do dziesięciu lat pozbawienia wolności oraz grzywna w wysokości pięciu tysięcy dolarów. W tych okolicznościach kaucja w



wysokości dziesięciu tysięcy dolarów jest najzupełniej zasadna. Nie widzę żadnych podstaw do jej obniżenia.

– Nie mam dziesięciu tysięcy dolarów. Miałem sześć tysięcy, ale zabrał mi je funkcjonariusz prokuratury.

Sędzia zmarszczył brwi.

– Pracownicy prokuratury nie zabrali panu tych pieniędzy, tylko skonfiskowali je jako dowody w toczącym się przeciwko panu postępowaniu. Banknoty zostały wcześniej specjalnie oznaczone, by się przekonać, czy jest pan skłonny przyjąć łapówkę.

– Te pieniądze otrzymałem w związku z prowadzonymi przeze mnie interesami.

– I właśnie z powodu tych interesów znalazł się pan teraz na ławie oskarżonych.

– Pieniądze otrzymałem w ramach transakcji dotyczącej dostawy kamienia na prowadzoną przeze mnie budowę. Nigdy w życiu nie przyjąłem od nikogo łapówki.

– Będzie pan miał okazję dowieść tego podczas rozprawy. Decyzją sądu zostaje wyznaczona kaucja na kwotę dziesięciu tysięcy dolarów.

Ktoś poruszył się gwałtownie na tyłach niewielkiej sali rozpraw. Radny obejrzał się za siebie z nadzieją. Całe popołudnie wydzwaniał do wszystkich przyjaciół, błagając ich o pieniądze. Może któregoś w ostatniej chwili ugryzło sumienie.

Adwokat Martina otrzymał od kogoś małą kartkę z wiadomością.

– Wysoki Sądzie - odezwał się adwokat - na sali jest obecny poręczyciel, gotowy oddać akty własności budynków przy 31 i 32 Mulberry Street w ramach kaucji za mojego klienta.

\* \* \*

Isaac Bell przeskoczył pospiesznie kilka ostatnich schodków do kasy w gmachu sądu i zwrócił się do stojącego za biurkiem urzędnika:

– Czy sąd przyjmie czek z Banku American States na opłacenie kaucji za radnego Martina?

– Sąd przyjmuje чеки z tego banku. Ale radny Martin już wyszedł za kaucją.

– Dokąd poszedł?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Wiem tylko, że ktoś go wykupił.

Bell wyłożył na ladę banknot dziesięciodolarowy.

– Słyszałem, że radny Martin nie ma już przyjaciół dysponujących dziesięcioma tysiącami dolarów w gotówce - powiedział.

– Dobrze pan słyszał - potwierdził niewzruszenie urzędnik.

– Czy wie pan może, kto wpłacił kaucję?

– Ktoś, kto jest w posiadaniu kilku budynków przy Mulberry Street.

– Mulberry? To we włoskiej dzielnicy, prawda?

– Zgadza się.

– Czy radny Martin nie reprezentuje dzielnicy Queens?

– Owszem, dopóki nie znajdzie się w Sing Sing.

– Grunt zaczyna mu się palić pod nogami, co?

– Z tego, co wiem, to prokuratora ma go na widelcu i pies z kulawą nogą nie chce się już do niego przyznać. Został całkiem sam i do tego z niczym.

Bell dołożył drugi banknot.

– Pewnie widuje pan tu różne ciekawe rzeczy.

– Nie zaprzeczę.

– Kto byłby gotowy zaryzykować dwa budynki w nadziei, że Martin nie spróbuje zwać?

– Ktoś, kto ma więcej pieniędzy niż rozumu.

– Ale po co ten ktoś miałby w ogóle wpłacać kaucję?

– Pewnie po to, by uzyskać od radnego coś, czego ten nie zdążył jeszcze stracić.

Bell odniósł wrażenie, że ktoś go obserwuje. Rozejrzał się dokoła.

– Ten gość oparty o futrynę to pracownik prokuratury? - zapytał urzędnika.

– Detektyw Rosenwald. To on aresztował Martina.

Bell podszedł do niego.

– Oszczędzę panu kłopotu. Jestem Isaac Bell z agencji Van Dorn. Zadałem temu człowiekowi kilka pytań, które teraz zamierzam zadać także i panu.

– Ja także oszczędzę panu kłopotu i poradzę, żeby mnie nie próbował pan przekupić.

– Nawet mi to przez myśl nie przeszło - odparł pogodnie Bell. - Za to chętnie postawię panu drinka.

\* \* \*

Radny Martin zaczynał się obawiać, że wpadł z deszczu pod rynnę. W pierwszej chwili wszystko wskazywało na to, że sprawa była rozwiązana. Strażnicy sądowi wyprowadzili go bocznymi drzwiami z budynku, szczerząc się przy tym promiennie, zupełnie jakby jakiś waśniak sownie zasilił ich domowe fundusze. Zamiast chować się przed tłumem rozjuszonych dziennikarzy, znalazł się w obliczu kilku ponurych mężczyzn, którzy pospiesznie usadzili go w samochodzie, zanim ktokolwiek z drugiej strony budynku zdążył cokolwiek zauważyć. Ale teraz, siedząc już bezpiecznie w cudzym samochodzie, uświadomił sobie, że jego wybawcy nie traktowali go z szacunkiem, czy wręcz z uniżonością, jakiej zwykł oczekiwać, odkąd został członkiem Rady Miejskiej Nowego Jorku, rozdzielającym posady, względy i kontrakty.

Nie powiedzieli mu nawet, dokąd go zabierają. Właściwie to żaden z nich nie odezwał się do tej pory ani słowem. Zadowolony z uniknięcia kontaktu z dziennikarzami nie zauważył w pierwszej chwili, że jego barczyści wybawiciele to Włosi. Naraz serce ścisnęło mu się ze zgrozy. Został porwany przez Czarną Rękę! Uprowadziła go dla okupu banda podłych emigrantów, a przy tym wyjątkowo tępych, skoro nie zdawali sobie sprawy z tego, że nikt już nie da im za niego złamanego centa.

Próbował wysiąść, gdy samochód zatrzymał się na chwilę w korku. Śniadzi mężczyźni uchwycili go natychmiast za obie ręce i usadzili z powrotem na miejscu. Zażądał wyjaśnień. Któryś z nich kazał mu się zamknąć.

Otworzył szeroko usta, by zawołać o pomoc. Zanim zdążył wydać z siebie głos, siedzący obok facet zakneblował go skutecznie chusteczką.

Kiedy w końcu dojechali na miejsce i otworzyli drzwi, okazało się, że są wewnątrz jakiegoś magazynu. Czuł w powietrzu woń niosącą się z rzeki lub z pobliskiego ścieku. Zaprowadzili go w dół po kamiennych schodach do piwnicy, gdzie paliła się pojedyncza, goła żarówka, zawieszona pod sufitem. W kącie pomieszczenia stał stół, na którym leżało coś przykrytego płachtą. W

drugim kącie stał mężczyzna, nieruchomy niczym posąg. Bezpośrednio pod żarówką znajdowało się ciężkie, proste krzesło. Posadzili go na nim, przykuli mu ręce do poręczy kajdankami i usunęli knebel.

Następnie mężczyźni opuścili pomieszczenie. Został sam z nieruchomym nieznajomym, który zaczął mówić. Radny nie był w stanie dojrzeć jego twarzy, słyszał jednak wyraźnie włoski akcent.

– Panie Martin, pański asystent wyznał mi, że kazał mu pan wynająć zabójcę.

Radny niemal zadławił się własną śliną. Rzeczywiście wylądował pod rynną. Wszystkie inne myśli wyparowały mu natychmiast z głowy, a wszystko, co wydarzyło się wcześniej dzisiejszego dnia, poczynając od aresztowania, stało się całkowicie nieistotne. To było coś, w co w ogóle nie powinien był się pakować, i nigdy by się nie wpakował, gdyby ludzie Brandona Finna nie wykorzystali faktu, że znajdował się chwilowo całkowicie pod kreską. Teraz znalazł się w prawdziwych tarapatach. I musiał spróbować wszystkiego, by się z nich wykaraskać.

– Nigdy nie przyznałby się do czegoś takiego.

– Przyznam, że zrobił to bardzo niechętnie.

Po tych słowach mężczyzna zbliżył się do stołu i uniósł płachtę.

James Martin oddałby dziesięć lat ze swojego życia, byleby znajdować się w tej chwili w celi aresztu na Zachodniej Pięćdziesiątej Czwartej ulicy. Na stole leżały zwłoki jego asystenta. Jego twarz zmieniła się w krwisty befsztyk. Wyzierające spośród tego koszmaru jedyne ocalałe oko wpatrywało się w Martina z niemym wyrzutem.

– Co wyście mu zrobili? - spytał Martin, gdy udało mu się w końcu zmusić język do posłuszeństwa.

– Zadaliśmy mu pytanie: „Kto kazał ci wynająć zabójcę?” Teraz to samo pytanie zadajemy panu, panie radny. Kto kazał panu wynająć zabójcę?

\* \* \*

– Wiesz, gdzie jest Komnata Grozy? - zapytał Bella kapitan Coligney przez telefon.

– Ta przy Union Square?

– Będę tam na ciebie czekał.

## 22.

Wychodząc na stacji metra Union Square, Isaac Bell przeskakiwał po trzy schodki naraz. Przy Szesnastej ulicy stał naganiacz w skórzanym płaszczu, wykrzykujący przez megafon:

– Chcecie lepszych szkół i lepszego metra? Chcecie zielonych parków i złocistych plaż? A może chcielibyście się dowiedzieć, czemu do tej pory niczego z tych rzeczy nie dostaliście? Jeśli tak, to zapraszam na przygotowaną przez Komitet Stu wystawę dla mieszkańców, unaoczniającą wszystkie brudne sprawy bandy z Tammany Hall.

Jego wysiłki były raczej zbędne. Kolejka do wejścia ciągnęła się przez cały Union Square i jeszcze kilka bocznych uliczek. Gazeciarze roznoszący dodatki specjalne wykrzykiwali, że w ciągu zaledwie trzech dni wystawę odwiedziło już ponad dwadzieścia tysięcy osób.

W oknie wystawowym stała wykonana z krepiny krowa, mająca symbolizować dojenie miasta przez Tammany Hall. Pod kukłą stała tabliczka z napisem: „Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem. Zamiast tego lepiej zmienić dojarki!”

Na konkurencyjnej wystawie przygotowanej kilkanaście metrów dalej przez Tammany Hall znajdował się podobno prawdziwy, żywy słoń - mający przedstawiać Republikanów traktujących miasto - ale Bell miał wrażenie, że tłum przed wystawą anty-Tammany był co najmniej cztery razy większy.

Uprzedzony przez Coligneya gliniarz wprowadził Bella do wnętrza budynku, gdzie detektyw kierował się strzałkami wskazującymi wejście do Komnaty Grozy. Po drodze minął „Przejażdżkę radnego w góry Catskill”, wielki rysunek przedstawiający „Niezawodnego Jima” Fryera rozjeżdżającego samochodem małego podatnika oraz opis „Haniebnych losów mostu Queensboro”, zawierający oskarżenie członków Tammany Hall o zmarnowanie ośmiu milionów dolarów na budowę „nikomu niepotrzebnej autostrady”, które można było przeznaczyć na zapobieganie gruźlicy.

Dopiero w piwnicy znajdowała się główna atrakcja wystawy, Komnata Grozy Tammany Hall, zawierająca o wiele mocniejsze eksponaty. Na ścianach pomieszczenia wymalowano szare sylwetki mężczyzn, kobiet i dzieci,

przywołujące na myśl kręgi piekieł, by przedstawić realny koszt utrudnionego dostępu do szczepionek: trzynaście tysięcy nowojorczyków, zmarłych w tym roku na gruźlicę. Na jednym z rysunków znajdowała się grupa wynędzniałych dzieci stojących na brudnej ulicy, mająca być krytyką braku miejsc w szkołach.

Kapitan Coligney stał obok rozciągającego się od podłogi aż po sufit plakatu, podpisanego: „Jak cwaniaki z Tammany Hall oddają budowę wodociągu Catskill w ręce swoich koleżków”.

– Pewien detektyw z prokuratury twierdzi, że powoływałeś się na mnie w rozmowie z nim.

– Owszem. Miałem nadzieję, że pomoże mi odnaleźć radnego Martina.

– Tak też sądziłem - odparł Coligney, po czym wskazał kciukiem wielki plakat. - W takim razie powinna cię zainteresować druga część tej instalacji.

Za plakatem, niemal na widoku zwiedzających, radny James Martin wisiał na sznurze z przekrzywioną głową. Był już sztywny, twarz zdążyła mu posinieć, a język spuchł i zszarzał jak u papugi.

– Nie było go tutaj wczoraj, jak zamykali - poinformował Coligney. - Znaleźli go dopiero rano.

– O której zamykają wystawę?

– O jedenastej. A otwierają o dziewiątej rano.

– I mamy może uwierzyć, że powiesił się sam, dręczony wyrzutami sumienia?

– Martin nie znał takiego słowa. Poza tym wiemy, że nie żyje od ponad dwunastu godzin, więc na pewno nie powiesił się sam.

– Nie sądzę, by powiesił się wcześniej gdziekolwiek indziej - stwierdził Bell, przyglądając się zwłokom. - Ale nic nie wskazuje na to, by stawiał jakiś opór.

Coligney kiwnął głową.

– Nie znaleźliśmy przy nim nic oprócz tego. - Pokazał detektywowi wizytówkę, trzymając ją dwoma palcami za same krawędzie. Bell przeczytał, co na niej napisano.

– Kim jest Davidson?

– Dawny zwolennik reform. Pewnego dnia zrozumiał, gdzie robi się prawdziwe pieniądze, i czym prędzej przeskoczył do obozu Tammany Hall. Gruba ryba w Stowarzyszeniu Asekuracyjnym Przedsiębiorców Budowlanych.

– Czemu ktoś zostawił jego wizytówkę w kieszeni Martina?

– Sądzę, że z tego samego powodu, dla którego zostawił tu jego zwłoki - by ukazać Tammany Hall w jeszcze gorszym świetle niż pozostałe tutejsze eksponaty.

– To by oznaczało, że Davidson ma na pieńku z tymi samymi ludźmi, którzy zabili Martina.

– Przekazali mu w ten sposób całkiem przekonującą groźbę. - Coligney ponownie pokiwał głową.

– Ile możesz dać mi czasu na rozmowę z Davidsonem, zanim będziesz musiał to zgłosić?

Coligney wpatrzył się w coś niezwykle interesującego na suficie.

– Moi ludzie mają huk roboty. Na pewno przeciągnie im się z tym do jutra.

– Potrzebuję dwóch dni - powiedział Bell. Zanim pójdzie pogadać z Davidsonem, musiał dać czas analitykom na prześwietlenie życiorysu swojego rozmówcy.

\* \* \*

Bocznokołowiec „Rose C. Stambaugh” podchodził ostrożnie do brzegu pod Storm King, niecałe sto kilometrów w górę rzeki Hudson od Nowego Jorku. Kłęby dymu buchały z komina za sterówką, a maszyna parowa ustawiona pionowo między kołami łopatkowymi wypuszczała tumany pary, bielejącej szybko w chłodnym powietrzu.

Sternik zaklął paskudnie pod nosem, gdy przesywający poryw wiatru, prosto znad bieguna północnego, załopotał powiewającą na rufie amerykańską flagą, spychając statek niebezpiecznie szybko na nabrzeże. Czekał z utęsknieniem na dzień, w którym rzekę skuje lód, by móc wreszcie odpocząć od tej roboty.

Bell stał pierwszy przed rampą, śpiesząc się do zejścia na ląd. Miał na sobie granatowy płaszcz i melonik na głowie, a na ramię zarzucił torbę z rzeczami na zmianę. Na pokładzie towarowym stały czerwono-zielone furgony z hurtowni Antonia Branca, wypakowane beczkami i skrzynkami z towarami przeznaczonymi dla budowniczych wodociągu, którym woda z Catskill miała popłynąć pod korytem rzeki Hudson, od tamy Ashokan aż do Nowego Jorku.

Muły były już zaprzężone i gotowe do drogi. Gdy tylko rampa opadła na nabrzeże, Bell zeskoczył na nią i szybkim krokiem zszedł na ląd, zostawiając za sobą drepcące posłusznie długouche zwierzęta. Urzędnicy portowi rozstąpili się przed nim jak na komendę.

Jeśli w tym stroju wzięli go za detektywa nowojorskiej policji lub wysokiej rangi funkcjonariusza Zarządu Wodnego, to nie zamierzał wyprowadzać ich z błędu. Podczas tej podróży planował upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu i spotkać się ponownie z J.B. Culpem. Tym razem wybierał się do jego posiadłości, Kruczego Gniazda. Widział ją już teraz, połyskującą w oddali, pod wzgórzem, w promieniach stojącego w zenicie słońca. W torbie miał strój wieczorowy. Na razie jednak wolał wyglądać na policjanta.

Wkrótce dotarł do miejsca, w którym właśnie zatapiano wpust do tunelu tworzącego syfon pod korytem rzeki. W miejscu, gdzie pierwotnie planowano go umieścić, bliżej góry, granitowe skały okazały się za słabe, by wytrzymać ciśnienie wody.

– W czym mogę panu pomóc? - zapytał bojaźliwie wartownik.

– Szukam Davidsona.

– Poślę kogoś po niego.

– Proszę tylko wskazać mi drogę.

Strażnik wyciągnął rękę w górę stoku.

Bell podszedł do niego bliżej, tak jak zrobiłby to rasowy gliniarz.

– A może by tak dokładniej?

– Jakies trzydzieści metrów od nowego wpustu stoi jego kwatery.

Bell zrobił jeszcze krok, tak by jego ramię znalazło się dokładnie dwa centymetry od policzka mężczyzny.

– Jeśli ostrzeżesz go przez telefon, że nadchodzę, to jak tylko z nim skończę, wrócę tu po ciebie.

Oficjalnie Davidson pełnił funkcję eksperta od zarządzania ludźmi. Ale to była oczywiście tylko fasada. Tak naprawdę zajmował się odprowadzaniem składek na rzecz Stowarzyszenia Asekuracyjnego Przedsiębiorców Budowlanych lub, jak ujął to były reporter Scudder Smith: „dojeniem przedsiębiorców i podatników na polecenie mocodawców z Tammany”. Kiedyś był rzecznikiem efemerycznej partii Municipal Ownership League założonej przez magnata prasowego Williama Randolpha Hearsta i działał na rzecz



rozwijania sieci zakładów użyteczności publicznej, ale po zwycięstwie miasta w awanturze z firmą Ramapo Water zmienił front i - jak to ujął kapitan Coligney - został dogłębnie „stammanizowany”.

Po drugiej stronie rzeki Hudson, gdzie woda z Catskills miała płynąć tunelem, odcinek wodociągu budowała firma, która zapłaciła Davidsonowi „honorarium” w wysokości pięciu procent od wartości kontraktu za doradztwo. Tak przynajmniej twierdziły godne zaufania źródła, do których dokopali się ludzie Grady ego Forrera. Według plotek mniej godnych zaufania Davidson wyciągnął dwadzieścia tysięcy dolarów od Antonia Branca za załatwienie kontraktu na dostawy dla robotników. Niestety, plotki nie stanowiły jeszcze dowodu, przez co oskarżenie o branie łapówek nie miało szans trafić do sądu, zanim samo przestępstwo nie ulegnie przedawnieniu.

Jednak pomimo swojej pozornej nietykalności Davidson sprawiał wrażenie wystraszonego. Był wręcz roztrzęsiony. Na tyle roztrzęsiony, że nawet nie kwestionował maskarady Bella, udającego policjanta.

– Dostałem telegram - powiedział od razu, sam podchodząc do Bella przed swoim budynkiem.

– Jaki telegram? - spytał Bell.

– Wiadomość. Powiesili go w miejscu publicznym, specjalnie dla mnie. Ostrzegają, że jestem następny.

– Dlaczego?

– Nie pański interes.

– Mogę pana zamknąć - powiedział Bell. - Mój statek wraca niebawem do Nowego Jorku. Możemy też pojechać pociągiem.

– Proszę bardzo.

– Słucham?

– Proszę mnie aresztować. Będę bezpieczniejszy pod kluczem niż tu.

– Jak pan chce. - Bell kontynuował blef. - Skoro uważa pan, że w miejskim więzieniu będzie mu lepiej...

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi. - Davidson zwilżył usta. - Proszę iść do Finna. On wyjaśni, co i jak.

– Którego Finna?

Davidson popatrzył na niego z niedowierzaniem.

– Jest tylko jeden Finn, a jeśli nie wie pan, o kogo chodzi, to nie jest pan tym, za kogo się podaje.

Bell postanowił iść w zaparte.

– Zapytam raz jeszcze: co to za Finn?

Davidson odwrócił się bez słowa i odszedł, dając detektywowi do zrozumienia, że tym razem nie dał się nabrać na fortel. Nie marnując więcej czasu, Bell pobiegł do miasteczka, znalazł budkę telefoniczną niedaleko poczty i zadzwonił do kapitana Coligneya. Musiał nieco poczekać na zamiejscowe połączenie i domyślił się, że operator miejscowej centrali podsłuchuje rozmowę.

– Czy znasz jakiegoś Finna, który mógłby mieć coś wspólnego z naszym wisielcem?

– Obawiam się, że chodzi ci o Brandona Finna. Nie ma formalnie żadnego związku z Tammany Hall. Pozostaje raczej w cieniu, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Zajmuje się nieoficjalną stroną interesów?

– I bardzo skutecznie zaciera za sobą ślady.

– Komu podlega?

– Bossowi. Ale w całkowitej tajemnicy. Czemu o niego pytasz?

– Bo wydaje mi się, że powinniśmy zacząć go dobrze pilnować.

– Za późno - odparł Coligney. - Już nie żyje.

– Jak to się stało?

– Jeszcze nie wiemy.

Bell pospiesznie wysłał krótki telegram do agencji.

## CHROŃCIE CLAYPOOLA DOM I PRACA

Skoro Brandon Finn pracował bezpośrednio dla Bossa Fryera, to zabójca ludzi powiązanych z Tammany Hall zbliżał się już do końca swojej listy. A jeśli ciąg wydarzeń rozpoczął się od Claypoola, to mógł on teraz być następnym w kolejce.

Archie Abbott dawno już przyzwyczał się do tego, że wpływał na kobiety jak kocimiętka na koty. Właśnie z tego powodu, gdy pewna atrakcyjna brunetka zamówiła herbatę w lobby hotelu Knickerbocker, nie spojrzawszy na niego ani

razu, a nawet patrząc obojętnie przez niego, jakby w ogóle nie istniał, uznał to za niedopuszczalne naruszenie naturalnego biegu rzeczy.

– Dzień dobry.

Miała cudowne błękitne oczy. Gdy się uklonił, prześliznęła się nimi po jego mocno zarysowanej szczęce, wyrazistym nosie, przenikliwych oczach, wysokim czole, gęstych, rudych włosach i zniewalającym uśmiechu. A potem powiedziała:

– Obawiam się, że nie miałam przyjemności poznać pana. - I wróciła do czytania swojej gazety.

– Jeśli pani pozwoli, natychmiast temu zaradzę - odparł niczym niezrażony Abbott. - Nazywam się Archibald Angell Abbott IV. Byłbym zaszczycony, mogąc zostać pani znajomym.

Nie zaprosiła go, by usiadł razem z nią. Gdyby nie był w dobrych relacjach z tutejszymi detektywami hotelowymi, zapewne dwaj nieskazitelnie ubrani, barczyści panowie podeszliby do niego dyskretnie i wyprowadziliby go na zewnątrz, tłumacząc po drodze, że zaczepianie samotnych dam w tym hotelu nie jest mile widziane i żeby jego noga więcej tu nie powstała.

– Przyjaciele mówią do mnie Archie.

– A jak zwraca się do ciebie twoja żona?

– Będzie mogła zwracać się, jak tylko jej się spodoba, kiedy wreszcie ją znajdę. Czy wolno mi spytać o twoje imię?

– Francesca.

– Bardzo piękne.

– Dziękuję, Archibaldzie.

– Wystarczy Archie.

– Wolę Archibald. Tak jest bardziej zabawnie.

Abbott zauważył wybrzuszenie na palcu jej lewej ręki, gdzie pod rękawiczką zapewne znajdowała się obrączka.

– Czy jesteś zamężna, Francesco?

– Jestem wdową.

– Bardzo mi przykro - skłamał.

– Dziękuję. Minęły już dwa lata.

– Widzę, że nadalnosisz obrączkę.

– To zniechęca niewłaściwych ludzi do postępowania w niewłaściwy sposób.

– Czy pozwolisz mi się do ciebie przysiąc?

– Po co?

– Abyś mogła sprawdzić, czy ja również należę do niewłaściwych ludzi - odrzekł z uśmiechem.

Francesca uśmiechnęła się, a wraz z tym jej oczy rozbliły się jak kryształy.

– Niewłaściwy człowiek postąpiłby w sposób niewłaściwy.

– Powiedz mi coś o swoim akcencie, nie rozpoznaję go. Trochę wiem na ten temat, bo byłem kiedyś aktorem. Niedawno znalazłem inne zajęcie.

– Cóż to takiego?

– Ubezpieczenia.

– Usiądź, Archibaldzie - zaprosiła go Francesca Kennedy. - Bardzo mi miło cię poznać.

## 23.

Brama majątku Krucze Gniazdo wyglądała jakby wybudowano ją specjalnie z myślą o odpieraniu rozszalałych hord anarchistów i proletariackich agitatorów. Z obu stron dwupiętrowej, potężnej niczym zbrojownia, granitowej reduty rozciągał się wysoki mur. Kraty w bramie były grube niczym tory kolejowe, a podjazd był tak stromy, że żaden pojazd nie byłby w stanie rozpędzić się przed nią na tyle, by móc ją wyważyć. Tym, co naprawdę przykuło uwagę Isaaca Bella, były jednak wąskie szczeliny u szczytu muru, przez które ludzie uzbrojeni w karabiny mogliby bez wysiłku ostrzelać każdego potencjalnego napastnika. Najwyraźniej J.B. Culp nie lekceważył nikogo, kto patrzył złym okiem na bogaczy.

– Proszę poinformować pana Culpa, że Isaac Bell postanowił przyjąć złożone mu w Seawanhaka zaproszenie na prezentację jego lodowego jachtu.

– Czy był pan wcześniej umówiony?

Strażnik przed bramą nosił nieskazitelny mundur. Miał krótko ostrzyżone, siwe włosy i potężną posturę. W kaburze u pasa tkwił stary Colt Model 1873

kaliber .45, który podczas kampanii filipińskiej wrócił na wyposażenie amerykańskiej piechoty morskiej ze względu na ogromną siłę rażenia.

– Pan Culp zapewnił mnie, że mogę go odwiedzić w dowolnym terminie - zapewnił Bell, podając mu przez kraty swoją wizytówkę.

Pięć minut później Culp we własnej osobie zajechał pod bramę franklinem z sześciocylindrowym silnikiem chłodzonym powietrzem. Samochód tej marki pobił właśnie światowy rekord, przemierzając wszerz Amerykę w zaledwie piętnaście dni.

– Witam, Bell! Co też pana do mnie sprowadza?

– Nasza firma pracuje dla ubezpieczycieli kilku przedsiębiorców pracujących przy budowie wodociągu. Hartford chciał, bym przyjrzał się z bliska panującym tu warunkom.

– Ma pan szczęście, że zastał mnie pan w domu.

– Spodziewałem się, że dzięki telefonom i linii telegraficznej nie musi pan zbyt często wyjeżdżać do miasta - odparł gładko Bell. W rzeczywistości jeden z jego ludzi śledził wszelkie poczynania Culpa od chwili, gdy udało im się wyeliminować pozostałych członków klubu Wiśniowy Gaj.

– Wskakuj pan! Pokażę panu moje skromne włości.

– Przyjechałem specjalnie po to, by obejrzeć pański bojer.

Culp skręcił na odchodzącą z podjazdu drogę, ciągnącą się wzdłuż muru posiadłości i opadającą wraz z nim aż do rzeki, gdzie obok budynku dla służby stał hangar dla łodzi. Pracownicy przystani wciągali żaglówki po pochylni. Bojer był zawieszony wewnątrz hangaru na pewnej wysokości nad wodą, gotowy na opuszczenie w każdej chwili, gdy tylko rzekę zetnie lód. Swą rozcapierzoną sylwetką przywodził na myśl wodnego pająka. Była to lekka konstrukcja, składająca się z mocnego kadłuba o trójkątnym przekroju, opartego na dwóch skrzyżowanych aluminiowych belkach z płozami na końcach trzech dłuższych ramion.

– Projekt jest nowy i całkowicie oryginalny - chwalił się Culp. - Pomysł z użyciem aluminium podpatrzyłem w swoim franklinie. To mocny, a zarazem lekki materiał.

Ku zaskoczeniu Bella biznesmen sprawiał wrażenie typowego miłośnika rywalizacji sportowej, gotowego zrobić wszystko, byleby jego jacht, koń, samochód czy bojer pokonał wszelką konkurencję.

– Imponujący żagiel - przyznał Bell, spoglądając na maszt.

– Ożaglowanie łaćńskie. Bije na głowę wypróbowane na rzece Hudson, niezawodne jachty lodowe z gaflem i kliwrem. Ostatniej zimy wyciągnąłem na tym cudeńku ponad dziewięćdziesiąt węzłów.

– Ponad dziewięćdziesiąt węzłów? Wyprzedziłby pan lokomotywę ekspresu 20th Century.

– W tym roku zamierzam przekroczyć setkę. A teraz proszę za mną, pokażę panu dom.

Domem w Kruczym Gnieździe była ogromna willa o imponujących oknach, które swoimi rozmiarami dorównywały szybom wystawowym w najlepszych sklepach Nowego Jorku. Właściciel wciąż sprawiał wrażenie dumnego gospodarza, a nie kogoś, kto planował zabójstwo. Meble zostały sprowadzone z Europy. Dla zachowania pozorów Bell zachwycał się niektórymi elementami wystroju, dopóki nie zdębiał na widok stojącej na trzydziestoosobowym stole w jadalni wielkiej figury ze srebra, lazurytu i kości słoniowej, która przedstawiała świętego Jerzego na koniu, przebijającego lancą smoka. Gdy Bell, po dłuższym zastanowieniu, zrozumiał, że misy zamocowane na głowie i ogonie mitycznego gada służyły do przechowywania soli i pieprzu, do sali weszła nagle pani Culp, prowadząc za sobą kucharza oraz kamerdynera.

Wyglądała na co najmniej dziesięć lat młodszą od męża, co czyniłoby z niej równolatkę Bella. Z pewnością nie była pierwszą żoną bogacza, który wolał spędzać noce w burdelu Wiśniowy Gaj. Tymczasem uroda Daphne Culp była tak oszałamiająca, że Bell nie miał pojęcia, po co zawracać sobie głowę wychodzeniem z domu.

– Poznaj Bella. - Culp przedstawił go od niechcienia. - Spotkałem go na regatach w Seawanhaka.

Bell uklonił się, rzucając kilka słów uznania pod adresem lodowego jachtu oraz domu, a gospodyni odpowiedziała mu pytaniem:

– Czyżbym prawidłowo rozpoznawała bostońską nutę w pańskim akcencie, panie Bell?

– Zgadza się, droga pani. Sądziłem, że udało mi się pozbyć akcentu w New Haven.

– Butler też studiował w Yale, czyż nie, mój drogi?

– Och, gdy ja zaczynałem studia, John Butler Culp był już jedną z legend uczelni.

– Aż taki stary jeszcze nie jestem, psia krew! - zachnął się Culp.

Daphne po kilku chwilach rozmowy zdołała odnaleźć łączących ją z Bellem dalekich krewnych i zaprosiła go na kolację.

– Przyjechał pan z Nowego Jorku? Lepiej będzie, jak przenocuje pan tutaj.

– A przed kolacją pokażę panu jeszcze moją salę gimnastyczną - dodał Culp.

\* \* \*

– Ma pan własny ring bokserski - zauważył Bell.

– I własnych bokserów - przyznał biznesmen, po czym przedstawił detektywowi Lee i Barry ego.

Obaj byli imponująco umięśnieni i poruszali się niezwykle lekko i sprężysto. Lee był wysoki i szczupły, a Barry nieznacznie niższy, za to dwa razy szerszy. Culp miał możliwość ćwiczenia z dwoma całkowicie odmiennymi przeciwnikami.

– Czy to prawda, że boksował pan w barwach Yale? - zapytał Culp.

– Słyszałem, że pan również.

– To może spróbujemy kilka szybkich rund?

Bell zdjął marynarkę i odpiął kaburę z bronią.

– Często musi pan korzystać z tej armaty w branży ubezpieczeniowej?

– Oszuści rzadko stawiają opór, ale czasami się przydaje - odparł Bell, wieszając ubranie i pistolet na wieszaku. Ściągnął jeszcze krawat i koszulę, po czym podszedł do ringu, przesunął się między napiętymi linami i ruszył po macie do przeciwległego narożnika. Culp także zdjął marynarkę, krawat i koszulę przed wejściem na ring.

– Chce pan rękawice?

– Dostosuję się do pana.

– W takim razie możemy zacząć.

Barry, ćwiczący z workiem treningowym, oraz Larry, wywijający ciężkimi indyjskimi pałkami, patrzyli na obu mężczyzn, uśmiechając się pod wąsem. Barry uderzył nawet w gong zawieszonym przy nim małym młoteczką. Culp i

Bell wyszli na środek ringu, dotknęli się pięściami, cofnęli się i rozpoczęli sparing.

Bell od razu się zorientował, że jego przeciwnik był bardzo, bardzo dobry. Dysponował zarówno imponującą szybkością i zwinnością, jak i sporą siłą, co stanowiło niezwykle rzadkie połączenie. Był wprawdzie dziesięć lat starszy, ale dbał o zachowanie wysokiej formy. Bell nie spodziewał się niczego innego. Już w jachtklubie zauważył, że Culp poruszał się po pokładzie swojej nowojorskiej łodzi niczym urodzony atleta. Zaskoczyła go natomiast zaciekłość, z jaką ten rekin finansjery starał się teraz przefasonować mu szczękę. Biznesmen praktycznie każdy swój cios kierował na głowę Bella, nie zważając na nic. Po kilku próbach nienaganna praca nóg i garda detektywa zaczęły go wyraźnie irytować. Kolejne, coraz silniejsze uderzenia zadawał z narastającą pasją, pozostawiając przy tym wyraźne luki we własnej obronie.

Wreszcie Lee uderzył w gong, czym obwieścił koniec pierwszej rundy. Mężczyźni na ringu pozwolili sobie na kilkusekundowy odpoczynek, po czym doskoczyli do siebie na nowo.

Gdy wybrzmiał gong na trzecią rundę, Culp porzucił wszelkie pozory ostrożności i doskoczył do Bella, starając się wystraszyć go swoją przytłaczającą posturą, by choć na moment opuścił gardę, po czym wyprowadził morderczy cios z prawej. Gdyby ta akcja się powiodła, Bell najprawdopodobniej przeleciałby przez liny.

Niezrażony pierwszym niepowodzeniem Culp spróbował tej sztuczki ponownie. Bell uznał, że najwyższa pora z tym skończyć, zanim komuś naprawdę stanie się krzywda. Zmylił Culpa dwoma markowanymi ruchami lewej ręki, by za trzecim razem uderzyć go tą samą pięścią nie za mocno w łuk brwiowy.

Zadany bez rękawic cios okazał się na tyle mocny, że Culp zatoczył się mocno do tyłu, a i sam Bell wyraźnie poczuł uderzenie na knykciach. Gospodarz, czerwony z wściekłości, wyszedł z ringu, zakrywając oko dłonią.

– Teraz ty! - krzyknął do wyższego z bokserów, który posłusznie odłożył maczugi i przecisnął się przez liny.

– Najmocniej przepraszam, ale muszę się przebrać do obiadu - wycedził Culp, kierując się do wyjścia. - Proszę sobie nie przeszkadzać, detektywie Bell.

– Zastanawiałem się, kiedy się pan zorientuje - odparł Bell.

– Na długo przed tym, zanim zobaczyłem pański pistolet.



– Jestem panu niezmiernie wdzięczny.

– Niby za co?

– Za rozwianie wątpliwości co do pańskich zamiarów.

– Niedługo ci będzie dane cieszyć się swoją wiedzą - zaśmiał się Culp. - Zapomnisz, jak się nazywasz, kiedy moi chłopcy dobiorą się do ciebie. Do roboty, panowie!

Przed wyjściem ściągnął jeszcze z wieszaka kaburę z bronią Bella i zabrał ją ze sobą.

Tymczasem Lee stał już na środku ringu z uniesionymi pięściami.

– To co, piętnaście rund? - zapytał.

– Chyba że wcześniej się zmęczysz - rzucił Bell.

– Jak on się zmęczy, to ja go zastąpię - wtrącił zza lin Barry.

\* \* \*

Lee odezwał się znowu dopiero po piątej rundzie.

– Coś mi się nie wydaje, żeby nauczyli cię takiej pracy nóg w Yale.

– Nie, tego nauczyłem się w południowej dzielnicy.

Lee sapał już ciężko. Bell podobnie. Barry natomiast stał w rogu i obserwował uważnie jego technikę.

– Południowej dzielnicy czego?

– Chicago.

– Tak myślałem.

Barry uderzył w gong na kolejną rundę.

\* \* \*

Po rundzie dziesiątej Lee wycofał się niepewnym krokiem z ringu.

– Załatw go - powiedział krótko do kolegi.

Barry wskoczył lekko na matę poplamioną krwią poprzednika.

– No dobra, panie Chicago, czas na kilka lekcji praktycznych.

– Będziesz się musiał postarać trochę bardziej niż twój kolega.

– Lekcja pierwsza: dobry większy zawodnik zawsze pokona dobrego mniejszego zawodnika. - Po tych słowach Barry rzucił się na Bella szybko i z mocą.

Isaac zdążył się już zmęczyć. Ramiona zaczynały mu ciążyć, a nogi sprawiały wrażenie przybitych do podłogi. Do tego dzwoniło mu w prawym uchu po tym, jak nie zdążył się uchylić przed jednym z sierpowych Lee. Policzki też miał napuchnięte. Na razie udało mu się uniknąć poważniejszych obrażeń tułowia. Ale Barry już się zbliżał, starając się ocenić, ile Bellowi jeszcze zostało siły.

Bell popatrzył przeciwnikowi w oczy i wypuścił kilka szybkich zmyłek, chcąc dać mu do zrozumienia, że wciąż jest gotowy do walki. Jednocześnie bezustannie powstrzymywał się od wykonywania zbyt szybkich ruchów, żeby za szybko się nie zmęczyć. Barry tymczasem metodycznie robił swoje, zadając precyzyjnie wymierzone ciosy i starając się wypracować lukę w obronie przeciwnika. Nagle wyprowadził detektywa w pole zgrabną fintą i wykorzystał to, by uderzyć go lewą pięścią w pierś. Wysoki i szczupły Lee zadawał ciosy szybkie i niezbyt mocne. Barry natomiast uderzał jak taran. Bell z najwyższym trudem ustał na nogach i powstrzymał grymas bólu.

– Lee, wracaj tu! - zawołał dla odwrócenia uwagi.

– Że niby co?

– Zaczyna mnie to już nudzić. Spróbujcie obaj naraz. Pójdzie szybciej.

– Sam tego chciałeś.

Lee zaczął gramolić się na ring z pewnym trudem, wciąż obolały po stoczonych przed chwilą walce.

– Barry, pomóż koledze. Rusza się jak mucha w smole.

Barry uczynnie odwrócił się, by podciągnąć partnera. Bell skrzętnie wykorzystał okazję i przeskoczył ponad linami ringu.

– Chojrak próbuje uciec! - krzyknął Barry, po czym obaj bokserzy rzucili się za detektywem.

– Nigdzie nie uciekam. Chciałem tylko wyrównać szanse - odpowiedział Bell, odwracając się w ich kierunku. W dłoniach trzymał dwie dziesięciokilogramowe pałki indyjskie.

– Odłóż to, zanim naprawdę stanie ci się krzywda.

– Bardziej zależy wam na zębach czy na kolanach?

Isaac zamachnął się pałkami w stronę twarzy napastników. Obaj natychmiast unieśli dłonie, by je chwycić i przejść do kontrataku. Jednak Bell błyskawicznym ruchem skierował pałki niżej. Uderzenie ich grubych końców przypominało cios tępym toporem. Barry zachłysnął się powietrzem, a Lee jęknął przeciągle. Obaj złapali się za kolana. Ale żaden nie upadł. Obaj byli świetnie wytrenowanymi maszynami do obijania łbów i potrafili zignorować ból, by kontynuować walkę. Już napinali mięśnie, by skoczyć razem na detektywa.

Jednak ten zdążył unieść pałki w górę, dokładnie na wysokość ich głów, po czym, wyęzając nadwątlone siły do ostatecznego ciosu, posłał je prosto przed siebie.

\* \* \*

Isaac Bell wkroczył do jadalni w posiadłości Krucze Gniazdo ubrany w granatowy smoking. John Butler Culp siedział u szczytu długiego stołu, Daphne Culp zajmowała miejsce na prawo od niego, natomiast naprzeciw niej, po lewej stronie, zostało miejsce na trzecie nakrycie. Święty Jerzy wraz z koniem i smoczą solniczką został przesunięty, by odgrodzić resztę stołu, tworząc przytulną przestrzeń na kameralną kolację.

- Dobry wieczór, pani Culp - zwrócił się Bell do pięknej gospodyni. - Bardzo przepraszam za spóźnienie. Witaj, J.B. Czy dobrze widzę, że coś ci się stało w oko?

Culp skrzywił się tylko bez słowa.

- Ależ Jenkins, nie stój jak słup soli - zaniepokoiła się pani Culp. - Przynieś talerz dla pana Bella... Czy dobrze się pan czuje, panie Bell? Ma pan siniaki na twarzy. Butler, czy to ty tak zmalutowałeś naszego gościa?

- Skądże znowu, pani Culp. - Bell natychmiast stanął w obronie gospodarza. - Nawet gdyby spróbował, nie dałby rady... Ach, byłbym zapomniany. J.B., twoi pracownicy z sali gimnastycznej prosili, żeby kucharz przyniósł im rosół albo jakąś inną zupę. W każdym razie coś, co będą w stanie wypić przez słomkę.

- No dobra, Bell. Wygrałeś tę rundę.

- W rzeczy samej - przytaknął Bell. Ale wiedział, tak samo jak Culp, że było to zwycięstwo pyrrusowe. Biznesmen, mimo z trudem hamowanej furii, w dalszym ciągu wyglądał jak ktoś absolutnie przekonany o swojej nietykalności.

Choć Bell poznał już jego prawdziwe intencje, John Butler Culp uważał, że stoi ponad prawem, i ani myślał zarzucić swój plan zamordowania prezydenta. Zbrodniczy zamiar nie został porzucony.

Ta myśl zmroziła Bella aż do szpiku kości: koła poszły w ruch, tocząc się zrazu powoli, niczym lokomotywa opuszczająca parowozownię. Naoliwiona, z zapasem węgla i wody, wjeżdża na główny tor, na którym nie ma żadnych przeszkód i nic nie zdoła jej zatrzymać, nawet sam Culp... No, może niezupełnie, pomyślał po zastanowieniu. Od tej pory jeden element spisku znajdował się poza kontrolą Culpa: fakt, że Bell zna jego zamiary. Na razie nie mógł niczego udowodnić, ale wiedział o planowanym zamachu i zamierzał go udaremnić, choćby za cenę życia.

– Panie detektywie, wygląda pan na wyjątkowo zadowolonego z siebie - zauważył Culp.

Bell odłożył nóż i widelec i ostentacyjnie skierował wzrok na świętego Jerzego, konia i smoka.

– Poproszę o sól.

Pani Culp wybuchła śmiechem.

– Jest pan pierwszym gościem, który odważył się zwrócić do niego w ten sposób. Butler, na miłość boską, uśmiechnąłbyś się chociaż!

– Przecież się uśmiecham - odparł Culp.

– Wcale na to nie wygląda.

– Ale będzie.

## 24.

Wyglądasz, jakbyś wbijał nity własną głową - zauważył Harry Warren na widok wkraczającego do biura Isaaca Bella.

– Pośliznąłem się w wannie. W pociągu miałem okazję przeczytać nekrolog Finna. Trudno z niego wywnioskować, kim był naprawdę.

– Klasyczny przykład człowieka od rozwiązywania problemów. Trochę staroświecki, przyjazny kompan od kieliszka z mocną głową. Ale nikt nie ważył się z nim zadzierać. Siedział na głębokim zapleczu i miał bezpośredni kontakt z

Bossem Fryerem, choć nie przypuszczam, by ktokolwiek w mieście zeznał to przed sądem.

– Pewnie mógłby nas doprowadzić do Claypoola. Gdyby żył.

– O właśnie, przy okazji mogę ci przekazać, że Claypool raczej nie potrzebuje naszej ochrony. Chłopaki zauważyli, że w jego biurze urzęduje kilku policjantów po cywilnemu. Zmieniają się przez całą dobę.

– A więc sam już się zorientował, że teraz jego kolej.

– Taka gruba ryba jest w stanie zapewnić sobie najlepsze zabezpieczenie. Aha, uściśnąłem dłoń Branca. I co to niby miało nam dać?

– Prawą rękę?

– Oczywiście.

– Zauważyłeś coś szczególnego na jego dłoni?

Warren zastanawiał się przez moment.

– Owszem. Ma kilka dziwnych zgrubień na palcach.

– Jesteś pewien?

– Tak. Po wewnętrznej stronie palca wskazującego i środkowego. Każde tak na dwa centymetry.

– Zwróciłem na to uwagę, gdy widziałem się z nim w Małej Italii. Zauważyłem je, gdy podawałem mu rękę. Jak myślisz, skąd się wzięły te zgrubienia?

– Ty mi powiedz. - Harry Warren wzruszył ramionami. Isaac Bell wyciągnął z kieszeni składany nóż.

– Uważaj na moje palce.

– Dobrze.

Bell rozłożył ostrze.

– Te palce, wskazujący i środkowy.

– Ma odciski od wielokrotnego otwierania noża. - Harry doznał olśnienia.

– Ćwiczy, by nie wyjść z formy.

– Sprytny sposób na ominięcie zakazu noszenia broni.

– Branco sam mi o tym powiedział. Ale o regularnych ćwiczeniach nie wspomniał.

– Czekał, przecież to nie ta ręka - zauważył nagle Warren. - Wyciągasz ostrze lewą ręką. A ja uściśnięłem mu prawą dłoń.

– Branco jest leworęczny. Widziałem, jak złapał spadającą pomarańczę. Był szybszy niż grzechotnik. - Bell złożył nóż i rozłożył go ponownie. - Ale jakkolwiek szybki by nie był, w dalszym ciągu ma do dyspozycji tylko krótkie ostrze.

– Niekoniecznie - powiedział Warren. - Widziałem sycylijskie noże o tak wąskich rękojeściach, że można je bez trudu wepchnąć do rany razem z ostrzem.

– Legalny sztylet?

– Dopóki nim kogoś nie zadźgasz.

\* \* \*

Przyjaciele Brandona Finna z Tammany Hall zadbali o to, by stypa po nim odbyła się w teatrze Tony'ego Pastora.

Isaac Bell zjawił się tam w towarzystwie Helen Mills.

– Wypatruj Brewstera Claypoola. Musimy ustalić, czy to on jest następnym na liście mordercy. Zakładamy, że Finn był pierwszym ogniwem łańcucha pośredników, ciągnącego się aż do „Kida Kelly'ego” Ghiotton'ego, ale w dalszym ciągu musimy udowodnić, że zlecenie wyszło od Claypoola.

Na szczęście przekonanie Bella, że żaden wykidajło nie będzie sprawdzał człowieka prowadzącego ze sobą piękną, młodą kobietę, okazało się słuszne i bez żadnego trudu wtopili się w tłum polityków, policjantów, pracodawców, księży i innych elegantów, by nadstawić uważnie uszu i od czasu do czasu zadać kilka z pozoru niewinnych pytań.

Szybko przekonali się o dwóch rzeczach: Brandon Finn był uwielbiany w towarzystwie i absolutnie nikt spośród jego przyjaciół nie mógł uwierzyć, że ktoś mógłby chcieć go zabić.

Jak to zwykle bywa na stypach po pogrzebach popularnych ludzi, wraz z rozlewaniem coraz obficiejszym alkoholem gościom rozwiły się języki. Wkrótce cała sala rozbrzmiewała serdecznym śmiechem, wzbudzonym przez kolejne, co ciekawsze opowieści z życia Finna. Helen, obdarzona naturalnym darem wyciągania informacji z przedstawicieli płci męskiej, szybko doniosła Bellowi, że według dwóch przyjaciół nieboszczyka - nazywanego z podziwem

„ostatnim prawdziwym utracjuszem” - Finn na dzień przed śmiercią szastał pieniędzmi jeszcze bardziej niż zwykle.

Bell usłyszał też kilkakrotnie zdanie, że „Brandon musiał trafić na prawdziwą żyłę złota”.

Domyślał się, że musiało chodzić o źródło niezwiązane z Tammany Hall, gdzie raczej wynagradzano go wpływami niż żywą gotówką. Podzielił się z Helen przypuszczeniem, że ktoś spoza politycznych kręgów zapłacił mu za przekazanie zlecenia dalej, do „Kida Kelly ego”.

– Czego ten ktoś mógł chcieć od Ghiotton'ego?

– Nie chodziło konkretnie o niego, cała intryga opiera się na tym, by znać jak najmniej nazwisk. Zlecenie dotyczyło jednak czegoś, co mógł zorganizować ktoś taki jak Ghiottone.

– Znalezienia mordercy.

– Tylko człowiek, który zapłacił Finnowi, może to potwierdzić. Ale znając treść rozmów w Wiśniowym Gaju, możemy się domyślać, że chodzi właśnie o zabójstwo. - Bell przerwał i wskazał kogoś gestem dłoni. - To Mike Coligney. Przedstawię was sobie. Zajmie się tobą, kiedy będę składał kondolencje towarzysze życia Finna.

– Nie potrzebuję ochroniarza.

– No nie wiem. Już co najmniej tuzin żałobników wodzi za tobą mętym wzrokiem.

\* \* \*

Bell umiejętnie przecisnął się pośród tłumu w pobliże Rose Bloom, jak brzmiał pseudonim sceniczny ukochanej Finna, i odezwał się na tyle głośno, by mieć pewność, że go usłyszy:

– Brandon Finn, nawet leżąc w trumnie, wygląda lepiej niż ktokolwiek tutaj, wciąż stojący o własnych siłach.

– Święte słowa! - zawołała kobieta, odwracając się od zebranego wokół niej wianuszka admiratorów w kierunku Bella.

W jego słowach nie było ani trochę przesady. Kraciasty garnitur zmarłego był dopasowany jak rękawiczka. Na krawacie połyskiwała spinka wysadzana brylantami, z butonierki wystawały w idealnej symetrii trzy grube cygara, przywodzące na myśl wieżę artyleryjską pancernika, a zawadiacko

przekrzywiony melonik zakrywał jedno oko. Przypięty na piersi znaczek z kampanii wyborczej burmistrza McClellana wieńczył wizerunek człowieka, który czerpał z życia pełnymi garściami.

Zapłakana Rose Bloom zwróciła się do detektywa donośnym głosem, nie zważając na konwenanse!

– Był największym przystojniakiem, jakiego znałam.

– Proszę przyjąć moje najszczerze wyrazy współczucia - odparł Bell, wyciągając do niej rękę i kłaniając się, gdy podała mu swoją. Nietrudno było sobie wyobrazić, że za życia nieboszczyka tworzyli równie wspaniałą parę jak „Diamentowy Jim” Brady ze swoją Lillian Russell, mając cały Nowy Jork u swoich stóp.

– Dziękuję panu.

– Nazywam się Bell, Isaac Bell. Jeszcze raz, bardzo mi przykro.

– Och, panie Bell. Jak nieprzewidywalny może być los. Wszystkie wieloletnie plany... zdmuchnięte w mgnieniu oka!

– Mówią, że Bóg ma plan dla nas wszystkich, ale trudno doszukiwać się sensu w takiej tragedii. Czy chociaż ostatnie chwile udało się państwu spędzić razem?

– Widzieliśmy się w noc przed jego śmiercią. Zabrał mnie na najwspanialszą kolację, w Delmonico. Zarezerwował odosobniony stolik. - Z każdym słowem jej głos załamywał się coraz bardziej i przechodził w łkanie.

– To była jego ulubiona restauracja?

– O tak, bez wątpienia. Ale wpadaliśmy tam tylko od święta. Za drogo, by można było jadać tam regularnie.

– Jestem pewien, że teraz patrzy na nas z góry i cieszy się, że mógł swoją ostatnią noc spędzić z panią w ulubionej restauracji. Pieniądze w takiej chwili nie mają żadnego znaczenia.

– Brandonowi do końca dopisywało szczęście - wtrąciła kobieta, uśmiechając się przez łzy. - Nie zapłacił za kolację ani grosza, bo w pewnej chwili zajrzał do nas jakiś ważniak z Wall Street i zechciał pokryć rachunek.

Bell widział, że ze wszystkich stron napierają mężczyźni, pragnący zwrócić na siebie jej uwagę. Musiał się pospieszyć.

– Czy to był może ten mężczyzna? - zapytał, podsuwając Rose zdjęcie Brewstera Claypoola i obserwując jej reakcję. Znała go.



Zanim odszedł, spojrzął jej jeszcze prosto w oczy i powiedział:

– Panno Bloom, jeszcze raz najszczerze wyrazy współczucia. Bardzo mi przykro, że straciła pani tak wyjątkowego człowieka.

Gdy po wyjściu znaleźli się na Czternastej ulicy, Bell kazał Helen biec do biura i przekazać Harry'emu Warrenowi, by wysłał ludzi do hotelu Waldorf oraz do Wiśniowego Gaju.

– Powiedz mu też, że idę do biura Claypoola.

– Już po godzinach urzędowania.

– Claypool wie, że jest następny do odstrzału. Będzie się czuł bezpieczniej w swoim biurze, otoczonym ze wszystkich stron przez gliniarzy.

– Skąd wiesz, że zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa?

– Bo jest ostatnim ogniwem między Culpem a znalezionym przez Ghitton'ego zabójcą z Czarnej Ręki.

\* \* \*

Ludzie ochraniający Brewstera Claypoola wyglądali Bellowi na byłych policjantów, wyrzuconych z wydziału po czystkach komendanta Bingham. Była to zgraja zaniedbanych, marnie ubranych typków, którzy z pewnością nie potrafiliby ustrzec nikogo przed śmiercią z rąk doświadczonego zamachowca.

Bell natknął się na jednego w windzie, na drugiego w korytarzu na piętrze i na kolejnych dwóch w biurze prawnika. Wszyscy leżeli na ziemi, niektórzy kompletnie nieprzytomni, a inni tylko otumanieni, ściskając się za głowy. Wyczuł woń prochu. Z pistoletem w dłoni wyważył drzwi do gabinetu Claypoola, gdzie natrafił na kolejnego nieprzytomnego ochroniarza z ręką na pistolecie. Obok leżało martwe ciało Charliego Salaty, przywódcy gangu Czarnej Ręki.

– Claypool! - zawołał detektyw.

Sprawdził, czy prawnik nie ukrył się w szafie lub łazience, bez rezultatu. Podszedł do okien, wychodzących na drapacz chmur Singera. Otworzył jedno z nich i rozejrzał się. Biuro znajdowało się na dwunastym piętrze, a w pobliżu nie było balkonu, na który zbieg mógłby przeskoczyć, ani żadnej drogi na dach.

W budowanym naprzeciw wieżowcu jarzyły się gołe żarówki. Roboty na dziś dobiegły już końca i pośród stalowych kolumn, które sięgały kilka kondygnacji wyżej od czasu, gdy Bell widział je ostatnio, nie było już nikogo.

Dźwigi stały nieruchomo, ich silniki odpoczywały w ciszy. W oddali słyhać było przejeżdżające tramwaje, hałaśliwy silnik ciężarówki i stukot kopyt na bruku. Nagle jego uwagę przyciągnął jakiś ruch. Pięć pięter nad poziomem ulicy dojrzał postać, wspinającą się po niezabezpieczonych schodach wewnątrz szkieletu wieżowca. Zapewne był to ochroniarz lub strażak, doglądający placu budowy.

Bell podszedł jeszcze raz do szaf, przypomniawszy sobie, że jedna z nich była niemal zupełnie pusta. Zbadał dokładnie jej tylną ścianę i znalazł drzwi, których klamka była ukryta za zimowym płaszczem. Prowadziły na klatkę schodową.

– Claypool! - zawołał po raz kolejny.

Cisza. Nikt nie odpowiedział, nie było też słyhać żadnych kroków. Możliwe, że Claypool zdołał uciec pośród zamieszania, osłaniany przez rannego detektywa, który zastrzelił Salatę.

Bell wrócił do okna. Człowiek w budynku Singera dotarł do szczytu schodów, popatrzył w dół, po czym doskoczył do drabiny i zaczął wspinać się jeszcze wyżej. Bell przytknął czoło do szyby. Dwa piętra niżej dostrzegł drugiego człowieka, wchodzącego na górę po schodach. Poruszał się powoli, wyraźnie utykając na jedną nogę.

## 25.

Brewster Claypool skulił się wewnątrz trójkąta tworzonego przez stalową kolumnę, przymocowaną do niej poprzecznice i ukośną belkę usztywniającą, starając się ukryć przed ścigającą go bestią. Nie miał innego wyjścia, był już tak zmęczony, że dalsza ucieczka z pewnością skończyłaby się śmiertelnym upadkiem z dużej wysokości. Nawet taki amator ćwiczeń fizycznych jak J.B. Culp nie zdołałby chyba wspiąć się po tylu schodach i drabinach - co najmniej pięciu, bo potem stracił rachubę - co on w ciągu ostatnich dziesięciu minut. A nie pamiętał już, kiedy ostatni raz wybrał schody zamiast windy.

Gdy chował drżące nogi pod osłonę trójkąta, słyhał w mroku kroki bestii, wspinającej się coraz wyżej jego śladem. Teraz stracił orientację i nie wiedział, gdzie znajduje się prześladowca. Czyżby szum wiatru tłumił odgłos kroków? A może potwór zatrzymał się i nasłuchuje, by zlokalizować swoją przerażoną

ofiara. Bo Claypool nie miał żadnych wątpliwości, że jest ofiarą, której nie ocala nawet najlepsze koneksje świata. Starał się więc jak najciszej wciągać powietrze do umęczonych płuc.

Po jakimś czasie zaczął odzyskiwać siły, a wraz z nimi nadzieję, że zabójca dał za wygraną. Może zdoła dotrzeć w tej metalowej klatce do rana, gdy wokół zarozi się od robotników? A może zamarznie tu na śmierć? Wiatr cały czas się wzmacniał, a im wyżej, tym silniejsze były jego porywy. Nic dziwnego, że inżynierowie rozstawili tu tyle wiatrochronów.

– Panie Claypool.

Źródło głosu znajdowało się tuż przy jego uchu. Przerażony Claypool krzyknął:

– Kim jesteś?! Czego chcesz ode mnie?!

– Kto kazał panu poprosić Finna o wynajęcie mordercy?

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz!

– Tak? To czemu na wieść o śmierci Finna otoczył się pan zgrają ochroniarzy?

W świecie gierk i przekrętów, w którym Brewster Claypool brylował przez całą swoją karierę, nikt nie był bystrzejszy od „prawnika kolejowego” - z wyjątkiem prawnika z Wall Street. Ale słysząc to pytanie, zadane w upiornej ciemności, Claypool zdał sobie sprawę, że z głowy wywietrzały mu wszelkie cięte riposty, błyskotliwe repliki i niepodważalne argumenty.

– No? Dlaczego?

Nagle, dzięki Bogu, jego umysł zaczął pracować na nowo.

– Po co mi ci ochroniarze? - zaczął gładko, zupełnie jakby siedział teraz w wygodnym fotelu na kolejnym spotkaniu biznesowym. - Bo widziałem, jak w ciągu kilku dni giną kolejni ludzie, każdy na trochę wyższym stanowisku. Zastanawiałem się, czy to sprawka szaleńca, czy też geniusza, kierującego się znanym tylko sobie planem. Kiedy jednak kolejną ofiarą okazał się Brandon Finn, przestałem przejmować się motywami zabójcy. Zrozumiałem, że nic nie może go powstrzymać i ginąć będą kolejni, więc postanowiłem się zabezpieczyć... Ach!

Jego monolog przerwało ostrze, które zabójca wbił mu w policzek i przeciągnął aż do linii ust.

\* \* \*

Wspinając się po drabinie na siódme piętro szkieletu wieżowca Singera, Isaac Bell poczuł pod palcami ciepłą, kleistą ciecz. Przysunął dłoń do nosa i poczuł wyraźny, metaliczny zapach krwi. Uniósł głowę. Trzy metry nad nim szarpały się ze sobą dwa cienie, jeden wysoki i postawny, drugi drobny i wiotki jak źdźbło trawy. Claypool nie miał w tym starciu żadnych szans.

– Branco! - krzyknął Bell, doskakując do następnej drabiny.

Branco zeszywniał na dźwięk swojego nazwiska, a Claypool skorzystał z okazji i wyrwał się z jego uścisku, prześliznął się między deskami ułożonymi na stalowych belkach i spadł.

Bell złapał go za rękę, chcąc wciągnąć go na twarde podłoże. Jednak śliska od krwi dłoń prawnika wysliznęła się z uścisku detektywa. Spowolniło to upadek na tyle, że Claypool wylądował u jego stóp, ale znów osunął się w szczelinę między deskami i ostatecznie zatrzymał się piętro niżej.

Bell usłyszał nad sobą odgłosy rejterady Branca, który czym prędzej zaczął schodzić w dół. Nie był już w stanie dostrzec go pośród ciemności. Claypool leżał piętro niżej, na skraju kręgu światła jednej z żarówek. Detektyw zszedł mu na pomoc.

Prawnik leżał na plecach. Z bliska było widać, że jego chwile są policzone. Miał kilka głębokich ciętych ran na twarzy i mocno się poobijał, spadając, ale o jego losie zdecydował nóż tkwiący mu w piersi. Mężczyzna poruszał bezładnie rękami, starając się chwycić jego rękojeść.

– Proszę tego nie dotykać - powstrzymał go Bell. - Zabiorę pana do szpitala.

Z gardła Claypoola dobył się odgłos przypominający śmiech.

– Lekarze musieliby mieć chody u samego Pana Boga, żeby mnie z tego wyciągnąć - powiedział, szukając wzrokiem twarzy Bella. - Dziękuję, że próbował mnie pan ocalić.

– Czy to był hurtownik Antonio Branco?

– Dostawca zaopatrzenia na budowę wodociągu. Na pewno jest z Czarnej Ręki.

– Czy powiedział mu pan, że to Culp posłał pana do Brandona Finna?

– Culp jest moim przyjacielem - wystękał Claypool i skonał na oczach Bella z tą enigmatyczną odpowiedzią na ustach. Trudno było z niej wywnioskować, czy Branco zdołał zmusić go do podania nazwiska inicjatora spisku.

Bell sprawdził puls mężczyzny i przyłożył ucho do jego piersi, ale prawnik był martwy. Wyciągnął z ciała nóż i przysunął się z nim do najbliższej żarówki. Był to najzupełniej legalny scyzoryk, jednak z bardzo cienką rękojeścią, dokładnie taką jak opisywał Warren, niewiele szerszą od samego ostrza, dodatkowo zwężającą się u jego podstawy.

Bell nie dostrzegł żadnego znaku firmowego. Prawdopodobnie został wykonany na specjalne zamówienie.

Isaac zarzucił sobie lekkie jak piórko ciało Claypoola na plecy i zszedł sześć pięter w dół, a potem zaniósł go do budynku, w którym mieściło się jego biuro. Wciąż jeszcze nie było tam policji. Wyszedł z powrotem na ulicę i dostrzegł Warrena, Kisleya i Fultona, podjeżdżających przed budynek niewielkim, miejskim samochodem marki REO, wypożyczonym agencji przez producenta w celach promocyjnych.

– Jedziemy na Prince Street - zakomenderował Bell. - Przesiądź się, ja poprowadzę.

– To był Branco?

– Tak. Widziałem go, a Claypool potwierdził to tuż przed śmiercią. Mam też jego nóż. Teraz będzie potrzebował pieniędzy na ucieczkę, więc musimy się pospieszyć, zanim ją zorganizuje.

\* \* \*

Isaac Bell dociskał gaz do dechy, pędząc Broadwayem w kierunku Prince Street. Mimo późnej pory ruch był duży, ale przynajmniej nie tworzyły się korki jak w godzinach szczytu. Samochód miał dość mocny silnik i wyjątkowo głośny klakson. Pozostali członkowie oddziału specjalnego do spraw Czarnej Ręki siedzieli obok i z tyłu, sprawdzając zabezpieczenia broni i wymieniając się szczegółami na temat sprawy.

Sprawy Czarnej Ręki i spisku na życie prezydenta zaczęły zbliżać się do siebie jak dwa transatlantyki na kursie kolizyjnym. Ghiottone wynajął zabójcę z Czarnej Ręki, by dokonać zamachu na Roosevelta, Antonio Branco zaś

skorzystał z okazji, by w spektakularny sposób posłużyć się schematem szantażu z użyciem listu od Czarnej Ręki.

– Spisek wymknął się spod kontroli w chwili, gdy Ghiottone postanowił wynająć Branca.

– Zamiast zabić prezydenta, Branco postanowił, mordując kolejnych pośredników, dotrzeć do zleceniodawcy, by go zaszantażować.

– Wyobrażacie sobie, ile Culp może mu zapłacić?

– Zapewne Branco już to sobie wyobraził - stwierdził Mack Fulton, wywołując salwę śmiechu. Bell zastanawiał się jednak, jakie były rzeczywiste zamiary mordercy. Czy postanowił zaryzykować wszystko dla jednorazowego okupu, czy może chodziło mu o coś więcej?

\* \* \*

Saloon Ghiotton'ego został przejęty przez któregoś z jego kuzynów i w dalszym ciągu świetnie prosperował. Z kolei stojąca po drugiej stronie ulicy hurtownia Branca była zamknięta i nie paliło się w niej żadne światło.

– Trzymajcie się! - zawołał Bell, skracając ostro. Samochód podskoczył na krawężniku. Isaac przejechał po chodniku, staranował wejście do sklepu i zatrzymał się po kilka metrów wewnątrz budynku. Detektywi wyskoczyli z samochodu z bronią w dłoniach i ruszyli za Bellem między rzędy półek.

– Zapalcie światło... Zaraz! Czuję gaz!

– Może Branco spanikował i włożył łeb do piekarnika.

– W kuchni nic nie ma - oznajmił Mack Fulton. - Gaz nie dochodzi stąd.

– Nie zapalajcie światła! Wszyscy na zewnątrz! Biegiem!

Nagle woń gazu stała się tak silna, jakby wszystkie zasoby lokalnej gazowni skierowane zostały właśnie do tego jednego budynku. Bellowi zaczynało kręcić się w głowie.

– Uciekamy, panowie! Ta buda za chwilę wyleci w powietrze!

Wszyscy rzucili się w stronę rozbitych drzwi.

– Zostawcie samochód!

Bell starał się policzyć swoich ludzi, nie zdając sobie sprawy, że przychodzi mu to z nienaturalnym trudem, gdy nagle dobiegł go krzyk Harry'ego Warrena.

Ledwie rozumiał poszczególne słowa. Miał wrażenie, że głos Warrena dobiega z bardzo daleka.

– No chodź, Isaac! Wszyscy już wyszli.

Bell obrócił się powoli w stronę drzwi.

Oślepił go silny błysk. Ich samochód podskoczył niczym spłoszony koń. Z półek na ścianach poleciały puszki. Słoje pękały, rozpadały się beczki. Mimo to detektyw miał wrażenie, że otacza go całkowita cisza. Czuł się tak, jakby oglądał film, przedstawiający wybuch wulkanu.

W następnej chwili posadzka zarwała się pod jego stopami, a sufit spadł mu prosto na głowę.

**Księga trzecia**  
**STORM KING**



## 26.

Na ulicach roilo się od policjantów i vandornowców.

Antonio Branco wyszedł z pobliskiej kamienicy, przebiegł kilka metrów dzielących go od drzwi Banco LaCava i zastukał swoim sygnetem. David LaCava wyjrzał do niego przez szybę, przy której wykładał właśnie sztabki złota. Branco obserwował uważnie jego twarz, gotowy uciec w każdej chwili. LaCava dostrzegł go i aż otworzył usta z zaskoczenia. W następnej chwili jego twarz przybrała wyraz ogromnej ulgi i właściciel podbiegł, by otworzyć drzwi.

– Żyjesz!

Branco wepchnął się pospiesznie do środka i zamknął drzwi.

– Mówili, że zginąłeś w wybuchu.

Branco postanowił zbyć te dramatyczne słowa żartobliwym tonem.

– Prawie żałuję, że mnie to ominęło. Byłem na budowie akweduktu. - Po tych słowach spoważniał. - Wróciłem nocnym promem. O wybuchu dowiedziałem się dopiero w porcie, nad ranem.

– Jakie straty?

– Nie zdołałem stwierdzić. Na miejscu policja, straż pożarna, hydraulicy i urzędnicy miejscy kłóca się cały czas, kto ma zabezpieczyć miejsce wypadku. Na szczęście żadnego z moich pracowników nie było w środku, gdy doszło do eksplozji. Ale podobno kilku nieszczęśników utkwilo pod gruzami pobliskich domów.

– Podobno Isaac Bell był w środku.

– Też o tym słyszałem. Bóg raczy wiedzieć, czego tam szukał. Masz, z tym przyszedłem. - Branco zmienił nagle temat i wcisnął bankierowi zwitek papierów.

– Co to jest?

– Faktury i listy przewozowe na ładunek wina, który znajduje się w magazynie przy Zachodniej Dwudziestej Pierwszej ulicy. Sam widzisz, w jakiej jestem sytuacji. Straciłem wszystko, co było w magazynie. Muszę pożyczyć pieniądze, by opłacić zamówienia od budowniczych wodociągu.

– Czy byłeś ubezpieczony?

– Zanim ubezpieczyciel wypłaci odszkodowanie, minie wiele dni, a ja muszę natychmiast sfinalizować te zamówienia. Sprawdź rachunki, przekonasz się, że wino jest warte pięćdziesiąt tysięcy. Będziesz w stanie wydać mi trzydzieści od razu?

– Bardzo mi przykro, przyjacielu. Nie dysponuję taką gotówką. Oszczędności moich klientów są dość niewielkie.

– W takim razie daj tyle, ile jesteś w stanie załatwić na już. W tej chwili.

\* \* \*

Dziesięć minut po tym, jak Branco opuścił bank z torbą pełną pieniędzy, do środka wkroczyło kilku podenerwowanych vandornowców z oddziału specjalnego do zwalczania Czarnej Ręki.

– Czy widział pan Antonia Branca?

– Niemal się panowie z nim minęli - odparł David LaCava. - Czy wolno spytać, w jakim stanie jest pan Bell?

– Nie wolno. Dokąd poszedł Branco?

– Kupić towar. Musi wykonać zamówienia dla budowniczych wodociągu.

Harry Warren i Eddie Edwards popatrzyli na Włocha z niedowierzaniem.

– Budowa wodociągu? - powtórzył głucho Warren. - O czym pan mówi, panie LaCava? Branco ucieka przed policją, nie zdołałby w tej chwili niczego kupić, nawet gdyby chciał.

– Jak to?

– To morderca i złodziej, a wczoraj w nocy wysadził w powietrze własną hurtownię - oznajmił Warren.

– Mieliśmy nadzieję, że sam zginął w tym wybuchu - dodał ponuro Edwards. - Ale ktoś widział dzisiaj, jak wchodził do pańskiego banku.

LaCava w jednej chwili zbladł jak trup.

– *Basta!* - krzyknął wściekle.

– Co się panu stało? - Harry Warren chwycił mężczyznę za ramię, bojąc się, że się przewróci.

– Nie miałem o tym pojęcia. Wszyscy mówili, że to był nieszczęśliwy wypadek.

– Wszyscy się mylili. To on doprowadził do wybuchu, przy okazji uszkadzając trzy sąsiadujące budynki i dewastując pół cmentarza.

– Właśnie pożyczyłem mu dwadzieścia tysięcy dolarów... Ale dał mi przecież to! Patrzcie! To jest zabezpieczenie. Musicie się panowie mylić. To przecież Antonio Branco! Główny zaopatrzeniowiec budowy wodociągu Catskill.

– Czysty jak łza?

– Ale przecież te faktury i listy przewozowe...

Detektywi wyrwali mu dokumenty z dłoni.

\* \* \*

Antonio Branco, w granatowym płaszczu, czerwonym szaliku i szykownym meloniku, wyglądający jak typowy bogaty kupiec, liczył beczki wina na nabrzeżu przy Zachodniej Dwudziestej Drugiej ulicy. Dokerzy ładowali je właśnie na kabotażowiec zmierzający do Filadelfii. Obok Branca stał kapitan statku i liczył towar razem z nim. Gdy ostatnia beczka znalazła się w ładowni, kapitan wydał Włochowi list przewozowy, zaświadczający, że ładunek wart pięćdziesiąt tysięcy dolarów znajdował się na jego łodzi.

Branco udał się pospiesznie do handlarza win, który zgodził się już wcześniej odkupić list z odpowiednią zniżką. Następnie przepłynął promem do Jersey City i wstąpił do pralni, uczęszczanej głównie przez mieszkańców w okolicy robotników. Właściciel, bardzo niski i stary Chińczyk z wykrzywioną twarzą i zaćmą w oku, przejrzał zawinięte w papier paczki z nieodebraną przez właścicieli odzieżą i sprzedał mu parę roboczych spodni, krótką kurtkę i ciepłą czapkę, której wiatr nie zdoła zerwać mu z głowy.

\* \* \*

Harry Warren długo przyglądał się zniesmaczony pustemu nabrzeżu, od którego godzinę wcześniej odbił kabotażowiec. Eddie Edwards wyszedł ze stojącego obok budynku, równie rozdrażniony.

– Najpierw ten zimnokrwisty drań wyciąga dwadzieścia tysięcy od LaCavy, a zaraz potem przyjeżdża sobie jak gdyby nigdy nic na drugi koniec miasta i odchodzi stąd z listem przewozowym na pięćdziesiąt tysięcy, jak twierdzi tutejszy księgowy, za to samo wino, które teraz może szybko sprzedać za

kolejne trzydzieści tysięcy. Dzisiaj wszyscy traktują przecież te cholerne świstki jak trochę większe banknoty!

– Za tyle pieniędzy może nam uciec prywatnie wynajętym pociągiem.

– Albo i transatlantykiem.

Detektywi popatrzyli po sobie niewesoło, w pełni świadomi, że żaden z nich nie przesadził w swoich szacunkach. Za pięćdziesiąt tysięcy można było kupić posiadłość na wsi, w komplecie ze służącymi, ogrodnikami, pastuchami i kierowcą, który mógłby zawieźć szczęśliwego nabywcę ze stacji kolejowej pod same drzwi.

– Co teraz?

– Jersey City.

– Dlaczego tam?

– Księgowy posłał gońca za Brankiem. Wypadł mu jeden z listów przewozowych. Chłopak zauważył go na pokładzie promu, który właśnie odbijał od nabrzeża.

\* \* \*

Branco przebrał się w toalecie dworca Jersey Central Communiaw i zostawił strój kupca przy kościele, skąd pewnie niebawem zabierze go jakiś bezdomny. Kupił sobie plecak z demobilu po wojnie amerykańsko-hiszpańskiej na pieniądze oraz lornetkę. Elegancką skórzaną torbę wyrzucił do najbliższego śmietnika. W taniej jadłodajni spałaszował ogromny posiłek, po czym wynajął sobie pokój w najtańszym pensjonacie w okolicy, gdzie poświęcił sporo czasu na dokładne przeanalizowanie rozkładu pociągów pasażerskich i towarowych. Gdy wreszcie zamknął oczy, po raz pierwszy od zabójstwa Brewstera Claypoola, spał spokojnie aż do zmierzchu. Zjadł jeszcze jeden posiłek, zmuszając się do napełnienia żołądka, póki miał po temu okazję, po czym, kierując się odgłosem tłoków maszyn parowych i gwizdków lokomotyw, ruszył na stację New Jersey Central.

Noc była wyjątkowo ciemna i zimna, niebo zakrywały chmury, a wiatr dął potężnie. Pod gęstą chmurą dymu i pary stały długie rzędy nieruchomych wagonów. Zbiegały się tutaj niezliczone tory z bocznic towarowych na pobliskich nabrzeżach oraz z dworca pasażerskiego nad rzeką Hudson. Pociągi wyjeżdżały stąd w czterech głównych kierunkach.

Branco zamierzał wybrać swój pociąg z ulicy biegnącej na nasypie wzdłuż jednej z linii, ale w dole widać było setki torów i tysiące wagonów towarowych, oświetlonych mrowiem latarni, świateł pozycyjnych i reflektorów i poprzetykanych przewodami i słupami elektrycznymi i telegraficznymi. W końcu zauważył pośród tego chaosu starą, nieczynną nastawnię, z której dachu miałby na pewno lepszy widok.

Otoczony siatką pusty plac dochodził aż do torów. Omijając uważnie światła lamp i reflektorów i unikając kolejowych gliniarzy, przeciskał się między wagonami, by dostać się do nastawni. Po drabinie na bocznej ścianie wszedł na dach, skąd mógł rozejrzeć się po okolicy przez lornetkę.

Zobaczył vandornowców.

Widział, jak jeden z nich wręczał plik banknotów kolejowemu gliniarzowi - najwyraźniej kaptowali dodatkowych ludzi, by mieli na niego oko. Detektyw wyróżniał się nienagannym ubraniem i zaciętym wyrazem twarzy, zapewne ze względu na smutny los Isaaca Bella.

Branco nie był zaskoczony. Każdy w miarę oblatany detektyw miał w głowie mapę linii kolejowych i na pewno zdawał sobie sprawę z tego, że dla uciekającego człowieka najlepszym punktem wyjścia byłoby właśnie Jersey City. Krzyżowały się tu niezliczone linie na południe i zachód, do Filadelfii, Baltimore, Pittsburgha, Chicago, Saint Louis czy San Francisco - a w każdym z tych miast zdążyła się już rozwinąć prężna, włoska społeczność.

Vandornowcy wiedzieli również, że Branco nie mógł sobie pozwolić na jazdę pociągiem pasażerskim, pod czujnym okiem kasjerów biletowych, strażników przy wejściach na perony i konduktorów. Bez względu na to, jak szybkim pociągiem by jechał, nie zdołałby wyprzedzić telegramu ze swoim rysopisem. Dlatego musieli sprawdzić wszystkie miejsca, w których zwykle ukrywali się gapowicze: pod podwoziem albo na dachu, w niezamkniętym wagonie towarowym lub na ślepej platformie, poprzedzającej wagony bagażowe.

Spośród wielu pociągów upatrzył sobie szybką lokomotywę 2-6-0, ciągnącą wagony z maszynami górniczymi, puste węglarki oraz chłodnie z wołowiną z tutejszych rzeźni. Sądząc po liczbie wagonów, a było ich już ponad trzydzieści, pociąg miał niebawem ruszyć w kierunku pensylwańskich kopalni antracytu, by zatrzymać się na pierwszy przystanek w węźle kolejowym Bethlehem.

Kierował się już do drabiny, by zejść na dół, gdy wtem jego uwagę przykuł wjeżdżający na stację pociąg pasażerski z dworca Communipaw, bijący światłami z okien wagonów pośród chłodnej nocy. Godzina przyjazdu oraz skład, obejmujący lokomotywę 4-4-2, dwa wagony bagażowe, cztery pasażerskie i jeden luksusowy, świadczyły o tym, że musiał to być pociąg „Queen of Valey” do Harrisburga. Branco wyobraził sobie pasażerów, siedzących wygodnie w miękkich fotelach i popijających leniwie drinki z przeświadczeniem, że jeszcze przed północą będą mogli zasnąć we własnych domach. Z błęgiego marzenia wyrwał go inny ruch koło torów.

Jakiś mężczyzna szedł po łuku boczniczy zakręcającej tuż za nastawnią.

Czyżby hamulcowy? Gliniarz? Czy tylko jakiś włóczęga? Nie zważając na buchające parą lokomotywy, szedł w kierunku Branca z determinacją godną lwa zakradającego się do zwierzyny między stadem słoń. Żaden włóczęga nie mógł kroczyć w ten sposób, hamulcowy też nie. Musiał to być gliniarz kolejowy lub, co gorsza, jeden z vandornowców, który zdał sobie sprawę z tego, że opuszczony budynek stanowiłby idealną kryjówkę dla uciekiniera.

Reflektory lokomotywy przetokowej omiotły bocznicę i Branco zauważył, że mężczyzna ma zupełnie siwe włosy. Natychmiast rozpoznał Eddiego Edwardsa, jednego z detektywów należących do uformowanego przez Isaaca Bella oddziału specjalnego do zwalczania Czarnej Ręki. Na twarzy miał wypisaną żądzę zemsty. Branco przeczołgał się do drabiny, zszedł na ziemię i pobiegł w stronę „Queen of Valey”.

Pociąg rozpędzał się miarowo, kołysząc się na licznych zwrotnicach, przerzucających go z toru na tor w drodze do głównej linii. Branco słyszał, że detektyw ruszył w pościg. Odgłos szybkich kroków świadczył o tym, że wiedział tak samo jak on, jak zdradliwe jest zwirowe podłoże wokół torów i zwrotnic.

Pędząc z całych sił, Branco znalazł się tuż przed wagonem bagażowym. Chwycił poręcz i wspiął się na platformę między przodem wagonu a tendrem. Natrafił tam jednak na ukrytego w mroku hamulcowego ze zgaszoną latarnią, czekającego na gapowiczów.

– Wyskakuj! - rozkazał mężczyzna.

Typowemu włóczędze taki komunikat wystarczyłby aż nadto, by zrezygnować z przejażdżki i poszukać sobie innej okazji. Próba oporu groziła

reakcją całej załogi pociągu. Ale Branco w tej chwili nie miał wyjścia. Detektyw był tuż-tuż i nieustannie się zbliżał.

– Znikaj stąd! - powtórzył mężczyzna i zamachnął się latarnią. Branco chwycił ją i pociągnął, a następnie zepchnął wytrąconego z równowagi hamulcowego z platformy.

\* \* \*

Hamulcowy wyleciał nagle, wymachując rękami, wprost na Eddiego Edwardsa. Detektyw nie był zaskoczony, hamulcowi zwykle pełnili straż w wagonach aż do opuszczenia stacji, by nie dopuścić żadnego gapowicza do darmowego przejazdu. Antonio Branco dawno już udowodnił, że nie jest zwyczajnym gapowiczem.

Detektyw uniknął zmiernego w jego stronę buta i uchylił się przed lecącą za nim latarnią, która minęła go o włos, strącając mu z głowy kapelusz. Pociąg cały czas przyspieszał, maszynista nie mógł przecież zdawać sobie sprawy z dramatu, rozgrywającego się za jego plecami. Edwards zmusił nogi do maksymalnego wysiłku. Poręcz była już na wyciągnięcie ręki. Nagle pod jego stopami pojawiła się zwrotnica. Jakimś cudem zdołał przeskoczyć nad nią i uchwycić się poręczy jedną ręką, drugą, zaciśniętą w pięść, szykując na Branca.

Ale na platformie nikogo nie było.

Popatrzył w górę. Branco musiał wejść na dach.

Edwards chwycił się poręczy, przeskoczył na koło hamulcowe i zaczął wspinać się między wagonem bagażowym a tendrem, by wreszcie wydostać się na opadający nieznacznie skraj dachu.

Dach również był pusty.

Obrócił się błyskawicznie w obawie, że Branco przeskoczył na tender i zamierza zdzielić go w głowę grudą węgla. Ale w tendrze też go nie było. Więc gdzie się podział? Pozostawała tylko jedna możliwość. Musiał wyskoczyć z pociągu po przeciwnej stronie platformy, z powrotem na stację pełną strażników i żadnych jego krwi detektywów.

\* \* \*

Antonio Branco wspiał się na pagórek za stacją Jersey Central i zbiegł po drugiej stronie. Stały tam domy przeznaczone do rozbiórki ze względu na

potrzeby rozwijającej się sieci kolejowej. Ruszył mroczną ulicą, wzdłuż kamienic z otworami zabitymi deskami. Spośród czterech linii opuszczających miasto jedna odbijała na północ od toru do Harrisburga, po którym jechała „Queen of Valey”. Była to trasa do Scranton, na którą liczył od samego początku, ale nie chciał, by vandornowcy zdali sobie z tego sprawę. Kiedy wreszcie dotarł do jej torów, schodząc w dół po skarpie i przeskakując płot, zaczął rozglądać się za wybranym wcześniej pociągiem.

*Sorriso di Dio!* Oto uśmiech losu. Ujrzał charakterystyczną, garbatą sylwetkę lokomotywy 2-6-0. Szybki pociąg towarowy opuszczał właśnie stację. Branco ruszył biegiem wzdłuż torów. Światła reflektorów lokomotywy rzucały przed nim cień. Skrył się w płytkim rowie przy torach i zaczekał. Lokomotywa minęła go z hukiem, przyspieszając z wysiłkiem w kłębach dymu i pary.

Branco zerwał się w chmurze pary i zaczął biec wzdłuż pociągu. Chłodnie były wypakowane po brzegi i z pewnością zamknięte. W pustej węglarce z pewnością zamarzłby przed nastaniem świtu. Spojrzał przez ramię i dostrzegł koparkę parową, przykutą łańcuchami do płaskiej platformy. Zwolnił, by wagon go dogonił, i wskoczył na pokład.

\* \* \*

Pielęgniarki szeptały między sobą.

- Ale przystojniak.
- Ciekawe, co sobie teraz myśli?
- A skąd wiesz, że w ogóle jest w stanie myśleć?

\* \* \*

Lekarze sprzeczekali się o diagnozę.

- Śpiączka...
- Moim zdaniem to osłupienie.
- Śpiączka na skutek urazu mózgu, wylewu lub zmian patologicznych.
- Mózg to tkanka. Może się zagoić.
- Zsinienie języka i warg. Trudności z oddychaniem.
- Odruch przełykania - niemożliwy w przypadku śpiączki. Może to zatrucie krwi?



– Nie, uraz mózgu.

Do dyskusji wtrącił się młodszy lekarz, niedoświadczony, ale niezwykle oczytany.

– Głowa nie jest wykręcona. Oczy nie są odwrócone w drugą stronę. Gdyby to był uraz mózgu, oczy pacjenta kierowałyby się w tę stronę. To nie jest uraz.

– A więc co pan sugeruje?

– Śmierć mózgową na skutek niedotlenienia.

Księżyc unosił się wewnątrz srebrnej aureoli. Był w pełni, idealnie okrągły.

Piękny i bardzo odległy, za chwilę miał znowu zniknąć.

Wróciła ciemność. Zapadł mrok, czarny jak smoła.

## 27.

Zmierzający ku wschodniej Pensylwanii pociąg towarowy, którym jechał Antonio Branco, zatrzymał się na bocznym torze, by przepuścić przodem pasażerski pociąg sypialny „Phoebe Snow” kolei Lackawanna Railroad. Korzystając z okazji, uciekinier zszedł z platformy i schował się pod wagonem. Zanim minął ich pasażerski, zdążył znaleźć sobie bezpieczniejszą i nieco cieplejszą kryjówkę w podwoziu.

Opuścił ją dopiero w Bethlehem, gdzie, unikając nadgorliwego gliniarza kolejowego, zakradł się do innego pociągu, zmierzającego do Wilkes Barre. Tam z kolei przesiadł się do pociągu zmierzającego do Scranton. Hamulcowi sprawdzali osie przed odjazdem, więc tym razem ulokował się na dachu jednego z wagonów. Uchwycił się nawiewnika i cały czas przyglądał torom przed lokomotywą, by móc przygotować się na każdy ostrzejszy zakręt. Gdy dojeżdżali do stacji, zeskoczył na ziemię i uciekł do szopy znajdującej się jakieś półtora kilometra od torów, gdzie przespał resztę nocy na sianie. Nad ranem ukrył się pod jednym z wagonów wiozącego węgiel pociągu kolei Delaware & Hudson, który skręcał na północny wschód przez Carbondale do Cadosii. Tam pociągi z węglem skręcały na południowowschodnią linię New York, Ontario & Western. Jechał nią niespiesznym tempem przez cały dzień i dwie noce, mijając Summitville, Middletown i Maybrook.

Gdy wyjeżdżał z Meadowbrook, czuł już zapach wody morskiej w oddali.

Pierwsze, blade promienie wschodzącego słońca ujawniły, że tory rozciągały się pośród mgły, pomiędzy wysokimi wzgórzami i rzeką Hudson. U podnóży gór stały w dużej odległości od siebie posiadłości w stylach neogotyckim, eklektycznym i klasycznym amerykańskim, otoczone trawnikami tak rozległymi, że mogłyby służyć za pola uprawne. Nagle na horyzoncie wyrósł ogromny hotel dla wakacyjnych turystów, a niedługo po nim trzypiętrowy magazyn na lód, tuż przy przystani, z której ładunek był wysyłany do Nowego Jorku. Potem pojawiły się białe budowle pensjonatów, w mgnieniu oka zastąpione przez potężne fabryki z czerwonej cegły.

Usłyszał, że lokomotywa zaczyna hamować, i poczuł, jak wagony obijają się o siebie zderzakami. Gdy dojrzał w oddali ogromny pirs, otoczony ze wszystkich stron przez parowce, wyprostował zdrewniałe od wielodniowej jazdy kolano, szykując się do ucieczki. Pociąg zatrzymał się w końcu na swoim ostatnim przystanku, w porcie załadunkowym węgla Cornwall Landing, u stóp góry Storm King.

Brudny, głodny i przemarznięty Antonio Branco przejechał ponad osiemset kilometrów, zataczając koło, by dotrzeć ostatecznie zaledwie osiemdziesiąt kilometrów na północ od miejsca, gdzie przed kilku dniami szczęśliwie uciekł przed vandornowcami. Klucząc między kolejnymi pociągami, umiejętnie zatarł wszelkie ślady po swojej podróży i zyskał pewność, że nikt nie ma pojęcia, gdzie on się znajduje ani skąd przybył. Dla każdego mijanego człowieka był teraz tylko kolejnym włoskim łopaciarzem, liczącym na przyjęcie do pracy przy budowie wodociągu Catskill za dolara i siedemdziesiąt pięć centów dziennie.

Gdy pociąg z węglem wjeżdżał na stację, słońce wychyliło się zza stojącego po drugiej stronie rzeki wzgórza, oświetlając gigantyczną willę, przywodzącą Brancowi na myśl ruiny greckich budowli z Sycylii. Bez pudła rozpoznał w niej Krucze Gniazdo, domostwo Johna Butlera Culpa. Widywał je wielokrotnie z pokładu przemierzających rzekę Hudson parowców jeszcze na długo wcześniej, nim przekonał się, że to właśnie Culp był człowiekiem, którego szukał.

Tym, co zwróciło jego uwagę, był jednak nie sam dom, ale prywatny pociąg biznesmena, stojący na stacji Cornwall Landing, składający się z luksusowych, czerwonych wagonów i czarnej jak smoła lokomotywy Atlantic 4-4-2.

Lokomotywa była pod parą. Najwyraźniej Culp zamierzał niebawem odjechać. A to oznaczało, że Branco nie miał czasu do stracenia.

Zeskoczył z pociągu towarowego, zanim ten zdążył zakończyć hamowanie, i ruszył biegiem w kierunku budowy wodociągu, widząc czarnoskórych robotników prowadzących zaprzęgnięte do wozów muły oraz lokomotywy, wagony i koparki parowe, oznaczone nazwiskami irlandzkich wykonawców.

Zgodnie z oczekiwaniami jego kamuflaż zadziałał bezbłędnie. Zatrudniono go od ręki, a gdy tylko odebrał cynowy znaczek z wybitym numerem płacowym, podszedł do niego jeden z „życzliwych”, czyli szantażysta Czarnej Ręki, udający zwykłego, zastraszonego pracownika.

– Słyszałeś, co tu się dzieje? - zapytał „życzliwy”. - Czarna Ręka każe każdemu robotnikowi oddawać jednego dolara z wypłaty. Kto nie zapłaci, tego zabijają.

– Zaprowadź mnie do swojego szefa.

– Szefa?

Branco utkwiał w mężczyźnie spojrzenie mrożące krew w żyłach.

– Jeśli powiem twojemu szefowi, że nie chciałeś mnie do niego zaprowadzić, to ciebie zabiją.

\* \* \*

Vito Rizzo, członek gangu Czarnej Ręki, z przetrąconym nosem i naderwanym uchem na skutek akcji vandornowców, dostał na „spowiedzi” zadanie zorganizowania szajki szantażystów przy Cornwall Landing, w oczekiwaniu na dalsze dyspozycje. Swoją siedzibę urządził w spelunie niedaleko prac wodociągowych.

Gdy jego goryle wprowadzili do niego umorusanego robotnika, powitał go z nieskrywaną odrazą, nie zdając sobie sprawy z tego, że stoi przed nim bogaty przedsiębiorca z Małej Italii, którego mijał kilka razy na ulicy.

Antonio Branco podał mu swój cynowy znaczek, wyglądający dokładnie tak samo, jak ten, który wydawano robotnikom przy rozpoczęciu pracy.

– Obróć go.

Z tyłu blaszki była wybita pojedyncza gwiazdka.

Rizzo zerwał się na równe nogi jak oparzony.

– Wynoście się! - krzyknął do swoich ludzi. - Natychmiast!

Zamknął drzwi za wychodzącymi, po czym pospiesznie ściągnął czapkę z głowy i utkwił spojrzenie w czubkach swoich butów, ani przez chwilę nie patrząc na twarz swojego gościa - demonstrując tym samym, że nigdy nie zdoła zidentyfikować człowieka, który miał całkowitą władzę nad jego życiem i śmiercią.

Wreszcie przemówił pokornym tonem, nie próbując nawet ukryć ogarniającego go strachu.

– Jak mogę ci pomóc, *Dominatore*?

– Muszę się gdzieś w spokoju umyć i coś zjeść, a ty w tym czasie dostarczysz mi świeże ubrania, zwój liny, laskę dynamitu i detonator.

Księżyc unosił się wewnątrz srebrnej aureoli.

Był w pełni, idealnie okrągły.

Wróciła ciemność.

Lekarze nigdy wcześniej nie spotkali równie pięknej kobiety jak ta, która zjawiała się u nich tego dnia w ubraniu podróżnym, wyraźnie zmęczona po wielodniowej jeździe w pociągu. Z miejsca zlustrowała ich ostrym spojrzeniem jasnych oczu, które w żadnym wypadku nie dopuszczało żadnych wymówek czy wymijających odpowiedzi. Każdy z członków szanowanego grona lekarskiego starał się odpowiadać równie zwięźle i *wyczerpująco*, jak wiele lat temu, podczas studenckich obchodów z wykładowcami.

– Jesteśmy praktycznie pewni, że pacjent nie doznał uszkodzenia mózgu. Brak też jakichkolwiek objawów wylewu.

– Nie stwierdziliśmy żadnych urazów w obu półkulach.

– Jedyne ślady ran na głowie musiały pochodzić z wcześniejszych czasów, były już dawno zabliznione. Nie znaleźliśmy też żadnych nowych obrażeń na tułowi ani na kończynach. To właściwie zakrawa na cud, zupełnie jakby w chwili zawalenia się budynku osłoniła go jakaś gigantyczna, niewidzialna ręka.

– Ale w dalszym ciągu jest nieprzytomny - stwierdziła kobieta.

– To może potwierdzać podejrzenia, że jego osłupienie czy też śpiączka zostały wywołane przez niedotlenienie mózgu na skutek wdychania gazu.

– Kiedy się obudzi?

- Nie jesteśmy w stanie stwierdzić.
  - Czy w ogóle kiedyś się obudzi?
  - Cóż... należy być dobrej myśli. Był silnym mężczyzną.
- W oczach kobiety zapłonął ogień.
- On jest silnym mężczyzną - poprawiła gniewnie.

## 28.

Brewster Claypool często powtarzał: „Pieniądze zarabia się wtedy, gdy mądry kapitał kieruje się swoimi mądrymi pomysłami, zrodzonymi w mądrym, małym serduszką”.

Prawnik zginął raptem pięć dni temu, a Culp już zdążył za nim zatęsknić.

– Maszynista jest gotowy na wykonanie pana poleceń - poinformował go konduktor.

– Poczekajmy jeszcze chwilę - odparł Culp.

Jego człowiek ze wschodniej Pensylwanii stał wyczekująco na prywatnym peronie stacji. Culp uchylił okno.

– Daj mi tu tego cholernego prawnika.

Cholerny prawnik zjawił się po chwili. Był jednym z wielu, którzy do tej pory załatwiali wszystko przez Claypoola, oszczędzając Culpowi zawracania głowy, i stanowił całkowite zaprzeczenie swojego zmarłego tragicznie przełożonego: był całkowicie pozbawiony wyrazu, humoru i nudniejszy niż przemówienia polityków.

– Departament Sprawiedliwości rozszerza śledztwo w sprawie firmy Ramapo Water.

Culp skrzywił się. Przejęcie Ramapo - fortel, który uknuli razem z Claypoolem, by zyskać kontrolę nad dostawami wody dla Nowego Jorku - miał co roku odprowadzać dla niego z budżetu miasta pięć milionów dolarów przez następne czterdzieści lat.

– Sądziłem, że wydaliście już wystarczająco dużo moich pieniędzy, by utracić to śledztwo.

– Wygląda na to, że progresiści uwzięli się, by zrobić z tego proces pokazowy.

– To nie mogą się zająć J.P. Morganem? Facet położył łapy na prawie całym transporcie morskim. Nie wyszliby lepiej na rozbiciu jego monopolu?

– Obawiam się, że musimy się pogodzić z faktami - odpowiedział sucho prawnik.

O tak, oni uwielbiali takie sformułowania. „Pogodzenie się z faktami” miało w istocie przekonać klienta, że nie są w żadnym stopniu odpowiedzialni za swoje porażki.

– Ale czemu uwzięli się właśnie na mnie? Czemu nie na Morgana?

Brewster Claypool w tym momencie zacząłby papugować Roosevelta i zapiałby wysokim falsetem: „Inwestycja Ramapo nałożyłaby dwustumilionowy haracz na spragnionych wody mieszkańców najwspanialszego miasta na świecie”.

Culp zaklął pod nosem.

– Przepraszam, mówił pan coś? - zainteresował się prawnik.

Sytuacja była o wiele poważniejsza, niż Culp się spodziewał.

– Wyjeżdżam ze Scranton - powiedział głośno.

– Czy mogę zabrać się z panem do Nowego Jorku? Tam będę mógł przesiąść się na ekspres do Waszyngtonu.

Ale konduktor Culpa pospiesznie wyprowadził mężczyznę z powrotem na peron. Maszynista chwilę później zagwizdał na odjazd.

Pociąg opuścił stację, rozpędzając się miarowo na stromym torze w kierunku gór Pocono. Culp wziął się do pracy, dyktując kolejne notatki do grafofonu. Nagle przednie drzwi wagonu stanęły otworem, wpuszczając do środka przeraźliwy huk lokomotywy. Biznesmen uniósł głowę. Do jego prywatnego pociągu wpadł właśnie najsmagleszy chyba Włoch, jaki zdołał prześliznąć się przez urząd imigracyjny.

## 29.

– A ty tu skąd, przybłądo?

Culp nie dał intruzowi szansy na odpowiedź. Zamiast tego wyciągnął z szuflady pistolet i wycelował prosto w jego głowę. Nie wystrzelił od razu tylko dlatego, że pokraka mogła okazać się pomyłonym pracownikiem kolei, który zagapił się, gdy pociąg ruszał ze Scranton, a składanie wyjaśnień po jego śmierci z pewnością uniemożliwiłoby biznesmenowi dotarcie do Wiśniowego Gaju na czas, by zdążyć jeszcze coś przegryźć. Osobnik nie wyglądał jednak na pracownika kolei. Miał plecak jak typowy włóczęga.

– Rozumiesz po angielsku? - warknął Culp. - Odpowiadaj, kim jesteś!

Mężczyzna istotnie rozumiał angielski, w dodatku posługiwał się nim równie wykwintnie jak Claypool, gdy zebrało mu się na górnołotność.

– Jestem nieznanym, ogarniętym przemożną chęcią poznania pana.

– Nic z tego. Ręce do góry!

Włoch uniósł ręce. Culp zobaczył, że w jednej dłoni trzyma sznur, który ciągnął się za nim i znikał gdzieś za drzwiami wagonu.

– Co to za sznurek?

– Jest przywiązany do zapalnika.

– Co? Jakiego znowu zapalnika?

– Zapalnika, który uruchomi eksplozję.

– Eksplo...

– Powinienem chyba zniżyć rękę. - Mężczyzna nie dał mu skończyć. - Lina jest naciągnięta. Jeśli nagle zarzuci pociągiem, mogę się zatoczyć i niechcący uruchomić zapalnik. Wybuch dynamitu, który przymocowałem do sprzęgu pańskiego wagonu, oddzieli nas wtedy od lokomotywy.

– Oszalałeś? Wtedy stoczmy się w dół do Scranton na pewną śmierć.

– *Chissa* - odparł mężczyzna.

– Kisa? Co to niby znaczy w tej waszej makaroniarskiej gadce?

– *Chissa* znaczy „kto wie”. Kto wie, czy zginę, czy nie. A raczej czy my zginjemy.

Culp przeładował pistolet.

– Ty i tak jesteś już trupem, bez żadnego kisa.

– Jeśli mnie pan zastrzeli, zginie pan razem ze mną.

– Żaden zabłocony przybłęda nie będzie mnie szantażował.

– Jestem pod wrażeniem, panie Culp - powiedział Antonio Branco, patrząc spokojnie wprost w wylot lufy pistoletu. - Mówiono mi, że jest pan o wiele ciekawszy niż typowe, rozwydrzone dzieciaki z bogatych rodzin. Twardy jak skała.

– Kto ci o mnie mówił?

– Brewster Claypool.

– Co? Kiedy?

– Tuż przed śmiercią.

Culp aż poczerwieniał na twarzy z wściekłości. Wstał z fotela, a ręka z pistoletem zaczęła mu się trząść z napięcia.

– To ty go zabiłeś!

– Nie, nie zabiłem go. Próbowałem go uratować.

– Co to niby ma znaczyć?

– Głupiec, którego sprowadziłem do pomocy, postąpił głupio.

– Byłeś przy tym. To przez ciebie zginął.

– Nie, zależało mi na jego życiu równie mocno jak panu. Claypool był mi potrzebny. Miał być moim pośrednikiem, a teraz musiałem spotkać się z panem twarzą w twarz. Straciłem wszystko. Swoje interesy, swoją reputację. Ścigają mnie detektywi Van Dorna. I tak, bez Claypoola, znalazłem się tutaj, na muszce pańskiego pistoletu.

– Zabiłeś Claypoola.

– Nie, nie zabiłem go - powtórzył Branco. - Claypool był moją jedyną nadzieją.

– Nic z tego nie rozumiem... opuść te ręce!

Branco posłuchał polecenia, ale zrobił krok do przodu, ponownie napinając sznur.

– Nie wie pan, kim jestem?

– Mało mnie obchodzi, kim jesteś.



– Wybuch gazu.

– Jaki wybuch?

– Na Prince Street. Zniszczeniu uległo kilka kamienic. Na pewno czytał pan o tym w gazetach.

– Po co miałbym czytać cokolwiek na temat wybuchów we włoskich dzielnicach?

– By dowiedzieć się, co się stało z detektywem Bellem.

Te słowa do reszty wytrąciły Culpa z równowagi. Nie zdołał nawet ukryć swego zdziwienia.

– Isaac Bell? To właśnie dlatego trafił do szpitala? W jakim jest stanie?

– *Tu sogtti accarezzevole.*

– I co to niby znaczy po waszemu?

– Słodkich snów.

Culp roześmiał się.

– No dobra. Straciłeś wszystko. Więc czego chcesz teraz ode mnie? Pieniędzy?

– Mam dość pieniędzy. - Nie wypuszczając sznura, Włoch ściągnął z ramienia plecak i rzucił go na biurko. - Proszę spojrzeć.

Culp otworzył worek. Był wypełniony po brzegi plikami banknotów po pięćdziesiąt i sto dolarów.

– Wygląda na to, że obrobiłeś jakiś bank.

– Straciłem tylko swoje jawne interesy. Mam też pewną robotę na boku.

– To znaczy?

– *Mano Nera.*

– Czarna Ręka? Więc, jeśli dobrze rozumiem, do tej pory ukrywałeś dochody ze swoich ciemnych sprawek pod szyldem legalnego przedsiębiorstwa, a teraz stałeś się zwykłym gangsterem.

– Zapewniam, że daleko mi do zwykłego gangstera.

– A to czemu?

– Jestem gangsterem z przyjacielem w najwyższych kręgach.

– Chyba nie mnie masz na myśli, cwaniaku. - Culp odrzucił plecak pod nogi intruza. - Wynoś się z mojego pociągu.

– Przyjacielem, który stoi ponad samym prezydentem.

\* \* \*

Culp zaczynał już całkiem nieźle się bawić tą potyczką słowną z niespodziewanym przybyszem, mimo realnej groźby wysadzenia sprzęgu, łączącego wagon z lokomotywą. Ale teraz rozmowa wkroczyła na naprawdę niebezpieczny grunt. Wyglądało na to, że Włoch mógł mu zagrozić czymś o wiele gorszym niż niekontrolowany zjazd ze zbocza góry z prędkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę.

- Skąd ci to przyszło do głowy? - zapytał.
- Claypool zlecił mi robotę.
- Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Jaką robotę?
- Zabójstwo Roosevelta.
- Zwariowałeś? Claypool nigdy nie zaproponowałby nikomu czegoś takiego.
- Nie miał wyboru - odparł beznamiętnie gangster.

## 30.

Księżyc unosił się wewnątrz srebrnej aureoli. Był w pełni, idealnie okrągły.

Piękny i bardzo odległy.

Chłodny deszcz zrosił mu usta, po chwili zastąpiony jedwabistym muśnięciem ciepła.

Nagle na niebie pojawiło się ogromne słońce. Uśmiechało się zaledwie kilka centymetrów od jego twarzy. Serce zabiło mu mocniej i zdołał zmusić wargi do szeptu.

– Witaj, Marion. Nie powinnaś być w San Francisco?

Marion Morgan przetarła łzy z oczu.

– Nie mogę uwierzyć, że się uśmiechasz!

– Zawsze uśmiecham się do pięknych kobiet.

Bell rozejrzał się, uświadamiając sobie powoli, że leży w łóżku pachnącym mocno mydłem. Przed jego oczami wirował kalejdoskop. Wewnątrz niego rozpoznał lekarzy w białych fartuchach i z poważnymi minami na twarzach oraz

pielęgniarkę, która nie spuszczała wzroku z Marion, jedynej osoby w pokoju nienależącej do personelu szpitala.

– Coś mi mówi, że nie spędzimy dzisiejszego wieczoru w hotelu - powiedział.

– Raczej nie.

– Przekonajmy się, czy mogę coś na to zaradzić - odparł, rozprostowując kończyny i obracając na próbę dłoń i stopy. Następnie zwrócił się do lekarzy: - Wszystko wskazuje na to, że zachowałem pełną przytomność umysłu i wciąż mam tyle samo rąk i nóg, ile wydano mi przy urodzeniu. Czemu w takim razie znalazłem się w szpitalu?

– Bo ostatnie osiem dni spędził pan w tym łóżku nieprzytomny.

Bell poczuł, jak pokój zachwiał się na moment, zupełnie jakby ktoś potrząsnął jego łóżkiem.

– Ostatnio brakowało mi snu. Cieszę się, że w końcu udało mi się nadrobić zaległości.

– Czy pamięta pan cokolwiek sprzed momentu, gdy stracił pan przytomność? Cokolwiek, nawet najmniej istotny szczegół? Coś, co...

– Posadzka zawałiła mi się pod nogami, a sufit spadł na głowę.

– Czy pamięta pan, jak to się stało?

– Czy nikt z moich ludzi nie ucierpiał?

– To oni pana wydobyli.

Bell popatrzył na Marion.

– Wszyscy są cali i zdrowi - zapewniła go.

– Czy pamięta pan, co się stało? - powtórzył lekarz.

– Antonio Branco uprzedził nas po raz kolejny. Sam nie wiem, kiedy zdążył to przygotować - odrzekł Bell, po czym ponownie zwrócił się do Marion. - Złapali go?

– Tydzień temu uciekł Edwardsowi na stacji głównej w Jersey City.

– Tydzień temu? Od tamtej pory mógł dojechać do dowolnego miejsca w kraju.

– I to prywatnym pociągiem - odpowiedziała Marion. - Edwards powiedział mi, że Branco przed ucieczką zdążył jeszcze wyłudzić pięćdziesiąt tysięcy dolarów od jakiegoś bankiera i handlarza win.

Łóżko znowu się przesunęło. Bell obawiał się, że będzie tak robiło jeszcze przez jakiś czas, bez uprzedzenia. Lekarze przyglądali mu się, jakby był eksponatem w muzeum ciała ludzkiego.

– Wygląda na to, że podczas mojej drzemki wydarzyło się bardzo wiele rzeczy - zauważył Bell. - Chciałbym prosić panów o przeniesienie do cichego, przyziemnego pokoju, gdzie będę mógł je omówić na spokojnie ze swoją narzeczoną, panną Morgan.

Marion nachyliła się do niego i szeptem spytała:

– Jesteś pewien, że nic ci nie jest?

– Postaraj się załatwić dla nas jeszcze coś do zjedzenia i może buteleczkę szampana - wymruczał tym samym tonem Bell, ale po chwili zreflektował się: - Zaczekaj!

– Co się stało?

– Dopiero to do mnie dotarło... Marion, musisz mnie stąd natychmiast wydostać! Zawiadom Joego Van Dorna. Niech mnie stąd wyrwie siłą, jeśli będzie trzeba! Właśnie zrozumiałem, że Branco nie zabiłby przecież Claypoola, gdyby ten nie zdradził mu, że to Culp zlecił zabójstwo prezydenta.

\* \* \*

Płatki śniegu osiadały na oknach sąsiadującego z salą gimnastyczną gościnnego pokoju Kruczego Gniazda, gdzie w luksusowym łóżku Antonio Branco wylegiwał się pod futrzaną kołdrą. Pokój znajdował się z dala od samej willi. Żona Culp wyjechała na zimę do posiadłości w Nowym Jorku. W noc ich przyjazdu i następnego ranka jedzenie przynosiło mu prosto do pokoju dwóch wyraźnie poobijanych bokserów. Culp zapewniał, że byli godni zaufania.

– Pan Culp oczekuje pana w salonie z trofeami - oznajmił mu jeden z nich, gdy skończył śniadanie.

Wejście do salonu skrywało się za nabitymi metalowymi ćwiekami i uwieńczonymi neogotyckim łukiem drzwiami, przypominającymi raczej wrota średniowiecznej fortecy, a sam pokój był wielki i wysoki na dwa piętra i pozbawiony okien. Oświetlały go przez cały czas elektryczne żyrandole. Na ścianach wisiały liczne oprawione głowy łosi, jeleni i bizonów, a pod nimi stały wypchane egzemplarze słonia, nosorożca, bawoła i ponadtrzymetrowego

niedźwiedzia grizzly. Podłoga wysłana była dywanami z tygryskiej skóry, a wszystkie klamki uformowano z kości słoniowej.

J.B. Culp stał przy ogromnym palisandrowym biurku, otoczonym z obu stron stojakami ze średniowiecznymi pancerzami. Na ścianie za jego plecami znajdowała się kolekcja strzelb myśliwskich i broni krótkiej. Biznesmen wskazał Brancowi ekstrawagancki fotel skórzany, stojący po drugiej stronie biurka, ale Włoch nie skorzystał z propozycji spoczynku.

– Dobrze spałeś?

– Jestem niezwykle wdzięczny za pańską gościnność.

– Wymuszoną gościnność.

– Martwy prezydent nie postawi pana przed sądem.

– Mówiłeś to już w pociągu.

– A wodociąg znajdzie się wyłącznie w pańskich rękach - kontynuował Branco.

– Wisienka na torcie. - Culp zaśmiał się. W głębi duszy bił się jednak z myślami. Włoch szantażysta przedstawił mu niezwykle plan przejęcia wodociągu Catskill, razem z wszystkimi tamami, kanałami i zbiornikami wody. Na tyle niezwykle, że miał spore szanse się powieść. Byłoby z tego co najmniej drugie tyle co z przekrętu z Ramapo.

– Miał pan całą noc na przemyślenie swoich możliwości - powiedział Branco. - Jak brzmi pańska odpowiedź?

– Tak samo jak wcześniej - odparł zimno Culp. - Nikt nie będzie mi dyktował warunków.

– Będzie pan mógł dalej wieść swoje wygodne życie - zapewnił Włoch. - A ja postaram się, by stało się jeszcze bardziej wygodne. Akwedukt to tylko pierwszy krok na tej drodze. Będę pana wspierał we wszelkich przyszłych interesach.

– Na palcach jednej ręki można policzyć ludzi bogatszych ode mnie i wszyscy oni są o wiele starsi - odpowiedział Culp. - Do niczego mi nie jesteś potrzebny.

– Mogę uwolnić pana od konfliktów z siłą roboczą - tłumaczył Branco. - Mogę usunąć pańskich rywali i wrogów. Znikną jak za machnięciem czarodziejskiej różdżki. Strajk górników w Kolorado? Sabotaż w Pittsburgu?

Reformy w San Francisco? Progresiści w Los Angeles? W każdym miejscu, w którym pojawi się dla pana jakiś problem, będę w stanie go rozwiązać.

– A ile to „rozwiązywanie problemów” miałyby mnie kosztować?

– Połowę.

Culp udał na moment, że rozważa propozycję.

– Połowę tego, co dzięki temu zarobię? To całkiem nieźle.

– Połowę wszystkiego.

– Wszystkiego? Chyba coś ci się pomyliło, ty makaroniarski wypierdku! Nie potrzebuję twojej pomocy z tym, co już posiadam.

– Ależ potrzebuje mnie pan, by zachować to, co już pan posiada.

Culp się zasepił.

– Proponujesz mi współpracę i jednocześnie grozisz mi szantażem.

– Zgadza się.

Biznesmen wybuchnął śmiechem.

– Śmiesz to pana? - zdziwił się Branco. - Dlaczego? W tym układzie to ja przyjmuję na siebie wszelką odpowiedzialność. Policja nigdy nie przeprowadzi nalotu na pańskie domostwo. Ale „makaroniarskiego wypierdka” zastrzelą bez mrugnięcia okiem. Do pana nikt nie odważyłby się nawet wycelować.

– Śmieję się z twojego tupetu.

Branco przyjrzał się człowiekowi zasiadającemu wygodnie za biurkiem. Czy Culp aż do tego stopnia odciął się od realnego świata, że naprawdę nie zdawał sobie sprawy z tego, ile nieprzyjemności on, Branco, był w stanie mu przysporzyć? A może - nasza go niecodzienna myśl - Culp należał do wąskiego grona ludzi wyjątkowych?

– Czy nie postępowałby pan tak samo, gdyby nasze role były odwrócone?

– Pewnie, że tak - przyznał biznesmen. - Dokładnie tak samo.

– *Malvivente.*

– Co to znaczy?

– Gangster.

J.B. Culp wyszczerzył zęby w uśmiechu. Rzeczywiście poczuł się w tym momencie równie wolny i beztroski jak zwykły oprych, wychodzący na miasto sobotniej nocy z wybrylantynowaną fryzurą, tanim cygarem w butonierce i pistoletem w kieszeni. I niech się dzieje, co chce. Wyciągnął dłoń do Włocha.

- No dobrze, partnerze. Wchodzę w to.
- Bardzo chętnie uściskałbym pańską dłoń, ale niestety nie mogę.
- A to czemu? Przecież chcesz wejść ze mną w spółkę.
- Wystawił mnie pan na niebezpieczeństwo.
- O czym ty mówisz?
- Pańscy bokserzy już wiedzą za dużo.
- Lee! Barry! - zawołał Culp. - Chodźcie tutaj!

Obaj zjawili się szybko w salonie. Podejrzanie szybko.

- Podsluchiwaliście pod drzwiami?

Mężczyźni popatrzyli po sobie. W końcu Barry spróbował jakoś się usprawiedliwić:

– Oczywiście, że tak. Przecież zamknął się pan tu sam z tym typkiem. Musimy pilnować, by nic się panu nie stało.

John Butler odwrócił się do ściany i ściągnął z niej pistolet sportowy Colt Bisley kaliber .32-20. Oddał jeden strzał prosto w głowę Barry'ego. Zawodnik wagi ciężkiej osunął się na podłogę z dziurą o średnicy papierosa między oczami.

Lee gapił się na trupa z niedowierzaniem. Culp strzelił jeszcze raz.

- Pozbądź się ciała, współnika - powiedział do Branca.

## 31.

Cała okolica usiana była szkieletami, porozrzucanymi niczym bierki. W części cmentarza znajdującej się najbliżej kościoła w dalszym ciągu stały długie rzędy nienaruszonych, otoczonych zieloną trawą nagrobków, ale reszta na skutek wybuchu uległa groteskowemu przeobrażeniu w bezładne gruzowisko ziemi i kości. Ponad nim spoczywało wzgórze pokruszonych cegieł i połamanych desek, stanowiące pozostałości trzech pięciopiętrowych kamienic oraz sklepu należącego do Antonia Branca.

Isaac Bell przyglądał się zniszczeniom z dachu budynku stojącego po drugiej stronie Prince Street. Departament Zdrowia, na polecenie burmistrza, nadzorował przekopywanie gruzowiska w poszukiwaniu uwięzionych ludzi.

Dziesiątki robotników rozbijało i odsuwało kamienie i pakowało kolejne zwłoki na wozy.

– W jaki sposób gaz przedostał się do trzech budynków przed wybuchem? - zastanawiał się głośno Bell.

Obok detektywa stali Wally Kisley, ekspert w kwestii materiałów wybuchowych, oraz Harry Warren, szef oddziału do spraw przestępczości zorganizowanej. Stali bardzo blisko niego, gotowi w każdej chwili złapać go, gdyby stracił równowagę. Bell odgonił ich poirytowanym spojrzeniem i ponownie zapatrzył się na gruzowisko.

Sklep Branca miał około piętnastu metrów szerokości. Trzy stojące obok siebie kamienice, każda po siedem i pół metra dawały razem kolejnie dwadzieścia dwa i pół metra. W eksplozji zniszczeniu uległy budynki na przestrzeni ponad trzydziestu siedmiu metrów i jeszcze część cmentarza w promieniu kolejnych piętnastu metrów. Kisley podsumował to bardzo wymownie, gdy tylko spotkali się po wyjściu Bella ze szpitala: „porządne walnięcie”.

Teraz, gdy razem przyglądali się z góry efektom „walnięcia”, Kisley nie był już taki pewny siebie, próbując wyjaśnić, jakim cudem wybuch dokonał tak ogromnych zniszczeń.

– Widzisz, Isaac, kamienice buduje się całymi rzędami, po kilka naraz. Mury są ceglane, ale zostawiają w nich przejścia dla robotników, by ułatwić przemieszczanie się z jednego budynku do drugiego. Na koniec budowy gipsują te przejścia na szybko, wypełniając je tym, co mają akurat pod ręką. Ulatniający się gaz z łatwością przenika przez taką fuszerkę.

– W jaki sposób Branco zdetonował gaz i uszedł z życiem?

– Mógł zostawić zapalnik czasowy. Albo podłożyć pułapkę gdzieś w sklepie.

– Sprawdź dla mnie, w jaki sposób oficjalne interesy Branca przenikały się z jego działalnością przestępczą - zwrócił się Bell do Warren.

– Badam to już od jakiegoś czasu - odparł Warren. - Na razie nie trafiłem na żadne podejrzenia oszustwa czy wymuszenia. Wygląda na to, że sklep Branca był całkowicie legalny.

– Zupełnie jakby prowadził dwa osobne życia - wtrącił Kisley. - Niepozorny sklepikarz za dnia, bandyta w nocy.

– Więc czemu inni bandyci nie próbowali się go pozbyć?

– Tylko jedno mogło ich powstrzymać - uznał Warren.



– Strach - dokończył Bell.

– Inne oprychy z jakiegoś powodu wiedziały, że nie należy z nim zadzierać - przytaknął Warren.

– Ale skoro nikt nigdy nie widział go w towarzystwie żadnych podejrzanych typów, to jak wydawał rozkazy? Przecież wiemy, że przewodził kilku szajkom: Czarnej Ręce, handlarzom narkotyków i fałszerzom. I tak na marginesie - w jaki sposób rządzi nimi teraz, ukrywając się przed policją?

– Nie mam pojęcia.

Tymczasem Bell zastanawiał się już nad kolejną zagadką.

– Czemu wysadził swój sklep?

– Żeby nas załatwić.

– Niemożliwe. Przecież nie mógł wiedzieć, kiedy konkretnie postanowimy zrobić mu nalot. Po prostu miał szczęście, że akurat w tym momencie wjechaliśmy do sklepu. A my mieliśmy szczęście, że żaden z nas nie zginął. A wy, jeśli zaraz nie puścicie moich ramion, będziecie mieli szczęście, jeśli nie zlecicie z tego dachu! Nic mi nie jest! Wracając do rzeczy: dlaczego postanowił wysadzić sklep?

– Dla zatarcia dowodów.

– Jakich dowodów? Przecież wiedział, że zdemaskowałem go w budynku Singera. Musiał zaplanować to już wcześniej. Był przygotowany na ucieczkę w razie konieczności.

Bell ponownie rozejrzał się po zniszczonej dzielnicy, od pozostałości sklepu Branca, przez wyższe gruzowiska po budynkach mieszkalnych i rozsadzony cmentarz, usiany wystrzelonymi w powietrze szkieletami. Sam kościół pozostał nietknięty. Nawet witraże w oknach nie doznały żadnych uszkodzeń. W dalszym ciągu nie był w stanie pojąć, w jaki sposób gaz rozszedł się tak szybko.

– Chcę wiedzieć, kto był właścicielem tych kamienic. Posmarujcie łapska komu trzeba w Departamencie Zdrowia i przyślijcie kilku naszych ludzi do pracy przy odgruzowywaniu. Niech przyglądają się uważnie, co naprawdę trafia na te wozy. I wezwijcie mnie, jak tylko będzie można dostać się do tego, co zostało z piwnicy sklepu Branca.

\* \* \*

– Enrico - zwrócił się Isaac Bell do śpiewaka, którego udało mu się skusić na małą pogawędkę obietnicą kieliszka szampana przy barze w hotelu Knickerbocker. - Jesteś Włochem.

– Nie da się ukryć - odparł z uśmiechem Caruso. - Ale przede wszystkim jestem neapolitańczykiem.

– Chciałbym cię o coś spytać. Czy możesz mi powiedzieć, czym w życiu kieruje się typowy Sycylijczyk?

– Setki najazdów. Wieloletnie tyrańskie rządy. Ale dzięki sprytowi udało im się przeżyć trzy tysiące lat. Skąd to pytanie?

– Próbuję zrozumieć, w jaki sposób myśli Antonio Branco.

– Sycylijczycy myślą o sobie, wyłącznie o sobie.

– Kiedy zadałem podobne pytanie Tetrzzini, stwierdziła, że to „prymitywne wieśniaki z południa”.

– Ależ skąd! - Caruso zaniósł się śmiechem. - Tetrzzini jest z Florencji, więc trudno oczekiwać, by powiedziała coś innego. Ale w rzeczywistości Sycylijczycy to zupełne przeciwieństwo prymitywności. Myślą szybko i strategicznie. Mają trzeźwe spojrzenie na rzeczywistość, a mimo to nie stronią od zbytku. Obserwują, uczą się i działają rozmyślnie - wszystko z szybkością lamparta. Innymi słowy...

– Pod żadnym pozorem nie należy ich lekceważyć - dokończył Bell.

– W żadnym ze światowych kodeksów nie ma prawa, z którego by nie szydzili.

– Świetnie. Bardzo dziękuję.

– Świetnie?

– Wiem już, jaki będzie jego następny krok.

– A więc?

– Pewien bogaty przedsiębiorca otrzyma wkrótce niespodziewany list od Czarnej Ręki. I będzie to list, na którym skończą się na zawsze listy od Czarnej Ręki.

W tym momencie do baru wbiegł Archie. Dostrzegł Bella pośród obłoków dymu z papierosa Carusa i zbliżył się, by wyszeptać konfidencjonalnie:

– Chłopaki z działu śledczego potwierdziły, że Branco jest właścicielem firmy, kontrolującej drugą firmę, która posiadała kamienice obok jego sklepu.

## 32.

Nocą pracownicy Departamentu Zdrowia zajmujący się odgruzowywaniem pozostałości sklepu Branca wrócili do domów. Ponieważ ciała wszystkich zaginionych zostały już odnalezione, na miejscu pozostał zaledwie jeden strażnik, który chętnie przystał na zaoferowaną mu przez Wally'ego Kisleya i Harry'ego Warrena łapówkę. Detektywi stanęli na straży przy schodach prowadzących ze zdemolowanej kuchni Branca do piwnicy, podczas gdy Isaac Bell zszedł na dół.

Miał ze sobą nowoczesną latarkę kryptonową, zasilaną z baterii cynkowo-węglowych o dużej mocy. Poświecił nią po zgliszczach - połamanych deskach i pokierszowanych ścianach - i ze zdziwieniem stwierdził, że część sklepu na tyłach pomieszczenia ocalała, mimo zawalenia się reszty budynku.

Promienie latarki oświetliły ściany sali, która pozostała praktycznie nietknięta, co wręcz groteskowo kontrastowało z wszechobecną ruiną. Zagadkę ocalenia pomieszczenia szybko wyjaśniła odkryta w środku seria żelaznych krat, podpierających sufit na planie kwadratu. Gdy Bell rozpoznał między nimi utwierdzone w zawiasach drzwi z mocnym zamkiem, nie miał już wątpliwości, że jest to cela służąca do przetrzymywania kogoś wbrew jego woli. Czyżby pośrednik pracy Branca przetrzymywał tutaj swoich robotników, by wymusić na nich współpracę? Czy może raczej gangster Branco korzystał z niej, by zmiękczać co odważniejszych członków rywalizujących z nim organizacji?

Za skupiskiem gruzu znalazł przejście do kolejnego ocalałego pomieszczenia o podobnej wielkości. Nie było tu krat, ale ściany wyłożone były mocnymi, stalowymi płytami, a same drzwi miały co najmniej dwadzieścia centymetrów grubości. Skarbiec.

Bell wszedł do środka.

Szafki na kosztowności świeciły pustkami. Nie było w nich żadnych śladów popiołu, należało więc przypuszczać, że Branco zabrał zawartość przed wybuchem. Ciekawe, że mając ze sobą z pewnością niemałą ilość gotówki, Włoch zdecydował się wyłudzić jeszcze pieniądze od dwóch przedsiębiorców, nie zważając na ogłoszoną na niego obławę. Bell miał kolejny dowód na to, że ściga wyjątkowo śmiałego i wyrachowanego złoczyńcę.

Wewnętrzne ściany pomieszczenia były usiane wgłębieniami, a na ziemi wałały się drewniane odłamki i powykręcane metalowe elementy. Eksplozja musiała zdetonować również znajdujący się tutaj skład broni i amunicji. Najbardziej uszkodzona była tylna ściana pomieszczenia, wykręcona pod nienaturalnym kątem. Bell przyjrzał się jej dokładnie i rozpoznał zniszczone zawiasy. Drugie drzwi - rzecz rzadko spotykana w skarbcach, do których nikt nie powinien mieć wstępu.

Światło latarki zaczynało słabnąć. Może i był to najnowszy model, ale nie zmieniało to faktu, że jej możliwości pozostawiały wiele do życzenia. Wyłączył ją, by oszczędzić resztkę baterii, i dotknął zawiasów dłonią. Nie było wątpliwości, że znajdowało się tu tylne wyjście.

Bell chwycił skraj drzwi i pociągnął do siebie, po czym włączył z powrotem latarkę i poświecił do środka. Jego oczom ukazała się tylko bezładna kupa gruzu, resztek cegieł, kawałków drewna i pokruszonego gipsu. Gdy miał już wyłączyć latarkę, zauważył kątem oka, że po obu stronach drzwi ścianę wydrążono w skale. Zorientował się, że miał przed sobą zawalone wejście do piwnicy kamienicy stojącej za hurtownią.

\* \* \*

- No i mamy wyjaśnienie, w jaki sposób gaz rozszedł się tak daleko przed wybuchem. - Bell zdawał relację ze swojego odkrycia Kisleyowi i Warrenowi. - A zarazem prawdziwy powód, dla którego Branco wysadził sklep. Chciał ukryć podziemne przejście, ciągnące się z jego piwnicy, pod kamienicami, aż do cmentarza.

- Czego mógł szukać pod cmentarzem?

- Dorzucicie strażnikowi jeszcze kilka groszy, żeby pozwolił nam pożyczyć kilka łopat, to się przekonamy.

Detektywi ruszyli ostrożnie wąskimi korytarzami między zgliszczami zawalonych kamienic, wykopanymi naprędce przez pracujących za dnia robotników, by przedostać się do zniszczonej części cmentarza, oświetlonej niewyraźnie światłami padającymi z kilku okolicznych mieszkań oraz z witraża na tylnej ścianie kościoła.

Bell szedł pierwszy pośród zniszczonej przez wybuch ziemi. Kości, które widział za dnia z dachu, zostały już zebrane do stojących w równym rzędzie

trumien. Woń świeżych, drewnianych desek mieszała się z odorem dobywającym się spod rozkopanej, grobowej ziemi. Fasady kościoła i okolicznych kamienic stanowiły skuteczną barierę dla miejskiego hałasu, więc na cmentarzu panowała niemal absolutna cisza, przerywana jedynie z rzadka cichym turkotem pracujących w poniektórych mieszkaniach maszyn do szycia.

Doszli do miejsca, w którym zaczynała się trawa, stanowiącego granicę zasięgu eksplozji.

– Zacznijmy tutaj - polecił Bell.

Po przekopaniu trochę ponad pół metra ziemi, natrafili na cegły.

Cofnęli się z trawy na gołą ziemię i zaczęli od nowa.

– Trafiłem na otwór! - oznajmił po jakimś czasie Wally Kisley, a w następnej chwili krzyknął przeraźliwie i zniknął pod ziemią. Ziemia osunęła mu się spod nóg. Bell skoczył za nim w dół i wylądował prosto na próbującym właśnie wstać koledze. Otaczała ich ciemność.

– Jesteś cały, Wally? - Ekspert od materiałów wybuchowych zaczynał robić się już za stary na tak intensywną gimnastykę.

– Owszem, a będzie mi jeszcze lepiej, jak już postanowisz łaskawie zejść ze mnie.

– I co my tu mamy? - zapytał Harry Warren, zdążywszy już zejść za kolegami.

Bell włączył latarkę.

– Wygląda na kolejny tunel.

\* \* \*

Po przejściu jakichś sześciu metrów pod ziemią, w stronę kościoła, dotarli do drzwi, osadzonych w potężnej ścianie. Bell, mający sporo doświadczenia w takich sprawach, szybko uporał się z zamkiem. W tym samym momencie jego latarka ostatecznie odmówiła współpracy. Kisley i Warren zapalili zapalki. Dotarli do krypty pełnej trumien.

Naprzeciwko podziemnego wejścia znajdowały się kolejne drzwi, które również nie opierały się długo umiejętnościom Bella. Za nimi odkryli ciasny, niski korytarz, otoczony z obu stron grobowcami. Na suficie na samym końcu korytarza wisiała pojedyncza żarówka, oświetlająca schody prowadzące w górę.

– Wally, osłaniaj mnie. A ty, Harry, wyjdź z powrotem na trawnik i pilnuj wejścia do kościoła - wyszeptał Bell, po czym ruszył w górę schodów.

Uchylił delikatnie drzwi na szczycie i zajrzał do środka. Pomimo późnej pory w ławach kościelnych klęczało jeszcze kilku modlących się wiernych. Drzwi wejściowe były zamknięte ze względu na nocny chłód. Przy ołtarzu ani w ławkach dla chóru nie było nikogo. Przy ścianie starsza kobieta z zawiniętą na głowie chustą czekała w kolejce do spowiedzi. Innymi słowy wszystko wyglądało dokładnie tak, jak można by się spodziewać wieczorną porą w każdym kościele parafialnym.

Odwrócił się, by zejść z powrotem do krypty, gdy nagle zauważył tuż obok siebie drugie drzwi, prowadzące do niewielkiego pomieszczenia. Były otwarte. Okręcił się bokiem, by precyzyjnie się w szparze między drzwiami, i znalazł się w bardzo ciasnej budce z ławeczką i siatką na przeciwległej ścianie, przez którą wpadało do środka skąpe światło. Usiadł na ławce i wyjrzał przez siatkę do sąsiedniego pomieszczenia, wyglądającego identycznie. Również z drugiej strony drzwi były otwarte i widział za nimi przewiazaną poziomo czarną, jedwabistą wstęgę, zniechęcającą wiernych do wchodzenia do środka.

Bell zdążył już uzmysłowić sobie, że znajduje się wewnątrz konfesjonału, ale potrzebował chwili, by poukładać sobie w głowie wszystkie fakty. Musiał to być drugi konfesjonał, stojący naprzeciwko tego, pod którym czekała starsza pani. Zamyślił się, próbując zrozumieć, jaki może mieć to związek ze ściganym zbiegiem. Drzwi po jego boku były zamknięte. Znajdował się w części przeznaczonej dla księży udzielających spowiedzi. Nagle po drugiej stronie rozległy się kroki i ktoś wszedł pod czarną wstęgą do pomieszczenia obok niego.

Złamany nos i poszarpane ucho natychmiast zdradziły tożsamość przybysza, którym był w istocie Vito Rizzo z gangu Salaty. Rizzo zamknął za sobą drzwi i uklęknął przed siatką, a Bell zrozumiał nagle, że Branco był jeszcze bardziej przewrotny, niż sądził detektyw. To właśnie tutaj, w konfesjonale stojącym na końcu sekretnego przejścia z piwnicy sklepu, włoski gangster wydawał polecenia swoim podwładnym. Pod osłoną tajemnicy spowiedzi kolejni pomagierzy „spowiadali się” ze swoich czynów, a Branco wyznaczał im kolejne „pokuty”. I co najlepsze, nikt nie mógł zobaczyć jego twarzy.

Rizzo drżał na całym ciele. Wyglądał na śmiertelnie przerażonego. Nagle zaczął mówić. Po włosku.

Isaac Bell wysunął pistolet z kabury.

Dlaczego zbir aż trząśł się ze strachu? Bell domyślał się, że nie bywał tu często. To była najprawdopodobniej dopiero druga jego spowiedź po śmierci Salaty. Dopiero drugi raz w życiu musiał stanąć przed swoim tajemniczym szefem.

Bell zasłonił usta chusteczką.

– Mów po angielsku - wymruczał.

Widział przez siatkę błysk zaskoczenia w oczach Rizza. Ale przecucie go nie zawiodło. Gangster był zbyt przerażony, by żądać jakichkolwiek wyjaśnień od szefa.

– Okej. Znam dobrze angielski. Wybacz mi, ojcze, zgrzeszyłem. .. Żałuję, że nie mogłem się pojawić na spowiedzi tydzień temu. Gliniarze deptali mi po piętach. Nie dostałem więc nowych rozkazów...

– Mów dalej.

– Wiem tylko, że Salata nie żyje. Nie wiem, kto ma go teraz zastąpić.

– Ty.

– Dziękuję! Dziękuję, *padrone...* znaczy ojcze. Zapewniam, że będę pracował dobrze... Czy mogę o coś zapytać?

– Tak? - zachęcił Bell.

– W mieście sporo się mówi o wysadzeniu sklepu Branca. Czy to ma coś wspólnego z nami?

– Sam mi powiedz.

– Ja nie wiem. Słyszałem, że Branco może być z Czarnej Ręki. Czy to prawda?

– A jeśli tak? - odpowiedział pytaniem Bell.

– Nie rozumiem.

Bell postanowił zachować milczenie, by zyskać na czasie. Rizzo jednak wiercił się coraz bardziej nerwowo i w końcu zaczął nawet skubać palcami swoje okaleczone ucho. Detektyw odezwał się:

– Czy zrobiłeś to, o co prosiłem cię ostatnio?

– Tak.

– Powiedz, co zrobiłeś.

– To, o co mnie prosiłeś.

– Opowiedz mi wszystko ze szczegółami.

– Wyjechałem pod Storm King i otworzyłem tam bar. Moi ludzie zajęli się szantażowaniem robotników. I przez cały czas czekałem na pojawienie się człowieka ze znakiem.

– Jakim znakiem?

– Tym, który mi pokazałeś.

– To znaczy?

– No tak jak mówiłeś. Tabliczka robotnicza z wybitym symbolem.

– Czy ten człowiek się zjawił?

– Tak. Zrobiłem wszystko, czego zażądał.

– Gdzie jest teraz ten człowiek?

– Nie wiem.

– Jak to nie wiesz? Przecież kazałem ci nie spuszczać go z oczu!

– Nie mówiłeś niczego takiego.

Bell ponownie wycofał się w milczenie. Tym razem Rizzo sam postanowił kontynuować.

– Kazałeś mi robić wszystko, co on mi powie. I tak zrobiłem. Dostarczyłem mu to, o co poprosił, i więcej go nie widziałem.

– O co cię poprosił?

– O ubranie, jedzenie i trochę dynamitu.

– Z pewnością wiesz, gdzie udał się potem.

– Nie wiem.

– Kiedy go widziałeś?

– Cztery dni temu.

– I więcej już nie?

– Nie. Wziął wszystko i wyjechał.

Bell się zamyślił. Dowiedział się bardzo dużo, ale ciągle nie dość, by mieć pewność, gdzie szukać Branca. Wątpił jednak, by Rizzo mógł powiedzieć mu cokolwiek więcej. Bell nie miał pewności, czy „człowiek ze znakiem” to sam Branco, jak podejrzewał, ale nawet gdyby nim był, Rizzo i tak nie mógł mu go wskazać. Mimo to detektyw musiał przyznać, że los się do niego uśmiechnął. Od tej pory będzie musiał działać zgodnie z założeniem, że Branco spróbuje



dostać się bezpośrednio do J.B. Culpa, bo dopóki nie wykluczy tej możliwości, dopóty życie prezydenta Roosevelta będzie zagrożone.

Nadszedł czas, by grupa do zwalczania Czarnej Ręki wybrała się pod górę Storm King.

– Co mam teraz robić, szefie?

– Teraz masz podnieść ręce do góry.

– Co?

– Mój synu, trzydzieści centymetrów od twojej głowy znajduje się lufa naładowanego pistoletu kaliber .45.

– Co?

– Ręce do góry!

– Jak to?

– Choćbyś nie wiem jak zawzięcie się modlił, po takim strzale już się nie wylizasz. Ręce!

– Kim jesteś?

– Nazywam się Bell. Jestem detektywem agencji Van Dorn.

Gangster Czarnej Ręki skwitował te wieści serią głośnych przekleństw.

Bell wyskoczył ze swojej części konfesjonału przez drzwi zarezerwowane dla księdza i docisnął lufę do ucha bandyty.

– Jak ci nie wstyd używać takiego języka w kościele!

## 33.

Mam nadzieję, że nie zależało panu na dyskrecji, panie Bell. Żaden kierownik sali w całym Nowym Jorku nie usadziłby tak pięknej kobiety w kącie.

Restauracja Rectors, wielki, broadwayowski przybytek, słynący z wykwintnie przyrządzanych homarów, znajdował się tuż obok hotelu Knickerbocker. Właściciel, stary przyjaciel Josepha Van Dorna z Chicago, usadowił Marion Morgan w szczególnie wyeksponowanym miejscu, zwykle zarezerwowanym dla aktorek teatralnych.

– Proszę przekazać wyrazy mojego szczerego współczucia wszystkim gościom, którym zasłonię widok. Tymczasem poprosimy szampana. Billecart-Salmon Brut Rose.

– Tak jak się spodziewałem, panie Bell. Jest już w drodze.

Istotnie, Bell dotarł do stolika jednocześnie z kelnerem.

– Billecart-Salmon Brut Rose? - zdziwiła się Marion. - Czy to jakaś szczególna okazja?

– Taka, że mam przyjemność zjeść obiad z najśliczniejszą dziewczyną w Nowym Jorku. A przy okazji udało nam się też złapać jednego z głównych pomagierów Branca.

– Gratuluję.

Bell usiadł przy stole naprzeciwko narzeczonej.

– Marion, nie przypominam sobie, byś kiedykolwiek wcześniej wyglądała równie cudownie.

– Dziękuję, Isaac.

Bell odniósł wrażenie, że jej lakoniczne odpowiedzi brzmią jak wymuszone.

– Sprawiasz wrażenie podenerwowanej. Wolałabyś przesiąść się w bardziej ustronne miejsce?

– Gdybym przejmowała się zwracaniem na siebie uwagi, to nie kupowałabym sobie kobaltowej sukni.

– Ale widzę wyraźnie, że coś cię martwi.

– Jak dobrze mnie już znasz... - wybąkała, uśmiechając się blado.

– Jeśli chodzi o mój wypadek, to zapewniam, że nie masz czym się przejmować. Z moją pamięcią wszystko gra. Czuję się jak nowo narodzony, pomimo tego domniemanego osłupienia, śpiączki czy jak tam sobie lekarze chcą nazywać tych kilka dni porządnej drzemki.

Marion wyłożyła na stół zapieczętowaną kopertę.

– Uznałam, że lepiej będzie, jeśli ty to otworzysz.

Bell rozpoznał papier, zanim jeszcze przysunął kopertę bliżej, by odczytać adres.

*Signora Marion Morgan*

*Narzeczonej Isaaca Bella*

*Hotel Knickerbocker*

Czerwony ze złości detektyw sięgnął gwałtownym ruchem do schowanego w bucie noża.

– Nie przy ludziach - ostrzegła go Marion, omiatając spojrzeniem wypełnioną po brzegi restaurację, po czym podała mu widelec do ostryg. Bell wziął go, dziękując jej lekkim skinieniem głowy za zachowanie zdrowego rozsądku, i rozciął szerokim bokiem zamknięcie koperty.

Symbole czarnej ręki, pistoletu i czaszki przebitej sztyletem były wyrysowane nadzwyczaj starannie, jakby wyszły spod ręki prawdziwego artysty. W treści wiadomości wręcz roiło się od górnolotnych słów, a sama groźba była iście groteskowa.

*Najdroższa Signora Marion Morgan!*

*Pani kobiece wdzięki dają pani zdolność przekonania Isaaca Bella, by zechciał nakłonić najwyższe władze do posłuchania głosu rozsądku. Tylko od pani, piękna damo, zależy, czy Bell zdecyduje się ubłagać wyższe instancje, by zainterweniowały dla dobra ogółu.*

*Pod żadnym pozorem nie wolno dopuścić do wysadzenia wodociągu Catskill.*

*Z tego powodu potrzebny będzie milion dolarów, by opłacić ludzi, którzy mogą zapobiec tragedii. Radykałowie, demagodzy i złoczyńcy idą ręką w rękę. Miasto nie jest w stanie zabezpieczyć wodociągu. Rada Zasobów Wodnych jest bezsilna.*

*Ale Czarna Ręka jest po waszej stronie. Razem powstrzymamy tragedię, zanim zdąży nadejść. Zapłaćcie pierwszą część dzień po jutrze, sto tysięcy dolarów na miejscu budowy szybu pod Storm King.*

Zawarte w liście sformułowania „najdroższa signora”, „pani kobiece wdzięki” i „piękna damo” pojawiły się tam specjalnie, by wytrącić go z równowagi, ale mimo że Bell świetnie zdawał sobie z tego sprawę, z trudem powstrzymywał narastającą w nim falę wściekłości. Ohydna wiadomość od Antonia Branca była obliczona na ten sam efekt, co groźba podłożenia bomby w Małej Italii - wywołanie paniki. Bell mógł się chociaż pocieszać, że jego przewidywania okazały się słuszne: Czarna Ręka przysłała najdonioślejszy list w swojej karierze.

Czy oznaczało to, że groźba zamachu na życie prezydenta Roosevelta minęła? Czy zawiązany przez Brewstera Claypoola, na polecenie J.B. Culpa, spisek został zarzucony? Wręcz przeciwnie. Antonio Branco wylądował, niby kot, na cztery łapy i najwyraźniej odnalazł to, czego szukał.

– Czemu się uśmiechasz? - wyrwała go z zamyślenia Marion.

– A uśmiecham się?

– Wyszczeryłeś kły jak rasowy wilk. Co cię tak rozbawiło?

– Coś takiego mogło się zdarzyć tylko w Ameryce.

– Co masz na myśli?

– Tylko tutaj przybywający zza oceanu gangster byłby w stanie dobić targu z jednym z największych potentatów z dobrego domu.

– Masz na myśli Branca i J.B. Culpa?

– To właściwie potwierdza wszystko, z czego „wyspowiadał” mi się Vito Rizzo. - Bell odłożył list na stół. - Człowiekiem, któremu pomógł pod Storm King, był sam Branco. Do tej pory zdążył się już na pewno zadomowić w willi Culpa.

– Czemu ktoś tak potężny i bogaty jak Culp miałby ukrywać poszukiwanego przestępcę?

– Obaj mają sobie nawzajem wiele do zaoferowania. Branco chce dostępu do władzy. A Culp chce śmierci prezydenta.

Marion wzięła list do ręki i przeczytała złowieszcze słowa.

– „Miasto nie jest w stanie zabezpieczyć wodociągu” - powtórzyła głośno. - Po co pisać coś takiego?

– Chce nam zwrócić uwagę na to, że żadna organizacja nie zdołałaby skutecznie ochraniać obszaru długości ponad stu sześćdziesięciu kilometrów.

– A to dalej? „Rada Zasobów Wodnych jest bezsilna”?

– Właściwie znaczy to to samo... Choć jak się nad tym zastanowić. .. Grady Forrer mówił mi, że w początkowych fazach projektu toczył się głośny spór o to, czy budowa wodociągu ma być inwestycją miasta, czy też powinien ją nadzorować prywatny właściciel, który mógłby potem wyznaczać miastu cenę wody. Ostatecznie wygrało miasto, ale szanse były wyrównane. Z pewnością ci, co przegrali, nie darzą szczególną sympatią Rady Zasobów Wodnych.

– Czy Culp należy do tych przegranych?

– Do inwestycji zgłaszali się pośrednicy, podstawione firmy. Bardzo możliwe, że Culp też brał w tym udział, ale pewności nie ma.

– Czemu Branco chce, żeby przekazać mu pieniądze akurat w miejscu budowy szybu? Gdzie to w ogóle jest?

– Jakies osiemdziesiąt kilometrów stąd, w Cornwall Landing.

– Sądzisz, że „wyższe instancje” też dostały takie listy?

– Tak, domyślam się, że po jednym dotarło do Rady Zasobów Wodnych i na biurko burmistrza. List do nas wysłał pewnie tylko po to, żeby zagrać mi na nosie.

– Czy władze zapłacą?

– Postaram się do tego nie dopuścić.

– Ale Branco wysadził już plac budowy Giuseppego Velli i bank LaCavy. Jak do tej pory zawsze spełniał swoje groźby.

– Musimy zatem ustalić, gdzie zamierza uderzyć - uznał Bell.

– Wysadzi szyb pod Storm King - stwierdziła Marion.

– Skąd ta pewność?

– Wybuch czy sabotaż w jakimkolwiek innym miejscu będzie można złożyć na karb przypadku. Ale jeśli do katastrofy dojdzie właśnie w miejscu, które Branco wymienia w swojej groźbie, to będzie niezaprzeczalny dowód, że nie rzuca słów na wiatr.

– Byłabyś wysmiewaną szantażystką - przyznał Bell, spoglądając na nią z niekłamanym podziwem.

– Czyli zgadzasz się, że to, co mówię, ma sens?

– Jeszcze jak! - przytaknął Bell, po czym przywołał kelnera. - Proszę spakować nasz obiad na wynos. Chciałbym też zapytać, czy pan Rector byłby tak miły, by zarezerwować dla nas dwojga prywatną kajutę na nocnym statku do Storm King.

Marion w tym czasie włożyła rękawiczki i sięgnęła po torebkę.

– Czy zabieranie osób bliskich na miejsce spodziewanej strzelaniny nie jest wbrew regulaminowi agencji Van Dorn?

– Po tym nieszczęsnym liście wymagasz ścisłej, całodobowej ochrony. Poza tym gwarantuję, że w naszej kajucie nie będzie żadnej strzelaniny.

– To może chociaż jakies fajerwerki?

\* \* \*

Świdry wgrzyzały się w zalegającą setki metrów pod rzeką Hudson skałę, wznosząc wokoło różowawą chmurę granitowych drobinek. Krople wody, opadające z rzadka spomiędzy uszczelek w zabudowanym suficie tunelu, zamieniały pył w kleistą maź, osadzającą się na kaskach, kombinezonach, butach i twarzach robotników.

Kierownik przedstawił zespołowi Isaaca Bella jako nowo zatrudnionego inżyniera, który przez kilka najbliższych dni będzie się zapoznawał ze specyfiką pracy przy wodociągu. Detektyw miał już doświadczenie w robotach podziemnych, swego czasu prowadząc śledztwo w sprawie sabotażysty operującego na terenie kopalni węgla. Granit był jednak o wiele twardszy niż węgiel. Wysoki na ponad cztery metry tunel był iście olbrzymi w porównaniu z ciasnymi szybami kopalni. Poza tym, jak Bell zdążył się już przekonać, granitowy pył barwił wszystko na różowo, w związku z czym ludzie rozpoczynający zmianę od 20.00 do 4.00 w nocy przypominali już marcepanowe świnki.

Bell zatroszczył się o to, by jeden z detektywów agencji operował prowadzącą do tunelu windą oraz by kilku kolejnych pozostawało cały czas w pobliżu szybu. Ponadto zapewnił sobie wsparcie wynajmowanych przez tutejszych pracodawców strażników, a służby porządkowe Rady Zasobów Wodnych otaczały cały plac budowy kordonem bezpieczeństwa. Archie Abbott dojechał do nich pierwszym porannym pociągiem, by osobiście odprowadzić Marion z powrotem do hotelu Knickerbocker. W Nowym Jorku miała do nich dołączyć Helen Mills, której w końcu udzielono pozwolenia na noszenie broni. Bell nie wątpił, że córka generała umie się nią posługiwać niewiele gorzej od niego. Pocieszał się zatem myślą, że jeśli bandziory z Czarnej Ręki rzeczywiście mają jakieś plany wobec jego narzeczonej, to na ich drodze stoi para najlepiej przygotowanych detektywów w całym mieście.

\* \* \*

Pociąg zmierzający do Nowego Jorku skręcał w West Point tuż nad brzeg rzeki, która przy zasłoniętym przez chmury słońcu przybrała barwę ołowiu i sprawiała wrażenie równie zimnej jak metal. Woda zaczynała już zamarzać w

kałużach i lada dzień można było spodziewać się pierwszych opadów śniegu. Marion dochodziła właśnie do wniosku, że najwyższa pora zatroszczyć się o odpowiedni płaszcz na zimę, gdy nagle zwrócił się do niej Archie.

– Poznałem pewną wdowę.

– Starszą od ciebie?

– Ma dwadzieścia dwa lata. Bardzo młodo wyszła za mąż.

– Spodobała ci się?

– Jestem w niej kompletnie zadurzony.

– To bardzo niebezpieczny stan, Archie.

– Powiedzmy więc, że mnie oczarowała.

– To jeszcze gorzej! - zaśmiała się Marion, ale Archie popatrzył na nią z wyrazem najwyższej powagi.

– Nigdy wcześniej nie spotkało mnie coś takiego - wyznał.

Marion poczuła się jak proszona o radę starsza siostra, mimo że Archie Abbott był od niej w rzeczywistości kilka lat starszy, więc bez ogródek odpowiedziała:

– Zadurzenie i oczarowanie sugerują stan bliski ogłupieniu.

– Wiem o tym.

– Jak ma na imię?

– Francesca.

– Piękne imię.

– Pasuje do niej. Jest oszałamiająco piękna.

– Zadurzenie, oczarowanie i oszołomienie? Francesca niech lepiej rozejrzy się za Ligą Antyalkoholową.

– Ona nie pije alkoholu. Ani kropli. Odkąd ją poznałem, ja również. Uczyniła ze mnie prawdziwego abstynenta - odparł, po czym dodał po chwili z uśmiechem: - Jestem pijany miłością.

– Pamiętam, co czułam, gdy poznałam Isaaca, mogę ci więc jedynie powiedzieć: moje gratulacje. Chciałabym poznać Francescę.

– Na pewno ją polubisz. Jest niezwykle zajmująca. Potrafi rozmawiać godzinami na dowolny temat.

Na dworcu czekała już na nich Helen Mills. Podczas przeprawy na drugą stronę rzeki oznajmiła, że Van Dorn postanowił ulokować Marion w apartamencie z dwiema sypialniami - drugą dla Helen.

– Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko współlokatorce.

– Ależ skąd! Będzie zupełnie tak jak w szkole.

Archie odprowadził je do hotelu, po czym popędził na spotkanie z Francescą.

Pod koniec zmiany robotnicy wypełnili wydrążone w skale otwory łaskami dynamitu, po czym wycofali się na drugi koniec tunelu i zdetonowali ładunki. Skala, przy której pracowali przez ostatnie osiem godzin, rozpadła się przy akompaniamencie przytłumionego huku odłamków i tym samym szyb wodociągu został przedłużony o kilka kolejnych metrów. Kopacze, wykończeni do tego stopnia, zdaniem jednego z nich, że nie mieli już nawet siły unieść piwa do ust, weszli do windy, która wyciągnęła ich powoli na powierzchnię.

Bell pozostał pod ziemią, by obserwować pracę ekipy odgruzowującej.

Zanim jeszcze zdążył się ulotnić dym po eksplozji, zastęp uzbrojonych w kilofy i łopaty mężczyzn ruszył do wyburzonej skały, by przeładowywać porzucane skalne odłamki do wagoników, przymocowanych do elektrycznego motoru. Nie licząc nadzorującego ich pracę Irlandczyka, wszyscy co do jednego byli Włochami. Każdy z nich mógł więc być również pracującym dla Branca sabotażystą. Ale każdy mógł być też po prostu tym, na kogo wyglądał: biednym emigrantem, wylewającym z siebie siódme poty za dolara i siedemdziesiąt pięć centów dziennie.

Ludzie wybierali już ostatnie kawałki granitu, gdy nagle z sufitu trysnęła woda. Ostatni wybuch musiał naruszyć pobliską żyłę wodną.

– *Il fiume!* - krzyknął z przerażeniem któryś z robotników.

Pozostali ludzie zaśmiali się na widok spanikowanego kolegi, a Irlandczyk pospieszył do Bella z wyjaśnieniem.

– Durny makaroniarz przestraszył się, że to rzeka przebija się do tunelu.

– Czemu reszta się z niego śmieje?

– Bo nie są równie durni i wiedzą, że od rzeki dzieli nas trzysta metrów ziemi i sto metrów twardej skały. To nie rzeka, tylko woda nagromadzona pośród skał. Jak szybko się leje, tak na pańskie oko? Czteryście litrów na minutę? - zapytał, po czym mrugnął do Bella porozumiewawczo i dodał: - Pewien typek



wyznał mi w sekrecie, że szefowie wiedzieli z wyprzedzeniem, że dokopią się do wody, ale nikogo nie uprzedzili. Sam pan rozumie...

– No właśnie nie bardzo rozumiem - powiedział otwarcie Bell. - Jestem tu pierwszy dzień. Czemu nic nie zrobili, skoro mieli pewność, że natrafią na wodę?

– To działa tak: oferują jak najniższą cenę, by dostać kontrakt na budowę, ale potem i tak zarabiają krocie, oszczędzając na wszystkim, co się da. Oficjalnie, by kopać w pobliżu żył wodnych, powinni dodatkowo uszczelnić strop. A to kosztuje. Oprócz tego musieliby jeszcze kupić więcej pomp i rurociągów do odsysania wody. Może nawet wymagano by od nich zabezpieczenia tunelu cementem.

– A siedząc cicho, mogą kopać tanio i z czystym zyskiem.

– Dokładnie tak jak powiedział mi ten typek. Bystry facet... - Irlandczyk przerwał w pół słowa i zmarszczył brwi. Ze szczeliny lało się coraz więcej wody. Kilku robotników, którzy jeszcze przed kilkoma chwilami śmieli się z wystraszonego towarzysza, teraz również zaczynało spoglądać po sobie nerwowo.

– Spokojnie, makaroniarskie ćwoki. Nic się nie dzieje. Wracajcie do pracy. Nie ma się czym przejmować.

Ale Włosi nie kwapili się do pracy, zamiast tego wpatrywali się w zalewającą tunel wodę, która zaczynała już powoli sięgać do wagoników z wykopywanym gruzem.

– *II fiume!* - zawołał któryś, a reszta tym razem podchwyciła okrzyk. - *II fiume!*

– To nie żadna fiuma! - krzyknął nadzorca. - To tylko woda ze skały.

Jeden z mężczyzn, wyraźnie starszy od pozostałych, wskazał drżącym palcem na wyrwę, przez którą przedostawała się woda, i powiedział cicho:

– *Mano Nera.*

– Czarna Ręka? - Irlandczyk złapał za ramię młodego robotnika, który dodatkowo pełnił dla niego rolę tłumacza. - O czym on gada, do jasnej cholery?

– *Mano Nera.* Sabotaż.

– Bzdury! Potwórz im, że to stek bzdur.

Chłopak rzeczywiście spróbował uspokoić pozostałych, ale został natychmiast zakrzyczany.

– Twierdzą, że ktoś nie zapłacił.

– Jak to nie zapłacił? - zapytał Bell. Czyżby plotki o ostatnim liście Czarnej Ręki zdążyły dotrzeć aż tutaj?

– Ktoś nie oddał dolara, tak jak nam każą - wyjaśnił tłumacz.

– Czarna Ręka szantażuje robotników - dodał nadzorca. - Wszystkim zabierają po dolarze przy każdej wypłacie.

W tym momencie światła w tunelu zaczęły mrugać złowieszczo.

Wszyscy robotnicy jak jeden mąż rzucili narzędzia w błoto i pobiegli w panice do windy. Byli tak przerażeni, że potykali się w sięgającej już powyżej kostek wodzie i przepychali nawzajem, byle tylko jak najszybciej znaleźć się u wyjścia spod ziemi. Nadzorca rzucił się za nimi z wrzaskiem, ale nikt nie zwracał już na niego żadnej uwagi.

Isaac Bell ruszył za resztą spokojnym krokiem. I tak będą musieli jeszcze trochę poczekać, zanim winda zjedzie na dół i wszyscy zdołają wepchnąć się na pokład. Poza tym nie wyobrażał sobie, by rzeka Hudson zdołała nagle przedostać się przez trzysta metrów gruntu i skał.

Jednak, kiedy dotarł już na powierzchnię, plotka o zamachu Czarnej Ręki zdążyła już obieć cały plac budowy, docierając nie tylko do strachliwych włoskich robotników, ale również do irlandzkich i niemieckich inżynierów, operatorów sprzętu ciężkiego, kierowników, przedstawicieli służb porządkowych Rady Zasobów Wodnych oraz czarnoskórych kopaczy i poganiaczy mułów. Wszyscy powtarzali między sobą, że rzeka zalewa tunel. Nawet inżynierowie nadzorujący cały projekt zaczęli zachodzić w głowę, czy rzeczywiście cała ich praca nie została właśnie zaprzepaszczona.

W rzeczywistości nic takiego się nie wydarzyło i w ciągu kilku najbliższych dni wszystko zostanie wyjaśnione. Woda z tunelu będzie wypompowana, strop zabezpieczony i wszyscy wrócą do pracy. Ale na razie zaaferowani dziennikarze wysyłali już pierwsze depesze do Nowego Jorku. Niebawem sprzedawcy gazet na Manhattanie i w Brooklynie zaczną wykrzykiwać na całe gardło te same brednie, którymi już teraz żyła załoga budowy wodociągu.

– Wydanie specjalne!

„BUDOWA WODOCIĄGU WSTRZYMANA  
PO ATAKU CZARNEJ RĘKI

## MIASTO W OBLICZU NIEDOBORÓW WODY”

Bell postanowił zwrócić się do szefa firmy, która prowadziła budowę tunelu. Jej szef z nieskrywaną przyjemnością przyjął zaoferowaną przez agencję Van Dorn dodatkową ochronę. Był to krzepki i niezwykle bezpośredni mężczyzna, porozumiewający się za pomocą krótkich, dosadnych komunikatów. Podobnie jak większość przedsiębiorców pracujących nad wodociągiem, osobiście doglądał postępów prac. Bell zapytał go wprost, czy prawdą jest, że wiadano już wcześniej o możliwości dokopania się do uwięzionej pod ziemią wody?

– W zaufaniu mogę panu wyznać, że wstępne odwierty rzeczywiście potwierdziły, że trafimy w tym miejscu na wodę. Oczywiście nic, co mogłoby uniemożliwić kontynuację prac, ale dość, by trzeba było się tym zająć, gdy już do tego dojdzie. Wiedzieliśmy, że trzeba będzie dodatkowo zabezpieczyć strop.

– Kto oprócz pana o tym wiedział?

– Kilka osób, ale nikt z niższego szczebla: inżynierowie, no i ludzie dokonujący wstępnych odwiertów.

– Czy ktoś z nich mógł przekazać tę informację Czarnej Ręce?

– Nie rozumiem, do czego pan zmierza.

– Pokazywałem panu list z groźbą sabotażu - wyjaśnił Bell. - Chcę wiedzieć, czy to po prostu ślepy traf sprawił, że niemal natychmiast po jego nadaniu doszło tutaj do niespodziewanego wypadku, czy może Czarna Ręka z góry wiedziała, co się stanie, zanim jeszcze napisano ten list.

– Czarna Ręka szantażuje włoskich robotników, ale zostawia w spokoju amerykańskich inżynierów. Zapewniam pana, że nie mogli się tego dowiedzieć od nikogo z nas, na pewno nie bezpośrednio. Ale bardzo możliwe, że doniósł im jakiś bystrzejszy makaroniarz, usłyszawszy coś, czego nie powinien.

– Tak czy inaczej, Czarna Ręka dopięła swego - uznał Bell.

– Wkrótce cała prawda wyjdzie na jaw. Tymczasem budowie naszego tunelu nic nie grozi.

Mężczyzna miał zapewne rację, ale nie zmieniało to faktu, że Antonio Branco po raz kolejny osiągnął zamierzony cel. Czarna Ręka udowodniła wszystkim swą potęgę, a losy budowy wodociągu stały się niepewne. Gdy tylko Bell wrócił z gabinetu przedsiębiorcy, zadzwonił do niego zdenerwowany Joseph Van Dorn, który dopiero co wrócił do Nowego Jorku.

- Czy któryś z naszych ludzi utonął w tunelu?
- Nikt nie utonął, bo i nie miał w czym.
- Wszystkie gazety trąbią, że tunel pod rzeką został całkowicie zalany.
- To brednie - skwitował krótko Bell. - Ale Czarna Ręka z pewnością przyzna się do odpowiedzialności za kolejną udaną akcję sabotażu.
- Już to zrobiła. Dostaliśmy kolejny list.
- Zaadresowany do Marion?
- Tak samo jak poprzedni. Piszą w nim o zalanym tunelu i grożą kolejnymi konsekwencjami, jeśli nie dostaną okupu.
- Musimy ich uprzedzić, zanim zdążą naprawdę zaatakować - stwierdził Bell.
- Pełna zgoda - przytaknął Van Dorn. - Co proponujesz?
- Przyskrzynić Branca razem z Culpem.
- W jaki sposób?
- Robiąc nalot na Krucze Gniazdo.

## 34.

Dwunastu rosłych, wysportowanych detektywów analizowało z uwagą wyrysowany przez Bella na tablicy schemat posiadłości Krucze Gniazdo. Szef wezwał posiłki z Filadelfii, Bostonu i Baltimore, a w Storm King czekali już ludzie, z którymi Isaac udał się kilka dni temu na inspekcję budowy tunelu. Bell tłumaczył nowo przybyłym, w jaki sposób zamierza doprowadzić do aresztowania głównych podejrzanych, a ci słuchali pilnie, komentowali między sobą niektóre szczegóły i co jakiś czas zadawali pytania.

– To jest główny budynek. Tutaj mamy salę gimnastyczną z przylegającymi pokojami gościnnymi i salonem z trofeami. Tu są stajnie, garaż i przystań. Całe sześćdziesiąt pięć hektarów otacza ciągnący się na ponad trzy kilometry mur, wysoki na prawie trzy metry. Tu znajduje się główna brama ze strażnicą. Tu wejście dla służby i jej zakwaterowanie.

- Skąd masz tak dokładny plan posesji?

– Udało mi się uzyskać zaproszenie na obiad. Główna brama jest nie do sforsowania. Podejście jest bardzo strome, a sama brama na tyle potężna, że nie dałoby się jej przebić nawet rozpędzoną lokomotywą. Na wieży są osłonięte otwory strzelnicze, chyba na wypadek oblężenia. Z wejściem dla służby jest niewiele lepiej. Ale jeden odcinek muru znajduje się w martwym polu - tutaj, poza zasięgiem wieżyczki przy bramie służbowej. Co sprawniejsi spośród was powinni dać radę wspiąć się na linach na szczyt i przerzucić drabinki dla tych, którzy nigdy nie odmawiają sobie dokładki przy obiedzie. Przed zejściem na drugą stronę przetniemy jeszcze druty telegraficzne i telefoniczne. Znajdują się kilka metrów dalej, nad murem.

– Czemu nie odciąć im też prądu i nie zaskoczyć ich w ciemności?

– Culp ma własny generator prądu. Tutaj.

– Na twoim rysunku przypomina raczej kościół.

– I w rzeczywistości tak wygląda. Ta wieża to w rzeczywistości zamaskowany komin. Przy okazji, udało nam się potwierdzić, że pani Culp spędza zimę w Nowym Jorku, w domostwie przy Pięćdziesiątej ulicy, więc przynajmniej o nią nie musimy się martwić.

– Rozhisteryzowane żony są najgorsze przy wyważaniu drzwi - mruknął posunięty w latach weteran z Bostonu.

– Gorsze nawet od bachorów - dodał ktoś inny.

– Państwo Culp nie mają dzieci. Zatrudniają natomiast sporo służby. Kamerdyner wyjechał razem z panią Culp, ale na miejscu została reszta lokajów, kucharzy, pokojówek i ogrodników.

– Jacyś strażnicy?

– Culp trzyma na terenie posesji dwóch doświadczonych bokserów, w pokojach obok sali gimnastycznej. Będziemy potrzebowali kilku chłopaków, żeby ich unieszkodliwić.

– Bez problemu. Czy mamy odstrzelić im nogi, gdyby stawiali opór?

– Pozostawiam to już waszej ocenie.

– Dokąd ich zabieramy?

– Culp pociąga za większość sznurków w okolicy, więc pan Van Dorn odradza lokalne komisariaty. W tym miejscu - wskazał na tablicy przystań - będzie czekała na nas łódź, żebyśmy mogli przepłynąć na drugą stronę rzeki. Następnie w Cold Spring wsiadamy do pociągu specjalnego linii New York

Central, który zabierze nas prosto na dworzec Grand Central. Po drodze w Yonkers dołączy do nas kapitan Mike Coligney z komendy nowojorskiej, by dokonać aresztowania w momencie przekroczenia granicy miasta.

– Jakie są zarzuty?

– Dla Culpa ukrywanie poszukiwanego przestępcy. Na początek.

– Czemu nie zamach na życie prezydenta?

– To musimy jeszcze udowodnić - odparł Bell. - W pierwszej kolejności postarajmy się go przymknąć, zanim zdoła przeprowadzić swój plan.

– A co z Brankiem?

– Jemu stawiamy zarzut zabójstwa Brewstera Claypoola. To powinno dać prokuratorze wystarczająco dużo czasu, by zebrać dowody na jego działalność w ramach Czarnej Ręki. Priorytet pozostaje jednak ten sam co w przypadku Culpa: dorwać go i zatrzymać, zanim zdoła wykonać kolejny krok.

– Jakie mamy dowody na to, że zabił Claypoola? Nie możemy przecież zapominać, co Włosi potrafią robić ze świadkami.

– Niepodważalne - zapewnił Bell. - Ja byłem świadkiem zabójstwa.

\* \* \*

– Mam pomysł - powiedział J.B. Culp.

Stał pochylony nad swoim biurkiem w salonie z trofeami, opierając się pięściami o blat. Antonio Branco spacerował niespokojnie w tę i z powrotem pośród wypchanych zwierząt. Culp czekał, aż poprosi go o rozwinięcie myśli, ale wyrachowany Włoch najwyraźniej się do tego nie kwapił. Biznesmen spróbował jeszcze raz:

– Moglibyśmy upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu... wiesz jak, Branco?

Branco przystanął przy jednej ze zbroi i przesunął palcem po kolczudze.

– Zabijając Roosevelta podczas jego przemowy przy wodociągu - odpowiedział bez mrugnięcia okiem.

Culp nie próbował nawet skrywać podziwu. Włoch okazał się równie błyskotliwy jak Brew Claypool, a był też tak samo cyniczny i skuteczny. Ciała Lee i Barry'ego rozpląnęły się w powietrzu razem ze wszystkimi ich rzeczami z pokoi gościnnych, zupełnie jakby nigdy nie przestąpili progu posesji.

Zasadniczą różnicą między Claypolem i Brankiem było jednak to, że ten ostatni miał pazury, i to ostre jak brzytwa.

– Trafiony, zatopiony - przyznał głośno Culp.

– To oczywiste - stwierdził Branco. - Jak skuteczniej udowodnić, że miasto nie jest w stanie zatroszczyć się samo o swój dopływ wody niż topiąc prezydenta w budowanym przez to miasto wodociągu?

– Topiąc? Tak zamierzasz to załatwić?

– Mówiłem już, że lepiej, żebyś nie znał żadnych niewygodnych szczegółów - odparł Włoch, przechodząc między słoniowymi kłami, które stanowiły obramowanie drzwi fortecy.

– Dokąd idziesz?

– To kolejny niewygodny szczegół - rzucił przez ramię Branco.

Culp ruszył za nim.

– Chwileczkę! Chcę przynajmniej się dowiedzieć, kiedy wrócisz.

– Później.

\* \* \*

Branco szedł krętą ścieżką pomiędzy rosnącymi wokoło wiekowymi jodłami, prowadzącą w dół zbocza, rozciągającego się od wejścia do jego pokoju aż do murów posesji. Dotarłszy prawie pod sam mur, wszedł do ukrytego pośród kilku leżących na ziemi kamieni wejścia do przebiegającej pod ogrodzeniem jaskini.

Tylko naprawdę doświadczony górnik rozpoznałby, że jaskinia została wybudowana przez ludzi. Prace murarskie były zamaskowane pod warstwą gołych kamieni, ułożonych w taki sposób, by przypominać naturalną pozostałość po epoce lodowcowej. Wykonano ją sześćdziesiąt lat temu na polecenie dziadka Culpa, który urządził tu jeden z przystanków słynnej trasy, zwanej umownie Koleją Podziemną, którą uciekający z południa niewolnicy przedostawali się do Kanady.

– Dlaczego? - spytał Branco, szczerze zaskoczony. Zdążył już dowiedzieć się całkiem sporo na temat przodków swojego gospodarza i nie odniósł wrażenia, by którykolwiek z nich należał do grona ideowych altruistów.

– Zakochał się w kwakierce. Ona go do tego namówiła.

- Była twoją babcią?
- Tego by jeszcze brakowało!

Branco wyszedł na powierzchnię po drugiej stronie muru i przebiegł przez pozostałe rzędy drzew. Zaprzężony w woły wóz z beczkami czekał na swoim miejscu. Trzymający lejce podstarzały Sycylijczyk wypełniał ostatni rozkaz Vita Rizza sprzed aresztowania równie karnie, jak wcześniej, gdy sam Branco kazał mu wyrzucić do rzeki beczkę cukru. Woźnica patrzył prosto przed siebie i udawał, że w ogóle nie słyszy, jak ktoś wchodzi do jednej ze stojących za nim beczek, aż do momentu, gdy Branco wydał proste polecenie:

– *Muoversi!*

\* \* \*

Francesca Kennedy ostatni raz była u spowiedzi dwa tygodnie temu. Szef przedstawił jej wtedy zupełnie nowy system porozumiewania się. Odtąd w dni nieparzyste miała dzwonić z telefonu publicznego na dworcu głównym, zawsze o godzinie trzeciej po południu. W dni parzyste z kolei sprawdzała wyznaczoną skrzynkę pocztową w pobliskim urzędzie pocztowym. W listach znajdowały się kolejne polecenia i zapłata. W poleceniach zawarty był również numer, który miała przekazywać operatorowi centrali telefonicznej przy każdym telefonie. Ale przez całe dwa tygodnie, jakiego numeru by nie podała, po drugiej stronie nikt nigdy nie odbierał.

Dopiero dzisiaj, punktualnie o trzeciej, usłyszała w słuchawce jego głos.

- Grzechy?
- Cudzołóstwo.
- Nie wiedziałem, że jest żonaty.
- Nie jest. Ale skoro ja jestem wdową, to w dalszym ciągu jest to cudzołóstwo, dopóki się z nim nie ożenię, zgodnie z naukami Kościoła...
- Czego się dowiedziałas?
- Wybrałaś idealny dzień, by w końcu odebrać. Właśnie mi się przyznał, że wyjeżdża na poważną akcję.
- Akcję? Jaką akcję?
- Detektywistyczną.
- Dlaczego zdradził ci coś takiego?



- Musiał się usprawiedliwić, odwołując nasze spotkanie.
- Może kłamał, bo w rzeczywistości spotyka się z kimś innym?
- Na pewno nie - odpowiedziała spokojnie. - Jest mi całkowicie oddany.
- Czy powiedział ci może, gdzie planuje tę akcję?
- W willi jakiegoś bogacza.
- Gdzie?
- Gdzieś na północ od miasta, nad rzeką.

Szef zamilkł na kilka chwil. W budce telefonicznej znajdowało się niewielkie okienko, przez które widać było setki ludzi śpieszących się na pociąg. Francesca wyobraziła sobie coś ciekawego: a co, jeśli szef jest właśnie gdzieś tutaj, tuż obok, może wręcz w sąsiedniej budce? On wiedział doskonale, gdzie ona się znajduje, ale jej pozostawały tylko domysły.

- Czy detektyw Abbott wyjawiał ci nazwisko tego bogacza?
- Oczywiście.
- Dlaczego miałyby to być oczywiste?
- Bo sama go o to zapytałam. Przecież kazałeś mi dowiedzieć się wszystkiego, co mogę, o poczynaniach vandornowców.
- Nadal nie rozumiem, dlaczego doświadczony detektyw byłby skłonny wyjawić ci tak wiele na temat swojego aktualnego śledztwa.
- Mówiłam ci już, że jest mi oddany całkowicie.
- I tak trudno mi uwierzyć, by mógł się zachowywać aż tak nierozważnie, nawet przy tobie.
- Nie ma żadnego powodu, żeby mi nie ufać. To on pierwszy zwrócił na mnie uwagę. Specjalnie tak to rozegrałam w hotelu Knickerbocker, by sam wykonał pierwszy krok. Pomyślałam nawet...

- Jak brzmi nazwisko tego bogacza?
- Culp.

Szef ponownie nie odpowiedział.

- J.B. Culp, ten ważniak z Wall Street - dodała, przysuwając twarz jak najbliżej okienka budki, by rozejrzeć się po stojących obok pozostałych budkach. Niestety, ze swojego miejsca nie mogła ich dojrzeć, widziała jedynie stanowisko operatora na samym końcu i biurko urzędnika pobierającego opłaty za rozmowy.

Jej rozmówca ciągle się nie odzywał.

– To dość zabawne - powiedziała, na wpeł do siebie. - Wszyscy znamy to nazwisko z gazet. Facet ma chyba tyle pieniędzy co Rockefeller. Ale tylko ja jedna, nie nieznająca Francesca wiem, że niebawem cały oddział prywatnych detektywów wyważy drzwi do jego posiadłości, zupełnie jakby chodziło o jakiegoś podrzędnego oszusta.

– Czy detektyw Abbott mówił ci, dlaczego przeprowadzają nalot na posiadłość Culpa?

– Nie.

– Nie zapytałaś? - pytanie zabrzmiało niebezpiecznie ostro.

– Próbowałam jakoś to z niego wyciągnąć, ale nie chciał chwycić przynęty. Wolałam nie naciskać za bardzo, by nie nabrał podejrzeń.

– Kiedy ma się odbyć ten nalot?

Francesca zaśmiała się.

– Kiedy będziesz o tym czytał w porannej gazecie, nie zapomnij, że ja byłam pierwsza.

– Jeszcze dzisiaj?

\* \* \*

W powietrzu niósł się świst wirujących haków. Isaac Bell i Archie Abbott kręcili młynka obciążonymi końcami swoich lin, by nadać im odpowiedniego pędu, aż nareszcie zarzucili je jednocześnie na mury, które w pochmurnym zmierzchu były tylko odrobinę ciemniejsze od nieba. Haki przefrunęły na wysokość ponad trzy i pół metra i zaczepiły się zgodnie ze swoim przeznaczeniem po drugiej stronie ściany. Detektywi pociągnęli mocno za liny. Haki trzymały pewnie.

\* \* \*

– Przetnijcie druty!

Wszystko szło jak w zegarku. Wspięli się po linach na górę, wyłożyli szczyt muru grubym płótnem, by zabezpieczyć się przed pokruszonymi odłamkami szkła, zrzucili drabinki dla reszty detektywów, a następnie zeszli razem na drugą stronę i ruszyli ciągnącą się tuż pod murem ścieżką. W sali gimnastycznej, w

pomieszczeniach dla służby ani przy przystani nie świeciły się żadne światła. Podobnie rzecz się miała z drugim piętrem głównego budynku, ale z kolei parter jarzył się jak świąteczna choinka.

– Wygląda na to, że jedzą obiad w jadalni - stwierdził Bell. Posłał dwóch ludzi, by zajęli się bokserami, i kolejnego do czekającej na dole łodzi. Pozostałych rozdzielił i zabrał jedną połowę do tylnego wyjścia. Archie Abbott poprowadził resztę od frontu.

\* \* \*

– Już są - zauważył Branco.

– No to będzie wesoło - uznał Culp. - Szkoda, że nie możesz zostać, by też sobie na to popatrzeć. Potem opowiem ci wszystko ze szczegółami.

Branco wcale nie był przekonany, czy plan Culpa odniesie zamierzony skutek, a do wesołości było mu jak najdalej. Ale znajdował się na jego terenie i nie pozostawało mu nic innego, niż zdać się na zdrowy rozsądek i wpływy biznesmena.

– Wynoś się! - wyrwał go z zamyślenia Culp. - Zanim będzie za późno!

Branco otworzył ukryte w boazerii drzwi dla służby.

– Branco.

– Co takiego?

– Jestem mile zaskoczony, że postanowiłeś tu wrócić i uprzedzić mnie o nalocie. Łatwiej byłoby po prostu zniknąć i zostawić mnie na łaskę losu.

– Jesteś mi potrzebny - wyjaśnił bez ogródek Włoch. - Dokładnie w takim samym stopniu, w jakim ja jestem potrzebny tobie.

Po tych słowach zniknął za drzwiami. Wąskie, kręcone schody doprowadziły go do skarbcza z rodowymi kosztownościami, który niegdyś służył za kryjówkę dla niewolników. Branco otworzył drzwi, wszedł do środka i zamknął się od wewnątrz.

Z kolei J.B. Culp podniósł leżący na stoliku ciężki pistolet, ruszył żwawo do drzwi wejściowych i otworzył je gwałtownie, wołając:

– Panie Bell, to jest całkowicie bezprawne wtargnięcie!

## 35.

– Detektyw Bell jest przy pańskich tylnych drzwiach - ostrzegł Archie Abbott. - Ja jestem detektyw Abbott. Niech pan odłoży tę broń, zanim coś się panu stanie.

J.B. Culp opuścił pistolet i cofnął się do dużego holu między dwoma pokojami recepcyjnymi.

– Poznałbym pana wszędzie po pańskich rudych włosach, detektywie Abbott. Nawet na moim prywatnym terenie.

– Sądząc po pańskiej rumianej cerze, blond włosach i niebieskich oczach - powiedział Abbott - nie jest pan zbiegiem Antoniem Brankiem, tylko Johnem Butlerem Culpem, który go ukrywa. Niech pan położy broń na stole.

– Są tu ludzie, którzy pragną poznać pana i pańską... - spojrzał na stłoczonych za Abbottem krzepkich detektywów - bandę. Szeryfie!

Osilek z gwiazdą szeryfa hrabstwa Orange na płaszczu wyszedł z jednego z pokoi recepcyjnych.

– Jest pan aresztowany, detektywie Abbott.

– Nie - zaprzeczył Archie Abbott.

– Chłopcy! - zawołał szeryf.

Sześciu jego zastępców ze strzelbami wyszło z drugiego pokoju recepcyjnego.

– Wszyscy jesteście aresztowani - oznajmił szeryf.

– Za co?

– Zaczniemy od wtargnięcia.

– To nie wtargnięcie.

– Rzućcie broń i ręce do góry.

– To nie wtargnięcie - powtórzył Abbott. - Ścigamy zbiegłego gangstera Czarnej Ręki nazwiskiem Antonio Branco.

Szeryf odwrócił się do lekko uśmiechniętego Culpa.

– Panie Culp, widział pan jakichś zbiegów na swoim terenie?

– Nie.

Szeryf z powrotem skupił uwagę na Archiem Abbotcie.

– Macie pozwolenia na broń?

– Oczywiście. Jesteśmy vandornowcami.

– Pozwolenia hrabstwa Orange?

– Zaraz, zaraz, szeryfie.

– Jesteście w hrabstwie Orange. Macie broń, która tutaj jest nielegalna. Zagrożacie tu bezpieczeństwu publicznemu. I jeśli pan jest detektywem Abbottem, jak się pan przedstawił panu Culpowi, to prokurator okręgowy hrabstwa Orange ma raporty o pańskim radykalnym nastawieniu.

– Oszałał pan? Skończyłem Princeton.

– Ostatnia szansa. Podnieście ręce, bo otworzymy ogień. Po strzałach z „dwunastek” moich chłopców niewiele zostanie dla chirurga.

Isaac Bell wszedł do holu z rękami w górze, jego oddział zrobił to samo. Zobaczył, jak Culp szczyrzy zęby od ucha do ucha. Archie wyglądał na zaskoczonego. Ale zamiejscowi vandornowcy byli twardzielami i Bell musiał szybko wkroczyć, żeby nie połała się krew.

– Opuście broń, panowie. Podnieście ręce. Później to załatwimy.

– On twierdzi, że jest szeryfem - odezwał się Archie.

– Ludzie przy tylnych drzwiach to oficerowie nowojorskiej Gwardii Narodowej - wyjaśnił Bell. - A w kuchni je kanapkę przedstawiciel gubernatora. Jesteśmy uziemieni.

– Szeryfie! - zawołał J.B. Culp.

– Tak, panie Culp?

– Niech pan zabierze tych intruzów z mojego terenu.

– Tak jest, panie Culp.

– Niech pan ich zamknie. Rano przyślę kogoś do aresztu, żeby wniósł oskarżenia.

\* \* \*

Dziwięciu aresztowanych vandornowców wepchnięto do celi, gdzie śmierdziało, jakby była zarezerwowana dla pijaków. Trzech pozostałych uciekło łodzią.

– Chciałbym wiedzieć, jak to się stało, że się nas spodziewali - powiedział Isaac Bell.

– Bo na to wychodzi - potwierdził Archie.

– Chyba że jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności szeryf, Gwardia Narodowa i człowiek gubernatora wpadli tam o tej samej porze - odrzekł Bell.

Był wściekły. Nieudany nalot mógł mieć nieobliczalne skutki. Culp się wywinął, Branco pozostał na wolności, groźny jak zawsze i chroniony przez niego. Culp zademonstrował swoją potęgę, sprowadzając grube ryby do ochrony jego potajemnego sojuszu z gangsterem. Jakimś cudem udało im się dokonać prawie niemożliwego - zwietrzyć w porę nalot vandornowców.

– Wychodzi na to, że się nas spodziewali - powtórzył Archie.

– Dowiemy się, skąd wiedzieli - odrzekł Bell.

\* \* \*

Bell drzemał na stojąco, ramię w ramię z resztą swojego oddziału, gdy usłyszał grzmiący głos Josepha Van Dorna. Szef stał przed celą w meloniku i obszernym płaszczu.

– Najbardziej żałowana banda szubrawców, jaką kiedykolwiek widziałem pod kluczem. To obraza dla przestępców. Ale mimo to, przekażcie mi ich.

Szeryf wyglądał na raptownie rozbudzonego i mocno zaniepokojonego.

– Pan Culp będzie bardzo zły.

– Powiedz pan panu Culpowi, żeby się z tym zwrócił do prokuratora federalnego południowego dystryktu Nowego Jorku, który ma jurysdykcję nad hrabstwem Orange. Pokaż mu pan to pismo, które prokurator dał mi dla pana. Otwieraj, człowieku! Musimy zdążyć na pociąg. Chodźcie, chłopcy. Migiem... Chryste, ale tu cuchnie! Dobrze, że wynająłem wagon bydlęcy, żeby was zawieźć do domu.

Szef pokazał głową Bellowi, że chce zamienić z nim słowo na osobności. Stanęli na korytarzu wagonu, gdy pociąg odjeżdżał ze stacji. Van Dorn miał spojrzenie jeszcze bardziej lodowate niż głos.

– Prokurator federalny był mi winien ogromną przysługę. Uwolnienie was zakończyło sprawę i wyraził się jasno, że następnym razem będziemy zdani na siebie. Więc teraz ja wyrażę się jasno, Isaac: żadnemu z naszych detektywów

nie wolno nigdy więcej wdrapać się na mur Kruczego Gniazda bez mojego pozwolenia.

– Z wyjątkiem, oczywiście - zastrzegł Bell - bezpośredniego pościgu za Antoniem Brankiem.

Policzki Van Dorna przybrały kolor jego rudych wąsów.

– Kiedy Antonio Branco będzie w połowie drogi przez mur Culpa, a ty złapiesz go za kostki, wyślij do mnie telegram i zaczekaj na moją zgodę na dalsze działanie - odparował, zły jak zawsze.

\* \* \*

– Muszę z tobą porozmawiać, Isaac - szepnął Archie Abbott, kiedy pociąg zbliżał się do miasta.

Bell zabrał go na korytarz, gdzie wcześniej Van Dorn wyraził swoje niezadowolenie.

– Co jest?

– To była moja wina, Isaac.

– Każdy zrobił swoje. Uderzyliśmy, z przodu i z tyłu, precyzyjnie. Nie twoja wina, że czekali.

– Niestety, moja - odrzekł Archie.

– O czym ty mówisz?

Abbott zwiesił głowę. Wyglądał na przygnębionego i Bellowi zaczęło świtać, że jego stary przyjaciel jest bardziej przybity niż uzasadnia to fiasko nalotu na Krucze Gniazdo.

– O co chodzi, Archie?

– Chyba zostałem wykorzystany jak frajer.

– Przez kogo, tę dziewczynę, z którą się spotykałeś?

– Francescę.

– Wyznałeś Marion, że jesteś „zadurzony”.

– Kompletnie.

– Co powiedziałeś Francescę?

– Tylko to, że uczestniczę w nalocie. Musiałem przerwać randkę. Powiedziałem, że nie będzie mnie w nocy, że będę w górze rzeki.

– Archie...

Bellowi zakręciło się w głowie. Culp się wywinął. Chronił Branca.

– Po prostu nie pomyślałem.

– Zdradziłeś jej, że tropimy Culpa?

– Nie! To znaczy... niezupełnie.

– Jak to „niezupełnie”, do diabła? - wybuchnął Bell. - Albo tak, albo nie.

– Powiedziałem, że chodzi o dom Culpa. Nie zdradziłem, że tropimy jego. W posiadłości mógłby być ktokolwiek. Byłem pewien, że takie to wywołało wrażenie. Dopóki...

– Dopóki Culp nie kazał szeryfowi i Gwardii Narodowej urządzić zasadzki na nas... Co ty, do diabła, myślałeś, Archie? Wygląda na to, że w ogóle nie myślałeś.

– Niejasno. Co mam zrobić, Isaac? Złożyć rezygnację?

Bell spojrzał mu w oczy. Nie dość, że byli najlepszymi przyjaciółmi, to jeszcze Bell czuł się za niego odpowiedzialny, bo namówił Archiego, żeby dołączył do vandornowców.

– Muszę się zastanowić - odrzekł. - I oczywiście porozmawiać z panem Van Dornem.

– Wywali mnie.

– Jest szefem. Nie mam wyboru.

– Powinienem oszczędzić mu kłopotu i odejść.

Powinieneś, pomyślał Bell. Znał szefa wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że Van Dorn nie jest w nastroju do przebaczenia. Ale wpadł na pomysł, jak można by odwrócić sytuację na niekorzyść Branca.

– Wiesz, Archie, ty nadal nie myślisz jasno.

– To znaczy?

– Módl się, żeby to nie trafiło do prasy. Bo jak trafi i twoja Francesca to przeczyta, to skojarzy fakty i uświadomi sobie, że szefem, któremu się „wyspowiadała” w tamtym kościele, jest Branco. Zorientuje się też, że kiedy on to przeczyta, będzie wiedział, że ona wie. Branco zadał sobie wiele trudu, żeby mieć pewność, że wypełniający jego rozkazy przestępcy nigdy nie będą mogli w nic go uwikłać, a tym bardziej zeznawać przeciwko niemu.

– Co ty mówisz?



- Jak długo pozwoli żyć Francesce?
- Muszę dotrzeć do niej pierwszy - powiedział Archie.
- My musimy. Będzie dużo wiedziała o zbrodniach Branca i przy odrobinie szczęścia o jego planach.
- Zaraz, Isaac. Co Branca obchodzi, czy Francesca go zdemaskuje? Sam już to zrobił.
- Kiedy go złapiemy, stanie przed sądem, broniony przez najlepszych adwokatów, jakich można wynająć. Oskarżyciel będzie potrzebował każdej informacji. Pójdzie z Francescą na ugodę - lata jej odsiadki za jej zeznanie.
- Odsiadki?
- Archie, nie byłeś pierwszą ofiarą, jaką wykorzystała dla niego. Po prostu najłatwiejszą.

## 36.

- Gdzie mieszka Francesca?
  - Nie wiem.
  - Nie wiesz? Jak mogłeś nie wiedzieć, gdzie mieszka kobieta, z którą się spotykałeś?
  - Nigdy mi nie pozwoliła odwieźć się do domu. Była bardzo przyzwoita.
  - Przyzwoita? - powtórzył ostro Bell.
- Miał dobry plan i wciąż był wystarczająco wściekły, żeby wyrzucić Archiego z pędzącego pociągu.
- Wstydliva. To znaczy... skromna... Wiesz, o co mi chodzi.
  - Gdzie się spotykaliście?
  - W Waldorf-Astorii.
  - Stać cię było? - zapytał Bell.
- Archie należał do nowojorskiej śmietanki towarzyskiej i chętnie goszczono go na salonach, ale Abbottowie stracili swoje pieniądze w czasie paniki 1893 roku i musiał żyć z pensji detektywa.
- Francesce całkiem dobrze się powodzi, a jej mąż miał firmę w tym hotelu, więc ona ma dobre układy z kierownictwem.

– Mówiłeś, że nie wiesz, gdzie ona mieszka. A teraz mówisz, że w Waldorfie?

– Nie, nie, nie. Ona tylko rezerwuje nam pokój.

– Kiedy mieliście się znów spotkać?

– Jutro po południu.

– Przyjdzie?

– Nie mam pojęcia.

– Myślę, że przyjdzie - powiedział Bell.

– Skąd wiesz?

– Będzie ciekawa, co jeszcze jej zdradzisz.

Abbott znów zwiesił głowę.

– Długo będziesz rozdrapywał tę ranę?

– Dopóki nie będę absolutnie pewien, że zdołam powstrzymać przemożną chęć, żeby przywalić ci w łeb.

\* \* \*

Archie się spóźniał.

Francesca Kennedy zdążyła się już porozkoszować gorącą kąpielą w porcelanowej wannie. Teraz, w tureckim szlafroku, skulona w fotelu, syciła wzrok widokiem pięknego pokoju hotelowego. Była w nim elegancka komoda z łukowym lustrem z trawionego szkła, intarsjowane wezgłowie i francuska tapeta. Wyrzała przez zasłony. Znów padał śnieg. Usadowiona w przytulnym cieple, wzięła popołudniową gazetę.

„Stojąc w skalnej grocie 335 metrów pod dnem rzeki Hudson, tydzień po powrocie z Panamy, prezydent Theodore Roosevelt naciśnie przycisk i elektrycznie wywoła wybuch, który »otworzy« tunel ciśnieniowy wodociągu Catskill...”

Dywany na korytarzach Waldorfa tłumyły kroki i kilkakrotnie opuszczała gazetę, żeby zerknąć na szparę pod drzwiami w oczekiwaniu, aż cień Archiego padnie na próg.

\* \* \*

– Jest pan śpiewakiem operowym?

Antonio Branco posłał windziarzowi olśniewający uśmiech.

– Gdybym zaśpiewał, młody człowieku, uciekłbyś, zasłaniając uszy. Nie, ja tylko tak wyglądam.

Amerykanie pogardzali włoskimi imigrantami, ale bawili ich zamożni, szykownie ubrani Włosi. Kremowa peleryna, borsalino z szerokim rondem w tym samym kolorze, laska z kości słoniowej i nawoskowane wąsy robiły swoje. Żaden vandornowiec, ani nikt, kto stanąłby z nim twarzą w twarz, nie nabralby się na jego przebranie, ale odźwierni w Waldorf-Astorii witali go, a detektywi hotelowi kłaniali mu się. W drodze przez hol i w połączanej windzie zadał mu pytanie tylko zafascynowany sławnymi ludźmi boy.

– Które piętro?

– *Sesto!* To znaczy, szóste. *Pronto!*

\* \* \*

Francesca doszła do ostatnich stron, gdzie zamieszczano żartobliwe artykuły.

„Pewien korespondent terenowy donosi, że naszych wiejskich kuzynów na północy stanu w hrabstwie Orange obudziły dwukrotnie w tym tygodniu dziwaczne pogłoski. Najpierw, jak dowiedzieli się również nasi nowojorscy i brooklyńscy czytelnicy, tunel wodociągu Catskill pod rzeką Hudson - tak zwany Syfon, czy też tunel ciśnieniowy z komorą pomiarową Moodna-Hudson-Breakneck, jak określają go inżynierowie wodni - został zalany przez rzekę, co rozwiało wszelkie nadzieje na ukończenie wodociągu przed następnym brakiem wody. Szczęśliwie okazało się, że nie wydarzyło się nic takiego. Wezwano hydraulika. Przeciek był mały i już go zatamowano.

Dziś rano pojawiły się nowe pogłoski. Jedna to taka, że szeryf hrabstwa Orange zrobił nalot na Krucze Gniazdo, sławną posiadłość Culpów, których pokolenia zbiły ogromny majątek na handlu rzeczonym, kolejach i transakcjach giełdowych. Zamknięto w areszcie tuzin zastanych tam mężczyzn. Spekulacje na temat przyczyny nalotu szeryfa na Krucze Gniazdo wywołały następne plotki, z najbardziej intrygującą, że szeryf deptał po piętach zbiegłemu włoskiemu imigrantowi z Czarnej Ręki, Antoniowi Brankowi.

Nie jest jasne, dlaczego gangster (wcześniej zaopatrzeniowiec miejskiego wodociągu Catskill), który ucieka przed wymiarem sprawiedliwości, miałby się

ukryć w ufortyfikowanej rezydencji plutokraty. Niejasne jest również, kim są aresztowani mężczyźni. Mówi się, że to cudzoziemscy robotnicy lub prywatni detektywi, albo łowcy kontraktów z Tammany Hall.

Szeryf hrabstwa Orange zaprzecza, że doszło do takiego zdarzenia, i pokazał naszemu korespondentowi pusty areszt.

Biura pana J.B. Culpa na Wall Street informują, że potentat podróżuje obecnie przez kontynent swoim prywatnym pociągiem, toteż nie jest osiągalny, żeby to skomentować”.

Francesca zrzuciła frotowy szlafrok i włożyła ubranie. Znała Branca. Nie jako gangstera, lecz jako bogatego właściciela sklepu spożywczego, który ulokował ją w małym mieszkaniu i przydzielił jej taką pensję, że mogła zejść z ulicy. Nie odwiedzał jej od dwóch lat. Uświadomiła sobie teraz, że od czasu, kiedy została wezwana do wypowiedzania się przed szefem. Żyła w nerwach, ciekawa, kiedy to się skończy, ale on przysyłał jej pieniądze i nadal płacił czynsz.

Wpychała rzeczy do torby, gdy cień padł na próg.

Piękny pokój stał się nagle pułapką. Wewnętrzne drzwi łączyły go z sąsiednim. Chwyciła za klamkę bez wielkiej nadziei. Zaryglowane, oczywiście. Wynajęła tylko jeden pokój, nie apartament. Cofnęła się do okna i rozsunęła zasłony z jeszcze mniejszą nadzieją. Żadnego wyjścia pożarowego. Waldorf był nowoczesnym budynkiem ze schodami pożarowymi wewnątrz. I żadnego balkonu. Tylko chodnik na Trzydziestej Trzeciej, sześć pięter niżej. Nie miała przy sobie ani noża, ani brzytwy, ani broni, żeby zaalarmować Archiego Abbotta, że jest w tarapatach.

Antonio Branco otworzył kluczem drzwi i wkroczył do pokoju.

Francesca Kennedy cofnęła się pod okno.

– Właśnie czytałam o tobie.

– Wyobrażam sobie.

Choć myślała gorączkowo, zdjęta strachem, jak zawsze uderzyło ją to, jaki jest przystojny. Dostrzegła jego przenikliwość, czego wcześniej nie zauważała, skrywaną czujność, co czyniło go jeszcze bardziej pełnym życia. Ale kiedy jego rysy stwardniały, stał się nagle tak znajomy, że zerknęła na swoją twarz w lustrze komody, a potem znów na niego.

## 37.

Jego oczy były tak martwe, jak jej, kiedy robiła swoje.

Branco zerknął na okno i natychmiast się zorientowała, jak ją wykończy. Francesca Kennedy nie będzie pierwszą młodą i piękną samobójczynią, która wyskoczyła z okna drogiego pokoju hotelowego. Zakochała się w niewłaściwym mężczyźnie?

Odwrócił się, żeby zaryglować drzwi, i sięgał do klamki, gdy otworzyły się gwałtownie do środka i walnęły go w twarz z taką siłą, że przeleciał przez pokój. Fotel, w którym Francesca wcześniej czytała, zastopował jego upadek i Branco utrzymał się na nogach z krwawiącym nosem.

Archie Abbott wpadł przez drzwi, które otworzył kopniakiem.

Wysoki, złotowłosey Isaac Bell był tuż za nim.

Detektywi rzucili się na Branca jak wilki.

Włoch miał błyskawiczny refleks. Nie wypuścił z ręki swojej laski, zdołał ją obrócić i wbił jej koniec w brzuch atakującego Archiego. Abbott zgiął się wpół. Isaac Bell wytrącił Brancowi laskę. Poszybowała w zasłony i upadła u stóp Franceski. Kiedy ją podniosła, była zaszokowana ciężarem jej stalowego rdzenia.

Bell i Branco wymienili ciosy, zwarli się i runęli na fotel, Bell na wierzchu. Branco mocno opasał ramionami wysokiego detektywa i dźwignął się na nogi. Jego zakrwawioną twarz wykrzywił grymas wysiłku i uniósł siedemdziesięciodziewięciokilogramowego Bella z podłogi. Bell uwolnił się z jego uścisku i walnął go w żebra. Przewrócili się obok łóżka. Bell uderzył w komodę i roztrzaskał lustro. Branco przekręcił się do drzwi. Ale Archie już się wyprostował i celnym ciosem posłał gangstera na kolana.

Francesca chwyciła laskę dwiema rękami i zamachnęła się jak kijem bejsbolowym. Trafiała z głośnym głuchym odgłosem, rzuciła ją i wybiegła na korytarz. Antonio Branco wytrzeszczył oczy z niedowierzaniem, gdy Archie Abbott osunął się na podłogę.

Branco złapał laskę. Isaac Bell był już z powrotem na nogach. Branco wycelował w jego głowę, ale Bell okazał się za szybki dla niego i zrobił unik.

Branco znów wziął zamach, ale dostał kopniaka od półprzytomnego Archiego Abbotta. Stracił równowagę i zamiast w głowę trafił Bella w tył kolana. Noga ugięła się pod Bellem i Branco zniknął za drzwiami.

Zobaczył, jak Francesca pędzi korytarzem.

– Chodź ze mną! - zawołał.

– Zabijesz mnie.

Wypadła na schody służbowe. Branco pobiegł obok nich do końca korytarza, gdzie przed pójściem do jej pokoju zlokalizował zejście awaryjne do kuchni hotelowej.

Isaac Bell ruszył w pościg za nim.

Korytarz był pusty. Bell gnał co sił w nogach, zauważył przejście służbowe, otworzył szarpnięciem drzwi i poczuł zapach świeżej bielizny. Głębiej w korytarzu zobaczył krew na dywanie. Podbiegł tam, dostrzegł następną plamę, ruszył dalej i dotarł do następnego przejścia służbowego.

Było słabo oświetlone i cuchnęło tłuszczem do smażenia.

Złowił uchem tupot i rzucił się w tamtą stronę. Trzy kondygnacje schodów niżej minął zaszokowanego, skulonego pod ścianą kelnera. Pokonał trzy następne kondygnacje i znalazł się w kuchni. Mężczyźni krzyczeli. Kobiety wrzeszczały. Bell zobaczył, jak kucharze w toczkach pomagają wstać zastępcy szefa kuchni w białej marynarce. Zauważyli go i rozpięchli się.

– Dokąd pobiegł?! - zawołał Bell.

– Na dwór.

Wskazali drzwi. Bell przepchnął się przez nie. Wąska uliczka była pusta, ale ślady stóp widniały na śniegu. U jej wylotu tłumy ludzi śpieszyły Trzydziestą Trzecią. Bell pobiegł w tym samym kierunku. Chodniki były zatłoczone i w padającym śniegu nie widział dalej niż na piętnaście metrów. Branco mógł uciec w lewo lub w prawo. Bell wrócił pędem do kuchni.

– Widzieliście z nim kobietę?

– Nie.

Zapytał o drogę do pralni. Podkuchenny zaprowadził go tam i Bell zaczął szukać Franceski Kennedy. Przestraszone praczki wskazały bez słowa wózek na bieliznę. Bell chwycił go oburącz i odwrócił do góry kołami.

\* \* \*

Bell pożyczył kajdanki od detektywa hotelowego i zaprowadził Francescę Kennedy z powrotem do zdemolowanego pokoju. Wściekli detektywi Waldorfa kręcili się na korytarzu i prosili zaciekawionych gości, żeby mijali otwarte drzwi. Archie siedział rozparty w fotelu i trzymał się za głowę pod opieką lekarza hotelowego.

– Dlaczego mnie uderzyłaś? - zapytał Francescę. - Dlaczego nie walnęłaś Branca? Zamierzał cię zabić.

– A co to za różnica? - spytała rzeczowo. - Zaaresztujecie mnie i też stracę życie, kiedy zawisnę.

Bell puścił jej ramię.

– Przedyskutujmy, co i jak możemy zrobić, żeby cię nie powiesili - zaproponował spokojnie.

Podniosła na niego niebieskie oczy, uśmiechnęła się i Bell wybaczył Archie'emu większość jego głupoty. Jak Archie powiedział Marion, Francesca Kennedy była oszalamiająca - a nawet więcej.

– Porozmawiamy? - przynaglił Bell.

– Lubię rozmawiać - odrzekła Francesca.

– Tak słyszałem.

– A nie moglibyśmy przypadkiem porozmawiać przy kolacji? - zapytała. - Umieram z głodu.

– Dobry pomysł - przyznał Bell. - Zjemy kolację u kapitana Mikea.

– Nie znam tego lokalu.

– Jest w Tenderloin na Trzydziestej Zachodniej.

Kapitan „Nieprzekupny Mike” Coligney z dziewiętnastego komisariatu postawił policjantkę przed pokojem, który przydzielił Isaacowi Bellowi do przesłuchania jego aresztantki.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, Isaac - powiedział. - Ta kobieta jest niebezpieczna.

– Nie znam żadnej bardziej wtajemniczonej w sprawy Antonia Branca niż ona.

– Mimo że nigdy nie spotkali się twarzą w twarz.

– On wydawał rozkazy. Ona je wykonywała.

Bell wszedł do pokoju i zamknął drzwi.

– Co byś chciała na kolację? - zapytał.

– Mogłabym dostać stek?

– Oczywiście.

– A kieliszek wina?

– Czemu nie? - Bell wyszedł z pokoju i wręczył Mike'owi Coligneyowi dwadzieścia dolców. - Na steki, dodatki, kilka kieliszków wina i duży deser. Z najlepszej restauracji w okolicy.

– Marnujesz forszę - odparł Coligney. - Dlaczego myślisz, że ona go sypnie? Jak miała wybór, czy wałnąć Branca, czy detektywa Abbotta, wybrała detektywa.

– Ona lubi mówić, a wszystko świadczy przeciwko niej.

– Tak jak powinno być.

– Ona to wie. Z tego, co mi powiedziała po drodze, byłaby ostatnią do rozgrzeszenia.

Bell wrócił do środka. Został Francescę tam, gdzie ją zostawił - siedziała przy małym drewnianym topornym stole, przyśrubowanym tak jak oba krzesła, do betonowej podłogi.

– Wiesz, Isaac... Mogę ci mówić Isaac, prawda? Archie tyle o tobie opowiadał, że mam wrażenie, jakbym znała cię od dawna. .. Chyba zawsze wiedziałam, że to kiedyś musi nastąpić.

– Co?

– Wpadka.

– Zdarza się najlepszym - odrzekł Bell.

– I najgorszym - odparowała Francesca. - Wiesz, co? Archie był najlepszą robotą, jaką kiedykolwiek dał mi szef.

– Nie dziwię się - powiedział Bell. - Archie jest wspaniałym kompanem.

– Musiałam kupować cudowne stroje, żeby być z nim. Archie przywykł do dziewczyn z klasą. Mogłam wydawać pieniądze jak pijany marynarz i szef nigdy nie narzekał.

– Pamiętasz swoją pierwszą robotę dla Branca?

– Nie wiedziałam, że to dla Branca.



– Pewnie, że nie. Dostałaś ją od „księdza”, że tak powiem. Pamiętasz ją?

– Jasne. Chodziło o tego faceta, co miał kilka sklepów spożywczych w Małej Italii. Szef powiedział, że on musi zniknąć. Ale tak, żeby to wyglądało naturalnie.

– Jak się nauczyłaś pozorować naturalną śmierć?

– To nie było tak. Ten sklepikarz lubił robić dziewczynom pewne rzeczy, gotów dużo za to płacić. Ale każdy wie, że jak facet kręci i to robi, to jakaś dziewczyna w końcu się wścieknie i go zadźga. Więc jak został zadźgany, wypadło to naturalnie.

– Dlaczego szef chciał go usunąć?

– Dopiero teraz wiem, że zamierzał przejąć jego interes. W ten sposób Branco stał się właścicielem sieci sklepów. Zrobił duży krok w tym kierunku, żeby zaopatrywać wodociąg, zgadza się? Teraz jest na szczycie... Lub raczej był.

– Mogłabyś mi opowiedzieć o następnej robocie?

\* \* \*

Isaac Bell zachęcał ją do kolejnych opowieści i Antonio Branco okazał się tak bezwzględny przestępcą, jak Bell się spodziewał. Ale gangster potrafił osiągać cel.

Kapitan Coligney przerwał im na chwilę, gdy dostarczono kolację.

Francesca jadła z wdziękiem i mówiła dalej.

– Jak poznałaś szefa? - zapytał Bell.

– Właściwie nie wiem. Kiedyś wpadłam w duże tarapaty i nagle jakieś mięśniaki przyszły mi z pomocą - przekupili gliniarzy. W jednym momencie myślałam, że trafię w górę rzeki, a w następnym wyszłam z tego cało. Potem dostałam pierwsze wezwanie do spowiedzi. - Ukroiła następny kawałek steku, przeżuła wolno i popiła łykiem wina. - Czasami sprawy naprawdę świetnie się układają.

– Pomogłaś mu dogadać się z wodociągiem?

– Jasne! To znaczy, wtedy nie wiedziałam. Ale teraz... Facet świętował duży kontrakt. Praktycznie przejął burdel na weekend. Szampan, dziewczyny, karty. Poszłam do spowiedzi. A zaraz potem facet nie żył. Przed śmiercią pochwalił mi

się, że zawarł umowę z miastem na zaopatrzenie wodociągu. Zgadnij, kto dostał kontrakt po nim?

– Branco.

– Trafiałeś, Isaac.

– Jaką ostatnią robotę wykonałaś dla niego?

– Był nią Archie.

– Miałaś go zabić?

Francesca Kennedy spojrzała przez stół na Bella i uniosła brew.

– Archie nie żyje?

Bell się zaśmiał, czego się spodziewała.

– Okej - powiedział. - Więc co Branco kazał ci robić z Archiem?

– Słuchać.

– Czegoś konkretnego?

– Wszystkiego o waszym oddziale do walki z Czarną Ręką.

– Co usłyszałaś?

– Nic.

– Ale dowiedziałaś się o nalocie?

– Dopiero o tym. To była pierwsza rzecz, jaką ujawnił Archie. I pewnie ostatnia - dodała, rozglądając się po pokoju bez okien.

Bell zapytał ją, jak informowała Branca, odkąd przestał być księdzem. Wyjaśniła, że korzystała ze skrzynek pocztowych i telefonów publicznych.

– Kto był przed Archiem?

– Dublet. Para kuzynów. Wiesz, kto to są Wallopersi?

– Hunt i McBean?

– Oczywiście wiesz. To było dziwne. Zaraz ci opowiem... Mogłabym dostać jeszcze trochę wina?

– Weź moje.

Bell przelał wino ze swojego kieliszka do jej, zebrał talerze ze sztucami i postawił je w rogu.

– Dlaczego to było dziwne?

– Poderwałam Eda Hunta na przyjęciu, na które wysłał mnie szef, i zabrałam go do hotelu, gdzie szef zarezerwował mi pokój. Nie wiedziałam, że szef

schował się w szafie. Nagle, kiedy Hunt zasnął, wyszedł z szafy. O mało nie wyskoczyłam ze skóry.

– Widziałaś jego twarz?

– Nie. Było ciemno. Pierwszy raz zobaczyłam jego twarz dopiero dziś po południu. W każdym razie, wygonił mnie - posłał do następnej roboty - a potem usłyszałam, że Hunt miał atak serca. Muszę ci powiedzieć, Isaac, że gdyby miał dostać ataku serca, stałoby się to, kiedy jeszcze z nim byłam.

– Jak rozumiem - odrzekł Bell - sztylet odegrał jakąś rolę w ataku serca.

– Duże zaskoczenie - odparła Francesca.

– Wspomniałaś, że poszłaś do następnej roboty. Jakiej?

– Chodziło o kuzyna Hunta, McBeana. Szef dał mi wyraźne rozkazy. Nie zrób mu nic złego. Uśpij go i idź do domu. I tak zrobiłam. Jak z Huntem. Potem dowiedziałam się na spowiedzi, że McBean jest cały i zdrowy, nie tak jak Hunt. Więc myślę, że się dogadali. Słyszałaś coś o tym?

– Słyszałem, że heroina przeszła z rąk do rąk.

– To mi przypomniało o robocie, o której chyba jeszcze ci nie mówiłam...

Bell słuchał. Jedna opowieść przeszła w drugą, co jej przypomniało o następnej.

– Co powiedziałaś? - zapytał nagle.

– Opowiadałam, jak mi się wyspowiadał.

– Mogłabyś powtórzyć? Co to znaczy, że ci się wyspowiadał? Branco ci się wyspowiadał?

– Pewnej nocy. W kościele. Staralam się wymyślić, jak załatwić tego faceta, którego chciał się pozbyć. Nagle, jakbym stała się księdzem - zaczął mi opowiadać o swoim pierwszym zabójstwie. Miał wtedy osiem lat, jeśli uważasz, że to ja jestem zła. Wiesz, co powiedział? Że to było „satisfakcjonujące”. Czy to nie dziwne określenie morderstwa? Satisfakcjonujące? Kiedy ma się zaledwie osiem lat?

– Nie wiem - odrzekł Bell. - A co ty myślisz?

– Nie nazwałabym tego satisfakcjonującym. Raczej kończącym coś, zamykającym sprawę. „Jest po wszystkim”, jeśli wiesz, o co mi chodzi. Tak czy owak, opowiedział mi wtedy, jak zabił wyzyskiwacza włoskich emigrantów, który go obrabował.

– Jak on zabija?

– Planuje i chowa się.

– Co to znaczy?

– Zbliża się do ofiary. Żeby to zrobić, trzeba planować. Badać sytuację. Dowiadywać się. A potem ułożyć plan.

– Tak ci powiedział?

– Uczył mnie: zaplanuj, co będziesz udawała. Udawaj, że czytasz gazetę. Udawaj, że jesteś zajęta pracą. Albo udawaj, że potrzebujesz pomocy. Żeby ich zdezorientować. Wiesz, o co mi chodzi, Isaac? On uczynił z tego sztukę.

– Zabijania?

– Owszem, można to tak nazwać.

– Więc Branco był twoim nauczycielem?

– Uczył mnie, jak to robić i nie dać się zabić. Można powiedzieć, że wiele mu zawdzięczam. Ale co to teraz za różnica?

– Co jeszcze ci mówił?

– Nie słuchasz, Isaac. Nie mówił mi tego; uczył mnie.

– Zbliżać się tak, żeby się nie bali?

– Planować, jak się zbliżać, żeby uspić ich czujność.

– Dzięki za radę - powiedział Bell.

– Jaką radę?

Bell wyciągnął pistolet z kabury pod pachą i przycisnął lufę do jej czoła.

– Co ty robisz?

– Sięgnij za bluzkę dwoma palcami, Francesca.

– O czym ty mówisz, Isaac?

– Wyjmij z za gorsetu nóż do steków, który schowałaś w dłoni podczas kolacji.

– A jeśli tego nie zrobię?

– Rozwałę ci głowę - odparł Bell.

– Wyświadczyłbyś mi przysługę. To szybsza śmierć niż powieszenie. I o wiele szybsza niż zamknięcie w domu wariatów.

Bell przesunął lufę w dół po jej nosie, podbródku, szyi i dotknął nią jej ramienia.

– To cię nie zabije, ale gdziekolwiek skończysz - w domu wariatów, więzieniu, czy nawet jeśli uciekniesz - już nigdy nie użyjesz tej ręki.

Nóż upadł z brzękiem na beton.

\* \* \*

– Wyglądasz jak wrak - stwierdził Archie Abbott, kiedy Isaac Bell dotarł wreszcie do biura terenowego Van Dorna.

Bell strząsnął śnieg z deszczem z płaszcza i kapelusza i ogrzał ręce nad kaloryferem.

– Czuję się, jakbym spędził tydzień z tamtą kobietą. Nie potrafi się zamknąć.

– Powiedziała ci coś przydatnego?

– Jak Branco spróbuje zabić Theodorea Roosevelta.

– Skąd ona wie?

– Praktykowała u niego. Wie, jak on działa. Nie będzie snajpera ani bomby. To będzie z bliska.

## 38.

Zameldowali się w Białym Domu wczesnym rankiem. Prezydent ćwiczył na ergometrze wiosłarskim. Van Dorn mówił. Przedstawił szczegółowo zagrożenie i zakończył:

– Dla pańskiego własnego bezpieczeństwa, panie prezydencie, i dla dobra kraju, zalecam ograniczenie pańskich publicznych wystąpień. I całkowite zaniechanie tych w pobliżu wodociągu Catskill.

– Ten wodociąg to wielkie przedsięwzięcie naszej epoki - odrzekł prezydent Roosevelt - i mocno się napracowałem nad tym, żeby powstał, kiedy byłem gubernatorem. Jako prezydent mogę zrobić przynajmniej tyle, że będę obecny wśród ludzi, którzy przejęli to zadanie. Będą je kontynuowali przez lata, więc uroczyste otwarcie tunelu ciśnieniowego Storm King jest istotne dla morale.

– Chciałby pan, żeby autorzy książek historycznych zawsze wiązali wodociąg Catskill z zamachem na pana?

– Lepsze to, niż żeby pisali, że TR podkulił ogon i uciekł.

– Wygląda na to - odparł Van Dorn - że nie zdołałem wyjaśnić niebezpieczeństwa.

Prezydent Roosevelt wstał z ergometru.

– Przyznaję, że skłonności J.B. Culp do czynienia zła są bezdyskusyjne. Culp jest najbardziej zachłannym człowiekiem w kraju. Jego potajemne umowy powodują, że tworzy się ogromna przepaść między garstką bogaczy a milionami tych, którzy walczą o to, żeby mieć co do garnka włożyć. Jego niekontrolowane nadużycia doprowadzą do rewolucji robotniczej. Jest niebezpieczny jak bestia w dżungli i przebiegły jak wąż. Ale nie ma pan nawet strzępu dowodu, że spróbuje mnie zabić.

– Nie mam też cienia wątpliwości - skontrował Van Dorn.

– Słyszał pan plotkę. On nie jest zabójcą.

– Culp sam nie pociągnie za spust - wtrącił się Isaac Bell.

Prezydent zerknął na Van Dorna, który przytaknął.

– Oczywiście - powiedział Roosevelt. - Jakiś najemnik. Gdyby to była prawda.

– Antonio Branco to nie najemnik - zaprzeczył Bell. - Jest osobiście zaangażowany w zabicie pana. Wystawi słony rachunek, który Culp chętnie zapłaci.

– Brednie!

Van Dorn zaczął odpowiadać, ale Bell znów się wtrącił.

– Nie zabieralibyśmy panu cennego czasu, panie prezydencie, gdyby to były „brednie”. Mówi pan, że obawia się rewolucji? Skoro atmosfera jest tak zapalna, to czy zabójstwo prezydenta, tak szybko po ostatnim, nie wywoła tej rewolucji?

– Powtarzam - warknął Roosevelt - że to brednie. Wybieram się w góry Catskill. Nawet jeśli wasze upiorne fantazje są oparte na prawdzie, będę całkowicie bezpieczny na najnowszym pancerniku Marynarki Wojennej.

– Mogę spytać, panie prezydencie, jak pan dotrze w góry Catskill pancernikiem?

– Popłyniemy Hudsonem do Kingston, gdzie wsiądziemy do pociągu specjalnego Ulster & Delaware i pojedziemy na inspekcję zbiornika, a potem Syfonu. - Roześmiał się i zwrócił do Van Dorna: - Mam kazać linii kolejowej podstawić pociąg pancerny?

– Zajmę się tym - odrzekł Van Dorn.

– Nie wątpię. I przedstawi pan rządowi okazały rachunek.

Van Dorn jakby się uśmiechnął.

– Panie prezydencie - powiedział Bell - czy zgodzi się pan słuchać instrukcji, które pański korpus Secret Service wyda dla pańskiego bezpieczeństwa?

– Oczywiście - przytaknął Roosevelt z chytrym uśmiechem - pod warunkiem że będę mógł wygłosić przemówienie... Niech pan posłucha, młody człowieku. Ściga pan tamtych domniemanych przestępców. Będę mówił o największym wodociągu, jaki kiedykolwiek wydrążono... - Włożył rękę do kieszeni i wyjął zmięty banknot. - Oto pięć dolców, że mój pancernik i ja skończymy pierwsii.

Isaac Bell cisnął złotą monetę.

– Podwajam.

– Jest pan bardzo pewny siebie.

– Będzie pan musiał zamienić pancernik na łyżwy, panie prezydencie. Kiedy ostatnio patrzyłem, Hudson zamarzał na dobre.

– Dwudziestoośmiocentymetrowy pancierz „Connecticuta” rozwali lód.

Isaac Bell oparł się pokusie przypomnienia naczelnemu dowódcy sił zbrojnych, że pancierz USS „Connecticut” zwięza się na dziobie do zaledwie dziesięciu centymetrów, ale nie mógł się powstrzymać od uwagi.

– Jestem daleki od doradzania wojskowemu, panie prezydencie, ale co pańscy admirałowie sądzą o rozwalaniu lodu śrubami napędowymi „Connecticuta”?

TR wyrzucił ręce do góry.

– Okej, Okej, pojedę pociągiem. Zadowolony?

– Zadowoli mnie tylko odwołanie pańskich publicznych wystąpień do czasu, aż przyskrzynimy Culpa i Branca.

– Więc rozczaruje się pan. Jadę i koniec. A teraz wynocha stąd. Muszę rządzić krajem.

Bell i Van Dorn wycofali się niechętnie.

– Zaczekajcie! - zawołał za nimi Roosevelt. - To prawda, detektywie Bell?

– Co, panie prezydencie?

– Że Hudson wcześniej zamarza.

– Prawda.

– Byczo!

– Dlaczego „byczo”, panie prezydencie?

– Będą wyścigi, kiedy tam będę.

– Jakie wyścigi? - zapytał Van Dorn.

– Bojerów.

– Ściga się pan, panie prezydencie? - spytał Bell.

– Czy się ścigam? Kuzyn John założył Hudsonski Klub Bojerowy. Jego „Icicle” osiągnął sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę i zdobył mistrzostwo. Był pan kiedyś na bojerze, detektywie?

– Uczestniczyłem w regatach w Shrewsbury jako szyper „Helene”.

– Więc jest pan zawodowcem?

– Byłem gościem pana Morrisona - odrzekł Bell i dodał niedbale: - Culp ściga się na bojerach, wie pan?

– „Daphne”! - wykrzyknął prezydent. - Szybka jak błyskawica! - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - To dowodzi, Bell, że Wszechmogący w każdym zasiewa coś dobrego - nawet w J.B. Culpie.

Szczera żywiołowość prezydenta stworzyła okazję, którą Bell wykorzystał.

– Mogę poprosić pana o przysługę?

– Śmiało.

– Czy pańskie przemówienie przy Syfonie mogłoby być jedyne?

Roosevelt długo rozważał pytanie wysokiego detektywa i w Bella wstąpiła nadzieja, że prezydent wreszcie myśli o zabójstwie, w którego następstwie objął urząd.

– Okej - odparł nagle. - W porządku.

\* \* \*

Joseph Van Dorn zostawał w Waszyngtonie, ale pojechał z Bellem tramwajem na dworzec kolejowy.

– Kompletna kłapa - stwierdził ponuro. - Jedno przemówienie czy dziesięć to żadna różnica. Wszędzie, gdzie się zatrzyma, niebezpieczny dureń wejdzie w tłum, dobrze wiedząc, że McKinley został zastrzelony, kiedy wymieniał uściski dłoni.



– Ale jego jedyne planowane wystąpienie będzie przy hudsonskim Syfonie. Branco będzie dokładnie wiedział, gdzie i kiedy go znaleźć. Tylko tam prezydent będzie łatwym celem.

– To już coś - przyznał Van Dorn. - Więc jak go ochronimy?

– Weźmiemy Branca w imadło - odrzekł Bell. - Ściśniemy go.

– Żeby go ścisnąć, musisz go najpierw znaleźć.

– Ukrywa się w posiadłości Culpa.

– Jeszcze? - spytał sceptycznie Van Dorn. - Skąd taki pomysł?

– Podsunął mi go prywatny pociąg Culpa - wyjaśnił Bell. - Wysłałem Eddiego Edwardsa, żeby powęszył wśród załogi. Eddie przekupił hamulcowego. Wygląda na to, że w listopadzie Culp zwykle spędza dni robocze w mieście, ale kiedy ostatnim razem opuścił posiadłość, pojechał swoim pociągiem do Scranton i wrócił tej samej nocy.

– Nie nazwałbym tego niezbitym dowodem, że Branco ukrywa się u niego.

– Ten hamulcowy Eddiego zaleca się do pokojówki z Kruczego Gniazda. Zdradziła mu, a on Eddiemu, że Culp trzyma się niezwykle blisko domu. Powiedziała też, że bokserzy już tam nie mieszkają. I wiemy już, że żona Culpa wyniosła się do miasta. Reasumując, jest wysoce prawdopodobne, że Branco jest w domu.

– Ale Branco bywa w mieście i nadal szefuje swojemu gangowi.

– Kazałem pańskiemu oddziałowi do walki z Czarną Ręką pracować na okrągło, żeby ustalili, jak on się wydostaje i wraca.

\* \* \*

Kiedy Joseph Van Dorn dotarł do hotelu New Williard, czekał na niego list.

*BIAŁY DOM*

*Waszyngton*

*1 grudnia 1906*

*Joseph Van Dorn*

*Agencja Detektywistyczna Van Dorn*

*Waszyngton, Biuro  
Hotel New Williard*

*Drogi Joe!*

*Twój Isaac Bell podsunął mi byczy pomysł. Wygłoszę tylko jedno przygotowane przemówienie, podczas inspekcji wodociągu Catskill. W ten sposób będę mógł skoncentrować wszystkie moje wysiłki na efektywnym propagowaniu budowy tej sieci wodociągowej. Więc zanim ruszę w dół szybu Storm King, żeby odpalić ładunek wybuchowy w towarzystwie dziennikarzy, przemówię do zebranych na powierzchni. W związku z tym poprosiłem wykonawców o zebranie swoich robotników przy budynku nadszybowym i zbudowanie dla mnie podwyższonej platformy, żeby wszyscy mogli mnie widzieć i słyszeć.*

– Niech Bóg ma mnie w opiece - powiedział Joseph Van Dorn.

*Serdeczne pozdrowienia  
Theodore Roosevelt*

*PS Joe, czy mógłbym Cię namówić na towarzyszenie mojej grupie w podróży?*

Van Dorn poczuł wielką ulgę z powodu tego niespodziewanego przejawu zdrowego rozsądku w postscriptum i zatelefonował do pewnego urzędnika państwowego, dawnego mieszkańca Chicago, który teraz kierował korpusem ochrony Secret Service.

– Prezydent poprosił mnie, żebym pojechał z nim w góry Catskill. Nie chcę ci wchodzić w paradę, więc potrzebuję twojego błogosławieństwa, zanim się zgodzę.

Jego stary przyjaciel parsknął z irytacją tak głośno, że Van Dorn usłyszał to przez telefon.

– Kongres wciąż się zastanawia, kto powinien ochraniać prezydenta i czy on w ogóle potrzebuje ochrony. Nie chcą za to płacić, więc kombinuję pensje z innych budżetów. A teraz jazgoczą, że jeden z moich chłopaków został aresztowany za napaść, bo powstrzymał jakiegoś fotografa, który rzucił się w

kierunku prezydenta i pani Roosevelt z aparatem, gdzie mogła być ukryta splota albo nóż. Innymi słowy, dzięki ci, Joe, bo mam za mało wykwalifikowanych ludzi.

– To do zobaczenia w pociągu - odrzekł Van Dorn.

A jednak w głębi serca wiedział, że kiedy jakiś ważniak przekona prezydenta, żeby pozwolił mu stanąć obok siebie, założyciel Agencji Detektywistycznej Van Dorn znajdzie się za daleko, żeby przeszkodzić napastnikowi.

\* \* \*

Między murem Kruczego Gniazda a podnóżem góry Storm King linie telefoniczne i telegraficzne posiadłości bieły przez sosnowy las. Isaac Bell i vandornowiec podkupiony ostatnio z Hudson River Bell Telephone Company rozbili namiot w największym gąszczu ciemnozielonych drzew.

Bell przypasał raki do butów i wspiął się na słup telegraficzny. Zdrapał izolację z przewodów telefonicznych, przymocował do nich dwa druty i puścił je, żeby się rozwinęły do ziemi. Powtórzył to z przewodami telegraficznymi i zszedł na dół, gdzie jego towarzysz już podłączył druty do odbiornika telefonicznego i klucza telegraficznego.

\* \* \*

Osiem mułów dociągnęło ciężki wóz pod górę do bramy służbowej Kruczego Gniazda. Krzepki woźnica i jego pomocnik stoczyli po pochylni wielkie beczki i ustawili je z wysiłkiem przy podjeździe. Przerwał im stróż, który zapytał ostro, co oni wyprawiają.

– Wyładujemy wasze beczki.

– Nie zamawialiśmy żadnych beczek.

Woźnica pokazał fakturę.

– Tu jest napisane, że tak.

– Co w nich jest?

– W dużej mąka, w mniejszej cukier. Chyba będziecie piec ciasteczka.

Stróż wezwał kucharkę. Trzęsąc się z zimna w kardiganie na białym kitlu, kobieta obejrzała wysoką jak ona beczkę z mąką.

– To okseft. Wystarczy do nakarmienia całej armii.

– Zamawiałaś to?

– Po co bym zamawiała okseft mąki i pełną beczkę cukru na koniec sezonu?  
- zapytała retorycznie. - Może miały trafić na Pięćdziesiątą ulicę. To ich nowojorski pałac zimowy - dodała na użytek woźnicy i pobiegła z powrotem do kuchni.

– Słyszałeś ją pan - powiedział stróż. - Zabieraj pan je stąd.

Woźnica wdrapał się z powrotem na kozioł.

– Hej, dokąd to?

– Poszukać żurawia, żeby je załadować z powrotem na wóz.

Stróż wezwał zarządcę posiadłości. Zanim tamten się zjawił, wóz zniknął w dole drogi. Zarządca szarpnął na próbę okseft. Miał wrażenie, że waży ze trzysta kilo.

– Niech to tu zostanie, dopóki on nie wróci z żurawiem.

*BIAŁY DOM*

*Waszyngton*

*3 grudnia 1906*

*Joseph Van Dorn*

*Agencja Detektywistyczna Van Dorn*

*Waszyngton, Biuro*

*Hotel New Williard*

*Drogi Joe!*

*Abym dalej mógł propagować budowę wodociągu, pociąg specjalny będzie transportował samochód White Steamer, który zawiezie mnie na inspekcję w różne miejsca, a zwłaszcza do szybu hudsonskiego tunelu ciśnieniowego, żeby pracownicy z budynku nadszybowego mogli zobaczyć mój przyjazd.*

– Dobry Boże - powiedział Joseph Van Dorn.

*Serdeczne pozdrowienia Theodore*

*Roosevelt*

*PS Jestem z powrotem na moim pancerniku, ale dołynę tylko tak daleko, jak lodolamacz zdoła utorować nam drogę. Pociąg będzie tam na nas czekał.*

*AGENCJA DETEKTYWISTYCZNA VAN DORN*

*Hotel Knickerbocker*

*Nowy Jork*

*Szanowny Panie Prezydencie!*

*Mam nadzieję, że będę mógł towarzyszyć Panu w samochodzie. Czy mogę przyjąć, że będzie Pan w cylindrze?*

*Z poważaniem Joseph Van Dorn*

Bez względu na to, czy prezydent byłby w cylindrze, fedorze czy w kapeluszu kowbojskim, Van Dorn włożyłby to samo - i okulary w drucianej oprawce - dla zmylenia snajpera. Musiałby nawet zgolić imponujące bokobrody, które nosił od dwudziestu lat.

\* \* \*

Dziesięć kobiet i mężczyzn w nędznych ubraniach robotników wysiadło z pociągu osobowego z Jersey City, wyszło z przystani Cornwall Landing i poszło w górę stromą drogą do Kruczego Gniazda. Kiedy zostali zatrzymani przy frontowej bramie, rozwinęli transparenty i zaczęli chodzić w kółko, hałasując. Na transparentach były żądania:

„UCZCIWE PŁACE ZA UCZCIWĄ PRACĘ”

oraz oskarżenia Filadelfijskiej Spółki Tramwajowej, która należała do kolei United Railways Trust, o niesprawiedliwe traktowanie jej robotników torowych.

Robotnicy skandowali:

– Wall Street ucztuje, robotnik głoduje.

Wezwano szeryfa. Przyjechał z krzepkim zastępcą, który wysiadł z samochodu z trzonkiem od kilofa. Dwa inne auta przywiozły dziennikarzy z Poughkeepsie, Albany i Nowego Jorku.

– Skąd się tu wzięliście tak szybko, chłopcy? - zapytał szeryf.

Miał złe przeczucie, że zaraz znajdzie się w potrzasku między arystokracją z Hudson Valley a wyborcami.

– Dostaliśmy cynk od adwokatów robotników - wyjaśnił facet z „Poughkeepsie Journal”.

– Czy J.B. Culp kazał rozpędzić tę pikietę? - spytał inny z „Morning Timesa”.

Postępowy reporter z „Evening Sun” wychodził z siebie z podniecenia. Zwykle relacjonował co najwyżej lodowe żniwa zimą w Hudson Valley. Zadepeszował już, że z powodu dużego mrozu żniwa zaczną się tak wcześnie, że zachłanny Trust Lodowy nie będzie mógł windować cen w sierpniowe upały.

Teraz, przed bramą potentata z Wall Street, wykorzystał okazję.

– Szeryfie, czy J.B. Culp polecił panu pozwolić czy zabronić tym obywatelom amerykańskim skorzystać z ich konstytucyjnego prawa do wolności zgromadzeń?

\* \* \*

– Łódź na rzece ma dwa i pół centymetra, Isaac. W Kruczym Gnieździe wyciągnęli z wody wszystkie łodzie, a na pirsie pasażerskim właśnie widziałem tablicę, że parowce nie będą kursowały w zimie.

– Wysłałem Archiego do Poughkeepsie, żeby kupił bojer.

– Dziwię się, że Joe Van Dorn zaakceptował taki wydatek.

– To na mój koszt - wyjaśnił Bell. - Chcę mieć wyjątkowy model. Na szczęście mój poczciwy dziadek zostawił mi środki na to.

Isaac Bell znalazł włoską sekcję nowojorskiej policji sierżanta Petrosina w małym, słabo oświetlonym pokoju nad saloonem na Centre Street. Wykończeni tajniacy siedzieli rozwaleni na krzesłach i spali na stołach. Joe Petrosino, twardy gliniarz w średnim wieku, niski i szeroki jak pachol cumowniczy, pisał energicznie przy prowizorycznym biurku.

– Słyszałem o panu, Bell. Witam w wielkim świecie.

– Ma pan czas porozmawiać? - zapytał Bell i zerknął na detektywów, którzy nie spali i przyglądali mu się z zaciekawieniem.

– Moi ludzie i ja nie mamy przed sobą tajemnic.

– Ja i moi też nie - odparł Bell. - Ale siedzę na beczce prochu i jestem zobowiązany do dyskrecji.

– Kiedy prywatny śledczy wysokiej klasy proponuje mi beczkę prochu, muszę zapytać dlaczego?

– Bo Harry Warren bardzo pana ceni. Mike Coligney też.

– Mike'a i mnie łączy osoba komendanta Bingham. Pomógł nam obu.

– Myślę, że kapitan Coligney nie przypuszcza, że ta beczka prochu ma związek z komendantem.

Petrosino włożył melonik i poprowadził Bella schodami na dół.

Poszli spacerem starymi wąskimi uliczkami śródmieścia. Bell przedstawił zagrożenie.

– Poinformował pan prezydenta?

– Pan Van Dorn i ja pojechaliśmy do Waszyngtonu i powiedzieliśmy mu to osobiście.

– Jak zareagował?

– Nie uwierzył.

Petrosino pokręcił głową z cierpkim chichotem.

– Pamięta pan, kiedy Gaetano Bresci zastrzelił króla Humberta I?

– Latem 1900 roku - odrzekł Bell. - Bresci był anarchistą.

– Ponieważ mieszkał w New Jersey, Secret Service poprosiła mnie o infiltrację włoskich komórek anarchistycznych, żeby zbadać, czy spiskują przeciwko prezydentowi McKinleyowi. Szybko stało się dla mnie jasne, że tak. Ostrzegłem McKinleya, że zastrzelą go przy pierwszej nadarzającej się okazji. McKinley nie słuchał. Nie podjął żadnych środków ostrożności, zignorował radę Secret Service i dopuścił do siebie tłumy obcych tak blisko, żeby mogli uścisnąć mu dłoń. Potrafi mi pan wytłumaczyć taki nonsens?

– Uważają, że są kuloodporni.

– Po śmierci McKinleya powiedzieli do mnie: „Mylił się pan, poruczniku Petrosino. Ten anarchista nie był Włochem, tylko Polakiem”.

– Wiem, o co panu chodzi - odrzekł współczująco Bell. - Jestem w podobnej sytuacji, jak pan wtedy.

– Jakim cudem ci durnie wygrywają wybory?

– Ludzie na nich głosują.

Petrosino znów zachichotał ze znużeniem.

– Oto robota gliniarza w skrócie: chronić durniów wbrew im samym.

– Jak pan myśli - zapytał Bell - kogo Antonio Branco wynajmie do zabicia prezydenta?

– Jeśli nie zrobi tego sam?

– Może - przyznał Bell. - Ale tak na wszelki wypadek, kogo by wynajął?

– Ma do wyboru mięśniaków z Czarnej Ręki - odparł Petrosino - lub radykalnych włoskich anarchistów. Niech pan się modli o tych pierwszych.

– Dlaczego?

– Przestępcy popełniają błędy, bo martwią się, jak uciekną. Stukniętym anarchistom nie zależy na życiu. Nawet nie myślą o ucieczce i dlatego są tacy niebezpieczni.

– Ma pan zamiar na włoskich anarchistów? - spytał Bell.

– Na większość z nich.

– Mógłby pan ich uziemić, kiedy prezydent pojedzie do Storm King?

– Prawnicy, prasa i progresiści podniosą wrzask.

– Głośny?

Petrosino się uśmiechnął.

– Tak długo jestem gliniarzem, brałem udział w tylu strzelaninach, że już ogłuchłem.

– Dzięki - powiedział Bell. - Mam nadzieję, że kiedyś agencja Van Dorn będzie mogła się zrewanżować. A co z mięśniakami?

– Za dużo ich. Nie znajdę wszystkich. Ale jak wspomniałem, nie są tak niebezpieczni jak anarchiści.

\* \* \*

– Dobra robota z tymi anarchistami - pochwalił Joseph Van Dorn, kiedy Bell złożył mu meldunek. - Ale zapewnienie, że mięśniacy nie są tacy niebezpieczni jak radykałowie, nie uspokaja mnie. Zwłaszcza że prezydent postanowił wygłosić to twoje „jedyne przemówienie” do wszystkich. Zadepeszował do mnie dziś rano, że zamierza poprowadzić paradę robotników.

– Paradę - powtórzył Bell.



Upadł na duchu. A jeśli się myli, że Branco zabije z bliska? Parada to zachęta dla snajpera i taki luzacki przestępca jak Branco może zmienić taktykę w mgnieniu oka.

Van Dorn jakby czytał w jego myślach.

– Parada to szaleństwo. Zamierza poprowadzić ją w steamerze. Zapytałem, czy przynajmniej zamknie dach samochodu? Zobacz, co odtelegrafował.

Van Dorn pchnął depeszę przez biurko.

## ŚNIEG NA ROBOTNIKACH

## ŚNIEG NA PREZYDENCIE

– Kto pomaszeruje w paradzie? - zapytał Bell.

– Wszyscy.

– Nawet Włosi?

– Zwłaszcza Włosi. Kiedy ostatnio rozmawialiśmy w Waszyngtonie, miał bzik na punkcie imigrantów, którzy uczą się angielskiego, żeby ułatwić porozumienie między klasami obywateli. Był wniebowzięty, gdy mu powiedziałem, że włoskie stowarzyszenie Biała Ręka jest naszym klientem, i jak dobrze mówią po angielsku Vella i LaCava.

– Niech pan zaprosi Vellę i LaCavę na paradę.

– Świetny pomysł! Założę się, że TR uściśnie im dłonie.

– A przy okazji niech pan zaprosi Carusa i Tetrzzini.

– Żadne nie wymawia poprawnie angielskich słów.

– Będę zadowolony, jeśli prezydent nie uściśnie dłoni żadnemu obcemu - oznajmił Bell. - I jeśli zamieć śnieżna oślepi snajperów.

Van Dorn spoważniał.

– Ale na wypadek, gdyby nieszczęśliwym trafem zamieć nie oślepiła snajpera, jak weźmiesz Branca w imadło?

– Moi ludzie na okrągło obserwują bramy Culpa i jego przystań.

– Zdaje się, że powiedziałeś prezydentowi, że rzeka zamarzła?

– Wsadziłem człowieka na bojer.

– Skąd wziąłeś bojer?

- Kupiłem w Poughkeepsie.
- Kto poza tobą umie nim żeglować?
- Archie Abbott.
- Zastanawiałem się, gdzie ten dureń zniknął. Co jeszcze robisz?
- Mam na podsłuchu telefon Kruczego Gniazda.
- Na zewnątrz murów? - zapytał Van Dorn.
- Tak.
- A co z telegrafem?
- Wszystko jest zaszyfrowane.

– Linię telegraficzną zostawiłbym w spokoju. Culp prowadzi interesy z posiadłości. Podsłuch telefonu to jedno; prawo jest niejasne. Ale przecież nie chcemy być narażeni na zarzut, że podłączyliśmy się do telegrafu, żeby nielegalnie zdobywać wiedzę o jego transakcjach giełdowych. Co jeszcze?

– A co jeszcze zaleciłby główny śledczy? - spytał Bell swojego starego mentora.

Van Dorn siedział przez chwilę za biurkiem w milczeniu i patrzył w przestrzeń. Potem złączył czubki palców i spojrzał na nie.

- Wróć do tamtej kobiety - polecił w końcu.
- Do Franceski?
- Dowiedz się, czego ci nie powiedziała.

Bell miał wielką ochotę dołączyć z powrotem do swoich detektywów, którzy obserwowali Krucze Gniazdo i strzegli tunelu ciśnieniowego.

- Przyznała się już do wszystkich możliwych przestępstw.
- Wiedziała, że w najlepszym wypadku czeka ją więzienie, ale najprawdopodobniej stryczek. Mogła cię zamęczać gadaniem, ale ona tonie, Isaac. Musiała się czegoś chwycić.

\* \* \*

Archie Abbott obudził się przed świtem w zimnym łóżku w zimnym pokoju. Włożył ciepłą bieliznę, obcisłe lniane śpiochy, grube wełniane skarpety, spodnie i kamizelkę, a potem wysokie filcowe buty i krótkie futro, na które wciągnął dwurzędową kurtkę marynarską. W czapce z nausznikami i goglach wyszedł na dwór.

Przeciął tory kolei New York Central i zbiegł ku zamrożonej rzece. Jego bojer stał w hangarze łodziowym na brzegu zatoczki. Płozy przymarzły do lodu. Uwolnił je kopnięciami i wypchnął ślizg na zewnątrz.

Bryza w osłoniętej zatoczce ledwo poruszała wimplem na topie masztu. Ale Isaac Bell zamówił wyjątkową konstrukcję u osobistego szkutnika J.B. Culpa. Miała dodatkowe piętnaście metrów żagla i ołowiany balast, żeby nie przewrócił jej szkwał, i lekki wiatr wystarczył, by wystartowała jak niespokojny koń. Abbott szybko wskoczył do kokpitu na rufie i chwycił rumpel w momencie, gdy bojer wystrzelił na rzekę.

Silny wiatr uderzył w sztywny żagiel. Abbott napiął go szotem i skoncentrował się na sterowaniu, żeby ominąć spiętrzenia lodu, skały wzdłuż brzegu i łyżwiarzy wiatrowych, którzy śmigali z żaglami na plecach. Bojer mknął jak gazela. Abbott miał wrażenie, że pędzi jakieś pięćdziesiąt kilometrów na godzinę, dopóki nie wyprzedził ekspresu New York Central. Sądząc po spłaszczonym dymie lokomotywy, ślizg Bella rozwijał teraz ponad siedemdziesiąt.

Kiedy słońce wyłoniło się zza góry Breakneck i jego wąskie, zimne promienie padły na Storm King po drugiej stronie rzeki, Archie skierował bojer w stronę Kruczego Gniazda. W przeciwieństwie do innych posiadłości nad rzeką Hudson, gdzie trawniki ciągnęły się od skraju wody, posesję Culpa łatwo było rozpoznać po jodłach, które zasłaniały jej mury.

Archie w mgnieniu oka przeciął zamrożoną wodę i wykonał pierwszy z wielu kursów obok nabrzeża Culpa. Ktoś z vandornowców musiał przemarznąć do szpiku kości na czatach i był nim Abbott. Pokutował za swoją głupotę poza zasięgiem wzroku szefa w nadziei, że Antonio Branco wsiądzie nagle na bojer. Isaac przynajmniej nie skazał go na obserwację z wnętrza wielkiej beczki pozostawionej przy wejściu służbowym, gdzie mogliby się zmieniać z drugim detektywem tylko w ciemności, choć pewnie by to zrobił, gdyby Archie nie był za wysoki.

Inne ślizgi zaczęły sunąć po rzece. Miały proporczyki Poughkeepsie i Hudsonskiego Klubu Bojerowego i jak on pędziły na granicy kraksy. Archie włączył się do zaimprovizowanych wyścigów z nimi i łyżwiarzami wiatrowymi. Bell zabronił mu wygrywania zawodów, żeby nie zwracał na siebie uwagi, bo wiadomość o nowym szybkim bojerze natychmiast dotarłaby do J.B.

Culpa. Ale rywalizacja była pożądaną zmianą tempa i naturalną przykrywką dla obserwatora posiadłości.

\* \* \*

Salę widzeń w kobiecej części więzienia Tombs przedzielała ściana z siatkowym okienkiem. Francesca Kennedy wyglądała tak mizernie, jakby nie jadła od tamtego steku na kolację. Była blada i miała ponurą minę.

– Co tu robisz? - zapytała Bella.

– Przyszedłem się dowiedzieć, czego mi nie powiedziałaś - odparł bez ogródek.

– Nie wyjawiałam ci dość, żeby skończyć na szubienicy? Ale o czym ja mówię? Ciągle zapominam.

– O czym?

– Już nie wieszają ludzi. Teraz jest krzesło elektryczne.

– Przyszedłem...

– Odejdź, Isaac. Nie powiedziałam ci tego, czego nie chciałam ci powiedzieć.

Siedziała na stołku. Bell wskazał swój.

– Mogę usiąść? - spytał.

Zignorowała go.

Bell przysunął sobie stołek i usiadł naprzeciwko niej, centymetry od siatki.

– Przyszedłem cię namówić, żebyś zmieniła zdanie.

– Zapomnij o tym.

– Rozmawiałem z pewnymi ludźmi z biura prokuratora okręgowego. Możliwe, że uda mi się go przekonać, żeby dał ci szansę.

– Chcesz dać mi szansę? To wyciągnij mnie stąd.

– Nie mogę.

– Daj mi wrócić do domu.

– Nie mogę.

– W takim razie ja nie mogę sobie przypomnieć, czego ci nie powiedziałam.

– Nie mogę cię wyciągnąć z więzienia, Francesco. Nikt nie może. Ale może mogłoby być lepiej, niż jest.

Zerknęła wokół siebie.

– To nie byłoby trudne.

– Chodzi mi o to, że mogłoby być dużo lepiej. Gdyby udało nam się przekonać sędziego, że powinnaś być w szpitalu psychiatrycznym.

– Nie sądzę, żeby w domu wariatów było lepiej.

– Są jeszcze doskonale prywatne sanatoria.

– Naprawdę? To znaczy?

– Dla bogatych pacjentów. Bardzo bogatych.

– Nie jestem bogata, Isaac. A na pewno nie bardzo bogata.

– Mogę to załatwić - odrzekł Bell.

– Zapłacić z własnej kieszeni?

– Najpierw będzie płaciła agencja. A potem, jak skonfiskujemy majątek Branca, wykorzystamy tamto.

– Rząd tego nie zatrzyma?

– Nie, jeśli agencja Van Dorn zasłuży na nagrodę. A na pewno nie, jeśli zapłacimy ci za zeznania przeciwko Brancowi jego pieniędzmi.

– To byłaby ironia losu.

– Jak to?

– Mówisz poważnie? - zapytała i Bell po raz pierwszy zobaczył w jej oczach strach.

– Tak.

– Naprawdę to zrobisz?

– Umowa będzie uczciwa, masz na to moje słowo.

Francesca Kennedy skinęła głową.

– Wierzę ci. Przypieczętujmy to.

Wysunęła palce przez siatkę i Bell je uścisnął.

– Nie dotykać się! - krzyknęła strażniczka.

Francesca posłała jej miły uśmiech.

– Przepraszam - powiedziała, a potem szepnęła do Bella: - To ironia losu, bo Branco był stałym klientem.

– Znałaś Branca? Mówiłaś, że nie.

– Nie jako szefa... Nie okłamałam cię, Isaac. Po prostu nie powiedziałam ci wszystkiego.

– Kiedy to było? - zapytał Bell i podziękował w duchu Van Dornowi, że wysłał go z powrotem do niej. Stary wymyślił najlepsze detektywistyczne sztuczki.

Francesca wzięła głęboki oddech.

– Kiedy jeszcze pracowałam na ulicy. Dostałam od niego mieszkanie. Wiedziałam tyle, że jest bogatym sklepikarzem. Dał mi to mieszkanie i obiecał parę dolców tygodniowo, jeśli zejdę z ulicy. Zapytałam go, czy jest zazdrosny o moich innych klientów, a on na to, że zostanę zabita na ulicy, a jestem na to zbyt cenna. Dla mnie Okej. Najprzyjemniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek od kogoś usłyszałam. Poza tym miał rację. Na ulicy się umiera, to tylko kwestia czasu. Tak czy owak, zanim zjawił się w Waldorfie, wieki go nie widziałam - odkąd zaczęłam się „spowiadać” szefowi. Ale wciąż przysyłał forszę i płacił czynsz.

– Nie poznałaś jego głosu?

– Przez kratkę nie. I mówił inaczej. Używał innych słów. Głupio się czułam, ale ani przez moment nie pomyślałam, że to ten sam człowiek.

– Gdzie było tamto mieszkanie? - spytał Bell.

– Nadal je mam. A przynajmniej miałam do teraz.

– Ukryłby się tam?

Francesca wzruszyła ramionami.

– Nigdy do mnie nie przychodził. Kiedy mnie chciał, spotykaliśmy się w mieszkaniu, które trzymał na Prince Street.

– W jego domu, który wyleciał w powietrze?

– Nie, on tam nie mieszkał. Nigdy nie widziałam jego domu. Nasze mieszkanie było blisko Broadwayu. Po prostu trzymał je dla mnie. I dla kogoś jeszcze, jak się domyślam.

– Jaki to był adres?

\* \* \*

Antonio Branco wrócił do Kruczego Gniazda tak samo jak opuścił posiadłość - przez grotę. Przystojną twarz miał posiniaczoną po walce z Bellem i Abbottem, oczy podbite, nos spuchnięty.

- Detektywi obserwują moją kryjówkę.
- Stałeś się mniej cennym nabytkiem - odparował J.B. Culp.
- To nic nie znaczy.
- Stanowisz problem.

Culp był gotów wziąć rewolwer i zastrzelić go. Zakończyć tę całą sprawę, zanim sytuacja się pogorszy. Miał już gotową historyjkę: włoski zbieg wkradł się tutaj. Przyłapałem go na próbie kradzieży mojej broni. Dzięki Bogu, wziąłem go na muszkę. Nagroda? Nie, dziękuję, przekażcie te pieniądze na cele charytatywne.

Już miał się odwrócić i zdjąć bisleya ze ściany, gdy ku jego zaskoczeniu Branco odrzekł spokojnie:

– Przenoszę interes do Kanady.

– Do Kanady?

– Rozkręciłem w Montrealu wykorzystywanie moich rodaków. Koleje potrzebują robotników. Włoska kolonia powiększa się z każdym dniem i wielu jest w niej dzięki mnie. Dobre miejsce, żeby się przyczaić.

– A co z naszą umową?

– Zostanę tu, dopóki nie skończymy z Rooseveltem. Potem będę realizował swoją część z Kanady. Podróże tutaj i z powrotem są łatwe. Granica jest otwarta.

– A co z twoim świetnym pomysłem, żeby zaszkodzić budowie wodociągu miejskiego? Jak to zrobisz z Kanady?

– Spojrzałbyś na zegarek? - odrzekł nadal spokojnie, ale bez sensu Branco.

– Co?

– Jaki mamy czas?

– Czas na nowe ustalenia, mówię ci to od rana.

– Która jest godzina? - zapytał lodowato Branco.

Culp pociągnął złotą dewizkę.

– Za dwie jedenasta.

Branco uniósł dwa palce.

– Poczekaj.

– Co? Słuchaj no, Branco...

– Przynieś swoją lornetkę połową.

Branco wszedł do obramowanej kłami wnęki i wyszedł stamtąd na balkon. Dzień był zimny i pochmurny. Śnieg przyprószył wzgórze. Po szklistej powierzchni zamrożonej rzeki śmigali bojerowcy i łyżwiarze z żaglami. Branco popatrzył wyczekująco na górę Breakneck tysiąc dwieście metrów od jego punktu obserwacyjnego na Storm King.

Culp dołączył do niego z lornetką.

– Co to, do...

Włoch uciszył go rozkazującym gestem.

– Obserwuj szczyb wyciągowy.

Gęsta mgła z pary i dymu węglowego pojawiła się nad urządzeniami dźwigowymi na szczycie szczybu, maszynownią i wąskotorową kolejką górniczą. Culp uniósł lornetkę i skoncentrował się na wylocie wyciągu z tunelu ciśnieniowego, gdy nagle robotnicy się rozpięchli, a operatorzy zeskoczyli ze swoich maszyn roboczych.

– Co się dzieje?

– Nie zapominaj, kim jestem - odrzekł Branco.

Słup ognia przebił dym i parę i wystrzelił pod niebo. Odgłos eksplozji dotarł przez rzekę sekundy później i rozszedł się między górą Breakneck a Storm King.

Culp poprzyglądał się, jak ludzie biegają niczym mrówki, a potem skupił się na zniszczonym budynku dźwigowni. Wyglądało na to, że sama winda spadła na dno trzystumetrowego szczybu, skąd buchał czarny dym.

– Co to było, do diabła?

– Sto osiemdziesiąt kilogramów dynamitu, żeby skompromitować miasto.

## 39.

Poranny pociąg przywiózł nowojorskie gazety.

„PRZEWRÓCONA LATARNIA ZAPALIŁA LONT  
NITROGLICERYNOWY W WODOCIĄGU



W hudsonskim tunelu ciśnieniowym wodociągu Catskill pod Storm King od przewróconej latarni zajął się lont, który zdetonował 180 kilogramów dynamitu. Wybuch zniszczył maszynownię wschodniego szybu wyciągowego Syfonu i windę”.

\* \* \*

– Gazety się mylą. Jak zwykle - powiedział do Isaaca Bella Wally Kisley. - Wykonawca prowadzi nowoczesne przedsiębiorstwo. Tam nie było żadnych lontów do zapalenia. Detonują ładunki wybuchowe elektrycznie.

– Jesteś pewien, że to był sabotaż? - zapytał Bell.

– Sabotaż przez duże S. Bardzo dobry zapalnik czasowy. Trzeba to oddać makaroniarzom, Isaac. Są mistrzami w używaniu dynamitu.

Kisley nagle usiadł. Bell myślał, że wykończyła go długa wędrówka w dół do tunelu i powrót na górę na prowizorycznych krzeselkach bosmańskich i po chybottliwych drabinach. Ale ku jego zdumieniu stary twardziel zasłonił twarz dłońmi.

– Co ci jest, Wally?

Kisley wziął głęboki oddech.

– Znowu jatka.

Bell przytaknął. Kisley, Mack Fulton i Joe Van Dorn pracowali nad ustaleniem, kto rzucił bombę, która spowodowała masakrę na Haymarket, i przez następne dwadzieścia lat zajmowali się mnóstwem takich zamachów.

– Taka praca - odrzekł cicho.

\* \* \*

– Ludzie zostali zmiażdżeni. Tunel wyglądał jak rzeźnia.

„Drewniana konstrukcja maszynowni zawaliła się i belki runęły na zespół napędowy windy. Jedna uderzyła w dźwignię hamulca, zwolniła go i ciężka drewniana klatka opadła z pełną szybkością na dno szybu. Roztrzaskała się i zablokowała dopływ powietrza i światła.

Wykonawca zapewnia, że sam szyb nie uległ zniszczeniu”.

J.B. Culp się roześmiał.

– Nikt w to nie uwierzy.

Branco przytaknął.

– Skoro wydrukowali kłamstwo, to znaczy, że są przerażeni.

„Na pytanie, czy eksplozja potwierdza spekulacje, że Czarna Ręka groziła w listach zamachem na wodociąg, wykonawca odparł ostro: »Nie. To jest sieć wodociągowa Catskill, a nie jakiś nędzny wózek towarowy«.

Burmistrz zgodził się z tym: »Policja przeprowadziła dokładne śledztwo i nie znalazła absolutnie żadnego dowodu na poparcie takich spekulacji. To był po prostu tragiczny wypadek i im prędzej zostanie przywrócony porządek, tym prędzej miasto będzie zaopatrywane w słodką wodę z gór Catskill«.

Poproszony o skomentowanie pogłosek o strajku przerażonych włoskich robotników, którzy obawiają się następnego zamachu Czarnej Ręki, wykonawca odrzekł: »Są dobrze traktowani i opłacani i nie zamierzają strajkować«.

Praca w tunelu będzie kontynuowana, gdy tylko ruiny zostaną usunięte koźmi i wyciągarkami. Oprócz trzech Amerykanów zginęli liczni Włosi i Murzyni”.

– Co ci czarnoskórzy robili w tunelu? - zapytał Culp.

– Są najlepszymi wiertaczami skalnymi w branży. Wykonawca trzyma ich tam w rezerwie, na wypadek gdyby Włosi wpadli na pomysł, żeby zastrajkować o wyższe płace.

– A co z tym strajkiem, o którym mówią? Gdyby wybuchł, wyszłoby na to, że miasto straciło kontrolę nad sytuacją. Zastrajkują?

– Kiedy im każę - odrzekł Antonio Branco.

– To na co czekasz?

– Czy prezydent Roosevelt przyjechałby tutaj wygłosić przemówienie, gdyby prowadzili strajk?

– Dobre pytanie - przyznał Culp. - Mógłby potraktować strajk jako wyzwanie... Nie, on jest kompletnie nieprzewidywalny.

– To mi o czymś przypomniało - powiedział Branco. - Mógłbyś pociągnąć za sznurki, żeby włoski konsul generalny został zaproszony na uroczystość?

– Oczywiście. Ale nie mogę ci obiecać, że nie odmówi.

– Nie odmówi. Dostaje mnóstwo skarg od imigrantów. Zaprzyjaźnia się z kim może. A zaproszenie do wysłuchania przemówienia prezydenta będzie zaszczytem dla wszystkich Włochów.

*Signora Marion Morgan*

*Narzeczonego Isaaca Bella*

*Hotel Knickerbocker*

*Dlaczego nam nie wierzycie? Zamachowi bombowemu na wodociąg Catskill można było zapobiec.*

*Miasto go nie strzeże. Zarząd Sieci Wodociągowej jest bezradny. Czarna Ręka jest z wami. Razem zapobiegniemy tragedii. Płaćcie, bo inaczej będzie następny atak.*

– To mnie zaczyna irytować - oznajmiła Marion Morgan.

Zamknięta w Knickerbockerze, czuła się jak w więzieniu. Helen Mills była dobrą towarzyszką, ale Marion tęskniła za swoją pracą, światem zewnętrznym, ulicami miasta, a najbardziej za Isaakiem, który pracował na okrągło na Storm King. Jego detektywi dwoili się i troili, ale nie mogli znaleźć Antonia Branca.

– Co chcesz z tym zrobić? - zapytała Helen.

– Zastanawiam się, czy Grady Forrer nie mógłby pomóc Isaacowi ustalić, jak Branco dostaje się do Kruczego Gniazda i opuszcza posiadłość.

Kobiety poszły do obskurnych pokoi na końcu biur Van Dorna, gdzie mieściła się sekcja badań Grady'ego Forrera. Naukowcy podnieśli wzrok nad zawałonymi materiałami biurka. Badacze wystawili głowy zza stosów zbiorów bibliotecznych.

– Oddzwonię - szepnęli wywiadowcy i szybko odłożyli słuchawki telefonów na widełki.

– Witam panie - zagrzmiął Forrer i dodał półgłosem przez ramię: - Wracajcie do pracy, panowie. Ja się tym zajmę.

– Dzięki, Grady - powiedziała Marion Morgan. - Ale właściwie potrzebujemy każdego, kto ma wolną chwilę, żeby nam pomóc.

– W czym?

– Chodzi nam o plany architektoniczne Kruczego Gniazda.

\* \* \*

Dwanaście godzin później wypompowany Grady Forrer przeprosił.

– Problem w tym, że posiadłość jest prawie bez przerwy przebudowywana od blisko stu lat. Zaczęło się krótko po tym, jak Robert Fulton wynalazł parowiec i pierwszy Culp pokonał swoich konkurentów w handlu rzeczonym. Budowniczości nowojorskiej rezydencji J.B. składaliby plany w różnych urzędach miejskich, ale najwyraźniej nie praktykowano tego w dzicy Hudson Valley, a przynajmniej nie w przypadku Culpa, który nie cierpi, kiedy władze się wtrącają.

Sześć godzin później, kiedy Grady padł na twarz na łóżko polowe i większość jego młodych asystentów powlokła się do domu, Marion nagle szepnęła:

– A niech mnie.

– Co? - spytała Helen.

Marion podniosła wzrok znad teczek ze starymi pożółkłymi gazetami.

– Dziadek Culpa miał romans z kwakierką z Poughkeepsie.

– Wydrukowali to w gazecie?

– No, niezupełnie, ale to dość oczywiste, kiedy się czyta między wierszami...

- Sprawdziła datę u góry strony. - To wyszło na jaw dopiero po wojnie secesyjnej. Krucze Gniazdo było „stacją” Kolei Podziemnej.

– Culpowie byli abolicjonistami? To niepodobne do Culpa, którego znamy i kochamy.

– Nazywała się Julia Reidhead. Należała do Amerykańskiego Stowarzyszenia Antyniewolniczego. Ale według tej gazety Hudson Valley nie była abolicjonistyczna. Mieli tam niewolników jeszcze na początku dziewiętnastego wieku. Tylko nieliczne forty kwaków były przeciwko niewolnictwu.

– Dziadzius Culp musiał być odważny, żeby zostać zawiadowcą.

– To nie jest dokładnie napisane. Według tego Julia Reidhead namówiła go do zbudowania tajnego wejścia przez mur, żeby mogli pomagać zbiegłym niewolnikom w drodze do Kanady. Wygląda mi na to, że zrobił to z miłości.

– To ona była babką J.B. Culpa? - zapytała Helen.

– Nie. Wyszła za jakiegoś misjonarza. Pracowali w Indiach.

Helen przeczytała artykuł ponad ramieniem Marion.

– Nie miałam pojęcia, że mur jest taki stary.

– Pierwsza rzecz, jaką zbudowali. Wydaje się, że Culpowie nigdy nie lubili innych ludzi.

\* \* \*

Antonio Branco wszedł do pokoju z trofeami J.B. Culpa i spokojnie oznajmił:

– Sekcja włoska właśnie aresztowała mojego zamachowca.

– Co?! Możesz go wyciągnąć za kaucją?

– Karabinierzy potwierdzili, że jest anarchistą. Zostanie pod kluczem, dopóki wasz rząd go nie deportuje.

– Jak mogli to potwierdzić tak szybko?

– Włoski konsul generalny ma w swoim sztabie oficera karabinierów na takie okazje - odparł oschle Branco.

– A to problem! Ale zaraz, skąd policja wiedziała, że to twój człowiek?

– Nie wiedziała. Był jednym z wielu złapanych w sidła Petrosina.

– Ten cholerny Isaac Bell nakłonił Petrosina do tego.

– To jasne - odrzekł Branco. - Byłbym zaskoczony, gdyby tak nie zrobił. Przez Bella dziś rano wszyscy włoscy radykałowie trafili za kratki albo się ukryli.

– Czas ucieka. Roosevelt będzie tu za dwa dni.

Branco wyciągnął zegarek na dewizce.

– I sześć godzin.

– Niech to szlag. Będziesz musiał po prostu dać tę robotę swoim mięśniakom.

– Nie.

– Dlaczego? To zabójcy, prawda? Obiecałeś uwolnić mnie od wszelkiej zarazy. Strajkowiczów, reformatorów, wrogów.

– Mięśniaki nie nadają się do tej roboty.

– Czemu?

– Sknociliby ją.

– Więc będziesz musiał zabić go sam.

Branco wzruszył niedbale szerokimi ramionami.

– Przypuszczałem, że do tego dojdzie.

Culp z niesmakiem pokręcił głową.

– Wydajesz się nie mieć nic przeciwko temu. Jak to zrobisz?

– Mam plan.

– Będziesz miał tylko jedną okazję. Jeśli to spartolisz, Roosevelt się ukryje i nigdy nie będziemy mieli następnej szansy.

– Mam plan.

– Chcesz powiedzieć, że cały czas zamierzałeś pociągnąć za spust?

– Tego nigdy nie zamierzałem zrobić - zaprzeczył enigmatycznie Branco, a Culp znał go już wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że niczego więcej się nie dowie. - Zaprosiłeś włoskiego konsula generalnego na przemówienie prezydenta?

Culp przytaknął.

– Dlaczego chcesz, żeby on tam był?

– Odwróci uwagę.

– Jeszcze nie wiesz, jak wykonasz tę robotę.

– Mam pomysł - odrzekł Branco.

\* \* \*

Meldunek Marion Morgan i Helen Mills o wejściu Kolei Podziemnej do Kruczego Gniazda uwydatniał silne sentymenty w Hudson Valley skierowane przeciwko niewolnictwu przed wojną secesyjną. Toteż kiedy oddział do walki z Czarną Ręką obserwował bramy i przystanie, a tajniacy mieli na oku tunel Syfon, Isaac Bell i Archie Abbott zeszli ze szczytu góry Storm King. Teoretycznie przejście abolicjonistów dla zbiegłych niewolników byłoby

bezpieczniejsze, gdyby ukryto je w murze po górnej stronie posiadłości, a nie na widoku z ruchliwej rzeki.

Ślizgając się na cienkiej warstwie zlodowaciałego śniegu, vandornowcy dotarli na dół kilka metrów od muru, a potem ruszyli wzdłuż i tuż powyżej niego, łapiąc się drzew na stromym zalesionym zboczu. Robotnicy z posiadłości Culpa skosili zarośla na ścieżce, ale na kamieniach pozostała splątana wiekowa winorośl i psianka, które w lecie uniemożliwiłyby zauważenie przerwy w osiemdziesięcioletniej kamieniarce. Teraz, gdy liście opadły, mieli nikłą szansę dostrzec dawno nieużywany otwór, z którego obecnie korzystał Antonio Branco.

– Sprytnie ukryte - stwierdził Archie. - Zważywszy, jak chętnie sąsiedzi wydaliby dziadziusia i jego kwakierkę. Nie wspominając o zgarnięciu nagrody za biednych niewolników.

Isaac Bell był optymistą.

– W murze dobre jest to, że skoro my nie możemy zajrzeć do środka, to oni nie widzą, jak wężymy na zewnątrz.

Miał rację. Na ponadtrzykilometrowym murze brakowało regularnie rozmieszczonych wieżyczek fortecznych. Z głównej wartowni widać było kawałek części frontowej, wieżę wejścia służbowego i fragment strony południowej, ale nie tył.

– Zapomniałeś, że pan Van Dorn zabronił nam wchodzić do posiadłości Culpa?

– O ile sobie przypominam - odparł Bell, bardziej przejęty bezpieczeństwem prezydenta niż ewentualnością utraty pracy - pan Van Dorn powiedział, że żadnemu z detektywów nie wolno ponownie wdrapać się na mur Kruczego Gniazda bez jego pozwolenia. Nie mówił, że nie mogę wejść przez dziurę w murze lub pod nim, albo zastawić pułapki na Branca w środku.

– Najpierw musimy znaleźć wejście.

– Mamy dwa dni - odrzekł Bell.

Ale jego optymizm okazał się przedwczesny. Zanim zapadła ciemność, zbadali prawie kilometr górnego muru i nic.

– Culpowie mogli zacementować wejście po wojnie secesyjnej - zauważył Archie. - Albo panie natrafiły na kolejną dziwną legendę Hudson Valley.

## 40.

W zatoce Wallabout na wprost Manhattanu za East River pancernik USS „Connecticut” szykował się do dziewiczego rejsu, wyjątkowego w historii Brooklyńskiej Stoczni Marynarki Wojennej.

Stoczniovcy i marynarze uwijali się przy działach i szperaczach, wokół nadbudowy i na pokładach, nękani przez rozgorączkowanych oficerów, którzy popędzali ich do szybszego piaskowania, malowania i polerowania.

Oddany do użytku zaledwie dwa miesiące temu „Connecticut” miał popłynąć na próbę na południe, gdy nagle dostał nowy rozkaz: dostarczyć naczelnego dowódcę sił zbrojnych siedemdziesiąt kilometrów w górę rzeki Hudson.

Ku wielkiej uldze oficerów lodołamacze udrażniały farwater tylko do West Point. Na nowym okręcie mogło pójść nie tak tyle rzeczy, że im prędzej prezydent Roosevelt zszedłby na nabrzeże Akademii Wojskowej, tym mniejsza byłaby ewentualność kompromitacji. Przy odrobinie szczęścia pancernik wróciłby do Brooklynu uznany za lepszy niż jego największy konkurent USS „Louisiana” i zostałby okrętem flagowym w rejsie amerykańskiej floty wojennej dookoła świata, kiedy TR odwiedzałby wodociąg Catskill pociągiem i samochodem i ścisnął tysiące dłoni.

\* \* \*

Południowy mur Kruczego Gniazda, najbliższy głównej rezydencji, dzieliła w połowie wieża bramy służbowej z widokiem na długie odcinki w obu kierunkach. Vandornowcy, którzy wyglądali przez otwór obserwacyjny w beczce, zameldowali, że w nocy nie ma stróża. Ale Bell wolał nie ryzykować. On i Archie Abbott zbadali dokładnie przed świtem widoczne z wieży odcinki muru. Szukali dalej w dzień, ale nie znaleźli żadnego ukrytego przejścia ani śladu, że kiedykolwiek istniało.

Północny mur Kruczego Gniazda był prawie tak oddalony, jak tamten od strony zbocza wzgórza, który obejrzeliby najpierw, choć tu i tam mogli dostrzec szczyty dachów i kominy sąsiedniego domu. Ktoś z silną lornetką połową



mógłby wypatrzeć między drzewami dwóch skradających się wzdłuż muru Culpa mężczyzn. Ale wydawało się nieprawdopodobne, żeby zawiadomił telefonicznie Culpa, bo Bell i Archie mogli łatwo uchodzić za dokonujących napraw kamieniarzy lub leśników z rezydencji, którzy wycinają zarośla. Zbadali prawie kilometr muru i nadal nie natrafili na żadną pozostałość Kolei Podziemnej. Mieli do sprawdzenia już tylko długi nieobserwowany odcinek od strony rzeki, ale zapadł zmrok.

– Obawiam się, że on użyje snajpera - powiedział do Abbotta Bell. - Jako jedyny w oddziale działasz w plenerze. Reszta to miejskie chłopaki. Poszukaj w półkilometrowym pasie obok drogi do szybu Syfonu możliwych kryjówek Strzelca. Jutro ja wezmę bojer.

\* \* \*

– Zaplanujemy moją ucieczkę - powiedział Antonio Branco.

– Jestem daleko przed tobą - odrzekł Culp. - Mój pociąg będzie pod parą i zostanie oznaczony jako specjalny na głównej linii kolei Delaware & Hudson do Albany. Na północ od Albany będę miał wolny tor prosto do granicy z Kanadą i przez Lacolle.

– Jesteś pewien, że tor będzie wolny?

Culp zrobił zdumioną minę. A kto mógłby utrudnić przejazd jego prywatnemu pociągowi?

– Kolej Delaware & Hudson do Kanady jest właścicielem kolei Napier Junction w Kanadzie - wytłumaczył jak dziecku.

– Dobrze, ale jak możesz być pewien Delaware & Hudson?

– Bo jestem jej właścicielem.

– Czy na granicy do twojego pociągu wejdą celnicy?

– Mój człowiek w Lacolle zajmie się nimi.

Branco skinął głową.

– A jaką mam inną możliwość?

– Mojego franklina. To doskonały samochód na zimę, bo chłodzony powietrzem, bez zamarzającej chłodnicy. Szofer go naprawił. Kazałem dodać kufry na narzędzia i jedzenie. I dodatkowe zbiorniki paliwa i oleju. Jest gotowy do drogi.

– A trzecia możliwość?

Culp miał dosyć maglowania go przez Branca.

– Pociąg lub samochód nie wystarczy?

– Nie mogę liczyć ani na twój pociąg, ani na twój samochód. Vandornowcy mogą je obserwować. Jeśli jedno i drugie ma zmylić detektywów, to jaką mam trzecią możliwość?

Culp się zastanowił, jaką opcję wymyśliłby Brewster Claypool. Uświadomił sobie, że gdyby Claypool nadal tu był, wszystko to by go przerosło. Na twarzy Culpa pojawił się lodowaty uśmiech, który wyrażał chłodną kalkulację, wielką satysfakcję i jeszcze większą dumę.

– Trzecia możliwość to cud.

\* \* \*

Isaac Bell od rana miał nadzieję, że znajdzie tajne wejście Branca do Kruczego Gniazda od strony rzeki, skoro nie natrafił na nie ani z tyłu posiadłości, ani na żadnym z obu krańców. Zostało mu tylko zbadanie muru, który biegł w górę od przystani, ale pogoda nie ułatwiała tego.

Porywiste wiatry wiały od cieśnin West Point i od gór, co powodowało zamiecie. Temperatura gwałtownie się obniżała przy silnych podmuchach, widoczność spadała z kilometrów do metrów i Bell musiał się mocno trzymać. Niesiony wiatrem śnieg uderzał w jego żagiel, co groziło postawieniem bojera na jednej płozie i wyrzuceniem Bella z kokpitu.

Ostatnia zadymka minęła tak szybko, jak się zaczęła, i mocny blask porannego słońca załśnił na ośnieżonych wzgórzach.

Bell żonglował rumplem i lornetką połową i obserwował jednym okiem ogromny jacht lodowy z ożaglowaniem łaćńskim z klubu w Poughkeepsie, który przedzierał się za nim, a drugim jodły za murem, ciągnące się w górę zbocza ku gigantycznemu, podobnemu do stodoły budynkowi, gdzie mieściła się hala sportowa Culpa. Mniejsze skupisko jodeł i nagich drzew liściastych porastało zbocze na zewnątrz muru.

Wysterował od jachtu z Poughkeepsie pod wiatr, prowokując go do wyścigu, żeby mieć przykrywkę do bliższej obserwacji. W lesie zauważył spiętrzenie skał i omiół je lornetką. Zaintrygowany, przestawił rumpel i przesadził. Żagle załopotały, bojer zwolnił i jacht go wyprzedził.

Trudno było się zorientować przez drzewa, ale skały wydawały się być tak blisko muru, jakby wręcz zbudowano go na nich. Bell się rozejrzył. Traf chciał, że znów zaczęła się zadymka. Kiedy zasłoniła rezydencję i budynki gospodarcze Culpa, Bell wysterował do brzegu.

\* \* \*

Isaac Bell doprowadził bojer do lądu, uderzył bukszprytem w zmarzniętą ziemię, zarzucił cumę na leżącą kłodę i wyskoczył z kokpitu. Mur był sto metrów od rzeki. Kiedy Bell pobiegł w jego kierunku, zobaczył, że drzewa zasłaniają wyboistą drogę do miasta Cornwall Landing. Niedawno ktoś nią jechał. Na zmrożonym śniegu były ślady kopyt, końskie łajno i koleiny.

Bell zauważył odciski butów. Prowadziły od skalnej formacji, którą widział z bojera, łączyły się ze śladami wozu i znikwały. Dwóch ludzi, może trzech. Przyklęknął i przyjrzał się dokładniej. Jeden człowiek. Wszystkie odciski pozostawiły te same podeszwy. Jeden człowiek chodził od muru tam i z powrotem. Tu i tam ślady były głębsze, jakby raz niósł od muru coś ciężkiego.

Wiatr nagle zawył.

Zamieć się nie skończyła. Deszcz ze śniegiem zacinał przez drzewa, oślepiająca biel pokrywała ślady stóp i koleiny. Bell ruszył szybko szlakiem znikających odcisków butów i doszedł między drzewami do muru. Wzniesiono go, jak dostrzegł wcześniej, na wypiętrzeniu skalnym.

Gałąź odłamała się od drzewa z głośnym trzaskiem. Ciężki konar walnął w ziemię obok Bella. Następne trzaski sprawiły, że dał nura pod osłonę nawisu skalnego. Gałęzie spadły tam, skąd uciekł. Chwilę później wiatr osłabł, zadymka ustała i słońce przeniknęło na dół między wierzchołkami drzew.

Bell przyjrzał się ciemnym kamieniom, gdzie się schronił. Zapalił zapalniczkę. Pomarańczowy płomień rozproszył mrok i Bell zobaczył, że nawis to wejście do jaskini. Rozpiął kurtkę, wyjął pistolet i wpełzł do środka.

## 41.

Jego druga zapalniczka oświetliła kamienny łukowy sufit nad wąskim przejściem. Bell zapuścił się głębiej i po chwili już nie musiał zapalać trzeciej,

bo zobaczył światło dzienne w otworze przed sobą. Wyłonił się wśród choin po wewnętrznej stronie muru Culpa. Śnieg ledwo przyprószył osłonięte drzewami ślady stóp, które prowadziły w górę zbocza.

Las zaczął się przerzedzać. Na wprost i na lewo lekko ośnieżony trawnik ciągnął się przez dwieście metrów do głównej rezydencji z kolumnami. Z prawej strony, w kierunku hali sportowej, drzew wciąż ubywało. Bell zobaczył, że ślady skręcają do przypominającego ogromną stodołę budynku. Pod osłoną niewielu pozostałych drzew Bell wspinał się na wzgórze, aż dotarł do bocznego wejścia na poziomie gruntu. Prowadziło do kwater służby, gdzie mieszkali bokserzy Lee i Barry, kiedy ostatnio tu był.

Spróbował otworzyć drzwi. Gałka łatwo się obróciła.

Dwa wąskie łóżka zostały przykryte muślinem, żeby się nie kurzyły. Grzejnik parowy był wyłączony i w środku panowało prawie takie samo zimno, jak na dworze. Powietrze cuchnęło. Odór zdumiał Bella. Nie przypominał zapachu w szatni hali sportowej. Był ostrzejszy niż stęchła woń potu bokserów i przywodził na myśl psiarnię. Ciało w stanie rozkładu? W pokoju nie leżał żaden trup. Śmierdziało coś żywego, nie martwego.

Bell przypomniał sobie coś zupełnie innego. Tak dziwnego, że zastanowił się, czy to nie utrzymujący się skutek jego długiego snu przy niedoborze tlenu. Nie czuł pasty do butów, ale z jakiegoś powodu nagle stanęło mu przed oczami, jak czernił sobie włosy, żeby udawać Hebrajczyka w Małej Italii.

Kroki rozległy się dokładnie nad nim.

Wypadł przez wewnętrzne drzwi, znalazł schody i wbiegł po nich cicho.

Wyciągnął pistolet, opuścił rękę tak, że broń wycelowała w podłogę, i wszedł przez otwarte drzwi. Następny pusty pokój, ale znacznie większy i ładniej urządzony. Futrzana narzuta na wielkim łóżku, duży wygodny fotel, rzeźbione biurko i pełna książek biblioteczka. Niski ogień płonął w palenisku. Czarny czajnik wisiał w rogu kominka, dzbanek do parzenia kawy stał obok srebrnego serwisu. Wszystkie naczynia były prawie puste.

Jeśli Culp gościł Branca tutaj, poza polem widzenia służby w głównej rezydencji i blisko przejścia Kolei Podziemnej, to gangster był tu w ciągu ostatniej godziny.

- Ojej!

Pokojówka w średnim wieku wyszła z łazienki z naręczem ręczników.

– Przestraszył mnie pan.

Bell schował broń do kabury, gdy zmrużyła oczy jak krótkowidz i spojrzała przez pokój.

– Pan Bell, tak? Mam na imię Rachel. Mieszkał pan w głównej rezydencji, kiedy pani Culp jeszcze tu była.

– Kto nocował w tym pokoju?

– Nie mam pojęcia, proszę pana. Przysłali mnie rano na dół, żebym posprzątała. Prawie wszyscy pojechali do Nowego Jorku.

– Kiedy lokator zwolnił ten pokój?

– Chyba dziś rano. Ogień jeszcze się pali.

– Gdzie mógłbym znaleźć pana Culpa?

– Nie wiem, proszę pana... Muszę wracać do rezydencji. Mogę jeszcze czymś służyć?

– Proszę chwilę poczekać. Co to za zapach?

Tutaj też go czułem, ale słabiej.

Wciąż trzymając ręczniki, pociągnęła nosem.

– Jaki zapach? Kawy?

– Nie. Czegóż innego. Jak w zoo.

– Tu jest zoo.

– Zoo?

– Zoo z martwymi zwierzętami, gdzie trzyma te, które zastrzelił.

– Pokój z trofeami?

– Są tam lwy, tygrysy, niedźwiedzie. Może poczuł pan coś nowego, dopiero wypchanego.

Wskazała w głąb korytarza i prędko wyszła.

Bell minął szybko sekretarską klitkę z maszyną do pisania, telefonem i kluczem telegraficznym. Pancerne drzwi blokowały koniec korytarza. Były nabijane ręcznie kutymi ćwiekami i zamknięte na dole i na górze na żelazne zasuwki. Bell je odciągnął i szarpnął drzwi do siebie. Uchyliły się opornie na ukrytych zawiasach i wysoki detektyw wszedł pod łukiem z kłów słoniowych do dwupoziomowej, oświetlonej jasno żarówkami ogromnej sali bez okien.

Upolowane przez Culpa zwierzęta wypchano i upozowano tak, jakby żyły.

Lwy wędrowały po podłodze. Pantery siedziały na gałęziach drzew i gładkach. Słoń szarżował z szeroko rozpostartymi uszami i uniesionymi kłami. Rogate głowy wisiały na trzech ścianach. Grizzly stał na dwóch łapach.

Zbroje lśniły po obu stronach biurka Culpa. Za nim rozmieszczono sztucery ekspresy, pistolety i rewolwery, śrutówki, sztylety, kordelasy i miecze. Bell zauważył puste miejsce po pistolecie i drugie, dłuższe, między karabinami z lunetami. Pociągnął nosem, ale nie poczuł odoru zoo, tylko zapach skóry, oliwy do broni i cygar.

Nagle wyczuł czyjąś obecność, ukrył się za panterą i wyciągnął pistolet.

– Bell! - zawołał J.B. Culp. - Wracasz jak zły szeląg!

Magnat stał na korytarzu z jedną ręką na ciężkich drzwiach. W drugiej trzymał rewolwer. Bell rozpoznał bardzo celnego colta bisleya target model po spłaszczeniu nad bębniem.

Oparł lufę swojego pistoletu między uszami wielkiego kota.

– Rzuć broń i podnieś ręce.

Culp odwrócił się bokiem jak pojedynekowicz i wycelował.

\* \* \*

Isaac Bell oddał jeden strzał do jedynego człowieka, który mógł mu powiedzieć, jak Branco zaatakuje prezydenta. Trafił prosto w rewolwer. Bisley załśnił w blasku światła, gdy poszybował w powietrze. Culp ścisnął rękę i ryknął z bólu.

Bell ruszył do niego.

– Ręce do góry! - rozkazał.

Culp zatrzaskał mu drzwi przed nosem i zamknął zasuwę.

Bell popędził przez całą salę, omijając trofea. Jedyne inne drzwi widział we wnętrzu. Były mniejsze od pancernych i zamknięte na jedną zasuwę. Odciągnął ją. Ale drzwi nie dały się otworzyć, zaryglowane jak pancerne również od zewnątrz. Walnął w nie ramieniem. Ani drgnęły.

Pobiegł do telefonu na różanym biurku, żeby zadzwonić do detektywa Van Dorna, który podsłuchiwał rozmowy. Aparat zadźwięczał, zanim Bell go dosięgnął!. Odebrał.

– Przerwij to, póki jeszcze możesz, Culp - powiedział.

– Siedź tam - odparł Culp. - Wezwę szeryfa, jak tylko skończy ochraniać przemawiającego prezydenta, i zaaresztuje cię za ponowne wtargnięcie, kradzież mojego karabinu Springfield 1903 oraz strzał do mnie, kiedy cię przyłapałem na próbie kradzieży drugiego.

– Antonio Branco wsypie cię, jak tylko zostanie aresztowany.

– Nie zostanie - zaprzeczył Culp.

– Agencja Van Dorn nie odpuści mu. Nigdy.

– Nie zostanie aresztowany - powtórzył Culp. - Gwarantuję ci to.

Rozłączył się.

\* \* \*

Bell rozejrzał się po sali z trofeami w poszukiwaniu drogi ucieczki i skoncentrował się na ścianie z bronią.

Zbroje przykuły jego uwagę.

Przy jednej z nich była długa kopia rycerska, co podsunęło mu pewien pomysł. Wrócił do drzwi wnęki i przyjrzał się im dokładnie. Były dębowe. Przeciąg pod nimi wskazywał, że otwierają się na dwór. Tym lepiej. Postukał w nie pięścią. Warstwy dębiny ułożone na krzyż, żeby drewno miało wytrzymałość żelaza.

Wnękę, tak jak główne wejście, okalały dwuipółmetrowe kły słoniowe.

Bell wziął szeroki miecz obosieczny od zbroi, odrąbał mocowania większego kła, przykucnął i położył go sobie na ramieniu. Miał wrażenie, że kiel waży jakieś siedemdziesiąt kilogramów. Przeniósł go przez salę z trofeami, chwiejnie omijając wypchane zwierzęta, i oparł o niedźwiedzia grizzly. Poszedł z powrotem, odpychając na bok lwy, antylopę i guźca, żeby mieć wolną drogę. Wyciął mieczem duży znak X na środku drzwi.

Wrócił do niedźwiedzia i odkopnął z drogi leżące na podłodze skóry zebry.

Przechylił kiel do poziomu, chwycił go oburącz od spodu, przycisnął mocno do swojego boku i wycelował cięższym korzeniem na wprost. Nabral powietrza do płuc i ruszył przez salę z trofeami.

Szedł coraz szybciej, wpatrzony w znak X na drzwiach.

Zaczął biec.

Rozpędził się i walnął siedemdziesięciokilowym taranem z kości słoniowej w dębinę. Uderzenie wyłamało drzwi z ościeżnicy na pięć centymetrów. Zimne powietrze napłynęło przez szparę. Bell przyłożył ramieniem w drewno, ale nie ustąpiło. Odciągnął kiel z powrotem przez salę z trofeami, uniósł go i znów zaatakował.

\* \* \*

Za czwartym razem się udało. Drzwi całkowicie wypadły z ościeżnicy aż za balustradę wąskiego balkonu.

Bell rzucił kiel i chwycił się balustrady, żeby zeskoczyć na dół. Zawahał się, kiedy sobie przypomniał, co Francesca Kennedy powiedziała mu o sposobie działania Antonia Branca. „Żeby zbliżyć się do ofiary, trzeba planować. Badać sytuację, A potem ułożyć plan”.

Zamiast zeskoczyć na ziemię, Bell wrócił szybko do środka.

Dziesięć minut później zeskoczył z balkonu i popędził między choinami do grotu Kolei Podziemnej. Za murem pobiegł na brzeg rzeki, uwolnił kopnięciami przymarzniałe płozy, obrócił bojer i złapał wiatr.

Na zamarznętej rzece nie zapowiadało się na zamieć. Niebo było błękitne, widoczność dobra, w sam raz dla snajpera.

## 42.

Anonimowy Włoch kopał w ziemi.

Irlandzki brygadzysta, który szedł wzdłuż brzegu rowu, przystanął na ten widok. Robotnik był starszy niż większość. Wciąż miał gęste włosy, ale bardziej siwe od jego wásów. Machał łopatą wystarczająco szybko, ale dziś należało meldować o wszystkim, co wydawało się nie tak. Przyjeżdżał prezydent.

– Ty kto?

Włoch nadal kopał.

– Makaroniarz! Ty kto?

Jakiś imigrant, który znał trochę angielski, szturchnął nowego.

– Daj mu twój numer - powiedział po włosku.



Nie podnosząc wzroku, Antonio Branco wręczył brygadziście żeton na wypłatę. Irlandczyk odczytał wybitą w mosiądzu liczbę.

– Okej. Wracaj do roboty!

\* \* \*

Trzysta metrów pod dnem rzeki Wally Kisley kręcił się po wydrążonym w granicie wysokim tunelu ciśnieniowym i zastanawiał, gdzie ukryłby zabójczy ładunek wybuchowy na miejscu anarchisty lub przestępcy. Półokrągły strop i ściany były gładkie, bo korytarz w mocnej skale nie wymagał stemplowania. Lecz tor kolejki górniczej umożliwiał ukrycie laski dynamitu. Ludzie z firmy wykonawczej i agenci Secret Service szukali, ale Kisley znajdował oznaki przygotowanych sabotaży, kiedy tamci nosili jeszcze krótkie spodenki, i ufał tylko własnemu doświadczeniu. Zabrał się do oględzin naturalnej skalnej przegrody, która jeszcze oddzielała wschodnią połowę tunelu od zachodniej i miała być uroczyście wysadzona w powietrze przez prezydenta elektrycznie zdetonowanymi ładunkami wybuchowymi.

Nagle ukląkł, włączył latarkę i zamarł.

Laska dynamitu była praktycznie niewidoczna. Wsunęto ją do otworu wywierconego w drewnianym podkładzie kolejowym. Spłonka też została starannie zamaskowana i przypominała sęk w kasztanowcu. Zdradziła ją iglica. Wyglądała jak główka jednego z gwoździ, którymi przybito szynę do podkładu. Ale główki innych pobliskich gwoździ lśniły, bo dopiero niedawno wbito je w drewno stalowym młotem, a ta była zardzewiała.

Kisley opuścił się na czworaki, oparł policzek na pełnym drzazg podkładzie centymetry od gwoźdźca i zobaczył, że pod główką nie ma trzpienia. Została tak przymocowana, żeby trafić w spłonkę pod ciężarem pierwszej osoby, która na nią nadeptnie i spowoduje, że zadziała proste prawo fizyki. Po samym trotylu można byłoby przejechać wozem i nic by się nie stało, ale na spłonkę wystarczyło krzywo spojrzeć, żeby wybuchła. Uderzona iglicą z główki gwoźdźca, eksplodowałaby z siłą wystarczającą do zdetonowania dynamitu.

Kisley wyjął narzędzia kieszonkowe, żeby rozbroić bombę. Uznał za cud, że nikt jeszcze się na nią nie nadział.

\* \* \*

Archie Abbott oznaczył cztery możliwe kryjówki snajpera na zalesionych zboczach wokół budynku nadszybowego Syfonu i Bell wysłał do każdej człowieka ze strzelbą. Inny pilnował dachu ceglaneanego magazynu z widokiem na drogę.

Abbotta całe rano niepokoił pusty letni pensjonat. Biały odeskowany budynek stał sześćset czterdzieści metrów od podwyższonej platformy, gdzie miał przemawiać prezydent - wyjątkowo daleko na strzał - ale ilekroć Abbott widział go kątem oka, miał złe przeczucie.

Dom okazał się całkowicie opuszczony, tak jak wyglądał z zewnątrz. Meble były przykryte, żeby się nie kurzyły, zasłony leżały złożone w szafach. Ale Abbott dla pewności przeszedł przez wszystkie pokoje i nawet wspiął się na strych w poszukiwaniu otworów strzelniczych. Robił ostatni obchód pierwszego piętra, gdy zauważył stół w oknie. Miejsce wydawało się dziwne do postawienia stołu. Chyba że ktoś przygotował sobie oparcie dla karabinu.

Broń znalazł w szafie.

\* \* \*

Eddie Edwards obserwował, jak załoga pociągu J.B. Culpa napelnia tender węglem i wodą. Lokomotywa była pod parą. Kucharz odbierał dostawę z wozu rzeźnika i piekarza.

– Jest gotowy do podróży - zameldował Bellowi. - Mam ludzi w Delaware & Hudson i w New York Central, którzy sprawdzają, czy Culp kazał zwolnić tor dla pociągu specjalnego. Ale nie mogę na nich liczyć, bo Culp jest właścicielem większości tutejszych linii.

– Jego samochód wciąż stoi w garażu? - zapytał Bell.

Edwards przytaknął.

– Harry posłał małego Richiego na drzewo z lornetką połową.

\* \* \*

Wielki biały kadłub USS „Connecticut” obrócił się majestatycznie na środku rzeki, ciągnięty przez holowniki za dziób i rufę, i zanim pancernik popłynął za swoim lodołamaczem z powrotem w dół Hudsonu, życzył prezydentowi dobrej podróży salwą z dwudziestu jeden dział. Huk ostatniego wystrzału rozbrzmiewał jeszcze wśród wzgórz, gdy uśmiechnięty Theodore Roosevelt wyskoczył z

sześciometrowej płaskodennej motorówki rybackiej, która dostarczyła go do brzegu.

Jakby wyrzucony w powietrze przez grzmot artylerii okrętu wojennego, pomyślał Joseph Van Dorn.

Roosevelt wylądował zgrabnie na nabrzeżu Akademii Wojskowej. Wymienił uścisk dłoni z komendantem. Pomachał do tłumu obywateli na przystani promowej i stacji kolei West Shore Railroad. Zasalutował murom obronnym kamiennego fortu na urwisku, na których roilo się od kadetów w szarych mundurach galowych. Potem, co nie było niespodzianką dla nikogo, zwłaszcza dla Van Dorna, wygłosił przemówienie.

Podziękował uroczyście armii za powitanie, obywatelom West Point za przybycie mimo przenikliwego zimna i Marynarce Wojennej Stanów Zjednoczonych za „donośną salwę dla przypomnienia wszystkim zebranim tu Amerykanom, że czekamy niecierpliwie na dzień, kiedy spory między krajami będą załatwiane arbitrażowo, ale zanim to nastąpi, potężne dwunastki »Connecticuta« będą arbitrażowały dla nas”.

Nastrój zepsuł szef prezydenckiego korpusu Secret Service, kiedy nagle ogłosił zmianę planu.

– Za pańskim pozwoleniem, panie prezydencie, nie wsiądziemy do pociągu, tylko pojedziemy dalej samochodem.

– Dlaczego? Storm King spodziewa się mnie w pociągu, nie w aucie.

– Właśnie dlatego, panie prezydencie. Żeby zmylić jakiegokolwiek przeciwnika, który liczy na to, że pojawi się pan na stacji zgodnie z harmonogramem. Do przejechania jest tylko osiem kilometrów niezłą drogą.

– Czyj to pomysł?

– Josepha Van Dorna.

– Powinienem się domyślić.

– Kiedy mu powiedziałem, że może pan nie być stuprocentowo zadowolony, odrzekł, że taki bohater wojenny, jak pan, na pewno przypomni sobie wagę elementu zaskoczenia.

– Jestem w rękach profesjonalistów - wyrecytował Roosevelt, ale groźny błysk w jego oczach ostrzegł szefa jego korpusu ochrony, żeby za dużo sobie nie pozwalał.

Joseph Van Dorn czekał przy dużym white steamerze w miękkim kapeluszu z szerokim rondem, bandanie w kropki i okularach w drucianej oprawce. Otworzył prezydentowi drzwi auta i powiedział:

– Byłbym wdzięczny, gdybyśmy podnieśli dach.

Roosevelt przyjrzał mu się szybko.

– Co ci się stało w twarz?

– Zgoliłem bokobrody.

– Co ty kombinujesz, Joe? Nie nosisz okularów, ale teraz jesteś w okularach - bez szkieleł. I co ten kapelusz robi na twojej głowie? Nie służyłeś w kawalerii, tylko w marines.

– To dla zmylenia przeciwnika - wyjaśnił Van Dorn.

– Nie przyszło ci na myśl, że jeśli uda ci się go zmylić, to zastrzelili ciebie?

– Wyborcy wypowiedzieli się głośno i wyraźnie, panie prezydencie. Nikt nie zagłosował na mnie - odrzekł Van Dorn z poważną miną.

– Dach pozostanie opuszczony.

– Czytał pan ten telegram od detektywa Bella?

BRANCO PRZEPADŁ

SPRINGFIELD 1903 CULPA ZNIKNAŁ

– Springfield 1903 to...

– Zabójcza broń - dokończył za Van Dorna prezydent. - Okej. Wygrałeś! Podnieście dach.

Van Dorn i szef szybko rozłożyli brezent i zablokowali jego szkieleł. Szef wsiadł za kierownicę, Van Dorn obok niego.

– Zadowolony?! - zawołał prezydent z tylnego siedzenia. - Nie wyglądasz na zadowolonego. Co jeszcze jest nie tak?

– Gdyby zgodził się pan wcześniej, uratowałby pan moje bokobrody.

Roosevelt dźgnął palcem brezent.

– Ten dach pójdzie z powrotem w dół przy Storm King.

\* \* \*

– Zostawcie łopaty! - ryknął irlandzki brygadzysta do ekipy, która wyrównywała rów odwadniająca. - Wszyscy. - Wskazał drogę do budynku nadszybowego. - Dołączcie do tamtych.

Tysiąc włoskich robotników stało już wzdłuż drogi w sześciu szeregach po każdej stronie. Rozbawiony tłum świętował niezwykle płatną labę. Przedsiębiorca rozdał chleb i kiełbasę. Jedzenie popijali butelkami wina spod kapot. Grające harmonijki ustne zagłuszała katarynka, jej wesołe dźwięki rozchodziły się w czystym zimnym powietrzu jak muzyka miniaturowych organów parowych. Krążyły plotki, że zjawi się wielki Caruso z piękną Tetrzzini. A najlepsze, że prezydent Stanów Zjednoczonych - sam *Il Presidente* - sławny bohater wojny hiszpańsko-amerykańskiej, pułkownik TR - przyjedzie do Storm King, żeby podziękować im za wykopanie „byczego” wodociągu.

– Ruszać się! Już jedzie.

Wygramolili się z rowu i pobiegli do drogi. Z wciąż spuszczoną głową, twarzą zasłoniętą rondem kapelusza i wzrokiem utkwionym w swoich butach, zgarbiony dla ukrycia swojego wzrostu Antonio Branco usiłował nadażyć, utykając jak starzec.

Brygadzysta kazał im stanąć w szeregu, potem wymaszerował na drogę i przyłożył zgięte dłonie do ust.

– Słuchajcie! - krzyknął i przywołał gestem robotnika, który był jego tłumaczem w czasie pracy. - Powiedz im, że jak prezydent będzie przejeżdżał, niech zdejmą kapelusze i wiwatują głośno.

Mężczyzna przetłumaczył to na włoski.

– Gdyby, nie daj Boże, prezydentowi przyszło do głowy, żeby się zatrzymać i porozmawiać z wami, przyłóżcie kapelusze do serca, przytakujcie i uśmiechajcie się szeroko.

Tłumacz to powtórzył.

– Powiedz im, że jak będzie przemawiał, niech patrzą na mnie. Jak zaczną klaskać, niech oni też klaszczą, jak na makaroniarskiej operze.

Irlandczyk pokazał brawa.

– A jak tylko prezydent zjedzie w dół szybu, mają migiem wrócić do roboty.

\* \* \*

Antonio Branco przeciskał się przez tłum do przodu, mięśniacy z Czarnej Ręki robili mu przejście. Byli przebrani za robotników, ale ci prawdziwi instynktownie schodzili im z drogi. Branco stanął w drugim rzędzie, tuż za kataryniarzem, gdzie panował największy tłok.

Kataryniarz sięgnął do środka instrumentu i zmienił wałek, żeby zagrać inne melodie. Potem wrócił do kręcenia korbą, która obracała wałek i powodowała ruch miechów tłoczących powietrze do piszczałek. Jego małpka w niebieskiej koszuli i kropkowanej chuście Surowych Jeźdźców Roosevelta zaczęła z powrotem zbierać pieniądze do miniaturowego kawaleryjskiego kapelusza.

Stojący wzdłuż drogi imigranci wymienili zdumione spojrzenia. Zamiast znajomych romantycznych tonów *Celeste Aida* lub szybkiej taranteli, katarynka grała jakiś amerykański marsz.

Tylko robotnicy, którzy byli w Ameryce już tak długo, że budowali otwarte w 1904 roku nowojorskie metro Interborough Rapid Transit, rozpoznali piosenkę wyborców Roosevelta śpiewaną podczas kampanii Republikanów.

– *Il Presidente!* - wytłumaczyli tym, co przyjechali później. - *Il Presidente canto.*

Tłumacz krzyknął tytuł piosenki:

– *Jesteś w porządku, Teddy!*

## 43.

Isaac Bell przechadzał się tam i z powrotem po drodze do szybu tunelu ciśnieniowego.

Przy budynku nadszybowym wzniesiono trybunę i ozdobiono ją flagami, które trzepotały na wietrze. Wypełniali ją wykonawcy i oficjele miejscy w paltach i cylindrach. Luisa Tetrazzini i Enrico Caruso kulili się tam, ledwo widoczni w wełnianych szalach. Siwy elegant, włoski konsul generalny w Nowym Jorku, siedział między operowymi gwiazdami i promieniał, jakby wygrał na loterii.

Wally Kisley pobiegł do Bella, żeby zameldować, że rozbroił bombę. Pomyślał, że ambitny młody detektyw wygląda tak, jakby miał nadzieję

odgadnąć w jakiś sposób zamiary każdej z tysiąca czekających na prezydenta osób.

– Isaac!

Bell uciszył Kisleya, zanim usłyszał więcej.

– Zajrzyj do katarynki. Zmieści się w niej bomba, a samochód ma przejechać tuż obok niej.

– Już lecę. A potem muszę pogadać z tobą.

– Weź Harry’ego Warrena, żeby porozmawiał z kataryniarzem. Jak ten stary się przestraszy, że zabieramy mu narzędzie pracy, to wybuchnie bunt.

Warren zaczął rozmawiać z kataryniarzem i w końcu nakłonił go, żeby na chwilę przestał kręcić korbą. Kisley obejrzał instrument na zewnątrz i wewnątrz. Pomacał go od spodu i schylił się, żeby zbadać podstawę ciężkiego instrumentu. Zadowolony z oględzin, skinął głową i włożył dolara do kapelusza małpki. Potem wrócił szybko do Bella i chodząc obok niego, opisał bombę w tunelu ciśnieniowym.

Bell strzelał oczami na boki.

– Jak ją wypatrzyłeś?

– Widziałem już takie rzeczy. Ale zabawne, bo to była fuszerka.

Bell spojrzał na niego uważnie.

– To znaczy?

– Mogła wybuchnąć w każdej chwili. Jeszcze zanim prezydent zjedzie do tunelu.

– Ale mówiłeś mi, że oni są mistrzami w używaniu dynamitu.

– Albo ci nie są, albo im się nie chciało.

– Albo to była zasłona dymna - odparł Bell. - Archie znalazł karabin Springfield w kryjówce snajpera.

– Po prostu tam leżał? - zapytał Kisley.

– W szafie.

– Nie zamierzam umniejszać umiejętności śledczych Archiego, ale to wydaje się trochę za łatwe.

– Archie też tak uważa. Nie wierzy w użycie karabinu. Ty nie wierzysz w użycie bomby. Ja nie wierzę ani w jedno, ani w drugie. Jak dotąd, widzimy tylko to, co Branco chce nam pokazać.

- A czego nie chce nam pokazać? - spytał Walter Kisley.
- Moim zdaniem planuje zrobić to z bliska. Ale ciągle nie wiem jak.
- A tu nadjeżdża Teddy.

\* \* \*

Bell już zauważył, że white steamer toczy się przez tłum. Samochód miał opuszczony dach, prezydent Roosevelt był dobrze widoczny na tylnym siedzeniu. Auto prowadził szef jego korpusu Secret Service. Joe Van Dorn siedział z przodu obok niego.

Bell pobiegł długimi susami.

\* \* \*

- Zwolnij - rozkazał prezydent. - Czekają na mnie na zimnie od wielu godzin. Niech mnie zobaczą.

Szef i Van Dorn wymienili czujne spojrzenia.

- Wolniej, mówię!

Szef zmniejszył dźwignią prędkość do tempa pieszego.

Van Dorn poluzował broń w kaburze pod pachą po raz czwarty, odkąd przyjechali do Cornwall Landing i prezydent kazał opuścić dach. Jedyłą dobrą rzeczą - oprócz obecności na miejscu jego najlepszych detektywów - była wysokość steamera. Podłogę auta dzieliła od ziemi taka odległość, jak w dyliżansie, więc przestępcy i anarchiści nie mogliby wskoczyć do samochodu, tylko musieliby się do niego wdrapać. Ale poza tym jednym, napastnik miał przewagę pod każdym względem: element zaskoczenia, tłum ludzi, skąd mógłby wyskoczyć i gdzie mógłby z powrotem zniknąć, ślimacze tempo auta i odsłoniętą ofiarę.

Prezydent uśmiechał się od ucha do ucha. Samochód toczył się wolno między rzędami wiwatujących inżynierów, urzędników przedsiębiorstw wykonawczych i operatorów maszyn. Wychodzili na drogę za autem i tworzyli paradę, której chciał prezydent. Następni stali wznoszący wesołe okrzyki czarnoskórzy wiertacze skalni.



– Zatrąb dla nich, Joe! - krzyknął TR. - Hiszpanie nazywali nasze regimenty kolorowych „Okopconymi Jankesami”, ale Surowi Jeźdźcy uznawali ich za doskonałą jankeską rasę, która osłaniała nasze flanki.

Van Dorn nadepnął gumową gruszkę i white wydał śmieszny dźwięk.

Wiertacze skalni wyszli z szeregów i dołączyli do marszu.

Dalej czekali wąsaci, smagli robotnicy włoscy w kapeluszach. Stali cicho w sześciu rzędach po obu stronach drogi. Ale uśmiechali się szczerze i Van Dornowi przysłała do głowy zabawna myśl, że kiedy prezydent dotrze do nich, wszyscy zostaną Republikanami.

Kiedy Roosevelt usłyszał ich katarynkę, uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Poznajecie, co gra kataryniarz?

– *Jesteś w porządku, Teddy!* - odpowiedzieli chórem Van Dorn i szef Secret Service.

– Byczo! - krzyknął prezydent.

Zaczął wybijać pięścią rytm na kolanie i śpiewać:

*Jesteś w porządku, Teddy!*

*Taki, jakiego pamiętamy.*

*Bez obaw!*

*Jesteśmy z tobą!*

*Jesteś w porządku, Teddy!*

*W listopadzie wszystkich o tym przekonamy.*

– Zatrzymaj auto! Podziękuję tym ludziom osobiście.

## 44.

Prezydent wyskoczył z white steamera, zanim samochód stanął.

Van Dorn i szef korpusu natychmiast oskrzydłili Roosevelta. Zbyt podekscytowany, żeby czekać i dołączyć z tyłu do parady, tłum ruszył do nich z obu stron.

– Widzieliście, jak jest ubrana tamta małpka?

Van Dorn starał się patrzeć we wszystkich kierunkach jednocześnie.

– A o co chodzi, panie prezydencie?

– O jej kapelusz! - odparł Roosevelt. - To kapelusz Surowych Jeźdźców. Szefie! Przyrowadź ich konsula generalnego.

– Nie mogę pana zostawić.

– Migiem, człowieku. Potrzebny mi tłumacz.

Nagle Isaac Bell wyrósł jak spod ziemi.

– Ja tu zostanę.

\* \* \*

– Oczywiście - szepnął Antonio Branco, kiedy Bell zajął miejsce szefa Secret Service. - A gdzie indziej mógłbyś być?

Potem tłum ruszył naprzód i zasłonił mu prezydenta, a Bellowi - starego sycylijskiego katarzyniarza. Wszyscy patrzyli na Roosevelta, a tylko tego potrzebował Branco. Wysunął się przed starego mężczyznę i chwycił prawą ręką korbę, a lewą łańcuch małpki. Katarzynka ani na moment nie przestała grać, a na lekkie szarpnięcie łańcucha małpka wskoczyła mu na ramię, nauczona przez kilka dni, że jej nowy dobry pan nagrodzi ją częścią pomarańczy.

\* \* \*

– Cofnijcie się obaj - rozkazał prezydent.

– Panie prezydencie, dla pańskiego bezpieczeństwa...

– Jesteście za wysocy. Między wami wyglądam jak tchórz. To są ciężko pracujący ludzie. Nie zrobią mi nic złego.

Roosevelt chwycił dłoń najbliższego robotnika.

– Witam. Dziękuję za budowanie wodociągu.

Mężczyzna ściągnął kapelusz, przycisnął go do serca i uśmiechnął się.

– Wiem, że nie rozumiesz ani słowa z tego, co mówię, ale będziesz, kiedy nauczysz się angielskiego. - Potrząsnął mocniej jego ręką. - Chodzi o to, że twoja praca w pocie czoła przyniesie korzyść nam wszystkim.

Roosevelt ścisnął dłoń następnego mężczyzny.

– Witam. Dziękuję. Wykonujesz byczą robotę.

– Byczą! - powtórzył robotnik. - Byczą! Byczą! Byczą!

Bell zobaczył, że jeśli Roosevelt nie był pewien, jak go powitają, to teraz już jest. Rozpromieniony, chwycił następne dłonie. Doszli już prawie do katarzyniarza.

– Gdzie, do diabła, jest ten tłumacz?

– Widzę, że zaraz będzie - odrzekł Bell.

Szef korpusu ochrony Secret Service trzymał włoskiego konsula generalnego w Nowym Jorku jak aresztanta. Obaj dyszeli ciężko po szybkim biegu.

– Panie prezydencie, to dla mnie wielki zaszczyt...

– Chcę, żeby pan przetłumaczył katarzyniarzowi, że jestem głęboko wzruszony, że zagrał piosenkę z mojej kampanii i włożył swojej małpce kapelusz Surowego Jeźdźca. Do tego potrzeba świadomego Amerykanina najwyższej klasy... Chłopcy! - krzyknął przez ramię do Bella i Van Dorna. - Kazałem wam zostać z tyłu. Tobie też, szefie. Dajcie tym Włochom dobrze się bawić.

Otoczył ramieniem konsula generalnego i ruszył naprzód.

– Niech pan mu powie, że jak byłem mały, to miałem po sąsiedzku zaprzyjaźnioną małpkę. Zawsze chciałem mieć taką, ale musiałem się zadowolić tamtą wujka Roberta. Niech pan mu powie, że lubię małpki, zawsze lubiłem... Jesteśmy! Cześć, małpko.

Zwierzątko zdjęło kapelusz i wyciągnęło go przed siebie.

– Bell? Van Dorn? Macie jakieś pieniądze?

W tłumie Bell znów poczuł pastę do butów i tym razem wiedział dlaczego. Nie miało to nic wspólnego z ośmiodniowym zamroczeniem, lecz ze wspomnieniem zapachu małpki katarzyniarza na Elizabeth Street, kiedy był w przebraniu z czarną pastą do butów we włosach. I wiedział teraz, co wywołało to wspomnienie: odór zoo w pokoju Branca w Kruczym Gnieździe.

Prezydent Roosevelt wrzucił monetę od Van Dorna do kapelusza małpki i wyciągnął rękę, żeby uścisnąć dłoń katarzyniarza. Zgarbiony siwy mężczyzna wyprostował się do swojego pełnego wzrostu, otworzył jednym machnięciem nóż i dźgnął.

Isaac Bell zasłonił Theodorea Roosevelta własnym ciałem.

**Księga czwarta**  
**GANGSTER**

## 45.

Nóż Antonia Branca przebił płaszcz, marynarkę i kamizelkę Isaaca Bella, przeciął koszulę i trafił ze zgrzytem w metal.

Branco zrobił gwałtowny wdech.

– Co jest?

– Pożyczyłem kolczugę twojego wspólnika - odparł Bell i walnął gangstera z całej siły.

\* \* \*

Branco poleciał do tyłu w tłum.

Wyrzucił ręce w powietrze, wypuścił z dłoni nóż i oczy mu się zaszklily. Jacyś mężczyźni podskoczyli do ogłuszonego gangstera i dźwignęli go na nogi.

– Trzymajcie go! - krzyknął Roosevelt. - Dajcie tu drania!

Pociągnęli go głębiej w tłum.

Isaac Bell już się przedzierał za nimi, Van Dorn szedł w jego ślady.

Czarna Ręka utworzyła kordon ochronny. Biegli klinem jak futboliści, najlepiej zbudowani na czele, Branco bezpiecznie w środku. Robotnicy ustępowali im z drogi. Ci, którzy próbowali ich zatrzymać, byli powaleni na ziemię.

Czterech mięśniaków zablokowało Bella i Van Dorna. Po walce detektywi przebili się naprzód, ale Branco i jego wybawcy pędzili już daleko w dole wzgórza do torów kolejowych.

Bell pognał za nimi. Van Dorn został z tyłu. Nie mógł dotrzymać kroku młodszemu mężczyźnie. Bell krzyknął przez ramię, że Eddie Edwards obserwuje pociąg Culpa.

– Niech pan biegnie prosto na stację. Ja będę ścigał Branca.

Wyglądało na to, że Branco się otrząsnął po ciosie Bella. Biegł o własnych siłach i wyprzedzał swoich ludzi. Nagle skręcił, oddalił się od stacji, przeciął tory kolejowe i popędził ku rzece.

Jego ludzie się zatrzymali, odwrócili i rozsypali wachlarzem, żeby stawić czoło Bellowi.

Wysoki detektyw wyciągnął pistolet i otworzył ogień. Dwóch najbliższych padło i Bell przedarł się przez lukę w ich szeregu. Nie marnował amunicji na Branca, bo gangster był poza zasięgiem broni i biegł z taką determinacją, że Bell się zastanawiał, czy Culp zdołał wyprowadzić swojego franklina z posiadłości tuż pod nosem vandornowców.

Detektyw dotarł do nasypu kolejowego i wspiął się na tory. Z lekkiego wzniesienia zobaczył, że Branco zaplanował szybszą ucieczkę niż autem lub pociągiem. Bojer „Daphne” czekał na brzegu rzeki. Zwalista postać Culpa za sterem przynagliła go do szybszego biegu. Branco przyspieszył w dół, ślizgając się na ostatniej pochyłości. Bell był coraz bliżej.

Gangster się przewrócił, przetoczył, poderwał i wskoczył do kokpitu obok Culpa.

Culp ściągnął cumę z pala przy brzegu i wybrał szot. Wysoki trójkątny żagiel się wydał, ale „Daphne” nie ruszyła. Jej stalowe płozy przymarzły do lodu.

Bell wyrwał do przodu. Wciąż miał pistolet w ręku.

Culp wygramolił się z kokpitu i zaczął kopać ster i prawą płozę, krzycząc do Branca, żeby uwolnił lewą. Bell był niecałe piętnaście metrów od nich, gdy się z tym uporali.

– Pchaj! - krzyknął Culp i obaj odepchnęli bojer od brzegu. Proporczyk na szczycie masztu zatrzepotał. Żagiel załopotał. W jednym momencie Branco i Culp pchali bojer, w następnym musieli go gonić, żeby wskoczyć do niego, zanim im ucieknie.

Bell już miał się zatrzymać na lodzie i strzelić do nich, ale kiedy żagiel złapał wiatr i wystartowali, zobaczył, że wloką za sobą cumę. Przyspieszył i dał nura za nią z wyciągniętą ręką.

Koniec liny podskakiwał jak kobra. Chwycił ją. Trzydzieści centymetrów wysunęło mu się z dłoni i oparzyło skórę, zanim zacisnął palce. Podmuchi uderzył w żagiel, cuma o mało nie wyrwała mu ramienia ze stawu i bojer pociągnął go po lodzie z szybkością prawie pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Przekręcił się na plecy, wepchnął broń pod płaszcz i złapał linę obiema rękami. Liczył na to, że dodatkowy ciężar spowolni bojer, ale wiatr dał tak, że szybkość nie malała. Miał tylko nadzieję, że wytrzyma jeszcze około pół

kilometra. Mknęli w dół rzeki. Culp nie zmieniał kursu i holował Bella do jego bojera, który przycumował blisko Cornwall Landing.

Cuma miała niecałe sześć metrów długości i Bell usłyszał śmiech Culpa. Branco szykował się do przecięcia liny. Culp powstrzymał go gestem, wskazał grzbiet lodowy i wysterował tam.

– Tarka do sera się zbliża, Bell.

Płozy „Daphne” zadźwięzwały na wypiętrzeniu i moment później Bell został przeciągnięty po nierówności. Trzymał się mocno, gdy uderzał w nią zębami i kolanami.

– Następna?

Jeszcze jedna, pomyślał Bell. Widział już swój bojer. Culp nieświadomie zbliżał się do niego, żeby pozbyć się Bella na jeszcze wyższym progu. Bell puścił linę i sunął po lodzie, obracając się nogami do przodu, żeby przyjąć uderzenie na buty. Walnął mocno, poderwał się i dobiegł chwiejnie do swojego bojera.

\* \* \*

– Ściga nas - zauważył Branco.

– A niech ściga.

Culp umiejętnie wykonał niebezpieczny skręt. Obrócił bojer o sto osiemdziesiąt stopni i skierował się w górę rzeki z zachodnim wiatrem w burtę, najlepszym do żeglowania szybkością jak błyskawica „Daphne”.

– Co tam poszło nie tak?

– Nie wiem - odrzekł Branco.

– Tylko tyle masz do powiedzenia?

Branco był niesamowicie spokojny i całkowicie panował nad sobą.

– Przegrałem bitwę, nie wojnę.

– A co ze mną?

– Straciłeś marzenie, nie życie.

– Dobiorą się do mnie - odparł Culp.

– Niczego ci nie udowodnią. - Branco sięgnął za pazuchę i sztylet załśnił w jego dłoni. - Ale jeśli się boisz i myślisz o sprzedaniu mnie, żeby ratować siebie,

to stracisz również życie. Wyjmij pistolet spod kurtki za lufę i podaj mi go kolbą do przodu.

Culp boleśnie zdawał sobie sprawę, że w ciasnym kokpicie dzieli ich zaledwie pół metra i jedną ręką musi trzymać rumpel. Pędzili tak szybko, że gdyby go puścił choćby na moment, żeby spróbować zablokować cios sztyletem, mogłoby się to skończyć katastrofalnym obrotem bojera.

– Jeśli mnie zabijesz, to kto ucieknie Bellowi?

Branco wykonał ostrzem władczy gest.

– To będzie rozgrywka między mną a nim.

– Będę chciał broń z powrotem, jeśli Bell się zbliży. Na pewno strzelam lepiej niż ty.

– Jasne, bo ja nigdy nie zawracałem sobie głowy pistoletem - odrzekł Branco. - Dawaj go!

Culp nie miał wyboru i musiał ustąpić. Branco wepchnął broń za pazuchę.

– Dokąd mnie zabierasz?

– Obiecałem ci trzecią możliwość. To stacja kolejowa w Albany. Czeka tam pociąg specjalny. A jeśli nie uważasz tego za bezpieczne, to możesz pojechać na gapę towarowym.

– Kiedy tam będziemy?

– W tym tempie za dwie godziny.

Branco obejrzał się przez ramię.

– Bell się zbliża.

– Niedługo się ściemni - odparł Culp. - A on nie zna tej rzeki tak jak ja.

\* \* \*

Bojer Bella mknął w górę Hudsonu. Wibrował silnie, gdy przedzierał się przez spłachcie świeżego śniegu, opadał twardo po skokach przez spiętrzenia lodu i przecinał jego pęknięcia, które powodował prąd rzeki. Był cięższy niż bojer Culpa - zbudowany z jesionu amerykańskiego zamiast z aluminium i miał ołowiane balasty, które Bell przypasał do zewnętrznych stron płóz, żeby się nie unosiły przy porywistym wietrze. Wykorzystując dodatkowe kilogramy i nadwymiarowy żagiel, zbaczał z kursu, żeby przyspieszać z wiatrem w burzę, a potem wracał na kurs i dzięki dodatkowemu ciężarowi utrzymywał prędkość.



Bell się dziwił, że tak doświadczony wyścigowiec jak Culp nie stosuje tej samej taktyki, kiedy jest doganiany. Jeśli magnat próbował zwabić go w zasięg pistoletu, to zamierzał spełnić jego życzenie.

Kiedy pędzące bojery minęły światła Newburgha, Bell zbliżył się na odległość stu metrów. Widział Branca i Culpa w kokpicie, ich twarze były niewyraźnymi białymi plamami, gdy oglądali się przez ramię, żeby się zorientować w zapadającym zmierzchu, jak daleko jest pościg.

Culp nagle zmienił kurs.

Pół sekundy później Bell zobaczył konia tuż przed sobą.

## 46.

Ogromny koń pociągowy w uprzęży stanął dęba z przerażenia na widok pędzącego na niego żagla Bella. Pojawił się tak nagle, że przy szybkości prawie stu kilometrów na godzinę, z kokpitu trzydzieści centymetrów nad lodem, wydawał się wielki jak wypchany grizzly Culpa.

Bell szarpnął rumpel.

Culp doprowadził go w środek lodowych żniw. Ludzie i konie orali bruzdy w lodzie i ciąli go na bloki do przechowania do przyszłego lata. Wypływali szeroki pas lśniącej wody, czarny jak węgiel.

Bojer Bella zarzucił gwałtownie. Siła odśrodkowa o mało nie wyrzuciła go z kokpitu. Bojer sunął bokiem w niekontrolowanym poślizgu prosto ku czarnej wodzie. Trzy metry od niej płozy znów wgryzły się w lód, ster zadziałał i Bell pomknął wzdłuż krawędzi. Ominął drugiego konia z pługiem i wrócił na kurs ze wzrokiem utkwionym w wysokim białym trójkącie żagla „Daphne”.

Pokonali następny kilometr.

Bell znów złapał wiatr w burtę i trochę przyspieszył. Kiedy bojery dzieliło już tylko trzydzieści pięć metrów, zablokował nogą rumpel, wyciągnął pistolet i trzymając go oburącz, zaczekał, aż płozy będą sunęły po gładkiej powierzchni. Otworzył ogień i chybił, ale niewiele, i osiągnął zamierzony cel.

Branco nawet się nie wzdrygnął, za to Culp robił uniki przed gwizdzącymi obok jego uszu pociskami. Stracił kontrolę nad „Daphne”, bojer skręcił, zaczął

się obracać i wytracił prędkość. Bell go minął, zanim zdążył wyplątać nogę i wysterować tak, żeby się zatrzymać.

Culp się otrząsnął, złapał wiatr i wystartował jak rakietka.

Bell pomknął za nim, bliżej niż przedtem. Nie jesteś taki odważny, jak ci się wydaje, pomyślał. Zobaczył, jak Branco daje coś Culpowi, i moment później błysnął płomień. Culp wypalił z pistoletu od gangstera, pocisk trafił w maszt Bella i przeszedł obok jego twarzy.

„Daphne” nagle wyskoczyła w powietrze. Moment później Bell uderzył w to, co wybiło ją do góry - w zamarznąłą zaspę. Jego bojer poszybował wysoko i daleko. Miał wrażenie, że spadnie do tyłu, ale ołowiane ciężarki przy płozach zrównoważyły go, wylądował poziomo na lodzie i pomknął dalej. Zanim bojer opadł z powrotem, Bell dostrzegł w oddali następne żniwa lodowe. Kończyli już pracę. Mężczyźni z końmi byli blisko brzegu i ładowali bloki do chłodni. Na środku rzeki pozostało tylko przecięcie. Pas czarnej wody miał długość boiska futbolowego.

Bell strzelił, żeby zdekoncentrować Culp, i skręcił, aby nabrać prędkości. Kiedy się rozpędził i zrównał z „Daphne”, zmienił nagle kurs prosto na nią. Na widok zbliżającego się szybko ogromnego żagla Bella Culpowi puściły nerwy i szarpnął rumpel, żeby uniknąć kolizji. Gwałtowny skręt obrócił jego bojerem.

„Daphne” wymknęła się spod kontroli. Kręciła piruety na śliskiej powierzchni, aż spadła z lodu i uderzyła w czarną wodę. Nagłe wyhamowanie z osiemdziesięciu kilometrów na godzinę do zera złamało obie podstawy jej podwójnego masztu. Bom, reja i żagle runęły na płożę, która szybko tonęła i była już do połowy zanurzona.

Bell zatrzymał swój bojer pięć metrów od wodnej otchłani i zrzucił żagiel. Wreszcie dopadł mózgi ogólnokrajowej organizacji przestępczej. Tylko utonięcie mogło ich uratować przed wymiarem sprawiedliwości.

Podbiegł do krawędzi z liną w jednej ręce i pistoletem w drugiej.

Pływ morski zmienił kierunek. Cofał się szybko w dół rzeki i silny prąd Hudsonu porwał „Daphne”. Woda wypełniła jej żagiel jak wiatr i rzuciła roztrzaskany bojer na twarde lodowy brzeg wyciętego przesmyku.

Branco i Culp wyplątali się z takielunku i usiłovali wydostać z „Daphne”. Nurt wepchnął jej bukszpryt pod lód. Kikut masztu zawadził o krawędź. Wrak znieruchomiał na moment, potem znów zaczął tonąć.

Bell rzucił linę.

Culp ją złapał i wgramolił się na lodową półkę. Branco był tuż za nim i dźwignął się do góry w momencie, gdy bojer poszedł pod wodę. Postawił nogę na twardym lodzie, zachwiał się do tyłu i chwycił kurtki Culpa, żeby złapać równowagę.

Bell zaparł się nogami, żeby się nie ześliznąć pod ciężarem dwóch mężczyzn. Poczł szarpnięcie liny, gdy Culp pociągnął ją z całej siły. Magnat nagle się obrócił i zamachnął nogą jak kopacz. Trafił Branca butem w brzuch i strącił go z powrotem do wody.

Po twarzy Branco przemknęło niedowierzanie, wściekłość i przerażenie, zanim rzeka wciągnęła go pod lód.

\* \* \*

Bell wycelował pistolet w Culpa, który wciąż trzymał rzuconą mu przez detektywa linę.

– Johnie Butlerze Culpie, jesteś aresztowany. Wsiądź do mojego bojera i zwiąż sobie kostki tą liną.

Wysoki, barczysty arystokrata zerknął lekceważąco na broń Bella. Potem wskazał czarną wodę, która wchłonęła Branca.

– Dowody na poparcie twoich niejasnych oskarżeń wobec mnie są teraz słabsze niż kiedykolwiek. Poza tym wszyscy widzieli, że Branco próbował zabić prezydenta. Każdy zgodzi się z tym, że ten włoski gangster zasłużył na śmierć przez utonięcie.

– Ale teraz dokonałeś zabójstwa - odrzekł Bell. - Widziałem to na własne oczy. Stawiam dziesięć do jednego, że sędzia i ława przysięgłych uzgodnią karę śmierci na krześle elektrycznym dla amerykańskiego gangstera.

# Epilog

## Pogromca karteli

### Tydzień później

Vandornowcy, ludzie Joego Petrosina z włoskiej sekcji nowojorskiej policji, tajniacy kapitana Mike'a Coligneya z posterunku w Tenderloin i agenci podległej Departamentowi Skarbu Secret Service wyłapali pozbawionych nagle przywódcy bombiarzy, szantażystów, mięśniaków, fałszerzy i przemytników Antonia Branca.

Bell wypisał nazwiska aresztowanych na tablicy w biurze, która została tak pospiesznie wytarta w ciągu gorączkowego tygodnia, że jego rysunek nalotu na Krucze Gniazdo przebijał jak przez kalkę techniczną. Mięśniacy pokryli halę sportową Culpa, przemytnicy wartownię, a fałszerze elektrownię.

Wiwaty wybuchły, kiedy pod koniec tygodnia Harry Warren i Archie Abbott zatelefonowali z dobrą wiadomością. Vito Rizzo, aresztowany przez Bella w konfesjonale, zwiął po wyjściu za kaucją, którą wyznaczył sędzia z Tammany Hall. Warren i Abbott właśnie wywlekli go z rury kanalizacyjnej, co zakończyło likwidację organizacji Branca.

– Harry powinien tam zajrzeć w pierwszej kolejności - zauważył Walter Kisley.

– Okej, Helen - powiedział Grady Forrer. - Teraz jest dobry moment. Daj mu to.

Detektywi otoczyli Isaaca Bella. Helen Mills wręczyła mu wąskie pudełko. Było zapakowane w bibułę i związane gustowną wstążką. Bell potrząsnął nim. Zagrzechotało.

– Dźwięk brylantów. Wielkość naszyjnika, ale nie zamierzam go nosić.

– Otwórz to, Isaac!

– Chłopaki znaleźli to na Storm King.

Bell rozwiązał wstążkę, rozdarł bibułę i uniósł wieczko. Zobaczył, że to rzeczywiście pudełko na naszyjnik. Ale w środku, na aksamicie, leżał dziesięciocentymetrowy scyzoryk.

– Branco go upuścił, jak oberwał - wyjaśnił Eddie Edwards.

– Odwróć go, Isaac. Przeczytaj inskrypcję.

Przymocowali srebrną płytkę z wygrawerowanym napisem:

„Własność pogromcy karteli, Bella”.

– Trzeba to oblać! - krzyknęli vandornowcy.

– Szampanem! - zawołała Helen Mills. - Stawiam w barze na dole.

Biuro natychmiast opustoszało.

Bell został sam, otwierając i zamykając nóż Antonia Branca.

– Już czas, Isaac.

Bardzo smutna Marion Morgan stanęła w drzwiach w stroju podróżnym.

Bell wziął jej bagaż, przecięli szybko Czterdziestą Drugą i weszli na dworzec Grand Central, gdzie znalazł jej prywatny przedział w pociągu 20th Century Limited do Chicago, na pierwszy etap jej podróży powrotnej do San Francisco.

– Będę strasznie tęskniła za tobą - powiedziała.

– Wątpię.

– Jak możesz tak mówić? Ty nie będziesz za mną tęsknił?

– Nie od razu.

– Czemu szczerzysz zęby jak głupek?

– Miałem ciekawą rozmowę z panem Van Dornem.

– Och, Isaac! Mianował cię głównym śledczym?

– Jeszcze nie. Ale obawia się, że jakieś niedobitki Czarnej Ręki mogą nadal grasować. Więc przydzielił ci eskortę aż do San Francisco. Te wewnętrzne drzwi są do przedziału twojego osobistego ochroniarza. Gdybyś się czegoś przestraszyła, wystarczy zapukać.

Bell wszedł do przedziału obok i zamknął drzwi za sobą. Steward już rozpakował jego bagaż i powiesił przysłane wcześniej garnitury. Nieotwarta butelka Billecart-Salmon Brut Rose stała na stoliku w srebrnym wiaderku.

Czterdzieści minut później, gdy Bell zdejmował koszulę, pociąg wjechał na stację Croton-Harmon, żeby zastąpić swoją elektryczną miejską lokomotywę szybszym parowozem. Bell usłyszał pukanie do drzwi. Otworzył je z rosnącym

niecierpliwym wyczekiwaniem. Marion przebrała się w jedwabny szlafrok, który wkładała dla niego w swoim domku w San Francisco.

Nie tracił czasu na słowa. Przyciągnął ją do siebie i pocałował. Potem wziął ją na ręce i zaniósł do swojej sypialni.